



**ANDREW  
KLAVAN**

**nikomu  
ani słowa**

Rewelacyjna ekranizacja z Michael'em Douglasem w roli głównej!

**Andrew Klawan**

**Nikommu ani słowa**

**Przełożył Jacek Mikołajczyk**

Książkę tę dedykuję Richardowi Friedmanowi

## PODZIĘKOWANIA

Chciałbym wyrazić głęboką wdzięczność następującym osobom:

doktor Maureen Empfield i doktorowi Howellowi Scharge'owi za hojność, z jaką podzielili się ze mną spostrzeżeniami na temat chorób psychicznych, administracji szpitali psychiatrycznych, stosowania leków antypsychotycznych i tak dalej;

Timowi Scheldowi, jednemu z najlepszych i najbardziej rozchwytywanych nowojorskich dziennikarzy radiowych, za to, że pomógł mi dostać się do pewnych niedostępnych zazwyczaj miejsc;

doktorowi Richardowi Scofieldowi za życzliwość, z jaką udzielił darmowych porad lekarskich moim fikcyjnym bohaterom;

mojej żonie, Ellen, jak zawsze za cierpliwość i pomoc w redakcji.

## PROLOG

### Mężczyzna zwany Jajem

Trudno było znaleźć odpowiednie mieszkanie, więc zamordowali starszą panią. Mężczyzna zwany Jajem zapukał do jej drzwi. Miał na sobie zielony kombinezon, przez co wyglądał na hydraulika. Maxwell trzymał się z boku, poza zasięgiem judasza w drzwiach staruszki. Także był ubrany w zielony kombinezon, ale w żadnym razie nie wyglądał na hydraulika. Nikt nigdy nie otworzyłby drzwi, by wpuścić do mieszkania Maxwella.

Za to Jajo prezentował się przyzwoicie. Był młodym mężczyzną o okrągłej, gładkiej twarzy. Miał proste brązowe włosy, które opadały mu na czoło, układając się w szelmowską grzywkę. Jego uśmiech tryskał inteligencją, a oczy były życzliwe i bystre.

Starsza pani nazywała się Lucia Sinclair. Usłyszawszy pukanie Jaja, zawołała przez drzwi:

– Kto tam?

Miała wysoki, cienki głos. Mocny kobiecy głos. Nie spodobał się Jajowi. Dawno temu, w Jackson Heights, kiedy jeszcze był dzieckiem, pracował w soboty dla sieci supermarketów jako dostawca. Lucia Sinclair mówiła podobnym głosem jak kobiety, które polecały mu wtedy zanosić torby z zakupami do kuchni. Czasem nawet na niego nie patrzyły.

– Hydraulik – zawołał miłym głosem Jajo.

Usłyszał dźwięk odsuwanej przesłonki judasza. Poczęstował oko Lucii Sinclair pogodnym uśmiechem.

– Przysłał nas Rick – powiedział. – W łazience na dole u pani Welch woda spływa po ścianach. Zastanawiamy się, czy w pani mieszkaniu nie pękła gdzieś rurka.

Usłyszał, jak zamyka się judasz. A potem jak przesuwa się końcówka łańcucha. Spojrzał na Maxwella. Ten uśmiechnął się

niecierpliwie. Zdążył się już podniecić.

Otworzyły się drzwi i stanęła w nich Lucia Sinclair. Wygląda całkiem nieźle jak na taką starą wiedźmę, pomyślał Jajo. Była niska i szczupła. Miała twarz w kształcie serca, z przywiedłymi – choć nie obwisłymi – i pomarszczonymi policzkami. Krótkie siwe włosy zaczesła w staroświecką falę. Ubrana była w luźną flanelową koszulę i jasnoniebieskie dżinsy marki Jordache. Drogie dżinsy. Takie same nosiły kobiety, którym kiedyś Jajo dostarczał zakupy. Które odwracały się do niego, szukając reszty. Nachylały się nad torebkami i wypinały w jego stronę tyłki.

– Połóż torby w kuchni – mawiały. Nawet na niego nie patrzyły.

No cóż, pomyślał Jajo, Maxwell będzie miał niezłą zabawę.

Lucia Sinclair cofnęła się nieco i wpuściła Jaja do środka. Uśmiechnęła się i przygładziła włosy.

– Obawiam się, że jestem trochę nieuczesana – usprawiedliwiła się. – Pracowałam właśnie w ogródku. – Z wdziękiem wskazała ręką na wnętrze mieszkania. Na końcu długiego salonu znajdowały się przesuwane szklane drzwi. Prowadziły na niewielki balkon. Stało na nim kilka doniczek z roślinami i skrzynek z kwiatami. – Ogródek to chyba za dużo powiedziane – gaworzyła. – Jest maleńki, ale brudu z niego co niemia...

Zamilkła. Jajo uśmiechnął się, widząc, jak słowa zamarły jej na ustach. Staruszka stanęła nieruchomo; opadła jej szczeka. Rozwarła szeroko oczy i Jajo zobaczył otwierający się w nich szary przestwór strachu. Patrzyła na Maxwella.

Maxwell wszedł do mieszkania i zamknął za sobą drzwi.

Jajo doskonale pamiętał, kiedy po raz pierwszy zobaczył Maxwella. Stało się to w Zakładzie Karnym dla Mężczyzn na wyspie Rikers. Jajo pracował tam jako „pedagog”, czyli po prostu – klawisz. Było wczesne popołudnie i właśnie zrobił sobie przerwę. Siedział na drewnianym krześle, opierając się o ścianę z pustaków w pomieszczeniu służbowym strażników obok Bloku C.

Kiedy wprowadzono Maxwella, Jajo otworzył ze zdumienia usta. Krzesło zaczęło niebezpiecznie zbliżać się do betonowej podłogi, aż wreszcie jego nogi trzasnęły o nią z hukiem.

– Ożeż, kurwa – wyszeptał.

I pomyślał: oto człowiek, z którym należy się zaprzyjaźnić.

Maxwell mierzył grubo ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Miał przygarbione ramiona, a z obojczyków zwisały mu ciężko muskularne łapska. Zbudowany był jak niedźwiedź: wielkie niezgrabne cielsko. Powłóczyście ruchy zdradzały siłę olbrzyma. Miał wysuniętą do przodu głowę, właśnie jak niedźwiedź lub jaskiniowiec. Jego wielka klatka piersiowa wystawiała na próbę wytrzymałość szwów więziennego kombinezonu. Wydawało się, że lada chwila wybuchnie.

Za to jego twarz... Właśnie ona najmocniej przyciągnęła uwagę Jaja. Jego twarz, jej wygląd. Była niewielka, kwadratowa, a na czoło zwisało parę kosmyków rzadkich jasnych włosów. W środku tkwił duży, płaski jak u Murzyna nos. Poniżej lśniły grube wargi, a u góry zapadnięte oczy – brązowe oczy tak głęboko zatopione w oczodołach, że z ich cienia zdawały się wpatrywać w rozmówcę z dziwnym smutkiem, tak jakby zostały zamknięte w pułapce.

Chryste, pomyślał Jajo, to coś w ogóle nie przypomina twarzy człowieka. Ani człowieka, ani zwierzęcia. Wygląda jak twarz dziecka doczepiona do cielska niedźwiedzia. Niezdarny olbrzym z buźką wystraszonego chłopczyka.

Kiedy wprowadzano Maxwella na blok, był przerażony. Jajo widział to wyraźnie. Więzienie napawało olbrzyma lękiem. Jego usta były wygięte w podkówkę, tak jakby zaraz miał wybuchnąć płaczem.

Wzrok Maxwella przebiegał tam i z powrotem po pryzkach i więziennych szafkach – oraz po mężczyznach, w większości czarnych, którzy wpatrywali się w niego nienawistnym, lecz zaciekawionym wzrokiem.

Jak się okazało, był to jego pierwszy pobyt tutaj. Dostał właśnie sześć miesięcy za obnażanie się na placu zabaw. Jego

prawnikowi udało się doprowadzić do ugody, dzięki czemu obaj uniknęli zakwalifikowania sprawy jako napaści na tle seksualnym.

Jajo jednak od razu wyczuł, że olbrzym ma o wiele więcej za uszami.

Lucia Sinclair stała wpatrzona w Maxwella i nie była w stanie wydobyć z siebie głosu. Jajo widział w jej oczach, że zdała już sobie sprawę z popełnionego błędu. Niemalże słyszał jej myśli: „Dlaczego otworzyłam drzwi? Dlaczego otworzyłam im drzwi?”.

„Za późno, stara pizdo” – pomyślał.

Jeszcze raz uśmiechnął się życzliwie.

– Czy możemy, łaskawa pani, rzucić okiem na łazienkę?

Lucia Sinclair zawahała się. Zachodziła w głowę, jak wybrnąć z tej nieciekawej sytuacji. Zwiotczała skóra drżała wokół jej warg.

– Ależ oczywiście – odpowiedziała w końcu. – Pozwolą panowie, że tylko...

Ruszyła w stronę drzwi. Spróbowała wyminąć Maxwella. Chwyciła za gałkę.

Maxwell złapał ją za nadgarstek. Przytrzymał.

– Zabieraj łapska, ty... – zaczęła.

W tej samej chwili jej usta wykrzywił ból. Oczy Lucii Sinclair nabiegły łzami. Maxwell z całej siły ścisnął jej chudy nadgarstek. Wykręcił staruszce powoli ramię i odsunął ją od drzwi. Przez jego usta przemknął osobliwy słaby, rozmarzony uśmiech.

Lucia Sinclair ledwie była w stanie wyszeptać:

– Proszę...

Maxwell puścił ją. Zatoczyła się do tyłu i upadła na podłogę. Zaczęła się czołgać, uciekając od napastników w stronę ściany. Nie próbowała wstać. Skuliła się. Jajowi spodobał się ten widok. Nie była już taką przemądrzałą suką. Kulila się i rozcierała zaczerwienioną skórę na nadgarstku. Patrzyła na Maxwella. Olbrzym stanął nad nią. Oddychał ciężko – jego ogromne ramiona wznosiły się i opadały.

– A teraz, łaskawa pani, czy może nam pani pokazać, gdzie



jest łazienka? – zapytał cicho.

Staruszka odwróciła się do Jaja. Jej oczy wyglądały tak, jak gdyby ktoś je rozczapierzył szeroko lewarkiem.

– Proszę – powiedziała. Zniknął gdzieś cienki tryl. Słysząc było tylko łamiący się, drżący starczy głos. – Proszę, zabierzcie wszystko, na co tylko macie ochotę.

– Max – powiedział Jajo.

Maxwell tak mocno ją złapał, aż Lucia Sinclair wrzasnęła z bólu. Ogromną dłonią ścisnął ją tuż poniżej pachy. Musiała wspiąć się i wyprostować, w przeciwnym razie wyrwałby jej rękę ze stawu. Patrzyła ciągle na Jaja, błagała go niemo o litość. Wiedziała, że nie ma co błagać o litość Maxwella.

– Proszę – powtórzyła. – Nie róbcie mi krzywdy. Nie pozwól, żeby zrobił mi krzywdę.

Jajo podniósł dłoń.

– Max nic pani nie zrobi. Proszę tylko pójść z nim do łazienki – powiedział łagodnym, uspokajającym szeptem.

– Proszę – powiedziała Lucia Sinclair. Zaczęła płakać. Na jej policzkach pojawiły się ślady łez. Usta staruszki drżały. Cała jej twarz nagle zapadła się i poszarzała.

Max pociągnął ją za sobą korytarzem w stronę drzwi łazienki. Staruszka ciągle krzyczała do Jaja:

– Proszę. Nic wam nie zrobię. Nie zadzwonię nawet na policję!

Max dotarł do drzwi łazienki. Wepchnął przez nie brutalnie staruszkę. Po czym wszedł za nią do środka.

Jajo raz jeszcze usłyszał jej skowyt.

– Proszę. – Potem z głębi gardła starszej pani wydobył się ochryply wrzask. – O Boże!

Drzwi łazienki zamknęły się.

Oczywiście w tym momencie i tak nie dałoby się już powstrzymać Maxa. Nie teraz, nie kiedy na jego twarzy pojawił się ten wyraz, ten rozmarzony uśmiech. Problem polegał na tym, że Maxwell to lubił; to go nakręcało. Tak jak wtedy ze Świrusem.

Maxwell dostał erekcji – kiedy podciął mu gardło, miał prawdziwą erekcję. Świrus miotał się sponiewierany na podłodze, wijąc się i charcząc. Przyciskał kurczowo do szyi palce, pomiędzy których tryskała krew. Maxwell stał nad nim z jasnymi oczami, rozchylonymi ustami i spływającą po podbródku strużką śliny – a ze spodni jak maszt namiotu wystawała mu twarda jak skała kiełbacha. Jajo był pewien, że Max za chwilę wyciągnie ją na wierzch. Walnie gruchę nad tańczącym przed nim, wijącym się półtrupem! Jajo złapał Maxwella za ramię i wrzasnął do niego:

– Idziemy! Idziemy!

Maxwell skinął wreszcie głową z zażenowaniem i przebiegł dłonią przez rzadkie jasne włosy.

Zwlekał jeszcze przez chwilę. Stał i patrzył, jak Świrus umiera.

Podczas gdy Max zajmował się w łazience staruszką, Jajo wybrał się na spacer po salonie. Mieszkanie było całkiem niezłe. Bardzo szykowne. Bardzo eleganckie. Do środka docierało raczej niewiele promieni słonecznych, ale przez szklane drzwi balkonu wlewało się całkiem sporo wczesnojesiennego światła. Na pokrytej parkietem podłodze leżały piękne miedziano-brązowe chodniki. Stół był w całości ze szkła. Stały na nim srebrne świeczniki. Ciężkie drewniane fotele z powyginanymi ramionami i nogami obite były tkaniną w owoce i winorośle. Na drewnianych regałach spoczywały ciężkie książki. Przy ścianach stały autentyczne palisandrowe regały i gabloty z ukrytymi za szkłem wyszukаныmi bibelotami: srebrnymi kielichami, cynowymi dzbanami, niewielkimi figurkami koni i Buddy z kości słoniowej oraz oprawionymi w srebrne ramki fotografiami uśmiechniętej pary, domku na przedmieściu, roześmianej lnianowłosej dziewczynki i małego jasnowłosego chłopczyka.

Jajo, zwiedzając pokój, zatrzymywał się przy kolejnych gablotach. Przyglądał się przez szyby bibelotom, z rękami założonymi za plecami nachylał się nad szkłem. Naprawdę pierwsza klasa, myślał. I wszystko autentyczne.

Jako dzieciak z Heights chciał być piosenkarzem. Oczywiście nie jednym z tym pedałów rockmanów, ale prawdziwym piosenkarzem, takim od ekskluzywnych nocnych klubów. Jak Julio, Tom Jones czy nawet Sinatra. Marzył, że ma na sobie smoking i śpiewa ballady. W jednej ręce trzyma mikrofon, a drugą wyciąga w stronę widzów. Kobiety wzdychają, krzyczą. W powietrzu unosi się dym z papierosów. Wyobrażał też sobie, że będzie mieszkał w takim miejscu jak to. Myślał raczej o domu, najpewniej w Hollywood, przy tej samej ulicy co Johnny Carson. Miał być właśnie tak elegancki jak to mieszkanie, wypełniony podobnie wyszukаныmi przedmiotami, rzeźbionymi meblami, które wszyscy musieliby podziwiać.

Jajo zatrzymał się przed regałem i nachylił nad egzemplarzem *Małej Doris* w skórzanej prążkowanej okładce. Westchnął, a potem się wyprostował.

Niestety nigdy nie udało mu się włożyć smokingu ani stanąć z mikrofonem w ręku na scenie w nocnym klubie. A jedyną kobietą, która krzyczała w jego obecności, była jego własna matka. Pamiętał – czasem wręcz to odczuwał – jak nacierała na niego swoją plamistą księżycową twarzą. Owiewał go wtedy jej gorący, cuchnący piwskim oddech.

– Pierdź lepiej, niż ty śpiewasz – wyjaśniała mu głosem przypominającym miauczenie zamkniętego w blenderze kota. A potem demonstrowała swoje racje. – Słyszysz? Tak właśnie śpiewasz. Tak właśnie cudownie śpiewasz. – Pierdnęła po raz drugi. – Śpiewam! – krzyczała. – Słuchajcie wszyscy! Śpiewam własnym dupskiem!

Jej przypominający suchy kaszel śmiech wysyłał w jego stronę kolejną falę piwnego odoru.

Uwagę Jaja przyciągnął dobiegający z łazienki hałas. Spojrzał przez ramię na korytarz. Nie był pewien, co to takiego. Głuchy łomot, być może jakiegoś upadającego przedmiotu. A może stłumiony niemy skowyt; jęk. Przypomniało mu się coś, o czym opowiadał mu Maxwell, gdy poznawali się lepiej w Rikers.

Pewnego wieczoru, kiedy po zgaszeniu świateł szeptali ze sobą w łazience, Max zwierzył mu się nieśmiało. Był przy tym słodki. Opowiadał, że uwielbia odcinać kotom języki, a potem łamać im nogi i słuchać, jak bezsilnie starają się miauczeć.

Jajo pokręcił głową i uśmiechnął się, odchodząc od regału. Ten Maxwell. Co za łobuz.

Podszedł do szklanych drzwi balkonu. Stał przed nimi i wyjrzał na zewnątrz. Zaczął się kołysać na obcasach nadal ze skrzyżowanymi z tyłu rękoma.

Balkon był bardzo mały. Trudno było nawet określić tym mianem ów trójkątny betonowy występ. Kilka roślin i skrzyń z kwiatami, którymi opiekowała się starsza pani, zajmowało prawie całą jego przestrzeń. Ze swojego miejsca Jajo był w stanie wyjrzeć poza występ i popatrzeć na rozpościerający się pięć pięter poniżej dziedziniec. Tworzył go długi wąski trawnik, na którym wyrastało kilka kępek rumianku. Tu i ówdzie stały drewniane ławki. Środkiem biegła pokryta tłuczniem ścieżka. Wychodziła ona z kamiennej altany, ukrytej na lewo od Jaja pod porośniętą winoroślą kratownicą, i prowadziła na prawo do niewielkiego prostokątnego rybnego oczka. Za czwartą ścianę dziedzińca służył tył kościoła. Jego mury z brunatnego piaskowca i lancetowate witraże pięły się w górę tuż nad oczkiem.

Jajo oderwał wzrok od dziedzińca. Spojrzał na budynek po przeciwnej stronie. Mieszkanie Lucii Sinclair znajdowało się w tylnej części apartamentowca przy Trzydziestej Piątej. Budynek z drugiej strony podwórka stał przy Trzydziestej Szóstej. Blisko, co najwyżej dwadzieścia metrów. W każdym razie wystarczająco blisko.

Z tyłu dobiegł go znowu jakiś odgłos, tym razem dzwonienie. To bibeloty trzęsły się na szklanych półkach. Maxwell musi być zapracowany, pomyślał Jajo. Odwrócił się i jeszcze raz zlustrował wzrokiem mieszkanie. Wysilek Maxwella zostanie sownie wynagrodzony. Dzięki niemu wynajmą to miejsce.

Sztuczki tej Jajo nauczył się od jednego z dilerów narkotyków z Rikers. Był to naprawdę ktoś: dyplomowany

hazardzista znany jako Mickey Raskin. Nauczył Jaja subtelnej sztuki polowania na tymczasowe mieszkania. Po pierwsze, twierdził Mickey, należy przeczytać nekrologi. Trzeba znaleźć sztywniaka, najlepiej bez żyjących w pobliżu spadkobierców. Następnie należy się udać do właściciela budynku lub dozorca, wręczyć mu kopertę wypchaną rocznym czynszem i powiedzieć, że potrzebne jest mieszkanie – na miesiąc lub dwa, bez zbędnych pytań. Jedyne ryzyko polega na tym – twierdził Mickey – że można trafić na uczciwego dozorcę. Innymi słowy, ryzyko nie istnieje.

Jajo musiał przyznać, że to dobra metoda. Numer na nekrolog – niezły, choć wymagał pewnego dopracowania. Jajo nie potrzebował po prostu mieszkania. Potrzebował tego mieszkania; tego lub jakiegoś w pobliżu. Nie mógł więc ot, tak – czekać na nekrolog; musiał, jak by to powiedzieć, przyspieszyć nieco jego publikację. Za jakiś dzień lub dwa, kiedy nekrolog się pojawi, Jajo we własnej osobie odwiedzi budynek i poprosi o rozmowę z dozorcą. Czytałem w „Post” o zamordowaniu tej staruszki, powie, i chciałbym wynająć na miesiąc jej mieszkanie, oczywiście kiedy już policja skończy swoją robotę. Początkowo dozorca zareaguje oburzeniem – może nawet w jego głowie pojawi się cień podejrzenia. Potem jednak Jajo wciśnie mu do ręki kopertę. Kiedy dozorca zobaczy, jaka jest gruba, natychmiast da sobie spokój z oburzeniem i podejrzeniami. A kiedy po jakimś tygodniu albo dwóch policja się zwinie, mieszkanie będzie należało do Jaja.

Jajo usłyszał, jak otwierają się drzwi łazienki. Dobiegł z nich odgłos ciężkiego człapania. Po przeciwległej stronie salonu pojawił się Maxwell.

Olbrzymowi falowała klatka piersiowa. Wysunięta do przodu głowa poruszała się w górę i w dół. Z grubych warg Maxa opadł uśmiech, a jego oczy były szkliste i nieobecne. Wielkie łapska zwisały ciężko. Grube palce były ciemne od krwi. Olbrzym skubał wstydliwie skrawek kombinezonu, również poplamiony krwią. Zwiesił głowę i z zażenowaniem wwiercał czubek buta w podłogę.

– W porządku, maleńki? – zapytał Jajo z czarującym

uśmiechem.

Maxwell skinął nieśmiało głową.

– W porządku – odpowiedział, łapiąc oddech.

Zanim Jajo dołączył do niego, jeszcze raz wyjrzał przez szklane drzwi. Skinął głową. Naprawdę doskonałe lokum. Jeśli tylko zaopatrzy się w porządną lornetkę, będzie mógł zajrzeć prosto w okna budynku po drugiej stronie podwórza.

Prosto w okna mieszkania doktora Nathana Conrada.

# CZĘŚĆ PIERWSZA

## PSYCHIATRA POTĘPIONYCH

Doktor Nathan Conrad siedział w pustym gabinecie. Dłonie oparł na ramionach skórzanego rozkładanego reclinera. Głowę przechylił do tyłu. Wpatrywał się w biegnący pod sufitem gzyms. „Niech to szlag!” – pomyślał.

Zaczynała go boleć głowa. Przed prawym, chorym okiem błysnęły mu i rozprzestrzeniły się na kształt plamek czerwone punkciki. Jego żołądek był pusty i ciężki. Bez dwóch zdań: to była przygnębiająca sesja.

Znowu Timothy. Timothy Larkin. Dwadzieścia siedem lat. Utalentowany choreograf z widokami na obiecującą karierę. Pracował już jako asystent przy dwóch broadwayowskich przedstawieniach. A rok temu załapał się jako główny choreograf plenerowego przedstawienia w ramach letniego projektu World Trade Center. Jakiś miesiąc później wykryto u niego AIDS.

Przez ostatnie pół roku Conrad obserwował, jak młody mężczyzna marnieje w oczach. Jego ciało tancerza, kiedyś giętkie i umięśnione, stało się rozdygotane i słabowite. Twarz o regularnych rysach zwiotczała i zapadła się w sobie. Przeszedł serię zabiegów radioterapii, którymi leczono u niego rozmaite nowotwory, przez co nic nie zostało również z jego gęstej czarnej czupryny.

Conrad potarł oko, starając się usunąć sprzed niego czerwoną mgiełkę. Westchnął i wstał z fotela. Po godzinie siedzenia zdrętwiała mu prawa, chora noga. Pokuśtykał przez niewielki gabinet w stronę stolika pod lampkę ustawionego tuż przy drzwiach do łazienki. Na stoliku stał Pan Kawa. Jego ukochany Pan Kawa. Wielmożny Pan Kawa. Jego Świątobliwość Pan Kawa. Święty Pan Kawa.

Obok ekspresu stał kubek. Czarny kubek z białym napisem: „ŻYCIE JEST JAK DZIWKĄ. LUBI SIĘ PIERDOLIĆ”. Podniósł dzbanek ze stojaka. Zalał fusami z dzbanka fusy na dnie kubka. Odstawił dzbanek na miejsce i wypił łyk kawy.



– Aaa! – jęknął głośno.

Smakowało jak ściek. Pokręcił głową i wrócił do fotela. Pił już trzeci kubek tego świństwa.

Nie chciało mu się wierzyć, że jest dopiero kwadrans po dziewiątej.

Conrad przyjął Timothy'ego na prośbę Fundacji Pomocy Gejom i Lesbijkom. Referencji udzieliła mu kobieta o nazwisku Morris. Rachel Morris była internistką w fundacji.

– Słuchaj, nie stać mnie na to, żeby wam pomagać – powiedział jej.

– Przecież pozwoliłeś umieścić swoje nazwisko na liście – odparła.

– Owszem, ale nie uprzedziłaś mnie, że nie będzie na niej nikogo więcej.

Zaśmiała się.

– Co mam ci powiedzieć? Przynajmniej wyrobiłeś sobie markę wśród przedstawicieli najbardziej zdesperowanych instytucji charytatywnych w mieście.

– Ach, tak? Ciekawe jaką? Zamieniam się w słuch.

– Nazywają cię Psychiatrą Potępionych.

Conrad jedną ręką przytrzymał słuchawkę – drugą złapał się za głowę.

– Czuję się zaszczycony, Rachel. I głęboko wzruszony. Ale jestem teraz cholernie drogim psychoanalitykiem z Upper West Side. Mam żonę, dziecko i mercedesa na utrzymaniu.

– Och, Nathan, przesadzasz.

– No dobra, mam tylko żonę i dziecko. Ale miałbym już mercedesa, gdybyście ciągle do mnie nie dzwonili.

– Zresztą twoja żona potrafi sama na siebie zarobić.

– Tak? Ale nie tyle, żeby mi kupić mercedesa!

– Nathan! – krzyknęła wreszcie Rachel. – Chłopak nie ma pieniędzy, a jego ubezpieczenie tego nie obejmuje. Jest o krok od samobójstwa i nie ma do kogo pójść. Potrzebuje cię.

Conrad zastanawiał się przez chwilę. A potem wydał z siebie

jęk rozpaczy.

Biuro Conrada mieściło się w strzelistym neogotyckim apartamentowcu przy Central Park West, między Osiemdziesiątą Drugą a Osiemdziesiątą Trzecią Ulicą, na parterze, na tyłach budynku. Z jedyne go w pomieszczeniu okna roztaczał się przygnębiający widok na szyb wentylacyjny, który budynek dzielił z równie strzelistym neogotyckim apartamentowcem na rogu Osiemdziesiątej Trzeciej. Conrad zasłaniał okno drewnianymi żaluzjami. Nie przedostawał się przez nie nawet promyk dziennego światła – trudno było odgadnąć, że w ogóle jest tam okno. Pokoje miały przez to trochę surowy charakter – wydawały się zatęchłe i nieprzyjazne.

Biuro było podzielone na poczekalnię i gabinet. Maleńką poczekalnię i maleńki gabinet. Poczekalnia ograniczała się właściwie do czegoś w rodzaju wąskiego korytarza. Miejsca wystarczało w niej jedynie na parę regałów, krzeseł i mały narożny stolik, na którym Conrad zostawiał dla pacjentów egzemplarze „New York Timesa” i „Psychology Today”. Sam nigdy ich nie czytał.

Gabinet był trochę większy, ale za to zagracony. Jego północną ścianę zdobiło okno, w południowej było wejście do łazienki. Resztę przestrzeni przy ścianach zajmowały regały, których półki były oblegane przez tak zwietrzałe tomiszczą, jak *Dziecięca seksualność*, *Psychofarmakologia* czy *Dzieła zebrane* Zygmunta Freuda. W kącie gabinetu stał sekretarzyk, którego wieko było otwarte, a blat całkowicie zavalony jakimiś papierami i czasopismami. Pod tym wszystkim był gdzieś zagrzebany telefon i automatyczna sekretarka. Na samym rogu usiłował nie spaść na podłogę przenośny budzik.

No i wreszcie w gabinecie mieściły się najważniejsze w biurze meble: fotel Conrada – skórzany recliner – oraz kozetka i wielki żółty fotel dla poddających się terapii pacjentów.

Kiedy tego ranka w żółtym fotelu zasiadł Timothy, niemalże

udało mu się w nim utonąć. Chłopak położył ze znużeniem szczupłe ręce na oparciach. Jego kościste dłonie lekko się trzęsły. Głowa opadała mu, tak jakby szyja nie była w stanie utrzymać jej ciężaru. Na głowie miał przekrzywioną żałośnie wielką czapeczkę Metsów. Miała maskować jego łysą czaszkę.

Spoglądając na niego, Conrad starał się unieść ponad chmurę ogarniającego go współczucia. Starał się zamienić własną smutną i zapadniętą twarz w beznamietną maskę. Oddychał powoli, tłocząc z siebie na zewnątrz powietrze za pomocą przepony. Czekał, aż jego umysł osiągnie stan cichej, tajemniczej otwartości. Żadnych osądów, żadnych interpretacji. Skojarzenia niech tworzą się same. „Ścieżka Tao jest prosta” – wyrecytował w myślach. „Po prostu odrzuć wszelkie swoje opinie”.

– Wiesz – mówił miękko Timothy – od strachu gorsze jest poczucie winy. To znaczy, kiedy się nad tym głębiej zastanowię, czuję się bardzo źle, ale... tak naprawdę nie chodzi o to, że boję się śmierci.

Conrad słuchał w milczeniu. Timothy mówił o tym od tygodni: poczucie winy i wstydu ciążyło mu tak samo jak myśl o śmierci. Znał już przyczyny tego stanu. Teraz usiłował zamienić tę wiedzę w zrozumienie.

Chłopak ze znużeniem podniósł głowę. Spojrzał twardo na Conrada swoimi szeroko rozstawionymi, zapadniętymi czarnymi oczami.

– Najbardziej nienawidzę uczucia, że... to Bóg mnie karze. Że AIDS jest czymś w rodzaju boskiego wyroku. Karą za moje grzechy.

Conrad przesunął się nieznacznie w fotelu.

– O jakie grzechy ci chodzi, Tim? – zapytał miękkim głosem.

– Och... wiesz przecież. – Timothy głęboko, boleśnie wciągnął powietrze. – Te same stare jak świat grzechy. Moje życie, mój styl życia. Moja seksualność. – Po chwili dodał z wysiłkiem: – To znaczy, no wiesz, to właśnie nas spotyka za seks z mężczyznami...

– Doprawdy? – zapytał Conrad.

Oczy młodego mężczyzny wypełniły się łzami. Wbił wzrok w sufit.

– Czuję się, jakby gdzieś w mojej głowie tkwił jakiś ksiądz fundamentalista. Jak w tym filmie Woodyego Allena: w moim sumieniu mieszka sobie ksiądz, który kiwa na mnie palcem i mówi: „Widzisz? Widzisz? Z Bogiem nie ma żartów, Timothy. To właśnie cię czeka za brzydkie zabawy z innymi chłopcami”.

Conrad uśmiechnął się, wkładając w to tyle wdzięku, na ile tylko mógł się zdobyć.

– Nie cierpię, kiedy gadam jak psychiatra – powiedział – ale czy ta postać księdza nie przypomina przypadkiem twojego ojca?

Timothy roześmiał się i ze znużeniem skinął głową.

– Masz rację, on chyba rzeczywiście tak by to określił. Mój ojciec. Gdybym z nim porozmawiał. To znaczy, może nie powiedziałby tego na głos, ale moim zdaniem naprawdę byłby przekonany, że... zostałem ukarany, ponieważ jestem gejem.

– Z punktu widzenia teologii to interesujący pogląd – powiedział Conrad. – Skoro AIDS jest karą za homoseksualizm, to karą za co jest dziecięca białaczka? Za to, że gówniarz nie dzieli się zabawkami?

Timothy znowu roześmiał się cicho.

– Pan zsyła deszcz na sprawiedliwych i niesprawiedliwych – powiedział łagodnie Conrad.

– Świetnie – jęknął Timothy, opierając głowę z powrotem na fotelu. – Kto tak powiedział? Zygmunt Freud?

– Pewnie tak. Albo jakiś inny mądry rabin.

Przez długą chwilę Timothy siedział nieruchomo w fotelu z bezwładnie rozrzuconym ciałem i odchyloną głową. Po paru minutach Conrad zauważył, że po skroniach spływają mu łzy. Kapały na oparcie fotela, zwilżając żółtą tapicerkę, która przybrała przez to ciemniejszy odcień.

Conrad spojrział na zegarek stojący na blacie sekretarzyka. Była dziewiąta trzynaście. Dzięki Bogu, pomyślał. Dzięki Bogu, to już prawie koniec. Przez chwilę czuł, że znowu ogarnia go fala współczucia. Nie mógł tego znieść. Stłamsił to w sobie.

Znów spojrzał na pacjenta. Timothy wciąż był spokojny, jego głowa ciągle była oparta i ciągle spływały po niej łzy. Pospiesz się, Timbo, pomyślał Conrad, bo długo tego nie wytrzymam.

Wreszcie wzrok tancerza spoczął ponownie na psychiatrze. Łzy zaczęły wysychać. Usta się ściągnęły. Conrad z rosnącym wzruszeniem obserwował, jak w oczach młodego człowieka pojawia się determinacja.

– Jestem dumny, że kochałem tych, których kochałem – powiedział Timothy. – Nie chcę umierać we wstydzie. Jestem dumny.

Nagle jego usta zaczęły drżeć i znowu się wykrzywiły. Znowu zaczął płakać.

Conrad nachylił się ku niemu i powiedział bardzo łagodnie:

– Czas minął. Musimy kończyć.

Timothy na pewno poczuje się lepiej, pomyślał Conrad. Rozsiadł się wygodniej w fotelu i wypił łyk parującej gęstej kawy. Gdyby miał czas, żeby nad nim popracować, chłopak z pewnością pogodziłby się z poczuciem winy i chorobą. W jakiś tajemniczy sposób stanąłby znowu na nogach; odzyskałby spokój.

A potem czekałaby go śmierć – powolna, bolesna, okrutna, samotna.

Niech to szlag. Conrad pokręcił głową. Świetne nastawienie, przyjacielu. A było dopiero dwadzieścia po dziewiątej. Nie mógł sobie pozwolić na depresję o tej porze. Musiał jeszcze przebrnąć przez sesję z June Fefferman: słodką, uzależnioną od leków szarą myszką, której mąż – pilot linii lotniczych – zginął rok wcześniej w wypadku samochodowym, wracając do domu z lotniska. A po niej miał się pojawić Dick Wyatt, tryskający energią czterdziestopięcioletni menedżer, który pewnego ranka poślizgnął się na schodach przed swoją kamienicą na Brooklynie i był sparaliżowany od szyi w dół. Potem, co chyba było ze wszystkiego najgorsze, na wizytę była umówiona Carol Hines, której pięcioletni syn zmarł niedawno na guza mózgu. Córka Conrada, Jessica, również miała pięć lat. Nie cierpiał sesji z Carol Hines.

Conrad zacisnął powieki. Wydał z siebie dziwny odgłos, ni to westchnienie, ni to jęk. Psychiatra potępionych, pomyślał. Jezu, gdzie się podziały te wszystkie przeciętne, uzbrojone w wysokie obcasy neurotyczki z Upper West Side, o których tak wiele słyszał? Jedyne co mógł uczynić dla nich wszystkich, to podleczyć ich urojenia do tego stopnia, by byli w stanie przebrnąć przez swoje koszmary.

Na zewnątrz zaskrzypiały otwierane, a następnie zamykane z głuchym trzaskiem drzwi poczekalni. Spojrzał jeszcze raz na zegarek: dziewiąta dwadzieścia pięć. Pani Fefferman i jej nieżyjący mąż zjawili się pięć minut za wcześnie. Pięć minut. Ciągle miał czas, żeby trochę się odprężyć przed początkiem sesji. Z wdzięcznością złapał kubek za ucho. Podniósł go do ust. Zaczął wdychać zapach kawy.

Zadzwoił telefon. Balansująca na słuchawce aparatu kartka papieru listowego ześlizgnęła się i opadła na podłogę. Telefon był czarny, na przyciski. Odezwał się po raz drugi. Dzwonek był ostry, przenikliwy.

– Jak by to powiedzieć? – mruknął w kierunku aparatu Conrad. – Pierdol się.

Telefon zadzwonił po raz kolejny.

Z przekleństwem na ustach Conrad przesunął się z fotelem do sekretarzyka. Postawił kubek z kawą na stosie kartek z niedokończonym artykułem na temat reakcji żałoby u dzieci. Chwycił za telefon.

– Doktor Conrad – powiedział.

– Siemanko, Nate. Jerry Sachs z tej strony.

Conrad wzdrygnął się. Jego pięć minut właśnie odeszło w niepamięć.

– Cześć, Jerry – powiedział tak radosnym tonem, na jaki tylko potrafił się zdobyć. – Co słychać?

– No wiesz. Może nie trzaskam, jak niektórzy, kasiury na Central Park West, ale daję radę. A co u ciebie?

– W porządku – rzekł Conrad. – Dzięki.

– Posłuchaj, Nate – mówił dalej Sachs. – Mam tutaj coś

takiego, co wydaje mi się w sam raz dla ciebie.

„Nate” pokręcił głową. Wyobraził sobie Sachsa po drugiej stronie linii. Siedział za swoim ogromnym biurkiem w Miejskim Centrum Psychiatrycznym Impellitteri. Rozwalił się w fotelu, wielkie stopy położył na biurku, a rękami bębnił po spasionym okrągłym brzuszysku. Ogromną jajowatą głowę przechylił do tyłu, tak że jego czarne okulary błyszczały w świetle sufitowej lampy. A przed nim stała gigantyczna onyksowa tabliczka: DR JERALD SACHS, DYREKTOR. Pewnie miała z metr szerokości.

Po chwili jednak Conrad pomyślał, że Sachs zasłużył sobie na to. Posada dyrektora była okupiona prawie dziesięcioletnią harówką w funkcji specjalisty od lizania dupy burmistrzowi Queens, Ralphowi Julianie. Conrad nieraz widywał Julianę w telewizji: wesoły partyjny aparatczyk w drogim garniturze i z tanim cygarem w zębach. Lizanie mu dupy musiało być bardzo mało przyjemną czynnością. Większość z tych dziesięciu lat Sachs spędził, śmiejąc się z dowcipów tej gnidy. Pojawiał się z nim na przyjęciach. Służył mu za „znanego psychiatrę”, dzięki któremu Juliana mógł zaimponować znajomym. Nie wspominając o opracowywaniu ekspertyz na potrzeby kilku rozpraw sądowych, którymi Juliana był żywotnie zainteresowany. I w końcu udało mu się dochrapać stanowiska dyrektora Impellitteri. Został dumnym panem zielonych, zbudowanych z pustaków murów centrum, skąpo umeblowanych sal i zaniedbanych pokoiów dziennych. Nieustraszonym liderem personelu złożonego z lekarzy wyrzutków, terapeutów wtórnych analfabetów oraz pielęgniarek, z których każda wyglądała jak pitbull skrzyżowany z bassetem. Królem Pytonem w municypalnym gnieździe węży.

Mimo wszystko Conrad był mu jednak winien przysługę. Poznał Sachsa jakieś piętnaście lat temu, kiedy obaj byli internistami w Klinice Uniwersyteckiej Miasta Nowy Jork. Wtedy też za nim nie przepadał. Dziesięć lat później Conrad leczył niejakiego Billy’ego Juareza, nastolatka z psychozą maniakalno-depresyjną. Billy był bez środków do życia i stawał się coraz bardziej agresywny. Zdążył już pobić nauczyciela, który zadał mu

jakieś pytanie na temat uczestniczenia w zajęciach. Wspominał o zakupie broni. Wymagał kuracji i hospitalizacji, ale nie miał na to pieniędzy. Conrad obawiał się, że skończy w jednej z publicznych umieralni. W tym czasie władze stanowe uruchomiły eksperymentalny program, który polegał na przenoszeniu pacjentów z Impellitteri do przyjemnego prywatnego sanatorium niedaleko Harrison. Jednym z elementów programu był dostęp do litu. Conrad zadzwonił do Jerry'ego Sachsa, by mu się przypomnieć. Poprosił o miejsce dla Billy'ego Juareza, a Sachs pozytywnie rozpatrzył jego prośbę.

Conrad był mu więc winien przysługę.

– W sam raz dla mnie? – zapytał. Nie był w stanie wykrzesać z siebie krztyny entuzjazmu, ale brnął dalej. – Cóż, chętnie o tym z tobą pogadam, Jerry. Jestem teraz trochę zajęty, ale...

– Daj spokój, Nate! – powiedział Sachs tym gburowatym, jowialnym koleżeńskim tonem, którego Conrad nie znosił. – Nie możesz tylko siedzieć sobie przy tej całej Zachodniej i leczyć staruchy, którym znudziło się już liczenie kasy. Chociaż podejrzewam, że w waszych prywatnych gabinetach znacie lekarstwo na tę przypadłość.

Tak, podobnie jak wy, pieprzone cioty od polityki, znacie lekarstwo na przypadłość zwaną uczciwością, pomyślał Conrad. Trzymał jednak język na wodzy. Po chwili Sachs przestał się śmiać z własnego dowcipu i kontynuował:

– Tak na serio, Nathan, to sprawa jest naprawdę fascynująca. Z paragrafu 330, punkt 20.

– Kodeksu postępowania karnego?

– Tak, było o tym niedawno w gazetach i w ogóle.

– Ach, tak – stwierdził ponuro Conrad. – W gazetach i w ogóle?

– Właśnie. Jakieś trzy tygodnie temu. Sprawa Elizabeth Burrows, pamiętasz? Tylko mi nie mów, że za duża z ciebie szyszka, by czytać tabloidy.

– No wiesz...

– W każdym razie sąd odesłał ją do nas na trzydziestodniową



obserwację, żebyśmy stwierdzili, czy można jej wytoczyć proces. Ma osiemnaście lat. Zdiagnozowano u niej schizofrenię paranoidalną. Ma halucynacje słuchowe, ostre urojenia, a na dodatek była już karana za używanie przemocy.

– Rozumiem, że to narkomanka.

– Z naszych badań wynika, że nie.

– Naprawdę? Ale jest agresywna?

– Jeszcze jak! – Sachs zagwizdał cicho. – Posłuchaj. Zacząłem ją przepytować, kapujesz? Wszystko idzie jak z płatka, może nawet lepiej. Uwielbia mnie; nie chce przestać gadać. I nagle – rybka. Wydaje się – jak to określamy – pobudzona. Ścisłej rzecz biorąc, wpada, kurwa, w szał. Goni mnie. Prawie mnie suka udusiła, zanim zdążyłem wezwać pomoc i zanim ją powstrzymaliśmy. A przecież to drobniutka kobietka, Nate. Mówię ci, nie uwierzyłbyś, jaka jest silna. Do izolatki musiało ją zawlec czterech terapeutów, a dwóch dodatkowych przywiązywało ją do fotela. Kiedy ją wypuściliśmy, przydzieliliśmy jej osobną opiekunkę jako ochroniarza, i wyobraź sobie, że stukilogramowy babsztyl zwiewał przed nią, aż się kurzyło. Wreszcie kazałem napompować naszą Miss Zaślinionego Podkoszulka taką dawką leków, że uspiłyby nawet słonia, i wpakowałem ją do izolatki dla niebezpiecznych dla otoczenia. I co się dzieje? Na moich oczach dostaje katatonii. Zero ruchu, nic nie mówi, tylko siedzi i gapi się...

Conrad odchrząknął.

– Świetnie, Jerry. Już do ciebie lecę. A po drodze kupię w kiosku tabletki na uspokojenie. To znaczy, co mam twoim zdaniem z nią zrobić?

– Nic. Stary, my nie próbujemy jej wyleczyć. Chodzi o to, żeby ktoś ją zmusił do gadania. Żeby ustalił, czy może stanąć przed sądem, i sporządził raport.

– No to zleć to któremuś z waszych ekspertów sądowych. Za co im płacicie? Słuchaj, za minutę będę miał pacjentkę. Moglibyśmy...?

– E tam, powiedz jej, żeby sobie poobgryzała wysokie obcasy – stwierdził Sachs i zachichotał. – A tak na serio... Na

serio... Pamiętasz, byłeś zaangażowany w te badania dla Columbia Press trzy lata temu. Katatonicy. Ten sam rodzaj przypadku; odwaliłeś kawał dobrej roboty. Była o tym relacja w „Science Times”. Wyrobiłeś sobie markę...

Sachs zrobił pauzę. Conrad siedział w milczeniu, kręcąc głową.

Po chwili Sachs zaczął mówić dalej:

– To poważna sprawa, Nate. Cholera jasna, jak myślisz, dlaczego w ogóle dałem się w to wrobić? Szefowie mają na mnie oko. Gazety też się interesują. Twoje nazwisko gwarantuje, że wszyscy inaczej na to spojrzą. – Nathan ciągle się nie odzywał. Sachs dodał: – Chodzi o przysługę, Nate. Naprawdę. Naprawdę.

Conrad spojrział ponownie na zegarek: dziewięta trzydzieści cztery. Pani Fefferman zaczęła się już pewnie niepokoić. Przeczesał palcami włosy.

– Za co... Hm... Za co została aresztowana?

Sachs parsknął na cały głos śmiechem – na poły z tryumfem, na poły z ulgą.

– Człowieku, ty chyba naprawdę nie czytasz gazet! Sprawa Burrows. Elizabeth Burrows. Zabiła człowieka, Nathan. Podcięła mu gardło. Boże wszechmogący, pocięła gościa na kawałki!

## AGATHA

Conrada trudno było nazwać imponującym mężczyzną: był niski, chudy i przygarbiony. Miał okrągłą melancholijną twarz, głębokie, łagodne brązowe oczy i grube wargi, których kąciki zawsze były skierowane w dół, przez co sprawiał wrażenie człowieka zamyślonego i poważnego. Czubek jego czaszki przykrywało kilka rudawozłotych zmierzwionych pasemek, ale większość włosów zdążyła mu już wypaść. Miał czterdzieści lat.

Czuł je wszystkie, każdy przeżyty rok. Z wyjątkiem codziennego godzinnego porannego spaceru do pracy nie uprawiał żadnych ćwiczeń fizycznych. Często był tak zmęczony, że trzeszczało mu w stawach. Po wielu latach jedzenia bez żadnego wpływu na wagę wszystkiego, na co tylko miał ochotę, powoli zaczynał obserwować u siebie wyrastający brzusek. Czasem też (no cóż, właściwie to nawet często; no cóż, właściwie to niemal każdego dnia) orientował się, że po zjedzeniu jogurtu i orzeszków, które żona pakowała mu na lunch, drzemie w swoim reclinerze.

Kiedy zdarzał mu się dzień taki jak ten, było to szczególnie uciążliwe. Począwszy od sesji z Timothyem, spędził w fotelu prawie cały czas od ósmej rano do siódmej trzydzieści wieczorem.

Przez cały dzień słuchał pacjentów z kilkoma tylko przerwami. Wcześniej czy później musiało się to na nim zemścić.

Po lunchu połknął kilka aspiryn. Tabletki powstrzymały błyski w oku i uśmierzyły ból głowy. Ale prawa noga naprawdę zaczęła mu dokuczać. Kulał, kiedy wieczorem opuszczał budynek.

Podszedł do krawędzi chodnika i zatrzymał się, by poczekać na taksówkę. Strumień samochodów płynął wartko przez Central Park West. W rześkim wieczornym październikowym powietrzu zielone światła pobłyskiwały jaskrawo wzdłuż szerokiej alei. Po drugiej stronie, w parku, gałęzie platanów szeleściły na tle nieba schnącymi liśćmi. Niektóre z nich opadały daleko na chodnik, inne podskakiwały i tańczyły w powietrzu ponad murem parku. Conrad

stał, obserwując je.

Czuł, że noga boli go coraz mocniej, że rwie go w kolanie. Powinien pamiętać, by częściej w ciągu dnia wstawać, spacerować i rozciągać stawy.

I pomyśleć, że za ból w kolanie mógł winić wyłącznie Agathę. To ona go w ten sposób urządziła.

Myśl ta sprawiła jednak, że uśmiechnął się, patrząc na opadające liście.

Spotkał Agathę, kiedy miał siedemnaście lat. Wtedy po raz pierwszy zabrano jego matkę. Wychodziła właśnie z supermarketu Grand Union z torbą pełną zakupów. Potknęła się o coś – a może po prostu upadła. W każdym razie tuż za parkingiem przewróciła się na chodniku. Upuściła torbę z zakupami. Czerwone pomidory, żółte cytryny i srebrne puszki z tuńczykiem, połyskując w słońcu, potoczyły się po płytkach chodnika. Jakaś kobieta oraz kasjerka z pobliskiego sklepu z materiałami żelaznymi podbiegły do mamy i chciały jej pomóc. Mama jednak leżała tylko, leżała i trzęsła się. Z otwartymi ustami i spływającą po brodzie strużką śliny patrzyła na leżącą przed nią na trotuarze brązową papierową torbę. Wbiła wzrok w kartonowy pojemnik z jajkami. Patrzyła na zwisające zeń rozbite skorupki. Spoglądała, jak po brązowym papierze rozplywa się żółtko. I nagle zaczęła krzyczeć.

Jedna kobieta starała się ją uspokoić, gdy druga próbowała ją przytrzymać. Mama jednak biła rękami, krzyczała i zawzięcie biadoliła. Kiedy zajrzała do torby, zobaczyła w niej karton pełen gałek ocznych. Ujrzała, jak otwierają się przed nią. Wypłynęła z nich krew – kleista, szkarłatna – a za nią, z popękanych źrenic, wygramoliły się czarne pająki. Nie była przyzwyczajona do tego rodzaju widoków. Piła ostro przez poprzednie dwanaście lat, ale nigdy wcześniej nie miała delirium.

Siedemnastoletni Nathan dotarł do szpitala pierwszy. Wrócił właśnie ze szkoły, kiedy zadzwonił telefon; nie zdążył nawet zdjąć płaszcza. Wskoczył szybko do swojego starego chevroleta, na którego pracował przez całe lato, i popędził do szpitala. To on

musiał siedzieć przy łóżku matki i przerażony, upokorzony słuchać jej szlochów. Siedział i gładził jej włosy, odgarniając je z poszarzałej twarzy – dziś wychudzonej, niegdyś dostojnej, ozdobionej wąskim patrycjuszowskim nosem. Matka była dumna ze swojego nosa. Nie był to żydowski nos.

– Mój dziadek nigdy nie pozwoliłby nam mieszkać wśród Żydów – zwykła mawiać po wielkopańsku. A potem unosiła podbródek, odsłaniając szczupłą łabędzią szyję.

Nathan trzymał ją za rękę. Jej skóra była tak blada i cienka, że widział wyraźnie wbitą w żyłę ciemną igłę. Siedział przy niej, a ona płakała, płakała bez końca.

Dobry, Stary, Odpowiedzialny Nathan. Tak właśnie lubił nazywać go ojciec. Ojciec – który nie pokazał się jeszcze przez całą następną godzinę. Nathan podejrzewał, że tato celowo zwlekał z opuszczeniem gabinetu. Był człowiekiem zajętym, dentystą, ale mimo wszystko... Tato lubił, kiedy Nathan uporządkował trochę sprawy, zanim on sam wstąpił na scenę. Potem, kiedy się wreszcie pojawił, zachichocze lekko i poklepie Nathana po ramieniu.

– Widzisz? Nie jest tak źle – powie. Jego bladą okrągłą twarz rozjaśni uśmiech, a drobne oczka zamrugają za wielkimi okularami. – To nic takiego, widzisz?

Nathan z trudem przełknie ślinę i odrzeknie:

– Jasne, tato.

Tato pośmieje się jeszcze trochę, a potem wycofa się ze wstydem.

Wreszcie po godzinie pojawił się ojciec. Nathan zostawił go przy łóżku mamy i poszedł do szpitalnej kawiarenki na kawę. Usiadł przy stoliku w rogu i zadumał się nad kupionym w automacie kubeczkiem z brązową cieczą. Po jakichś dziesięciu minutach podniósł głowę. Stała przy nim Agatha.

Była wolontariuszką. I na wypadek gdyby jej strój wolontariuszki nie był już wystarczająco przygnębiający – różowy w białe paski – miała w dodatku jedną z najpogodniejszych twarzy, jakie Nathanowi kiedykolwiek zdarzyło się oglądać. Kiedy się uśmiechała, na jej krągłe policzki wstępował rumieniec, a

jasnoniebieskie oczy stawały się jeszcze jaśniejsze. Kasztanowe włosy związała pod różowo-białą czapeczką, ale Nathan dostrzegł, że są bardzo gęste. Mógł sobie bez trudu wyobrazić, jak rozlewają się wokół jej twarzy, jak równoważą odcień jej cery, podobnie blad różowej jak strój wolontariuszki.

Nathan był nieśmiałym chłopcem, może nawet ponurym. Miał tylko jednego przyjaciela – Kila, wiernego towarzysza od czasów szkoły podstawowej. Nigdy nie miał dziewczyny. Umówił się kiedyś wprawdzie na kilka randek z rzędu z Helen Stern, ale zerwała z nim, kiedy zaczął wszystko traktować „zbyt poważnie”. Ogólnie rzecz biorąc, przeciwną płęć uważał za trochę głupawą i bardziej niż trochę niegodną zaufania.

Nigdy wcześniej nie spotkał Agathy i nie miał pojęcia, czemu się tak przygląda. Poczł się skrępowany jej spokojnym uśmiechem, jasnym spojrzeniem jej oczu. Omal nie popatrzył do tyłu przez ramię, by się upewnić, czy nie wpatruje się w kogoś innego.

Agatha jednak – takie imię widniało na przypiętym powyżej jej piersi czarnym identyfikatorze, na który Nathan ledwie śmiał rzucić okiem, obawiając się, że jego wzrok przyklei się do soczystych krągłości różowo-białej bluzki – Agatha zwracała się właśnie do niego.

– Wiesz, że nie możesz jej uratować – powiedziała. – Nikt od ciebie nie oczekuje, że uda ci się ją uratować.

Jej słowa tak bardzo trafiły w sedno, że aż poczuł się zmuszony zaprotestować. Wbił wzrok w kubek z kawą i burknął ponuro:

– Nikogo nie próbuję ratować.

Ku zdziwieniu Nathana wyciągnęła ku niemu rękę i dotknęła jego nadgarstka. Jej palce były chłodne i miękkie.

– Przecież ty wszystkich próbujesz ratować – powiedziała łagodnie. – Widziałam cię. Też chodzę do North. Widziałam, jak w poprzednim semestrze kłóciłeś się z panem Gillianem o tego dzieciaka, który w czasie lekcji był na korytarzu.

– Och, Gillian to cymbał – mruknął Nathan. – Dzieciak się

przez niego rozplakał.

– Za to, jak go nazwałeś, mogłeś zostać zawieszony. Widziałam cię też na boisku pod koniec zimy, jak stałeś między Hankiem Piascekim i tym małym. Hank Piasceki jest od ciebie dwa razy większy. I trenuje boks.

Nathan nie mógł się powstrzymać – uśmiechnął się. Rzeczywiście wymagało to sporej odwagi. Spróbował jednak machnąć na to ręką.

– Nie bałem się go. Piasceki mnie lubi. W zeszłym roku pomogłem mu zaliczyć biologię.

Agatha uśmiechnęła się, pozwalając światłu zatańczyć w jej błękitnych oczach.

– Widzisz? A nie mówiłam? – powiedziała.

Nathan spojrzał na nią. Roześmiała się. Po chwili roześmiał się i on.

Conrad dorastał w Great Neck na Long Island, jakieś dwadzieścia pięć kilometrów od Manhattanu. Było to czyste, ładne przedmieście, pełne zielonych trawników i dużych białych domów. Mieszkali w nim dobrze sytuowani obywatele i Żydzi, tacy jak on. Byli umiarkowanymi liberałami, jeśli chodzi o poglądy polityczne, i przeważnie konserwatystami w kwestiach obyczajowych. Co do wolnej miłości, narkotyków i protestów antywojennych – choć była połowa lat sześćdziesiątych, nowinki te ledwie zaczynały przesiąkać przez pierwsze rysy na skorupie ich społeczności. Przyciągnęły zaledwie kilku buntowników, dzieciaków z problemami i wyrzutków.

Nie przyciągnęły jednak Nathana. Nie skosztował żadnego z zakazanych owoców. Chciał być lekarzem – chirurgiem. Nie miał czasu na tego typu nonsensy i fanaberie. Kiedy po raz pierwszy zobaczył studenta w dzwonach, roześmiał się pogardliwie, prychnął i podniósł oczy ku niebu – a potem popędził do domu, by z hukiem otworzyć swoje książki. Większość jego kolegów i koleżanek zachowywała się podobnie – przynajmniej do czasu.

Agatha była inna. Po pierwsze, nie była Żydówką. Po drugie, nie była wcale zamożna. Jej ojciec był robotnikiem w wydziale

drogowym urzędzie miejskim, a cała rodzina mieszkała na Steamboat Road. Była to długa kręta ulica, przy której wyrastały podupadłe czynszowe kamienice oraz niewielkie sklepy spożywcze, warsztaty samochodowe, bary i tym podobne. Mieszkały tam pokojówki – mnóstwo pokojówek – oraz pracownicy stacji benzynowych i ogrodnicy: pariasi wielkiego miasta, jego murzyni. A na samym końcu, niedaleko parku Kings Point, gnieździła się niewielka gromadka rodzin polskich i irlandzkich, tam właśnie stała zielona jednopiętrowa czynszówka Aggie.

Nathan w tamtych czasach przywiązywał niewielką wagę do różnic kulturowych. Wszystkie dzieci chodziły do szkoły i wszystkie były według niego takie same. Nie żeby któreś z nich w jakiś szczególny sposób lubił. Musiało więc minąć kilka miesięcy, zanim dotarło do niego, że Agatha ma na nazwisko O'Hara i że prawdopodobnie z pochodzenia jest Irlandką. Myśl ta pojawiła się w jego głowie i natychmiast stamtąd wyparowała.

Uderzyło go jednak, że styl życia O'Harów na Steamboat Road różni się znacznie od tego, jak przy Wooleys Lane żyją Conradowie. Na przykład starsza siostra Aggie, Ellen, już w liceum rzuciła szkołę. Po prostu rzuciła wszystko w diabły i mieszkała teraz i pracowała jako fryzjerka na Middle Neck Road. W dodatku dało się nieraz słyszeć, jak pan O'Hara, mężczyzna przysadzisty, siwowłosy i dosyć nieokrzesany, po jednym czy dwóch piwach rzuca uwagi takie jak ta, że pan prezydent Lyndon Johnson nie jest nikim więcej niż tylko drobnym, pierdołowatym skurwysynem – i że John F. Kennedy, niech spoczywa w pokoju, nie był wcale o wiele lepszy! W dodatku kiedy pani O'Hara słyszała coś takiego, miała w zwyczaju krzyczeć – naprawdę krzyczała z kuchni: „Mówiłam, że masz nie przeklinać przy dzieciach!”. A jej mąż odkrzykiwał w odpowiedzi: „A kto cię pytał o zdanie?” i wybiegał z domu, zatraskując za sobą drzwi.

Nathanowi kręciło się wtedy w głowie. Owszem, jego matka piła. Nikt jednak w jego rodzinie nigdy nie krzychał. Ani nie wybiegał z hukiem z domu. Ani nie głosował na republikanów. W



jakim miejscu się znalazł? Co on tu robił?

No i była jeszcze sama Agatha. Jak się okazało, kiedy nie miała na sobie stroju wolontariuszki, nosiła nie tylko dzwony, ale również pochłapaną farbą koszulkę. I zamszową kamizelkę, spod której wystawał goły brzusek. A czasem nie wkładała biustonosza, choć jej piersi były duże, okrągłe i ciężkie, tak że widział doskonale, jak przez materiał bluzki rysują się – na Boga! – jej nagie sutki!

Paliła też papierosy – w wieku szesnastu lat, i to na oczach rodziców. A w niewielkim mieszkaniu, które rodzice urządzili jej nad garażem, chciała dać Nathanowi skosztować marihuany – czego on oczywiście stanowczo odmówił.

Nie był już jednak taki święty, kiedy w trakcie ich pierwszego pocałunku na dobranoc poprowadziła jego rękę i włożyła sobie pod koszulkę. Ani kiedy w dwa miesiące od pierwszej randki zaproponowała, by się kochali.

Dla obojga był to pierwszy raz. Aggie miała jednak za sobą parę przygód, no i siostrę, która stała się jej przewodniczką. Tego popołudnia, kiedy rozbierała się przed nim w mieszkaniu nad garażem, była spokojna – a nawet pogodna. Za to Nathan siedział na krawędzi starego fotela z dłońmi wciśniętymi między kolana. Patrząc na nią, drżał.

Agatha była niską dziewczyną, nawet niższą od niego. Była jednak dobrze zbudowana i krągła tam, gdzie trzeba: miała szerokie biodra i wspaniałe piersi, cudowne piersi z brodawkami otoczonymi łososiowymi aureolami wielkości ćwierćdolarówek. Conrad nadał doskonale pamiętał płynną subtelność jej ciała, zapach pudru dla niemowląt marki Ammens oraz jej drobne, zachęcające pocałunki. Pamiętał każdy szczegół tego popołudnia – i wszystkich innych ich pierwszej wspólnej wiosny. Niewielki pokój z niskim sufitem. Starą sofę, którą dawało się rozłożyć w łóżko. Krzyki, które dławiała wierzchem dłoni. Ćwierkanie wróbli oblegających zardzewiałą huśtawkę z tyłu podwórka.

Najlepiej pamiętał jednak tę rozkładaną sofę. Tę cholerną rozkładaną sofę.

Sofę marki Castro; starszą, wydawałoby się, niż świat. Jej materac był brudny. Cienki. Ugiął się i trzeszczał. Nathan czuł przez niego sprężyny i przytrzymujące je metalowe pręty. Najbardziej dał mu się we znaki jeden z prętów, który wystawał dokładnie ze środka tego cholerstwa. I nieważne, gdzie kładła się Agatha – nieważne, jak ją przesuwiał i w którą stronę nie odwracał – dokładnie w sekundzie, kiedy się na nią wspinał, cholerny pręt natychmiast zaczynał wwiercać mu się w kolano.

Wydawało się to jednak niewielką ceną. Niewielką ceną za dotyk tych warg, za smak tych piersi. Za trwający w nieskończoność podmuch ciepła w zagłębieniu między tymi nogami. Czasem kolano Nathana było tak obolałe, że ledwo udawało mu się wspiąć po krótkich, prowadzących do mieszkania schodach. W końcu jednak zawsze je pokonywał. I parę chwil później był już na niej, w niej, wchodził w nią przy akompaniamencie jej krzyków – przez cały czas świadomy tego, że jakkolwiek wszystko zakomponuje, i tak ostatecznie znajdą się w jedynej pozycji, na jaką zdawał się im zezwalać materac: w pozycji, w której jego kolano z trzaskiem uderzało miarowo w cholerny pręt.

Dwadzieścia trzy lata później, kiedy taksówka podjechała wreszcie do krawężnika, doktor Nathan Conrad musiał się schylić, usiąść tyłem na kanapie i dopiero potem wciągnąć do środka nogę.

Samochód włączył się w wartki strumień ruchu ulicznego. Kierowca, ciemnoskóry mężczyzna o ponurej twarzy i imieniu Farouk, spojrział we wsteczne lustro na odbicie pasażera.

– Trzydziesta Szósta – powiedział Conrad. – Między Park a Madison.

Taksówka zaczęła nabierać prędkości. Conrad siedział z tyłu, ze znużeniem wpatrując się w okno. Patrzył na mur parku, obok którego przemykali, oraz na wyrastające nad nim gałęzie drzew przypominające odnóża pająka. Spróbował rozprostować kolano, poruszyć trochę stopą w ciasnym samochodzie. Naprawdę musi pamiętać, by więcej chodzić. Doprowadzał się do tego stanu tylko

wtedy, gdy cały dzień spędzał w fotelu.

Rzecz w tym, że nie mógł oderwać się od Agathy. Nie był też w stanie wymienić łóżka. Ani znaleźć innego pokoju. Ani zrobić niczego innego, przez co spędzałby mniej czasu na kochaniu się z nią.

Tuż przed jego osiemnastymi urodzinami kolano wreszcie mu spuchło. Do czasu gdy pokonał skrępowanie i poszedł do lekarza, zdążyło urosnąć do rozmiaru niewielkiej dyni – i ciągle rosło. Biedny stary doktor Liebenthal. Zajmował się Nathanem od zawsze – zrobił mu pierwszy test tuberkulinowy, zszył mu czoło, kiedy spadł z drabinki na placu zabaw, wiedział o nim wszystko. Lekarz spojrzał na kolano, po czym potarł policzek i w głębokim zamyśleniu pokręcił głową.

– Wygląda jak ostre zapalenie torebki stawowej. Tyle że chorobę tę wykrywa się przeważnie u osób starszych. Wiesz, u ludzi, którzy pracują na kolanach, na przykładu sprzątaczek czy hydraulików. I twierdzisz, że nie masz pojęcia, skąd ci się to wzięło?

Nathan rozłożył ręce i również pokręcił głową.

– Najmniejszego, doktorze.

Później razem z Aggie siedzieli na podłodze i tak się śmiali, że rozbolały ich brzuchy. A potem wspięli się na łóżko i znowu wszystko zaczęło się od początku.

Taksówka dotarła do końca parku. Conrad patrzył na marmurową Columbię – bohaterską postać kobiety, stojącą na dziobie łodzi i oddającą mu honory, kiedy przejeżdżał obok Maine Memorial. Potem taksówka pomknęła pogrążonym w cieniu Broadwayem, którego krótki, zaniedbany w tym miejscu odcinek wkrótce ustąpił miejsca światłom neonów i zamienił się w Times Square.

Na skrzyżowaniu z Pięćdziesiątą Trzecią taksówka zatrzymała się na czerwonym świetle. Conrad z policzkiem opartym na dłoni wbijał nieobecny wzrok w okno, za którym maszerowały trzy kobiety. Jedna była czarna, dwie białe. Wszystkie miały na sobie krótkie skórzane spódniczki kończące

się wysoko na udach. Wszystkie były ubrane w ciasne, błyszczące brokatem koszulki, zbyt lekkie, jak pomyślał Conrad, na chłodną jesienną pogodę.

Farouk z nadzieją spojrział w lusterko.

– Hej, psze pana – powiedział. – Pan mieć ochotę na numerek?

Conrad nadal patrzył na prostytutki. Pomyślał o Agacie. Uśmiechnął się.

– Jasne, że mieć – odpowiedział cicho. – Zawieź mnie do domu.

## JESSIE

Taksówkarz wyrzucił go na Wschodniej Trzydziestej Szóstej – w eleganckim kwartale między Park i Madison. Od północy przylegała do niego Biblioteka J. P Morgana. Była to niska, wdzięcznie się prezentująca świątynia z palladiańską werandą strzeżoną z obu stron przez kamienne lwice. Zapalone już reflektory wydobywały marmurową fasadę z mroku, zamieniając ją w płaskorzeźbę. Fryzy i posągi mieniły się blaskiem prześwitującym przez gałęzie rozłożystych platanów, które wyrastały rzędem obok chodnika.

Conrad wszedł do budynku znajdującego się dokładnie po drugiej stronie drogi: do przedwojennej ceglanej wieży, długiej na pół kwartału i wysokiej na czternaście pięter. Kiedy wchodził przez szklane drzwi, z ławki zerwał się wiekowy portier.

– Dobry wieczór, doktorze.

Conrad uśmiechnął się i utykając, szedł dalej. Zobaczył, że drzwi windy po drugiej stronie holu są otwarte.

– Na górę! – krzyknął. Skoczył w stronę windy, kołysząc na boki aktówką.

Drzwi zaczęły się już zamykać, lecz zatrzymały się, gdy nagle pojawiła się w nich czyjaś ręka. Conrad wszedł do środka. Drzwi się zamknęły.

Stał w windzie obok młodego mężczyzny. Mógł mieć jakieś dwadzieścia pięć lat. Wysoki, dobrze zbudowany, przystojny. Miał gładką kwadratową twarz ozdobioną przylizaną czarną grzywką. Uśmiechał się nieśmiało, ale oczy miał ruchliwe i dzikie. Ubrany był w garnitur z serży, granatowy w szare prążki. Conrad zaklasyfikował go jako typ młodego wilczka z Wall Street.

Kiedy Conrad wcisnął przycisk piątego piętra, mężczyzna odwrócił się do niego.

– Cóż, jesteśmy chyba sąsiadami – powiedział. Miał spokojny, pewny siebie głos. Mówił lekko nosowo, jak

mieszkaniec Środkowego Zachodu.

Conrad uśmiechnął się uprzejmie. Młody mężczyzna wyciągnął przed siebie dłoń.

– Billy Price. Dopiero co się wprowadziłem. Piąte, H, na samym końcu korytarza.

Conrad uściskał młodzieńcowi dłoń.

– Nathan Conrad – przedstawił się.

– Ach, tak! Lekarz, psychiatra. Powinienem bardziej uważać na to, co mówię, co?

Conrad zmusił się do uśmiechu, tak jakby nigdy wcześniej nie słyszał tego dowcipu. Dotarli na piąte piętro. Drzwi się otworzyły. Wyszli i ruszyli w przeciwnych kierunkach, Price na lewo, Nathan na prawo.

– Do zobaczenia – powiedział Price.

Conrad pomachał mu na pożegnanie.

Kiedy wchodził do mieszkania, była już prawie ósma. Liczył na kolację. Liczył na to, że zje kolację, a potem żona usiądzie z nim i będą rozmawiać. Lubił jej słuchać. Lubił dźwięk jej głosu. Zresztą był zbyt zmęczony, żeby samemu mówić.

Zjedzą więc kolację, ona będzie mówić, a potem pójdą razem do łóżka. Później zaś, po piętnastominutowej drzemce, Nathan wstanie i wróci do pracy nad artykułem na temat reakcji żałoby, nad którym będzie siedział do pierwszej w nocy. Taki był plan.

Otworzył drzwi mieszkania i wszedł do środka.

– Tatusi!

Z korytarza kuchni wybiegła w podskokach mała dziewczynka. Podbiegła do niego z otwartymi ramionami i dyndającym z tyłu warkoczem.

– Tatusi, tatusi, tatusi! Tatusi, tatusi, tatusi! Tatusi, tatusi, tatusi, tatusi!

Au, pomyślał Conrad. A potem mała skoczyła z rozpędu na jego obolałą nogę. Objęła ją ramionami, przycisnęła do niej policzek i zamknęła oczy.

– Tatusi! – westchnęła.

– Cześć, moja królewno! – Conrad starał się zmusić do uśmiechu, ale wyszedł mu jedynie grymas. – O rety, kochanie, Jessico, słoneczko kochane, proszę. Moja noga. Och!

Delikatnie odkleił ją od siebie. Złapała go za rękę i zaczęła podskakiwać, hop, hop, hop.

– Mamusia pozwoliła mi jeszcze się nie kłaść i poczekać na ciebie.

– Ojej, wspaniale – powiedział tatuś. „Zabiję ją”, pomyślał. „Najpierw zjem kolację, potem ją zabiję, a potem pójdziemy razem do łóżka...”

– Obiecałeś – trajkotała Jessica – zagrać ze mną w węże i drabinki, zanim pójdę spać.

– Ach... naprawdę? Uch... Och, to wspaniale.

– No i mamusia powiedziała, że skoro mi obiecałeś, to pozwoli mi poczekać.

– Ach. Świetnie. Miło z jej strony – powiedział Conrad. – Bardzo miło.

Najpierw ją zabije, a potem zjedzą kolację.

Położył aktówkę na podłodze, a Jessica pociągnęła go przez mieszkanie do kuchni. Byli już prawie przy drzwiach, kiedy wyszła z nich żona Nathana.

Dwadzieścia trzy lata od ich pierwszego spotkania Agatha nadal mogła się pochwalić pełnym szczęścia uśmiechem – tym, który sprawiał, że jej policzki robiły się różowe, a niebieskie oczy jaśniały. Kasztanowe włosy Agathy były teraz nieco krótsze, ale wciąż opadały jej na ramiona w zapierających dech w piersiach lokach. Jej krągła figura była teraz trochę bardziej krągła. Nathan nawet przez rozciągnięty czarny sweter i luźne spodnie khaki dostrzegał jej nęcące kształty.

– Cześć, doktoru – powiedziała, po czym podeszła i pocałowała go delikatnie w usta. Przyniosła ze sobą zapach pieczonego kurczaka, gorącego masła i czosnku.

Może powinni najpierw pójść do łóżka, pomyślał.

Nie pamiętał już, co mieli zrobić potem.

Gra w węże i drabinki zdawała się ciągnąć w nieskończoność. Jessica skrupulatnie liczyła posunięcia pionków:

– Jeeeten, twaa, tszy... – Nagle pomyliła się w liczeniu. – Czekaj, tatusiu... Czekaj... Gdzie ja byłam? – Postawiła pionek w miejscu, z którego chwilę wcześniej wyruszył, i zaczęła od nowa: – Jeeeten, twaa, tszy... – podczas gdy Conrad krzyczał w myślach: „Cztery, pięć! Dziecko, na miłość boską, cztery, pięć!”. Trwało to i trwało.

Po chwili jednak Aggie podała Nathanowi wodę sodową i kilka krakersów. Złagodziło to nieco jego głód i zmęczenie. Zaczynał się odprężyć.

Leżeli z Jessie na środku salonu na skrawku rdzawoczerwonego dywaniku. Jessica siedziała po turecku, nachylona nad planszą. Nathan wyciągnął się na podłodze z głową opartą na dłoni. Sącył mineralną i obserwował córkę, jak kręci kołem, a potem powtarza powolny rytuał: – Jeeeten, twaa, tszy...

Jessie miała rudawozłote włosy, dokładnie takie jak Nathan – czy raczej takie, jak kiedyś miał Nathan. Jej były gęste i długie – matka splatała je w warkocz, żeby nie musieć co wieczór walczyć z supłami – ale kolor był dokładnie taki sam. Resztę dziewczynka odziedziczyła po Agacie. Policzki jak dwa jabłuszka, niebieskie oczy, szeroki uśmiech. Margaret, jej nauczycielka, twierdziła, że podobnie jak Agatha, jest też utalentowana artystycznie. Z pewnością tak samo jak matka uwielbiała rysować. Prawie codziennie wracała z prywatnej szkoły z nowym rysunkiem kwadratowego domu z trójkątnym dachem, patykowatej kobiety w trójkątnej sukience, falującej wody, lizakowatych drzew czy też czegokolwiek innego, co Conrad i Aggie musieli nagradzać oklaskami, głośno wyrażając zachwyt. Najlepsze z tych dzieł wisiały w osobistym Metropolitan Museum Jess: niewielkim fragmencie korytarza, ograniczonym przez pokój dziecinny z jednej strony i ścianę kuchni z drugiej. Conrad nie miał pojęcia, czy rysunki są dobre. Czasem jednak stawał w korytarzyku i gratulował sobie, że są takie kolorowe i rozsądne. Nie wykazywały żadnej tendencji ku chaotycznej abstrakcji, którą obserwował u



dzieci z zaburzeniami emocjonalnymi. Raz czy dwa, przyglądając się im, sam siebie złapał na myśleniu, że „o n a nawet nie potrzebuje psychiatry”. (Nie żeby było coś złego w wizytach u psychiatry, oczywiście. Dlaczego jednak miałyby go potrzebować? Jej matka nie była alkoholiczką. Jej ojciec nie był cierpiącym na współzależność tchórzem. Nie było żadnego powodu, dla którego nie miałyby być najszcześniejszą, najbardziej zrównoważoną istotą ludzką, jaka chodziła po Ziemi od dnia Stworzenia. Prawda?)

Cóż, w każdym razie wydawało się, że mała odziedziczyła również po Agacie pogodne usposobienie. Oraz jej szlachetność. Chęć opiekowania się innymi. Jedną z jej „najlepszych przyjaciółek” była słodka, ale brzydka i niezgrabna dziewczynka, którą – jak zauważyła Jessie – inne dzieci odrzuciły na placu zabaw. Jessie zaprosiła bidulkę, Adrienne, by razem z nią i Lauren, jej drugą najlepszą przyjaciółką, zagrały razem w jednorozca. Od tego dnia mała zajęła się Adrienne. Agatha zrobiłaby dokładnie tak samo.

Nawet jeśli Jessie odziedziczyła wiele po matce, to Conrad widział w niej również kilka własnych, bardzo subtelnych cech. Dziewczynkę na przykład łatwo było wystraszyć, a nawet najłagodniejsza krytyka wywoływała u niej łzy. Conrad jako chłopiec był taki sam, miał więc nadzieję, że córka nie będzie musiała uodparniać się tak jak on w dorosłym życiu, że nie będzie musiała tak głęboko zagrzebywać łez, uczyć się brania spraw we własne ręce. (Ale dlaczego miałyby być do tego zmuszona? Jej matka nie była alkoholiczką. Jej ojciec nie był cierpiącym na współzależność tchórzem. Nie było żadnego powodu, dla którego nie miałyby być najszcześniejszą, najbardziej zrównoważoną... Co ma być, to będzie).

Nieważne też, że Jessie była serdeczna i przywiązywała się do odrzuconych przez resztę dzieci koleżanek, bo jednocześnie męczyła ją ponura determinacja ku temu, by być akceptowaną przez bardziej lubiane dziewczynki. Te jednak odrzuciły ją – przynajmniej niektóre z nich – z powodu jej przyjaźni z koleżankami w rodzaju Adrienne. Jessica mimo to ciągle

zapraszała je do wspólnych zabaw i na przyjęcia, ciągle mając nadzieję, że jakoś je do siebie przekona. Conrad widział w tym ślad własnej ambicji: cichej, niewypowiedzianej i niepowstrzymanej.

– Jeeeten, twaa, tszy... – Znowu uważnie liczyła pionki nad planszą. Nachyliła nad nią głowę, a warkocz opadł jej do przodu przez ramię. Niebieskie oczy skupione były na zadaniu.

Conrad uśmiechnął się. Nie czuł już zniecierpliwienia. Tak zawzięcie była tym pochłonięta. Liczenie – liczenie do pięciu – wymagało od niej maksymalnej koncentracji. Jest tak maleńka, pomyślał, a świat jest tak trudny do opanowania.

Delikatnie dotknął palcem jej nosa.

– Pip-pip! – zatraził.

– Tatusiu! Przez ciebie się pomyliłam.

– Wiesz co?

– Wiem, wiem. – Uniosła wzrok i spojrzała na niego. – Kochasz mnie. Co?

Conrad roześmiał się.

– Właśnie. Jak to możliwe, że jesteś taka bystra?

– Przecież zawsze to mówisz.

– Przepraszam. Już nigdy tego nie powiem.

– Tatusiu, przecież musisz to mówić. Jesteś moim tatusiem.

– No tak, zapomniałem.

Dziewczynka niezadowolona, że nagle znalazła się pod obstrzałem, westchnęła ciężko.

– Widzisz, teraz muszę zacząć liczyć od początku. Gdzie stałam?

Pokazał jej. Zaczęła znowu liczyć. Jej pionek znalazł się na przedostatnim polu w ostatnim rzędku.

– O nie! – zawołała.

Conrad spojrzał na planszę. Pionek Jessiki wylądował na wężu. I to nie na jakimś zwykłym wężu. Wylądował na najdłuższym wężu w grze. Powędrował z powrotem do trzeciego rzędu.

Conradowi zrzędła mina. Ta gra nigdy się nie skończy,

pomyślał.

Skończyła się jednak już o ósmej trzydzieści. Conrada mniej bolała noga, więc złapał za obie ręce chichoczącą córkę i huśtając ją, zaniósł do dzieciennego pokoju. Położył Jessie na jej piętrowym łóżku. Pocałował w czoło i wyrecytował rytualny Wierszyk na Dobranoc:

– Pod kołderkę – nózia; na podusię – buzia; tatuś muszki – łapie; mała Jessie – chrapie.

Po chwili do pokoiku weszła Agatha, by zaśpiewać małej kołysankę, toteż Conrad był zwolniony z dalszych obowiązków.

Wrócił do salonu. Pokój był długi, a Agatha, urządzając go, podzieliła przestrzeń na trzy wygodne sektory. Pierwszy, przy drzwiach, służył za niewielkie stanowisko pracy i stało w nim biurko, którego Aggie używała w ciągu dnia, a Conrad wieczorem. W środku znalazł się plac zabaw – wyściełany czerwonym dywanem – z odłożonym na bok składanym jadalnym stolikiem. Na końcu, przy szklanych drzwiach prowadzących na balkon, wyznaczona była przestrzeń do siedzenia. Na perskim dywanie stały tam wokół okrągłego białego marmurowego stolika dwa duże brązowe fotele oraz długa brązowa sofa.

Conrad zabrał po drodze wodę sodową i przeszedł do sektora wypoczynkowego. Usiadł w fotelu, przesuwając się w nim tak, by móc spoglądać przez szklane drzwi balkonowe. Spojrzał na oświetlone okna budynku po drugiej stronie dziedzińca. Kobieta w kuchni. Mężczyzna w podkoszulku, oglądający z puszką piwa w dłoni telewizję. Siwowłosa staruszka w koszuli rzeźbiąca przy stoliku w glinie.

Było tam też jedno ciemne okno, dokładnie naprzeciw salonu Conrada. To tam mieszkała staruszka, którą zamordowano kilka tygodni wcześniej. Conrad spojrział nieobecny wzrokiem w zaciemnione okno. Z nieobecnym wzrokiem słuchał, jak Aggie śpiewa kołysankę:

– Śpij moja mała, oczka już zmruż, mama kupi ptaszka z za siedmiu mórz...

Jessie jest już raczej na nią za duża, pomyślał Conrad. Była to jednak część rytuału pod tytułem: Kładzenie Spać, i trudno było z niego zrezygnować. Zresztą głos Aggie, słodki i drżący jak wążutki strumyk, działał kojąco również na Conrada.

Przypomniawszy sobie, jak Jessica liczyła ruchy na planszy, i uśmiechnął się do siebie. Czuł się już znacznie lepiej; nie bolała go ani noga, ani głowa. O wiele lepiej. Nie ma to jak partyjka węży i drabinek na zrzucenie z siebie całodniowego napięcia.

Nie usłyszał, kiedy Agatha przestała śpiewać. Był nieco zaskoczony, gdy w lustrze zobaczył, że podchodzi do niego od tyłu. Położyła mu ręce na ramionach. Conrad przykrył jej dłonie własnymi.

– Śpi? – zapytał.

– Jak suseł. Zabrałam po szkole ją i Lauren na plac zabaw. Jest wykończona. Nie mam pojęcia, jak udało jej się wytrzymać, aż wrócisz.

Znowu się uśmiechnęła. Podniósł jej dłoń do ust i pocałował.

Aggie usiadła na oparciu fotela. Pocałowała Conrada w czubek głowy. Kasztanowe włosy opadły na jej twarz; poczuł na łysinie ich muśnięcie. Czuł zapach żony, zapach kwiatowej wody toaletowej. Zamknął oczy i zaczął go w siebie wdychać.

– Co się dzieje, doktoru? – zapytała go delikatnie.

– Hm?

– Wyglądasz, jakbyś miał depresję. Widzę to. O co chodzi?

– Nic, nic. – Odchylił głowę i spojrzał w okrągłą, pogodną twarz Agathy. – To tylko czwartek. Zapisuję na czwartki zbyt dużo ciężkich przypadków. Zaczynam powoli zapadać na czwartkową depresję.

– Ach, tak. Widzę. A czym ona się różni od depresji środowej, na którą cierpiełeś wczoraj?

– Jak to czym? Depresja środowa charakteryzuje się brakiem apetytu i najsilniej odczuwana jest między trzynastą trzydzieści a czternastą. W odróżnieniu od depresji czwartkowej, której towarzyszą nudności, zwłaszcza między czternastą piętnaście a piętnastą dziesięć.

Agatha roześmiała się, jej oczy pojaśniały.

– Ach, mój panie doktorku. Ach, mój panie medyku. Wciska pan kit swojej naiwnej żonie i jej czerwonoskórym braciom.

Odwrócił od niej wzrok i wpatrzył się w mgliście oświetlony pokój.

– Nie, naprawdę – powiedział. – To tylko czwartek.

Agatha zmierzwiła ostatnie kosmyki jego włosów.

– Nathan. Ostatnio każdy dzień jest u ciebie czwartkiem.

– Czy nie to obiecywałem ci w dniu ślubu? Że każdy nasz dzień będzie czwartkiem?

– Obiecywałeś, że każdy nasz dzień będzie niedzielą.

– Czepianie...

– Nathan. – Kciukiem i palcem wskazującym złapała go za ucho. – Nienawidzę, jak to robisz!...

– Co niby?

– To całe: „Jestem psychiatrą i sam nie mam żadnych problemów”. To całe: „To ja troszczę się o wszystkich, więc nikt nie musi się troszczyć o mnie”. Nienawidzę tego. I jeżeli natychmiast mi nie powiesz, co cię męczy, to tak długo będę wykręcać ci ucho, aż odpadnie ci czubek głowy.

– Ach, te sadystyczno-erotyczne gierki, zaraz serce bije mi szybciej. Au!

– Gadaj. Co się męczy, doktorku?

– No cóż, po pierwsze, boli mnie ucho.

– Niełatwo jest być głuchym psychiatrą. Gadaj.

– W porządku. W porządku.

Conrad odsunął jej dłoń od ucha. Wstał z jękiem i podszedł do drzwi balkonu. W odbiciu w szybie zauważył, że Agatha ześlizguje się z oparcia fotela na siedzenie. Jej wyciągnięty czarny sweter podwinął się, odsłaniając pępek. Naciągnęła go w dół i spojrzała na męża. Conrad zawiesił wzrok na oknie po drugiej stronie podwórka: na starej kobiecie rzeźbiącej w glinie.

– Nie jestem w stanie im pomóc – usłyszał nagle swój głos, powiedział to o wiele bardziej szorstko, niż się spodziewał. – Nie potrafię im pomóc. W porządku? Możemy teraz zacząć kolację?

– Twoim pacjentom? Nie potrafisz pomóc swoim pacjentom?  
Odwrócił się do niej.

– Aggie, wiesz, że nie cierpię takich rozmów, więc jeżeli naprawdę nie...

– Wiem, wiem – powiedziała Agatha, unosząc dłonie. – Po prostu zamknij się i gadaj.

Conrad przewrócił oczami. Odwrócił się z powrotem do okna. Wzruszył ramionami.

– Tak, moim pacjentom. Jestem tylko... Nie potrafię im pomóc. Nikt nie potrafi, nie tego rodzaju pacjentom. Czasem wydaje mi się, że stałem się ekspertem od nerwicy traumatycznej. Jakoś nigdy nie trafiają do mnie ludzie, którzy weszliby do gabinetu, mówiąc: „Ach, panie doktorze, moje życie jest cudowne, dlaczego więc jest mi tak źle?”. Rozumiesz? Gadaliby do mnie przez pięć lat, po czym uścisnęliby mi ze łzami dłonie i powiedzieli: „Och, dziękuję, dziękuję, panie doktorze, że zmienił pan moje życie”. Nikt jakoś nie kieruje do mnie takich ludzi. Dostaję tylko – tak bym ich nazwał – Hiobów. Gdyby Hiob żył, na pewno ja byłbym jego psychiatrą.

Agatha uśmiechnęła się i odchyliła głowę.

– No cóż, gdybym była psychoanalitykiem, powiedziałabym, że skoro w swojej praktyce specjalizujesz się w nerwicy traumatycznej, to w jakiś sposób musisz tego właśnie chcieć.

Conrad skinął głową w kierunku okna.

– Tak. Tak, jasne, tego właśnie chcę. W każdym razie kiedyś chciałem. Jestem w tym nawet dobry. Przychodzą do mnie ludzie, których dzieci nie żyją, którzy skrzyżowali kark, których krowy dostały czyraków i tak dalej. Mówią do mnie i uczą się na nowo żyć.

– Brzmi całkiem nieźle, doktoru.

– Och. – Conrad czuł się coraz bardziej głupio. – Wiesz, na czym polega problem? Wiesz? Ich dzieci ciągle nie żyją. Ich krowy ciągle mają czyraki.

Był wdzięczny, że Agatha się nie roześmiała. Patrzył w okno, a ona wstała z fotela i podeszła do niego. Otoczyła jego talie ramionami i oparła głowę o jego plecy.

– Czy muszę ci ciągle przypominać, że nie jesteś w stanie zbawić świata? – zapytała. – Twoja matka nie żyje i nie możesz uratować ani jej, ani całego świata.

– Proszę – odrzekł, starając się, by jego głos nie brzmiał szorstko. – Mam za sobą dziesięć lat psychoanalizy. Wszystko rozumiem. – Odwrócił się, pozostając w jej ramionach. Przytulił ją i przytknął policzek do jej włosów. – I tylko nic z tego nie rozumiem – powiedział.

Agatha zbliżyła twarz i pocałowała go delikatnie.

– Wygląda na to, że stęskniłeś się za tamtymi latami, kiedy gapiliśmy się w słońce.

Zrobił minę. Nie, nie tęsknił za tamtymi latami, w ogóle nie tęsknił. Oboje byli wtedy na studiach – Nathan w Berkeley, Aggie na Uniwersytecie Stanowym San Francisco. Mieszkali razem w obskurnym jednopokojowym mieszkaniu przy Telegraph Avenue. Nathan wyhodował sobie włosy do ramion i długą rudozłotą brodę, z którą wyglądał jak skrzyżowanie Charlesa Mansona i Chrystusa. Czasem nawet nosił poplamione farbą koszulki, a jego dzinsy zawsze były sprane prawie na biało. Miał pójść na medycynę, ale większość czasu spędzał na studiowaniu religii Wschodu; Aggie nazywała go StuZentem. W ciepłe popołudnia lubił wspinać się na Seminary Hill po północnej stronie campusu. Siadał w pozycji lotosu na skałach wychodzących na Zatokę San Francisco. Obserwował, jak czerwona kula słońca przybiera kolor gazowanej oranżady, a płynące obok niej obłoki stają się różowe. I medytował, licząc oddechy, oddychając powoli, tłocząc z siebie powietrze na zewnątrz za pomocą przepony, czekając, aż jego umysł osiągnie stan cichej, tajemniczej otwartości. Żadnych osądów, żadnych interpretacji. Skojarzenia niech tworzą się same. „Ścieżka Tao jest prosta. Po prostu odrzuć wszelkie swoje opinie”.

Wydawało mu się, że podnosi stan umysłu na nowe poziomy świadomości. Aż do dnia, kiedy zmarła jego matka, aż do dnia, kiedy niemalże stracił wzrok, nie zdawał sobie sprawy z tego, że – by użyć fachowego określenia – odbija mu również szajba.

– Wtedy przynajmniej zdawało mi się, że coś wiem –

powiedział. Ujął w obie dłonie twarz Aggie. Spojrzał w jej błękitne oczy. – Ci ludzie – moi pacjenci. Ich martwe dzieci; ich wywołane kalectwo, urazy. Chodzi o to, że to po prostu... To jest coś złego, Aggie. To jak... To po prostu coś złego, nie ma w tym niczego dobrego. I jeżeli masz ochotę, możesz tłumaczyć to Bogiem, oświeceniem, katharsis, nawet polityką, ale w rzeczywistości prawda jest taka, że to jest do dupy i nie da się tego wyjaśnić ani złagodzić, wyleczyć samym gadaniem. Dzieci umierają, ludzie stają się kalekami – to do dupy i tyle. Więc kiedy patrzą na mnie i mówią: „Och, dziękuję, doktorze, teraz już wiem, jak z tym żyć!” – czuję się winny. Czuję się, jakbym im wciskał kit. Przecież jak oni mogą z tym żyć? W jaki sposób cokolwiek ma mieć dla nich znowu znaczenie? Jak mają zamiar się z tym zmierzyć?... na litość boską!...

Aggie spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

– Jak o n i mogą? – zapytała łagodnie.

Conrad zamknął oczy i westchnął.

– Jak ktokolwiek może – powiedział. A potem dodał: – Jak ja mogę?

Przez chwilę oboje siedzieli w milczeniu. Potem Agatha znowu pocałowała go delikatnie, przesuwając dłoń w stronę jego karku.

– To bardzo ważne pytanie – powiedziała. – Chodźmy się pieprzyć.

Conrad zamknął na noc drzwi do mieszkania: na zamek, blokadę i łańcuch. Potem stanął obok okna w sypialni, czekając na Aggie.

Sypialnia nie była tak długa jak salon. Aggie udało się ją podzielić zaledwie na dwie części. W pierwszej, bliżej drzwi, stało jej krzesło i stolik do pracy. Leżały na nim porozrzucane rysunki, obrazy i projekty – zresztą nie tylko na nim, bo wały się również po podłodze i wisiały przypięte do ściany. Makieta okładki *Latawca Sama*; ilustracje akwarelą do *Dnia ze Świętym Mikołajem*; szkice ołówkiem do *Policz króliczki*; inne dopiero



rozpoczęte.

W drugiej części pokoju było łóżko, telewizor i fotel. Zamykała go ściana zajęta w całości przez okna. Conrad stał przy oknie i wyglądał na zewnątrz. Nie widział jednak, co się dzieje w budynku po drugiej stronie dziedzińca. Zastanawiał się nad własnymi słowami, powtarzając je w myślach:

„Jak oni mogą żyć z czymś tak złym, jak mają zamiar się z tym zmierzyć? W jaki sposób cokolwiek ma mieć dla nich znowu znaczenie?”

Chryste, gadał jak pieprzony czterdziestolatek, jak pacjent cierpiący na kryzys wieku średniego. Za jakiś czas ktoś znajdzie go w jakimś motelu w New Jersey tańczącego z szesnastolatką i z abazurem na głowie. Dlaczego ona w ogóle musiała zacząć z nim w ten sposób rozmawiać? Niczego bardziej nie cierpiał niż słuchania, jak on sam narzeka na...

Nagle coś przyciągnęło jego uwagę. Światło w jednym z okien po drugiej stronie podwórka. W jednym z zaciemnionych okien dokładnie naprzeciw jego mieszkania. Nie było to światło elektryczne; raczej jakiś płomień, najpewniej zapalka. Palila się zaledwie przez sekundę. Pomarańczowy blask. Potem światło szybko zgasło, tak jakby ktoś zasłonił je ręką albo zdmuchnął płomień.

Otworzyły się za nim drzwi sypialni. Conrad spojrzał przez ramię. Weszła Aggie, zawinięta we frotowy szlafrok. Był na nią za duży i musiała go sobie owinąć wokół uszu, wyglądał jak wysoki kołnierz. Jej niebieskie oczy mrugały wesoło z jego wnętrza.

– Kochanie? – zapytał. – Czy to nie jest przypadkiem to mieszkanie, w którym została zamordowana staruszka?

– Które? – Aggie uwielbiała wszelkiego rodzaju plotki i natychmiast się zainteresowała. Podeszła do niego, a on wskazał ręką w stronę ciemnego okna. – Tak, tak, dokładnie tam. Mieszkanie Lucii Sinclair. Albo raczej „Rezydencja śmierci przy Park Avenue”, jak nazywamy je my, wierni czytelnicy „Post”. Dlaczego pytasz?

– Czy ktoś już się tam wprowadził?

– Nic nie słyszałam. A wierz mi: gdyby tak było, na pewno bym wiedziała.

– Hm – zastanowił się Conrad. – Wydawało mi się, że widzę w oknie zapaloną zapałkę.

Aggie śmiertelnie poważnie pokręciła głową ze znawstwem.

– Morderstwo miało miejsce zaledwie niecałe trzy tygodnie temu. Nie wierzę, żeby policja pozwoliła wynająć mieszkanie.

– Zmarszczyła nos. – Nie wierzę, że po tym, co spotkało tę biedną kobietę, ktokolwiek chciałby je już wynająć. Pamiętasz, w gazetach pisano, że była jeszcze żywa, kiedy jej?...

Conrad roześmiał się, odwrócił do żony i wziął ją za rękę.

– Przepraszam, że w ogóle pytałem. – Dotknął jej prawej skroni. – Coś mam dzisiaj z oczami. Pewnie to był tylko jakiś refleks.

– W porządku – powiedziała Agatha. – Skoro nie chcesz słuchać lokalnych wiadomości... – Jednym wdzięcznym ruchem strząsnęła z siebie szlafrok. Ześlizgnął się po niej aż na stopy. Oczy Conrada powoli przebiegły po ciele żony. – Zapomnij o wszystkim – powiedziała łagodnie. – I zasun zasłony. – Wystąpiła z gmatwaniny frotowego materiału zaplątanego wokół jej kostek. Podeszła do Conrada. – Nigdy nie wiadomo, kto może obserwować – szepnęła.

## KOBIETA NA KRZEŚLE

Miejskie Centrum Psychiatryczne Impellitteri mieściło się kilka kwartałów od Queens Boulevard, niedaleko więzienia okręgowego. Oświetlone przez niewielkie reflektory sprawiało wrażenie dryfującego w powietrzu gigantycznego szarego sześcianu. Światło przecinały strugi deszczu, którego cienie tańczyły na kamiennej fasadzie. Conradowi, który wjeżdżał właśnie na parking, wydawało się, że w strumieniach ulewy budynek unosi się i migocze.

Powiedział Jerryemu Sachsowi, że przyjedzie w piątek wieczorem o siódmej trzydzieści. I kiedy parkował swoją corsicę – lekkiego srebrnoniebieskiego sedana – tuż przed głównym wejściem na miejscu zarezerwowanym dla personelu, była dokładnie siódma trzydzieści. Wyłączył silnik. O dach samochodu zabębnił głośno i twardo deszcz.

Chciał być już w domu. Chciał grać w węże i drabinki.

Podniósł aktówkę, położył ją na kolanach i otworzył. Wyciągnął z niej niewielki dyktafon Sony. Nacisnął czerwony przycisk i przytrzymał przy ustach wbudowany w urządzenie mikrofon.

– Piątek, piętnastego października – powiedział. – Pierwsza sesja z Elizabeth Burrows.

Przewinął taśmę i odtworzył nagranie. Z głośnika dobiegł go jego własny wyraźny głos: „... sesja z Elizabeth Burrows”. Wsunął dyktafon do wewnętrznej kieszeni marynarki. Spojrzał przez okno i zacinający deszcz na niewyraźną fasadę szpitala.

„Zabiła człowieka, Nathan. Podcięła mu gardło. Boże wszechmogący – pocięła gościa na kawałki!”

Conrad wypuścił nosem długi strumień powietrza.

– Niedobrze, stary – powiedział na głos.

Złapał za uchwyt aktówki, otworzył drzwi i pobiegł przez deszcz w kierunku prowadzących do szpitala schodów.

– No cóż, obawiam się, że dziewczyna nie przypomina żadnej z twoich matron z Upper West Side – powiedział Sachs. – Odkąd skończyła dziesięć lat, przebywała głównie w różnych zakładach. Zdarzyło jej się kilka agresywnych wyskoków – i w zakładach, i poza nimi. W aktach Centrum Dziecięcego na Manhattanie zanotowano, że pocięła kiedyś jakiemuś małolatowi twarz nożem kuchennym. A prokurator okręgowy powiedział mi, że policja dwukrotnie aresztowała ją pod zarzutem napadu z pobiciem. Tym razem będziesz musiał trochę poplamić swoje słodkie paluszki, Nate.

Sachs odchylił się w fotelu i wyszczerzył zęby w szerokim różowym uśmiechu. Był postawnym mężczyzną, kilkanaście centymetrów wyższym od Conrada. Miał szeroką i tłustą twarz. Jego ramiona wystawiały materiał białej koszuli na poważną próbę, podobnie jak brzuch napinający ją powyżej pasa. Kiedy się poruszał, oddychał ciężko i spływał potem. Na jego ubraniu widniały pod pachami wilgotne plamy, a głowa dyrektora – duża, łysa i różowa – lśniła od potu. Grube ciemne okulary posadził tuż powyżej linii brwi. Conrad czekał, aż ześlizgną mu się po spoconym czole na nos.

Sachs roześmiał się głośnym, wymuszonym śmiechem.

– Pewnego razu – powiedział – o mało nie wykończyła jednego holenderskiego marynarza. Jak Boga kocham. Najpewniej spacerowała sobie po Times Square, a biedny sukinsyn uszczypnął ją w tyłek. – Znowu roześmiał się skrzekliwym głosem. – Złamała mu obie ręce, a jedno z jąder zamieniła w budyń. Miała wtedy szesnaście lat. W dodatku jest drobną dziewczyną, za chwilę sam się przekonasz. Od gościa musiało ją odciągać trzech gliniarzy. A kiedy doszła do siebie, wyglądała na zdziwioną. Powiedziała, że to nie ona zrobiła. Że zrobił to jej przyjaciel, jej sekretny przyjaciel.

Conrad nachylił się. Drewniane oparcie krzesła uwierało go w plecy.

– Jej przyjaciel? – zapytał. – Masz na myśli inną osobę?

– Nie, raczej głos; głos, który każe jej robić różne rzeczy –

wywołany przez halucynację słuchową, choć wydaje się, że składa się na niego również pewien element wizualny. W każdym razie czymkolwiek jest, z pewnością wkurza ją jak jasna cholera. Dziewczyna wpada w szal, staje się niewyobrażalnie silna. No i jest wtedy zdolna do naprawdę brzydkich rzeczy, do brutalnej przemocy. Najwyraźniej to właśnie przydarzyło się jej w czasie spotkania z tym kasjerem z metra, którego pocięła na kawałki. Powiedziała, że również za to odpowiedzialny jest jej „sekretny przyjaciel”. – Sachs zachichotał, jego wielka głowa podskoczyła kilka razy w górę i w dół. – Mówię ci, Nate, szybko będziesz miał ochotę wrócić na swoją Park Avenue...

Conrad uśmiechnął się.

– Wierz mi, Jerry, już mam na to ochotę.

Przesunął się w krzesło – naprawdę zaczynał się w nim męczyć. Reszta gabinetu Sachsa wyglądała na całkiem wygodną. W obszernym pomieszczeniu podłogę wyłożono brązowym linoleum, a ściany pomalowano na jasnopomarańczowo. Na lewo od Conrada stała brązowa sofa. W rogu zauważył minilodówkę; po drugiej stronie stał elegancki wieszak, na którym wisiał jego ociekający wodą płaszcz. A za obszernym zagraconym biurkiem, tuż przed szerokim, wychodzącym na parking oknem, znajdował się gigantyczny oczywiście skórzany dyrektorski fotel. Jego oparcie było tak wysokie, że poduszka pod głowę wystawała nad połyskującą czaszką Sachsa jak jakiś sęp. Fotel wyglądał na bardzo wygodny.

Za to krzesło przed biurkiem – krzesło Conrada – było drewniane, niskie, twarde i miało zaokrąglono poręczce. W siedzeniu wydrążono zagłębienie na pośladki. Być może twarde drewno miało być przez to mniej niewygodne. Conrad szybko przekonał się jednak, że pod względem komfortu krzesło przypomina mrowisko. Nie dało się na nim usiąść, by nie musieć się wiercić.

– Ten kasjer... – burknął obolały. – To jego dotyczy aktualna sprawa, tak?

– Właśnie. Podobny przypadek do marynarza. Facet nazywa

się... – Sachs nachylił się nad biurkiem i wielką dłonią przerzucił jakieś papiery. – Robert Rostoff. Najwyraźniej udało mu się namówić Elizabeth, żeby zaprosiła go do swojego mieszkania. Ale kiedy ją przeleciał: łubudu! – Sachs zakrył nos dłonią i pociągnął nim trzy razy, żeby go oczyścić. – Naprawdę porządnie go pochlastała. Wyłupała mu oko, odcięła kutasa. Wszystko razem oznaczało dla Boba nie najlepsze wieści.

Conrad poruszył pośladekmi, szukając jakiegoś miękkiego miejsca w wyżłobionym na nie zagłębieniu. Pomyślał, że prawdopodobnie długo tak nie wytrzyma.

– Była pod wpływem narkotyków? – zapytał.

– Nie, jeżeli wierzyć aktom.

– A brała coś... jakieś leki?

Sachs znowu przerzucił papiery.

– Tak, haldol. Ale tylko dziesięć miligramów dwa razy dziennie. Zażywała go przez dwa lata leczenia ambulatoryjnego. Potroilem jej dawkę.

Conrad skinął głową.

– Problem polega na tym, że sprawa naprawdę może zostać umorzona – powiedział Sachs. – Żyła samodzielnie, spotykając się z psychiatrą. Miała dosyć nieciekawą robotę w jakimś kontrkulturowym centrum opieki czy innym gównie w Village.

I wszystko szło jak po maśle – rozumiesz, o co mi chodzi? Aż tu nagle – Bobby żegna się ze światem. Cała ona. – Sachs zakasłał i wreszcie okulary spadły mu na nos, wywołując niewielką fontannę kropel potu. – Najwyraźniej przez cały czas brała też przepisane leki.

– I tak po prostu nastąpił przełom? Czy przejawiała jakieś inne reakcje? Dystonia? Konwulsje? Cokolwiek.

Sachs pokręcił głową.

– Nie. Chociaż zanim się na mnie wściekła, nie miałem okazji zbyt długo z nią rozmawiać.

– A teraz znajduje się w stanie katatonii. Je? Śpi? Wstaje do łazienki?

– Możemy ją karmić normalnie, przez usta. Sypia. Nie

chodzi do łazienki ani się nie wypróżnia. Oddaje mocz na krzesło. Wymyśliśmy je, żeby ułatwić ci życie. – Spróbował jeszcze raz zachichotać rubasznie, ale śmiech zamarł Sachsowi w gardle. Wygląda na to, pomyślał Conrad, że uszła już z niego cała para.

– Nadal faszerujecie ją lekami? – zapytał.

– Tak, wprowadzamy je dożylnie. – Sachs rozłożył ręce, a potem z lekkim plaśnięciem opuścił je na uda. Wciąż miał na ustach szeroki uśmiech, który teraz wyglądał na wymuszony. Po jego różowym policzku na coraz bardziej szary kołnierzyk spływała strużka potu. – Sęk w tym, że ona już nic nie mówi. No wiesz, a wcześniej była bardzo ochoczą pacjentką. Miała całkiem dobre relacje z poprzednim lekarzem, gościem na stanowym etacie, który wyciągnął ją z centrum na Manhattanie i któremu udało się ustabilizować jej stan. Przyjazna dla użytkownika, mówię ci. Gotowa do rozmów. Chciała rozmawiać. I nagle – ani słowa. – Sachs starł dłonią z ust kropelki potu. – No i co o tym myślisz, Nate?

Przez dłuższą chwilę Conrad był w stanie jedynie patrzeć na gospodarza gabinetu. Kulfoniasta głowa z lśniącem czubkiem. Ciemne oczy, trochę desperacko mrugające zza grubych szkieł okularów. Conrad domyślał się, że nie jest przyjemną rzeczą czuć na własnym karku oddech burmistrza Queens. Podobnie jak dysponować zaledwie trzydziestoma dniami na częściowe choćby rozwiązanie trudnego przypadku, i to w momencie, gdy pacjentka postanawia nagle milczeć w twojej obecności.

Conrad sięgnął ręką i podniósł stojącą za nim na podłodze aktówkę.

– Rzućmy na nią okiem – powiedział w końcu.

Zrobiłby wszystko, by uciec w diabły z tego krzesła.

Winda zabrała ich na czwarte piętro: Oddział Zamknięty dla Kobiet. Przy brązowym biurku przed podwójnymi drzwiami siedziała strażniczka – otyła Murzynka. Podniosła groźne oczy na przypięty do klapy identyfikator Sachsa. Skinęła głową i Sachs ruszył, by wielkim uniwersalnym kluczem otworzyć drzwi.

Conrad podążył za Sachsem i obaj znaleźli się na oddziale.

Przed nimi rozpościerał się długi korytarz, ciemny i przestronny. Pod wysokim sufitem część jarzeniówek migotała na różowo, część była szara i zepsuta. Lekarze szli obok siebie, a przeciwległą ścianę przesłaniały głębokie cienie. Korytarz zdawał się zanikać w rachitycznym półmroku.

Była pora kolacji. Przechodząc obok stołówek, Conrad zobaczył, jak pacjentki jedzą posiłek. Około dziesięciu Murzynek siedziało w kucki nad plastikowymi tacami. Były to pozbawione kształtów kobiety w pozbawionych kształtu wytartych zwyczajnych ubraniach, które wydało im miasto. W rozluźnione usta wpychały chleb i ziemniaki, pozwalając, by okruszki kleiły im się do policzków.

W korytarzu było cicho. Obok lekarzy w milczeniu przechodziły to w jedną, to w drugą stronę jedynie pielęgniarki. Czarne kobiety, szare sylwetki; jedna za drugą wyłaniały się z cieni. Bez słowa, bez śladu uśmiechu kiwały głowami do Sachsa. Kiedy Conrad spoglądał przez ramię, obserwując je ukradkiem, znikwały z tyłu w ciemnościach.

Sachs zatrzymał się przed drzwiami oznaczonymi cyfrą trzy: grubymi drewnianymi drzwiami z podłużnym paskiem wzmocnionego drutem okna. Sachs spojrzął na Conrada, zachichotał, pokręcił głową. Conrad domyślił się, że w ten sposób przymila się do niego.

Dyrektor wsunął klucz uniwersalny w zamek. Drzwi odchyliły się do środka i Sachs wszedł do pomieszczenia. Kiedy Conrad ruszył w ślad za nim, ten stał już na środku pokoju.

Pomieszczenie było bardzo małe; trafniej byłoby je nazwać celą. Pod sufitem paliło się tylko jedno światło. Na lewo od Conrada stało przysunięte do ściany metalowe łóżko. Na plastikowym stoliku przy ścianie po drugiej stronie stała niewielka miska z wodą. W przeciwległym do drzwi rogu pokoju był niewielki kącik – toaleta, jak domyślił się Conrad. W ścianie na lewo od niego znajdowało się opuszczane, dzielone na pół okno uzbrojone w ciężką kratę.



Na krześle przed oknem siedziała młoda kobieta.  
Kiedy Conrad ją zobaczył, stanął jak wryty. Rozchylił usta.  
Mój Boże, pomyślał.  
Sachs wyciągnął w jej stronę dłoń gestem kamerdynera  
dokonującego oficjalnej prezentacji.  
– Panna Elizabeth Burrows – powiedział poważnie.  
Nathan stał bez słowa.  
Mój Boże, pomyślał. Spójrzcie tylko na nią.

## NIE CHCESZ MNIE DOTKNAĆ?

Miała twarz jak z obrazka, twarz anioła. Długie jasnorude, proste i jedwabiste włosy opadały jej poniżej ramion, okalając szlachetne policzki i wysokie czoło o alabastrowej jasnej skórze. Ogromne, krystaliczne zielone oczy wpatrywały się w pustkę.

Siedziała spokojnie na drewnianym krześle. Była wyprostowana, a głowę trzymała wysoko. Jej oczy były utkwione w punkcie dokładnie przed nią. Miała na sobie pomarszczone brązowe sztruksowe spodnie i męską koszulę z krótkimi rękawami. Nawet w tych przydzielonych przez miasto ubraniach jej figura wydawała się smukła i wdzięczna: dziewczyna nie zdążyła jeszcze przytyć na bogatym w skrobie szpitalnym jedzeniu. Jej nagie ramiona były bardzo blade. Równie blade ręce spoczywały złożone na kolanach.

Conrad powoli wypuścił z siebie powietrze. „Człowieku, człowieku” – pomyślał. Zamrugał i wyprostował się. Zmusił się, by coś powiedzieć.

– Witaj, Elizabeth – zaczął. – Miło cię poznać.

Nie odpowiedziała. Nie poruszyła się. Wpatrywała się prosto przed siebie. Conrad, spoglądając na nią, zmrużył Oczy.

Trzy lata wcześniej zaproszono go, by uczestniczył w badaniach w szpitalu uniwersyteckim Columbia Presbyterian. Testowano tam nowe podejście do reakcji wycofania, wykorzystujące metody terapeutyczne, w których pionierem był on i jeszcze jeden lekarz, Mark Bernstein. Pomysł polegał na tym, by opierać się nie tyle na lekarstwach, ile na próbie zainicjowania pewnej formy interakcji z terapeutą. Stosując połączenie terapii lekowej i aktywnych, czasem nawet radykalnych technik zaangażowania, Conrad był w stanie bardzo szybko skusić niektórych pacjentów do nawiązania nowej relacji z rzeczywistością. W jednym lub dwóch przypadkach udało mu się nawet zanotować istotne remisje.

W trakcie badań Conrad pracował z ponad dziesięcioma pacjentami z objawami wycofania lub katatonii. Widywał się z czterdziestodwuletnią kobietą, która całymi dniami leżała w pozycji embrionalnej. Widywał nastolatkę, która stała idealnie nieruchomo z wyciągniętymi na zewnątrz ramionami i uniesioną jedną nogą, jak balerina, która ma się unieść w powietrze. Widywał pacjentów, którzy drżeli jak szarpnięta struna, oraz innych, którzy zastygnięci w bezruchu ślinili się i wpatrywali przed siebie. Pamiętał też pewną kobietę, Jane, w dzieciństwie ofiarę gwałtu, która chodziła przez cały czas w kółko i w idealnie trzysekundowych odstępach powtarzała stanowczo: „Nie!”.

Nigdy jednak Conrad nie widział kogoś takiego jak Elizabeth Burrows.

Nie chodziło tylko o jej urodę. Chodziło o jej opanowanie, jej pozorny spokój. Dłonie dziewczyny zwyczajnie spoczywały na kolanach, jej nagie ręce były giętkie i swobodne. Miała nieobecny wzrok, ale w jej oczach czaiła się niezwykła głębia. Conrad poczuł przez moment, że potrafi ją w nich zobaczyć – wciąż sprawną umysłowo, wciąż świadomą.

Odwrócił się do Sachsa i zmusił do uśmiechu.

– Może zastawiłbyś nas samych, żebyśmy mogli lepiej się poznać? – powiedział.

Sachs zawahał się na sekundę. Dla niego gra toczyła się o wysoką stawkę, Conrad wiedział to doskonale. Dyrektor nie miał jednak wyboru. Również zmusił się do uśmiechu.

– Zadzwoń, gdybyś potrzebował pomocy pielęgniarki albo...

Wcisnął Conradowi do ręki klucz i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Conrad, ciągle się uśmiechając, odwrócił się do Elizabeth.

– Włączę teraz dyktafon i będę cię nagrywał – powiedział. Wyjął urządzenie z kieszeni. Wcisnął przycisk i położył dyktafon na stoliku obok miski. Potem dwoma krokami przeciął pomieszczenie. Postawił aktówkę na łóżku i otworzył ją. Grzebiąc w niej, nie patrzył na Elizabeth, lecz czuł, że jej oczy podążają za nim. Pomyślał – wyczuwał to – że dziewczyna mu się przygląda.

Wyciągnął z aktówki niewielką latarkę. Kiedy odwrócił się do Elizabeth, siedziała już spokojnie, spoglądając prosto przed siebie.

Conrad podszedł do niej.

– Przepraszam – powiedział.

Nachylił się i delikatnie szybko uniósł kciukiem powiekę dziewczyny. Zaświecił jej latarką w oczy, najpierw w prawe, potem w lewe. Źrenice skurczyły się, gdy uderzyło w nie światło. Pod palcami Conrad wyczuł normalną reakcję mrużenia.

Wsunął latarkę do kieszeni i złapał dziewczynę za prawy nadgarstek. Błada skóra była ciepła w dotyku. Puls pod kciukiem Conrada był miarowy i równy. Podniósł rękę Elizabeth na wysokość ramienia. Obserwował jej twarz. Puścił nadgarstek.

Ręka dziewczyny nieco opadła, po czym zawisła niepewnie w powietrzu. Jej blade wargi się zwężyły. Po chwili dłoń powoli opadła z powrotem na kolana. Elizabeth objęła ją drugą dłonią. Siedziała cicho i patrzyła do przodu.

Przy drugim końcu łóżka stało jeszcze jedno krzesło. Conrad podniósł je i postawił przed dziewczyną. Odwrócił oparciem do przodu i usiadł na nim okrakiem. Odchylił się, uśmiechając.

– Tak naprawdę powinna była zostać w powietrzu – powiedział. – To znaczy, twoja ręka. U prawdziwych katatoników w kończynach pojawia się coś, co nazywamy giętkością woskową. Utrzymują się w każdej pozycji, w jakiej się je ustawi.

Wiedział, że ryzykuje. Mógł się mylić. Nawet jeżeli miał rację, atak mógł wywołać reakcję przemocy. Była drobną dziewczyną, niemal słabowitą, właśnie taką, jak opisał ją Sachs. Gdyby jednak obudził się w niej „sekretny przyjaciel”, Conrad nie miał wątpliwości, że wylądowałby w szpitalu, jeśli nie w kostnicy.

Początkowo w ogóle nie zareagowała. Jego słowa zawisły między nimi. Conrad obserwował ją. Siedziała nieruchomo.

Po chwili jednak Elizabeth powoli odwróciła głowę w jego kierunku. Kiedy w jej zielonych oczach powoli zaczęło się pojawiać skupienie, Conrad słyszał, jak serce pulsuje mu na wysokości uszu. Okolone długimi włosami słodkie rysy twarzy

pacjentki zdawały się ożywać. Na białej skórze wykwitł lekki odcień różu. Conrad pomyślał, że dziewczyna wygląda zupełnie jak budzący się do życia sklepowy manekin.

Podniosła rękę do szyi i rozpięła koszulę, odsłaniając nagie piersi.

– Możesz mnie dotknąć – szepnęła – ale potem zostaw mnie w spokoju.

– Och... – powiedział Conrad. Tylko tyle. Jego spojrzenie mimowolnie pomknęło w dół. Jej skóra tutaj także była gładka i blada. Piersi drobne, ale wdzięcznie ukształtowane; ich niespodziewanie różowe koniuszki zaparłyby mu dech w piersiach, gdyby tylko na to pozwolił.

On jednak podniósł wzrok z powrotem na jej twarz.

– Proszę, zapnij koszulę, Elizabeth – powiedział.

Otworzyła usta. Zmrużyła oczy.

– Nie... Nie chcesz mnie dotknąć?

O Boże, pomyślał Conrad, nawet nie pytaj.

– Chcę ci pomóc – powiedział spokojnie. – I nie uważam, że to najlepszy sposób, by zacząć znajomość. Proszę, zapnij koszulę.

Elizabeth ciągle wyglądała na zakłopotaną, lecz przysunęła do siebie dwie połówki koszuli. Conrad odwrócił wzrok, obawiając się, że jego oczy znowu na niej spoczną.

„Biedny sukinsyn chciał ją poderwać, a ona o mało go nie wykończyła”. Wydało mu się, że słyszy koński śmiech Sachsa. „A kiedy Robert Rostoff ją przeleciał: łubudu. Naprawdę porządnie go pochlastała”.

„A co ty jej zrobiłeś, Jerry?” – zastanawiał się Conrad. „Co jej zrobiłeś, że tak się na ciebie wściekła?”

„Nie chcesz mnie dotknąć?”

Kiedy spojrział na nią ponownie, z ulgą zauważył, że zapięła koszulę. Z powrotem położyła dłonie na kolanach. Utkwiła w Conradzie nieufny, ale również nieco zaciekawiony wzrok.

Conrad nachylił się i odezwał ostrożnie:

– Elizabeth, jesteś oskarżona o morderstwo. Rozumiesz?

Nie odpowiedziała natychmiast. Nieznacznie pokręciła

przecząco głową.

– Nie... Nie chcę z tobą rozmawiać – powiedziała. Jej głos był nieco mechaniczny, śpiewny. Wydawał się nieobecny, tak jakby komentowała wydarzenia, które jej nie dotyczyły. – Nie chcę z tobą rozmawiać. Możesz być jednym z nich.

Conrad bez słowa skinął głową.

Dziewczyna wycofała się wyniośle.

– Oni wszyscy na początku udają miłych. Czasem udaje im się mnie oszukać. Ale ja wiem, czego naprawdę chcą. Ja wiem.

Spojrzała na niego ze swojej wysokiej grzędy. Ciągłe się uśmiechała dumna z przewagi, którą utrzymywała dzięki tajemnicy.

– No dobrze – powiedział Conrad. – Czego chcą?

Nachyliła się ku niemu.

– Chcą wykopać moją matkę.

– Twoją matkę – powiedział Conrad, zachęcająco skinąwszy głową.

– Tak. Robert Rostoff mi powiedział.

– Robert Rostoff. Człowiek, który został zabity...

– Tak. Powiedział mi, ostrzegł mnie. To właśnie chcą zrobić.

– I to właśnie sprawia, że zaczynasz się gniewać.

Elizabeth chciała przytaknąć, ale zatrzymała się w pół drogi.

– O, nie – powiedziała ostrożnie. – Nie ja. To nie ja się gniewałam. To Sekretny Przyjaciel. Bardzo się zdenerwował. Zrobił coś złego. Bardzo złego. Dlatego tutaj jestem. Ale to nie byłam ja!... To Sekretny Przyjaciel.

Conrad zaczekał chwilę, by przekonać się, czy powie coś jeszcze, ale dziewczyna zamilkła. Patrzyła obok niego, przygryzając wargę. Wydawało się, że próbuje coś sobie przypomnieć.

Conrad podpowiedział jej:

– Sekretny Przyjaciel nie chce, żeby wykopano twoją matkę.

– Tak. No właśnie... Tak.

– Dlaczego nie, Elizabeth?

– Co? – Zamrugała i z powrotem przesunęła na niego wzrok.

– Bo... Bo po tym czasie z jej oczu będą już wychodziły robaki – powiedziała po prostu. – Robaki i... Z jej ciała będą wystawały kości. – Skrzywiła się i wzdrygnęła. – Jej ciało będzie już jak strzępy i będą z niego wystawały kości. Będzie miała puste oczy, z których będą wychodziły robaki...

Conrad poczuł, że po plecach chodzą mu ciarki. Spojrzał nawet przez ramię, by upewnić się, że nikogo tam nie ma, że nikt nie skrada się do niego od tyłu. (W każdym razie nikt z wychodzącymi z oczu robakami). W ciasnej celi widać jednak było tylko przytłumione światło. Drewniane drzwi z wąskim podłużnym oknem. Miskę, której cień rozciągał się na plastikowym stoliku. Gładkie i puste łóżko.

Odchrząknął i spojrział znowu na dziewczynę.

– Rozumiem, że twoja matka nie żyje – powiedział.

– Tak. O, tak. Ale jeżeli odgrzebią jej ciało, to jej dusza może odfrunąć. I nic już z niej nie zostanie. – Pokręciła głową ze smutkiem. Spojrzała szczerze na Conrada. – Wiesz, wszyscy mają duszę. Wszyscy. Nawet ja. Czasem ją nawet czuję. Nie chciałabym, żeby odfrunęła. Czuję ją dokładnie tutaj, w środku.

Elizabeth podniosła ręce z kolan. Uniosła je do ramion i skrzyżowała na piersiach. Przez chwilę Conrad obawiał się, że znowu się rozbierze. Ale dziewczyna objęła się tylko ciasno. Zamknęła oczy. Uniosła twarz do światła jak do słońca. Zaczęła kołysać się pod lampą w przód i w tył.

– Czuję ją teraz tutaj. Czuję moją duszę – mruzczała. – Ciągle tutaj jest. J a też ciągle tutaj jestem.

Conrad nawet nie drgnął. Patrzył na nią. Nie mógł oderwać od niej oczu. Mijały chwile, a ona kołysała się pod lampą, obejmując się skrzyżowanymi na piersiach rękami. A potem na oczach Conrada wyraz jej twarzy zaczął się zmieniać. Usta wykrzywiły się w dół, zmarszczyły się policzki. Wargi zaczęły drżeć, tak jakby zaraz miała się rozpląkać...

Złapawszy gwałtownie powietrze, dziewczyna otworzyła oczy i spojrzała na Conrada. Ten odczuł to jak uderzenie pięścią. Cofnął się trochę w krześle. Jej oczy, krystalicznie zielone

sadzawki jej oczu, odsłoniły się przed nim aż po samo dno. Zobaczył w nich mękę. Nagą i jaskrawą: przemożny płomień bólu wypalający dziewczynę od środka.

– O Boże – ledwo zdołała wyszeptać. – Ciągłe jestem tutaj.

– Wyciągnęła w stronę Conrada dłoń, chwyciła go za rękę. Poczł gorący, desperacki uścisk jej palców. – O Boże, o Boże – łkała delikatnie. – Proszę. Proszę, doktorze. Ciągłe jestem tutaj.



## CMENTARZ

Wieczorem Conrad poszedł na cmentarz. Był on niewielki i zaniedbany. W purpurowym świetle zmierzchu majaczyły przekrzywione i poszczerbione stare pomniki. W przejściach między grobami płynęły kosmyki mroźnej, cuchnącej miastem mgiełki.

Grób, którego szukał, znajdował się na końcu cmentarza, niedaleko pochyłego żelaznego ogrodzenia. Oznaczony był posągiem pogrążonej w żałobie kobiety. Zakapturzona postać pochylała się nad krawędzią grobu, wskazując ręką jego wnętrze. Conrad podszedł do niej, przecinając krążącą między nagrobkami mgiełkę.

Kiedy się zbliżył, zauważył, że grób poniżej posągu jest rozkopany. Spodziewał się tego. Mimo to gdy podchodził do jego krawędzi, poczuł w żołądku chłód. Zajrzał do jamy i dostrzegł leżącą na jej dnie trumnę: ciężką szarą skrzynię z wyrytym na górze krzyżem. Podniósł wzrok i zauważył w posągu coś dziwnego. Pogrążona w żałobie kobieta uśmiechała się. Patrzyła na Conrada ze złośliwym, wesołym uśmiechem. Conrad poczuł rosnący w żołądku strach. Jego członki stały się miękkie i słabe.

Nagle z trumny wydobył się jakiś dźwięk.

Conrad chciał uciekać. Ale nie mógł. Nie chciał tam zaglądać, lecz musiał to zrobić. Opuścił wzrok do wnętrza otwartego grobu. Ponownie dał się słyszeć hałas: odległy, dociekliwy pomruk. Conrad wiedział, że trumna zaraz się otworzy – dziesiątki razy widział to na filmach. Nadal jednak nie był w stanie rzucić się do ucieczki, nie mógł się nawet odwrócić. Stał bezradny i patrzył, jak powoli podnosi się wieko. Zaczął skomleć ze strachu. Zaczął się trząść.

Trumna otwarła się i wtedy ją zobaczył. Krzyknął bezgłośnie. Sięgnęła ku niemu rękoma: dwie tyczki przegniłego mięsa. Uśmiechnęła się do Conrada. Spojrzał w jej oczy popękane

jak skorupki jajek, z których nagle zaczęły wypełzać pająki.

– Ciągle jestem tutaj, Nathan – szepnęła. – Nie chcesz mnie dotknąć?

Conrad z krzykiem usiadł na łózk. Serce waliło mu jak oszalałe. Ustami łapał powietrze. Nawet w tej chwili musiało minąć kilkanaście sekund, zanim zdał sobie sprawę, że to był sen. W ciemnościach zaczął nabierać kształtów telewizor. Smuga zasłon, zapach paździenikowego deszczu. Conrad zobaczył przykrytą poszewką kołdry żonę. Położył dłoń na wzniesieniu jej biodra.

– Niech to sz-szlag – powiedział łagodnie. Oparł głowę z powrotem na poduszce. Poczł, że jest mokra od potu. – Niech to sz-szlag.

Sen towarzyszył mu przez cały ranek. Sen – i dziewczyna. Była sobota; jego kolej, by zabrać Jessicę na lekcję gry na skrzypcach. Przez cały czas kiedy ubierał córeczkę, kiedy rozmawiał z nią i żartował w autobusie jadącym na Jedenastą Ulicę, kiedy słuchał, jak gra razem z innymi dziećmi – myślał o śnie, o Elizabeth.

Conrad lubił jeździć na te zajęcia. Lubiał tę starą szkołę muzyczną. Lubiał chodzić przez korytarze i słyszeć dźwięki dochodzące z klas. Niepewne brzdąkanie na pianinie, piskliwy płacz skrzypiec. Lubiał patrzeć na salę baletową, w której dziewczynki w trykotach ćwiczyły przy drążku unoszenie nóg. Dzieci uczyły się muzyki, tańca: wzbudzało to w nim uczucie ciepła i melancholii.

Sam nigdy nie nauczył się grać na żadnym instrumencie. Pamiętał, że jako nastolatek usłyszał kiedyś od matki:

– Dlaczego nie nauczysz się grać na jakimś instrumencie, Nathan?

Pamiętał, że siedziała wtedy w fotelu w pokoju dziennym w tylnej części domu. Za nią widać było okno. Czereśnia za szybą malowała za matką tło w postaci różowych i białych kwiatów.

Sączyła ze szklanki sok grejpfrutowy – który w tajemnicy

zaprawiała wódką – i patrzyła na niego z nadąsaną miną. A potem zapytała:

– Dlaczego nie nauczysz się grać na jakimś instrumencie, Nathan?

Powiedziała to zwykłym tonem, jakiego przeważnie używała, gdy raczyła go tego typu radami. Tym samym z lekka rozpaczliwym tonem, jakim zapytałaby: „Dlaczego nie zaczniesz uprawiać jakiegoś sportu, Nathan?” albo: „Dlaczego nie chodzisz na żadne zajęcia po lekcjach?”. Tym samym słabym, nieobecny, nieżyczliwym tonem.

Jego ojciec, który siedział na sofie, podniósł wzrok znad gazety.

– Zawsze uważałem – wtrącił – że jeżeli nie można czegoś robić dobrze, to w ogóle nie ma sensu zaczynać.

Tak, on również powiedział to swoim zwyczajnym, zarezerwowanym dla dobrych rad tonem: głębokim, mądrym, męskim głosem. Tym samym głosem mawiał czasem do żony: „No cóż, oczywiście, że chciałbym, żebyś przestała pić, kochanie. Uważam po prostu, że nie powinnaś próbować rzucić alkoholu od razu. Powinnaś to robić stopniowo, w tym cały sekret”.

Stary dobry tatuś był człowiekiem pełnym dobrych rad.

Prawda jednak polegała na tym, że nieważne było, co mówili ani jak to mówili. Nawet gdyby matka kupiła dla niego stradivarius i z błogosławieństwem wcisnęła mu go w rękę, nawet gdyby ojciec otoczył ręką jego ramiona i powiedział: „Do roboty, mój synu, praktyka czyni mistrza” – niczego by to nie zmieniło. Nathan i tak nie nauczyłby się grać na instrumencie, i tak nie zaczęłyby uprawiać sportu ani nie zapisałby się na zajęcia po lekcjach. Nie zrobiłby tego, ponieważ w ten sposób musiałby rzadziej przebywać w domu. Częściej musiałby zostawiać matkę samą. Samą z jej nieudolnie pochowanymi butelkami czystej i dżinu. Czy to nie przede wszystkim dlatego wypowiadała pod jego adresem te swoje nieśmiałe sugestie? Żeby się go pozbyć? W każdym razie czasem tak mu się wydawało.

Tak czy inaczej, po latach lubił chodzić wraz z córką do

szkoły muzycznej. Był z niej wtedy dumny – i trochę jej zazdrościł, na swój własny, pełen satysfakcji, życzliwy sposób. Siadał ze skrzyżowanymi nogami na drewnianej podłodze sali baletowej na piętrze, w szerokim pomieszczeniu, którego jedna ściana w całości była zajęta przez lustro. Dzieci gromadziły się tam ze swoimi skrzypcami wokół nauczycielki – uśmiechniętej młodej kobiety. Piłowały bez końca kolejne melodie: *Były sobie świnki trzy, Kaczor Donald farmę miał, Odpowie ci wiatr*. A Conrad patrzył na córkę i kiwał głową z aprobatą. Starał się być ostrożny, bo mała w czasie gry czasem patrzyła na niego. Rzuciła szybko okiem, a kiedy widziała, jak kiwa głową, musiała z całej siły powstrzymać sekretny uśmiech.

Ale tego dnia jego myśli błądziły gdzieś daleko. Uciekały wciąż w stronę snu, w stronę dziewczyny. Przypominał mu się ciągle lepki strach, jaki ogarnął go, kiedy stał przy krawędzi grobu. Przypominał go sobie – a potem myślał o tym, jak przeszły go ciarki, gdy Elizabeth po raz pierwszy opisała mu swoją matkę.

„... .. puste oczy, z których będą wychodziły robaki...”

Ten dreszcz irracjonalnego zwątpienia. Dreszcz wywoływany przez spotkanie z szaleństwem.

Skinął głową i uśmiechnął się przelotnie, kiedy Jessica szelmowsko rzuciła mu ukradkiem spojrzenie. Grupa grała właśnie *Ach, przyjdź, ma dziecino*. Dla początkujących był to jeden z trudniejszych utworów. Momentami wymagał skomplikowanego podwójnego pociągnięcia smyczkiem z dołu do góry. Tydzień wcześniej Jessie była wśród dzieci, które siedziały z boku, przysłuchując się, jak utwór grali bardziej zaawansowani uczniowie. Również tym razem kilkoro dzieciaków siedziało z boku, ale Jessie stała już i grała z pozostałymi. Kiedy spojrzała na niego, Conrad puścił do niej oko. Powstrzymała uśmiech i z powrotem skupiła się na skrzypcach.

Conrad nadal na nią patrzył, ale jego wzrok był nieobecny. Myślał znowu o Elizabeth.

„Chcę wykopać moją matkę. Sekretny Przyjaciel bardzo się przez to zdenerwował. Zrobił coś złego”.

Conrad z doświadczenia wiedział, że ciarki, dreszczyk, pojawiają się u niego zawsze, kiedy po raz pierwszy wkracza do świata szalonej osoby. Było to jak powolne posuwanie się naprzód po nieprzyjacielskim terenie – i nagłe wdepnięcie w ruchome piaski.

„Bo... Po tym czasie z jej oczu będą już wychodziły robaki. Z jej ciała będą wystawały kości”.

Wydaje ci się, że wciąga cię jakaś podziemna dżungla, miejsce zamieszkane przez przerażające kształty i cienie, przez chthoniczne wampiry sięgające ku tobie szponami z grzęzawiska...

„Jej ciało będzie już jak strzępy i będą z niego wystawały kości. Będzie miała puste oczy, z których będą wychodziły robaki...”

W dodatku ten świat – ta dżungla – jest złożony z tych samych elementów co twój. Jest tak samo intymny. Jego logika jest podobnie nieugięta. Dłoń kształtująca w nim prawdę jest tak samo apodyktyczna, kapryśna i nieznana. Wywołuje to u ciebie dreszcz, ponieważ zaczynasz sobie przypominać, że również żyjesz w niewiedzy, która może być szaleństwem...

„Sekretny Przyjaciel zrobił coś złego. Dlatego tutaj jestem”.

Piosenka się skończyła. Conrad opamiętał się dokładnie w momencie, w którym należało pokazać Jessice uniesione w górę kciuki. Skakała właśnie na palcach i uśmiechała się, dumna ze swoich osiągnięć.

– Opowiedz mi coś więcej – poprosił ją. – Opowiedz mi coś więcej o swoim Sekretnym Przyjacielu.

Nie planował, że zobaczy się z Elizabeth przed środą. Jednak Pan Bum, umówiony na czwartą trzydzieści, wystarał się o kolejną z licznych chorób, które pomagały mu wyjaśnić samemu sobie, dlaczego zdradziła go i opuściła żona. Zadzwoił rano i odwołał sesję. Pod wpływem impulsu Conrad zatelefonował natychmiast do pani Halliway umówionej na piątą trzydzieści. Przesunął jej sesję na wtorkowe okienko o siódmej i w ten sposób okazało się, że ma wolny kawał wieczoru. Niemalże ku własnemu zdziwieniu

pojechał do Impellitteri.

Zastał Elizabeth w tym samym stanie co w piątek. Miała na sobie te same ubrania i siedziała na krześle przy oknie z dłońmi na kolanach i nieobecny wzrokiem. Sachs powiedział Conradowi, że od czasu jego sesji ani razu się nie odezwała. Zjadła jednak samodzielnie i wstała, by pójść do toalety, choć zaraz potem wróciła na krzesło. Sachs wolał nie ryzykować, że znowu dostanie szału. Kazał pielęgniarkom, by miały na nią oko, ale poza tym by zostawiły ją samą, chyba że o coś poprosi. Conrad doszedł do wniosku, że był to dowód niezwyklej przezorności i inteligencji Sachsa. Przecież palant aż się palił, żeby rozwiązać całą sprawę.

Conrad nie oczekiwał zbyt wiele. Cieszył się, że pacjentka przełamała przy nim milczenie, lecz jasne dla niego też było, że wkroczył właśnie w świat wielotygodniowych paranoidalnych zmagają, urojonych wędrówek. Wątpił tak naprawdę, że kiedykolwiek uda mu się z nią przezeń przebrnąć.

Mimo wszystko kiedy wszedł do pomieszczenia, dziewczyna ukradkiem rzuciła na niego okiem. I chociaż właściwie się nie uśmiechnęła, Conradowi wydawało się, że w jej wzroku wychwycił drobniutką iskierkę zadowolenia.

Wyjął z kieszeni dyktafon, wcisnął czerwony przycisk i położył urządzenie na stoliku. Następnie postawił jak wcześniej przed dziewczyną krzesło i usiadł na nim okrakiem. Uśmiechnął się.

– Jak się czujesz, Elizabeth?

Spojrzała na niego znowu, po czym szybko odwróciła wzrok. Nie odpowiedziała.

– Masz dzisiaj ładne włosy – stwierdził. Zauważył, że je wyszczotkowała. Ich proste jasnorude pasma były gładkie i błyszczące.

I znowu wyczuł, że jego komplement sprawił jej przyjemność. Nadal jednak się nie odzywała.

Po kilku sekundach zapytał:

– Nie chcesz ze mną rozmawiać, co?

Tym razem jej wzrok zatrzymał się na nim dłużej. Ciągle był

nieufny, lecz Conrad odniósł wrażenie, że pojawiła się w nim też pewna swawolna nutka.

– Może pan być jednym z nich – powiedziała łagodnie, niemal szeptem. – Każdy może być. Nie wiem.

– Czy to dlatego nie mówiłaś nic przez cały weekend?

Skłoniła lekko podbródek.

– Doktor Sachs jest jednym z nich. Wiem o tym. A inni... Trudno powiedzieć. – Zamilkła na chwilę i zacisnęła wargi, tak jakby starała się powstrzymać. – Ale o n wie – powiedziała nagle.

– Kto taki?

– On. Dobrze pan wie kto.

– Twój sekretny przyjaciel.

Skinęła głową.

– A co twój sekretny przyjaciel mówi o mnie? – zapytał Conrad.

Tym razem naprawdę się uśmiechnęła. Conrad aż wstrzymał na chwilę oddech. Róż na wewnętrznych krawędziach jej bladych warg; lekki rumieniec na jasnej skórze. Sposób, w jaki rozjaśniły się jej drobne, idealne rysy. Elizabeth spojrzała płochliwie w dół.

– Nie dotknął mnie pan – powiedziała.

– Masz rację.

– On nie przychodzi, kiedy pan tutaj jest. Przez pana nie zaczyna się denerwować. I pan nie...

Podniosła na niego oczy, lecz głos jej zamarł.

– Co nie, Elizabeth?

– Pan nie chce wykopywać mojej matki.

– Oczywiście, że nie. A więc nie jestem jednym z nich?

– Nie. Nie... Myślę, że nie.

Conrad przez kilka sekund powoli kiwał głową. Grał na zwłokę. Próbował ocenić, jak daleko może się posunąć. Wreszcie, pod wpływem impulsu, nachylił się lekko i powiedział:

– Opowiedz mi coś więcej. Opowiedz mi coś więcej o swoim sekretnym przyjacielu.

Zanim odpowiedziała, minęła długa chwila. Bardzo długa chwila. Elizabeth wpatrywała się w niego w zamyśleniu. Conrad

czekał na jakiś ruch z jej strony. Być może, pomyślał, powalczy z nim jeszcze przez chwilę. A może, co bardziej prawdopodobne, zamilknie; uśmiechnie się chytrze i przytuli do siebie własne iluzje, będzie je chronić, jak gdyby były jej dzieckiem.

„A może...”

Conrad, patrząc na nią, poczuł w żyłach niewielki zastrzyk adrenaliny.

Może jego żądanie coś w niej uruchomi, pomyślał. Może sprawi, że Sekretny Przyjaciel pojawi się we własnej osobie.

Przed oczyma mignęła mu wizja: dziewczyna rzuca się na niego, podrywając się z krzesła. Ma obnażone zęby i wyciągnięte szpony, którymi sięga do jego gardła. Starał się oddychać miarowo, zmuszał przeponę, by wytłaczała powietrze z płuc.

Wtedy Elizabeth zrobiła coś, czego w ogóle się nie spodziewał.

Zacząła opowiadać swoją historię.



## SEKRETNY PRZYJACIEL

– Kiedy przyszedł po raz pierwszy, był małym chłopcem – opowiadała. – Widzi pan, on ciągle się zmienia. Za każdym razem wygląda inaczej. Kiedy przyszedł po raz pierwszy, był małym chłopcem w koszulce w paski, z rudymi włosami i piegami. Miał na imię Billy. Bawił się ze mną w Słonecznej Szkole i przychodził do mnie do mieszkania. Mieszkałam wtedy z mamą.

Lubiłam bawić się z nim w Słonecznej Szkole. Byłam bardzo samotna. Moja mama i ja nie mieszkaliśmy w ładnym miejscu i nigdy nikt miły nas nie odwiedzał. Dzieci nie przychodziły w ogóle. Czasem schodziłam na dół i odwiedzałam Katie Robinson, ale ona była stara. Nie było tam dzieci i prawie w ogóle nie wychodziłam z domu, z wyjątkiem wyjść z mamą na zakupy albo żeby się spotkać z jej przyjaciółmi.

W budynku przez cały czas było ciemno. Brzydko pachniał. Pamiętam, że bardzo często widywałam tam szczury. Były i na dole, zaraz pod schodami. Na górze, w naszym pokoju, też było ciemno. Przez cały czas było u nas brudno, kubeł na śmieci zawsze był pełny, a śmieci walały się też po podłodze obok zlewozmywaka. Stare naczynia, kawałki jedzenia. Śmierdziały.

Były tam też wielkie karaluchy i takie robaki, które wychodziły z wody. Nie cierpiałam szczególnie tych robaków. Były takie duże. Kiedyś, kiedy mama zabiła jednego butem, pęknął strasznie głośno. Wylały się z niego na wszystko takie żółte gluty. Nie cierpiałam robaków.

Nie miałam łóżka. Mama miała przy oknie pryczę. Ale ja spałam na podłodze, w śpiworze po drugiej stronie pokoju. Dlatego właśnie nienawidziłam robaków – czołgały się tuż przed moimi oczami. Bałam się, że przyjdą tam również szczury, ale nigdy nie przyszły.

W każdym razie, jak mówiłam, Billy’ego poznałam w Słonecznej Szkole. Było to miejsce, do którego chodziłam, kiedy u

mojej mamy byli mężczyźni.

To znaczy, tak naprawdę wymyśliłam sobie to miejsce – to znaczy szkołę – ale Billy pojawił się właśnie tam. Czasem to wszystko było bardzo mylące. Tak naprawdę nie lubię o tym myśleć.

Chodzi o to, że mężczyźni do nas przychodzili i moja mama, no wie pan, kochała się z nimi, uprawiała seks czy jak wy to tam nazywacie. Mama zawsze wtedy mówiła mi, żebym poszła już spać. Odwracałam się na bok twarzą do ściany. Myśleli, że zasnęłam, ale tak naprawdę wcale nie spałam. Wydawali z siebie okropne dźwięki, jak dzikie zwierzęta w lesie. Kiedy kończyli, palili narkotyki. Powiedzieli panu, że moja mama to robiła? Robiła. Paliła narkotyki i... jak wy to tam nazywacie – wpuszczała je też sobie do ręki przez igłę. Wstrzykiwała. Mężczyźni wiele razy dawali jej narkotyki. Myślę, że to dlatego uprawiała z nimi seks.

Ale czasem... Czasem jakiś mężczyzna nie chciał dać jej narkotyków, dopóki nie pozwoliła mu dotknąć i mnie. Mama im pozwalała. Odchodziła trochę na bok i patrzyła przez okno. A ja płakałam. Błagałam ją, żeby im nie pozwalała. Ale ona patrzyła tylko przez ramię i mówiła: „Zamknij się. Po prostu się zamknij”. I mężczyźni kładli mi ręce... Wie pan gdzie. Bardzo źle się wtedy czułam. Tak naprawdę w ogóle już o tym nie myślę. Ci wasi wszyscy lekarze zawsze są tym bardzo zainteresowani, więc mówię im o tym. Nawet kobiety chcą o tym słuchać. Ale ja uważam, że to po prostu obrzydliwe.

W każdym razie próbuję panu w ten sposób opowiedzieć, skąd się wzięła Słoneczna Szkoła. Nie chodziłam wtedy do normalnej szkoły. Chodziłam tam trochę wcześniej, ale potem mama powiedziała, że nauczyciele nie powinni wtykać nosa w nie swój zasrany interes. Po pewnym czasie przeprowadziłyśmy się do nowego mieszkania na Avenue A i w ogóle już nie chodziłam do szkoły. Było mi z tego powodu przykro. Lubiłam szkołę. Więc kiedy mama robiła to z mężczyznami, odwracałam się na bok, zamykałam oczy i wychodziłam do tej szkoły, którą mogłam sobie

wyobrazić.

Jak już mówiłam, nazywała się Słoneczna Szkoła. Było tam duże zielone podwórko, na którym bawiłam się z innymi dziećmi. Moja mama była nauczycielką. Stała z boku, pilnując nas i uśmiechając się. Billy – mały chłopiec z rudymi włosami i w koszulce w paski – też tam był. Graliśmy razem w berka. Wyglądał jak chłopiec, którego znałam w tej drugiej szkole, w starej szkole. Lubiłam go.

Billy też mnie lubił. Dlatego tak się zdenerwował tej nocy. Tej nocy – tej nocy, kiedy Billy przyszedł do mieszkania – jeden z mężczyzn mamy naprawdę mnie skrzywdził. Był mały i miał tłustego wąsa. Mówił z jakimś obcym akcentem czy coś w tym rodzaju. Przyszedł tej nocy i... no wie pan, uprawiał seks z mamą czy coś takiego. Ale nie dał jej narkotyków. Powiedział, że chce zrobić też coś ze mną.

Miałam wtedy dziewięć lat. Pamiętam, bo dzień wcześniej były moje urodziny. Kiedy usłyszałam, co mówi mężczyzna – o tym, że chce mnie dotknąć – udawałam, że śpię. Mama powiedziała mu nawet: „Ech, zostaw ją w spokoju, śpi”. Ale mężczyzna nie dał jej narkotyków i w końcu mu pozwoliła. Podszedł, położył na mnie ręce i kazał mi się obudzić. Zaczęłam płakać.

Poprosiłam mamę, żeby go powstrzymała, ale ona jak zwykle powiedziała mi tylko, żebym się zamknęła. Mężczyzna był brutalny. Nie tylko mnie dotknął. Włożył mi swoje coś, no wie pan, penisa czy jak wy to tam nazywacie. Bardzo bolało. To znaczy, nie żeby robić z tego wielkie rzeczy czy coś takiego. Teraz już nawet o tym nie myślę. Ale wtedy bardzo mnie bolało i płakałam. Ale moja mama go nie powstrzymała. Odwróciła się. Nie patrzyła.

W każdym razie myślę, że to dlatego przyszedł Sekretny Przyjaciół.

Mężczyzny już wtedy nie było. Dał mojej mamie narkotyki i poszedł sobie. Mama wpuściła je sobie do ręki, położyła się na łóżku i spała czy coś takiego. Poszłam do łazienki, żeby się umyć.

Nalałam sobie wody do wanny i leżałam w niej bardzo długo.

Kiedy skończyłam, ubrałam się w koszulkę do spania. Już mnie nie bolało, ale ciągle trochę płakałam i pociągałam noskiem. Wyszłam cicho z łazienki, tak żeby mama mnie nie zobaczyła. Czasami gniewała się na mnie, kiedy płakałam, narzekałam czy robiłam coś podobnego.

W każdym razie wyszłam przez drzwi – a on coś do mnie powiedział. Usłyszałam jego głos prosto w uszach.

„Twoja mama zrobiła coś bardzo złego” – powiedział. Był wściekły. Słyszałam to w jego głosie.

Pokręciłam głową. Zaczęłam do niego szeptać. „To nie mama” – powiedziałam. „Musiała zrobić to, co kazał jej mężczyzna. To wszystko przez narkotyki, przez to, że tak bardzo potrzebuje narkotyków”.

Ale Sekretny Przyjaciel powiedział: „Twoja mama jest zła. Musisz ją ukarać”.

„Nie. Nie, Billy” – powiedziałam. Wiedziałam, że to Billy. Wiedziałam, że tam był, w tej samej niebiesko-białej koszulce w paski co zawsze. Pod pachą trzymał piłkę do kickballa. (Czasem w Słonecznej Szkole graliśmy z innymi dziećmi w kickball).

„Nie, Billy” – powiedziałam. „Mama czasem potrafi też robić dobre rzeczy. Potrafi”.

Ale Billy nie słuchał. „No to ja ją ukarzę” – powiedział. „I potem będzie jej przykro”.

Nie mogłam nic zrobić. Zamknęłam oczy, żeby tego nie widzieć, ale to nie podziałało. I tak widziałam. Widziałam, jak Billy podchodzi do łóżka mamy. Mama leżała tam i uśmiechała się do sufitu. „Proszę, Billy, nie” – powiedziałam. Ale Billy nie słuchał. Upuścił piłkę, która odbiła się parę razy o podłogę i potoczyła po niej. A potem wyciągnął mamie spod głowy poduszkę. „Proszę, Billy!” – powiedziałam. Położył mamie poduszkę na twarzy. Nacisnął ją mocno i... i trzymał. Mama próbowała wstać. Próbowała odepchnąć poduszkę. Widziałam, jak jej nogi kopią powietrze i jak wykręca się jej ciało. Złapała Billy’ego za rękę, biła go i drapała. Myślałam, że Billy ją puści,

myślałam, że musi ją puścić. Ale był taki silny. Billy – był taki silny. Miał w sobie jakąś... specjalną siłę czy coś takiego. Mama nie mogła wstać. Walczyła, ale nie mogła. A Billy tylko trzymał jej poduszkę na twarzy. Był strasznie wściekły. Chciał ją ukarać. „Billy!” – powiedziałam. Ale nie mogłam nic zrobić.

Potem, po chwili, mama przestała walczyć. Przestała próbować wstać. Ręce opadły jej na łóżko. Leżała już tylko.

Wtedy Billy ją puścił. Podłożył jej poduszkę pod głowę. Mama tylko leżała z otwartymi ustami. Jej oczy też były otwarte. Wyglądała, jakby patrzyła na sufit i była zdziwiona.

„Teraz będzie jej przykro” – powiedział Billy.

A potem sobie poszedł.

Weszłam do śpiwora i zasnęłam.

Wyraz twarzy Conrada nie zmienił się. Lekarz nachylił się tylko nad oparciem krzesła. Nie spuszczał oczu z twarzy Elizabeth. Jego twarz była rozluźniona. Spoglądał wzrokiem nieporuszonym, lecz współczującym, mądrym, ale pełnym zrozumienia.

W myślach powtarzał jednak: „Ożeż, kurwa! Niech to szlag! Jezus, Maria, święci... O mój... Niech to szlag!”.

Przez cały czas mówiła obojętnym, śpiewnym głosem. Dziecięcym głosem, prawie słodkim. Kiedy powiedziała: „Potem, po chwili, mama przestała walczyć” – wzruszyła lekko ramionami, a przez jej twarz przemknął nawet nieznaczny nerwowy uśmiech. Sprawiała wrażenie, jak gdyby wydawało jej się, że cała sprawa była po prostu zaskakującym wypadkiem, który przydarzył się komuś innemu.

Przechyliła głowę w kierunku Conrada. Spojrzała na niego, tak jakby oczekiwała, że rzuci jakąś luźną uwagę na temat pogody.

– No tak – powiedział cicho. „O Boże! O Jezu!” pomyślał. – A kiedy następnym razem zobaczyłaś Sekretnego Przyjaciela?

– Och, już wkrótce – powiedziała swobodnym tonem Elizabeth. – To znaczy kilka dni później. Był w ciężarówce, która jechała na cmentarz.

– Opowiedz mi o tym – poprosił. Próbował oddychać

miarowo, tłoczyć powietrze z płuc za pomocą przepony. Po chwili musiał przestać. Robiło mu się od tego niedobrze.

– No i rano – kontynuowała Elizabeth – rano po tym, jak... jak przyszedł Billy, poszłam na dół do Katie Robinson. Katie była starą Murzynką i mieszkała piętro niżej od nas. Zawsze była dla mnie miła, kiedy ją odwiedzałam. Raz albo dwa dała mi nawet lizaka i małą zabawkę. Zapukałam do jej drzwi, a kiedy odpowiedziała, powiedziałam: „Moja mama nie wstaje. Chyba nie żyje”. Pamiętam, że Katie Robinson zawołała: „O mój, o mój, o mój...”. A potem zadzwoniła na policję.

Gdy to robiła, uciekłam. Wiedziałam, że policjanci mi nie uwierzą, kiedy opowiem im o Billym. Myślałam, że zamkną mnie w więzieniu. Poszłam do kiosku z gazetami i stanęłam przed nim obok gier wideo. Nie miałam dwudziestopięciocentówki, ale był tam chłopiec, który grał w Space Invaders. Stałam więc i patrzyłam, aż wreszcie poszedł do szkoły. Kiedy wróciłam, przed domem ciągle stały samochody z policjantami, więc schowałam się w alejce. Alejka zaczynała się zaraz obok drzwi – dozorca wyrzucał tam stare śmieci. Była tam brama, ale udało mi się wślizgnąć między prętami. Schowałam się za jakimiś starymi pojemnikami na śmieci, ale i tak nikt nie wyszedł mnie szukać. Czasem, kiedy siedziałam tam schowana, płakałam. Czułam się źle z powodu tego, co się stało mamie.

Była wiosna i było ciepło, więc siedzenie tam w ogóle mi nie przeszkadzało. Aż do wieczora nie wróciłam do domu. Policja wreszcie sobie pojechała. Poszłam zobaczyć się z Katie Robinson. Była bardzo zaniepokojona. Powiedziała, że policjanci wszędzie mnie szukali. Odpowiedziałam jej, że nie chcę iść z policjantami, bo zamkną mnie w więzieniu. Ale Katie Robinson się roześmiała i powiedziała, że jestem głupia. Powiedziała też, że małych dziewczynek nie zamyka się w więzieniu. Mówiła, że znajdą mi kogoś innego, kto się mną zaopiekuje. Poczulałam się po tym trochę lepiej.

Byłam głodna. Na śniadanie ukradłam ze sklepu

spożywczego dwie pomarańcze, ale od tamtej pory nic nie jadłam, a była już pora kolacji. Katie Robinson dała mi trochę płatków zbożowych. Powiedziała, że mogę z nią zostać na noc, a rano ona znowu zadzwoni na policję. Zabrałam z góry mój śpiwór i przyniosłam go do jej mieszkania.

W nocy, kiedy kładłam się spać, zapytałam Katie Robinson: „Gdzie oni zabiorą moją mamę? Gdzie ona jest teraz?”

„Cóż” – powiedziała Katie Robinson. „Teraz jest pewnie w szpitalu Bellevue, w kostnicy”.

„I zawsze ją tam będą trzymać?” – zapytałam.

„O nie” – powiedziała Katie. „Po jakimś czasie pewnie zabiorą ją na wyspę. Na wyspę Hart. Tam jest pięknie i znajduje się tam cały cmentarz dla ludzi, którzy tak jak my nie mają tyle pieniędzy, żeby wyprawiono im pogrzeb i tak dalej. Jest tam takie miejsce, nazywa się Potters Field. Jestem pewna, że urządzią tam twojej mamie bardzo ładny pogrzeb i bardzo ładnie ułożą ją na wieczny odpoczynek”.

„Mogę tam pojechać?” – zapytałam. Chciałam zobaczyć bardzo ładny pogrzeb mojej mamy. Chciałam jej powiedzieć, że jest mi przykro z powodu tego, co zrobił Billy, i chciałam ją pożegnać. Ale Katie Robinson powiedziała, że normalnych ludzi nie wpuszcza się na wyspę Hart. I znowu poczułam się źle. W nocy zamiast spać, leżałam i płakałam. Bałam się, że mama pomyśli, że to ja jej to zrobiłam i że powie o tym wszystkim w niebie. Chciałam jej wyjaśnić, że to Billy i że nie mogłam go powstrzymać.

Rano, zanim jeszcze Katie Robinson wstała, wyszłam cichutko ze śpiwora i wymknęłam się na palcach z mieszkania. Wiedziałam, jak wygląda Bellevue, bo mama zabrała mnie tam kiedyś. Za bardzo wtedy krwawiła. No wie pan, takie kobiece krwawienie. Miała okres czy jak wy to tam nazywacie. W każdym razie zapamiętałam, jak wygląda Bellevue. Musiałam więc tylko zapytać pana Garcie ze sklepu spożywczego, w jakim kierunku powinnam pójść, a potem znaleźć szpital. Stał on przy Pierwszej Alei, tej szerokiej, która biegnie obok autostrady i rzeki.

Musiałam iść długo, ale kiedy dostałam się do szpitala, było jeszcze bardzo wcześnie. Nie był to ładny budynek. Był duży i brudny; brązowy, ciemny i upiorny. No wie pan, byłam małą dziewczynką, i wtedy wyglądał dla mnie jak jakiś ogromny wyrastający z trawy potwór. Kostnica stała jakby z boku samego szpitala, z tyłu. Była bardziej nowoczesnym budynkiem, kwadratowym – ze szkła i zielonych pustaków.

Przed drzwiami był parking. Przeszłam przez niego. Chciałam wejść do środka i zapytać, gdzie jest moja mama. Ale jak szłam, usłyszałam kogoś, mężczyznę, który mówił coś o wyspie Hart. „Następny ładunek na wyspę” – powiedział. Głos dochodził do mnie z ciemności.

Schowałam się za ścianą budynku. Wyjrzałam zza rogu. Stała tam zaparkowana tyłem biała ciężarówka, biała ciężarówka z kwadratową paką – no wie pan, taką kwadratową paką z napisem z boku „Szpital Bellevue” czy coś w tym rodzaju. Stała tyłem do budynku, do metalowych drzwi. Były otwarte, tak samo jak tylne drzwi ciężarówki. Słyszałam głosy mężczyzn. Dochodziły z wnętrza budynku. A chwilę później pojawili się ci mężczyźni.

Było ich dwóch. Jeden, pamiętam, ubrany na niebiesko; w niebieską roboczą koszulę i dżinsy. Drugi miał na sobie koszulę w kratę. Wyszli przez metalowe drzwi. Nieśli jakąś skrzynię. Od razu się domyśliłam, że to trumna.

Włożyli skrzynię z tyłu ciężarówki. Potem mężczyzna ubrany na niebiesko powiedział: „To już ostatnia, Mike. Chodź jeszcze na sekundę, podpiszesz odbiór i jesteś wolny”. Obaj wrócili przez metalowe drzwi do budynku.

Wiedziałam, co się dzieje – to znaczy, domyśliłam się. Zabierali tych biednych ludzi na wyspę Hart, żeby ich pogrzebać. Pomyślałam, że w ciężarówce musi być moja mama. Wyjrzałam zza budynku i nagle bardzo się podnieciłam. Serce zaczęło mi bić bardzo szybko. Czułam się, jakbym miała coś zrobić.

Najpierw w ogóle się nie ruszałam. Za bardzo byłam przerażona. Wiedziałam, że w każdej sekundzie mężczyźni mogą wrócić. Nie chciałam się w ogóle ruszać. Ale potem usłyszałam,



jak ktoś mnie bardzo łagodnie woła. „Elizabeth”. Głos dochodził z wnętrza ciężarówki.

Nie miałam czasu, żeby się zastanowić. Pobiegłam po prostu tak szybko, jak tylko mogłam. Ciężarówka była bardzo duża, ale byłam tak podniecona, że złapałam za jej krawędź i wskoczyłam do środka. Leżało tam jakieś dziesięć skrzyń. Trumien. Rozejrzałam się, lecz nie zobaczyłam nikogo. Przestałam też słyszeć głos.

Nagle wrócili mężczyźni. Zobaczyłam, że jeden z nich – ten w koszuli w kratę – podchodzi do wejścia do kostnicy. Odwrócił się przez ramię i pomachał. „Na razie, Lou” – zawołał. Stałam jak wryta i patrzyłam na nich.

I nagle znowu usłyszałam głos. „Elizabeth”. Powiedział tylko tyle. Bardzo cicho. Skądś jednak wiedziałam, czego ode mnie chce. Przykucnęłam i schowałam się za dwiema skrzyniami, które leżały na jakiejś innej. Usłyszałam dochodzące z parkingu kroki mężczyzny, który wrócił do ciężarówki. A potem usłyszałam huk zamykanych drzwi. Światło w ciężarówce zaczęło gasnąć, zaczęło się robić ciemno. Chciałam wstać, chciałam zawołać do niego: „Zaczekaj! Ja tu ciągle jestem!”. Ale tego nie zrobiłam. Nie mogłam. Nie wiem dlaczego.

Drzwi się zamknęły. Zrobiło się ciemno. Wokół mnie były tylko skrzynie. Zrobiło się bardzo ciemno.

Pamiętam, że krzyknęłam. A raczej próbowałam krzyknąć, lecz powiedziałam tylko: „Pomocy, pomocy, ja tu ciągle jestem”. Ale w tej samej chwili zapalił się silnik. Był bardzo głośny i nie sędzę, żeby ktoś mógł mnie usłyszeć. Spróbowałabym walić pięściami w tylną ścianę, ale leżał tam stos skrzyń. Nie chciałam do nich podchodzić. Ciężarówka powoli zaczęła ruszać. Siedziałam na środku podłogi. Płakałam. Szarpałam się za włosy i krzyczałam: „Mamo, mamo, mamusiu... ”.

Ta chwila była najbardziej przerażająca ze wszystkich: niczego nie widziałam. Wokół mnie były skrzynie, ale ich nie widziałam. Nie widziałam, co się z nimi dzieje. Zastanawiałam się, to znaczy... Zastanawiałam się, czy są ciągle zamknięte. Bałam się,

że ktoś z nich może wyjść. Zrobiono je tylko z drewna, z kilku zbitych razem desek wzmocnionych deseczkami na górze. Gdyby ktoś chciał wyjść ze środka, bez problemu mógłby je zerwać. Nawet moja mama. Z jednej z nich mogła wyjść moja mama... Mogła się na mnie gniewać... Mogła myśleć, że jestem zła. A było tak ciemno, że zobaczyłabym ją dopiero wtedy, kiedy byłaby tuż przede mną, kiedy zobaczyłabym jej martwą twarz, jej uśmiech. Płakałam i płakałam. „Proszę, proszę, proszę” – szeptałam.

Ale po chwili zaczęłam coś widzieć. Cienie. Kształty. Widziałam skrzynie – dziesięć, może piętnaście – ustawione po dwie w stosy przy ścianach, obok mnie i za mną. Niektóre były bardzo małe. To znaczy, niewiele większe od kartonu papierosów. Odwracałam się to na lewo, to na prawo i patrzyłam na nie, upewniałam się, że żadna z nich się nie poruszyła ani nie otworzyła. Ciągle bardzo mocno płakałam. Moja twarz była cała mokra, a po brodzie ściekały mi smarki.

I nagle ktoś zaszeptał mi prosto do ucha: „Elizabeth”.

Krzyknęłam i odwróciłam się. Nie widziałam jej w ciemnościach, ale wiedziałam, że tam jest, że siedzi zaraz obok mnie. Mama. Moja mama. Nie gniewaj się, mamo; to nie ja, to Billy. Tak właśnie mówiłam. Ale mama nic już nie powiedziała. Po prostu tam siedziała, niewidzialna w ciemnościach. I czułam, że na mnie patrzy.

Cofnęłam się, oparłam plecami o trumny. Ach, mamo, proszę...

„Elizabeth” – wyszeptała znowu moje imię. „Elizabeth”.

Ciągle odwracałam się to w jedną, to w drugą stronę. Próbowałam ją znaleźć. Wiedziałam, że tam jest. Włosy plątały się jej wokół twarzy jak wodorosty. Jej oczy były jak ze szkła i patrzyły, patrzyły na mnie. Wiedziałam. Uśmiechała się. Miała łagodny, jakby rozmarzony uśmiech. Nie umiałam się odezwać. Po prostu starłam rękawem z twarzy smarki i strzepnęłam je na podłogę. Cała się trzęsłam; dzwoniły mi zęby.

Ale nagle – coś się stało. Mama – moja mama – zaczęła się zmieniać. Zmienił się jej głos, barwa jej głosu. Nagle był... inny.

Był... bardziej taki, jakim mówiła w Słonecznej Szkole. Kiedy stała na podwórku, patrzyła, jak bawią się dzieci i wołała je. Chodzi o to, że teraz była miła. Jej głos był miły. „Nie bój się, Elizabeth” – powiedziała. „To ja. Jestem tutaj”.

To było zabawne. To znaczy, to było dziwne. To była ona, to był jej głos. Ale był to też trochę... to był też głos Billy’ego. To znaczy, dochodził z jednego miejsca. To było coś takiego, jakby jedna osoba mówiła dwoma różnymi głosami, i to w mojej głowie, jakby w moim uchu. I głos powiedział, moja mama powiedziała, powiedziała bardzo miło: „Nie martw się. Nie martw się, Elizabeth. Nie jesteś już sama. Jestem tutaj. Jestem twoim przyjacielem. Od teraz. Będę twoim sekretnym przyjacielem”.

Potem poczułam się trochę lepiej. Siedziałam w ciemnej ciężarówce i już się nie bałam. Po chwili pochodziłam nawet trochę dookoła na kolanach – od jednego miejsca podskakującej pode mną podłogi do drugiego. Chodziłam dookoła i przyjrzałam się bliżej skrzyniom. Każda z nich miała przyczepioną na końcu białą karteczkę. Na każdej z nich były napisane na maszynie imię i numer; było tam też miejsce na wiek martwej osoby i jej religię. Przeczytałam wszystkie karteczki, szukając imienia mamy, ale nie mogłam go znaleźć. Na początku myślałam, że jej tam nie ma i że może Katie Robinson pomyliła się, kiedy mówiła mi, co się z nią stanie.

Ale potem – potem zobaczyłam jedną ze skrzyń, na której było napisane: „NIEZIDENTYFIKOWANA BIAŁA KOBIETA”. Ciągle widzę to wyraźnie w mojej głowie, ten napis zamiast imienia, wypisany obok numer, a potem znaki zapytania w rubryczkach na wiek i religię. Doszłam do wniosku, że to musiała być ona. Pewnie nikt nie znał jej imienia – przecież nie było mnie tam, żeby je im podać. To musiała być ona, to ją wieziono na pogrzeb.

Położyłam na trumnie głowę. Przycisnęłam policzek do szorstkiego drewna. Ciężarówka podskakiwała, a ja tuliłam się mocno do skrzyni. Odezwał się z niej głos:

„Jestem z tobą, Elizabeth. Ciągle jestem z tobą. Ciągle jestem

tutaj”.

„To nie do wiary, to niemożliwe” – myślał Conrad. Kiwał głową ze współczuciem.

Dziewczyna tuliła się delikatnie w ramionach, kołysała się i uśmiechała.

– Jestem z tobą – zamruczała jeszcze raz. Po jej policzkach ciągle spływały łzy. – Zawsze będę z tobą.

Conrad wyczekał na moment, kiedy podbródek opadł jej na piersi, a łzy zaczęły płynąć nieco wolniej. Wtedy zapytał:

– I co się stało później?

Elizabeth powoli podniosła wzrok. Osuszyła dłonią policzki. Wypuściła z ust drżący strumień powietrza.

– No tak... Jechaliśmy i jechali. Wydawało mi się, że jechaliśmy bardzo długo – powiedziała. – Potem usłyszałam dudnienie i głosy... Pomyślałam, że pewnie jesteśmy na łodzi, na promie płynącym na wyspę. Wreszcie mężczyzna w koszuli w kratę otworzył drzwi. Światło było bardzo jasne. Musiałam przytrzymać przed oczami rękę. A potem mężczyzna... po prostu zaczął krzyczeć. „Jezus Maria! Matko święta! O Boże! O Boże!” Pewnie myślał, że jestem duchem.

Mówiąc to, Elizabeth się roześmiała. Był to dziwnie normalny odgłos. Jej policzki zarumieniły się od uśmiechu. Zarzuciła głowę i jej włosy zafalowały. Obserwując ją, Conrad poczuł w całym ciele wzburzenie. Widok kobiety, jaką Elizabeth mogłaby być, sprawił mu ból.

„Ciągle jestem tutaj”.

– Zaczęli podbiegać inni mężczyźni – kontynuowała. – Jeden z nich, biały, wspiął się do ciężarówki i zniósł mnie z paki.

Staliśmy na brudnym parkingu na końcu starego nabrzeża. Za mną była woda, przede mną też, a daleko między drzewami widziałam ogrodzone drutem kolczastym baraki.

Podchodziło do mnie coraz więcej mężczyzn, tłoczyli się wokół – w większości byli czarni, ubrani w coś ciemnozielonego. Potem podeszło też kilku białych mężczyzn, tyle że oni mieli na

sobie białe koszule i niebieskie spodnie. Biali mieli też na koszulach odznaki, a przy biodrach zwisały im kabury z ogromnymi pistoletami.

Wszyscy mężczyźni zaczęli nade mną robić dużo hałasu. Byli więźniami – to znaczy ci ubrani na zielono; byli skazańcami z jednego z miejskich więzień. Pracowali na cmentarzu. To oni grzebali ciała biednych ludzi. Ci drudzy mężczyźni, z pistoletami, byli strażnikami.

Powiedziałam im, że przyjechałam, żeby popatrzeć na pogrzeb mojej mamy. Wyjaśniłam, że to ona leży w skrzyni oznaczonej jako „niezidentyfikowana biała kobieta”, i powiedziałam, który to numer trumny; po drodze przeczytałam go tyle razy, że nauczyłam się go na pamięć. Mężczyźni zaczęli patrzeć jeden na drugiego. Jeden z nich – niski biały z okrągłą głową i zabawnym spojrzeniem – był chyba dowódcą. Miał na imię Eddie. Przekazał mnie jednemu z innych strażników, a sam wspiał się na ciężarówkę. Kiedy wyszedł, złapał mnie za rękę i zaprowadził do drzewa na skraju parkingu. Kazał mi usiąść i poczekać.

Siedziałam i patrzyłam, jak więźniowie rozładowują ciężarówkę. Najpierw wyciągnęli duże skrzynie, a potem te wielkości kartonów. Eddie na boku każdej z trumien zapisał nazwisko i numer. Potem więźniowie załadowali je na drugą ciężarówkę, wywrotkę, i wywieźli wąską wyasfaltowaną drogą. Czekałam pod drzewem. Jeden ze strażników czekał ze mną.

Po chwili Eddie wrócił wywrotką. Pomógł mi wejść do szoferki i razem pojechaliśmy tą wyasfaltowaną drogą. Z jednej strony widać było brzeg, kamienistą plażę omywaną przez wodę. Z drugiej, na wyspie, rosły tylko drzewa, gęste zielone drzewa, oplecione krzakami, chwastami i jakimiś pnączami. Od czasu do czasu rozglądałam się i widziałam stojące z tyłu budynki, stare ceglane budynki stojące za drzewami. Były opuszczone. Miały rozbite szyby w oknach. Wyglądały na mnie przez gałęzie.

A potem drzewa zniknęły. Wjechaliśmy na zamulone otwarte pole. I zobaczyłam rów.

Był to długi okop; z jednej strony wyrastała obok niego góra ziemi i poszarpanych chwastów. Włożono tam wszystkie skrzynie. Położono je jedną na drugiej, po trzy. Eddie powiedział mi, że skrzynię mojej mamy umieścili na samej górze, żebym mogła na nią patrzeć. Stał obok mnie, chwycił mnie za rękę i przyglądał się, jak więźniowie pokrywali skrzynię warstwą ziemi.

W głowie Conrada pojawił się obraz: wspomnienie snu. Przez sekundę widział znowu uśmiech pogrążonego w żalobie anioła. Widział otwartą trumnę. Przetarł oczy, odpędzając obraz.

– Eddie coś mówił – kontynuowała Elizabeth. – Chyba modlitwę. Prosił Boga, żeby zaopiekował się moją mamą, bo – jak powiedział – musiałam ją bardzo kochać, skoro przyplłynęłam za nią na wyspę Hart. Przez cały czas kiedy mówił, patrzyłam w dół na trumnę mamy. I myślałam... I myślałam, że się cieszę. Cieszyłam się, że Billy zrobił to, co zrobił. Ponieważ teraz – rozumie pan? – teraz mama była miła. Mama była teraz moim sekretnym przyjacielem. Nie była taka jak wcześniej, kiedy byli z nią ci wszyscy mężczyźni, kiedy brała narkotyki i była bardzo niedobra. Teraz była miła. Zawsze już miała być miła. Rozumie pan?

Skinęła poważnie głową. Wbiła wzrok w Conrada. Nachyliła się w krzesło, tak jakby miała mu się zwierzyć z wielkiej tajemnicy.

– Dlatego właśnie Sekretny Przyjaciel zaczynał się denerwować – wyszeptała. – Rozumie pan? Lepiej, kiedy mama jest taka jak teraz – o wiele lepiej. A gdyby wróciła, mogłaby być znowu niedobra i... obrzydliwa – taka jak wcześniej. Sekretny Przyjaciel tego nie chce. Pewnie dlatego pokroił tego mężczyznę, tego Roberta Rostoffa. Dlatego właśnie go pokroił i... i wyciął mu oczy, pokroił szyję i piersi; pokroił twarz, brzuch i odciął jego coś, i...

Zamilkła. Ze świstem wypuściła przez nos powietrze.

– Myślę... – Conrad musiał odchrząknąć. – Myślę – powiedział – że na dzisiaj już wystarczy.

## DZIEŃ DOBRY PANU, DOKTORZE

– Muszę być z tobą szczery: nie znalazłem żadnej odpowiedzi.

Był piątek wieczorem. Conrad znowu siedział na czymś, co w myślał nazywał Krzesłem Boleści. Jakimś cudem Sachsowi udało się go znowu na nim posadzić. Zaokrąglone oparcie wpijało się Conradowi w łopatki. Siedzenie z twardego drewna wgryzało się w jego pośladki jak czerwone mrówki. Conrad przez cały czas usiłował zmienić pozycję, co musiało sprawiać wrażenie jakiegoś tańca na siedząco.

Po drugiej stronie biurka Sachs kiwał swoją wielką łysą czaszką. Prawie jakby mnie słuchał, pomyślał Conrad.

– Początkowo, kiedy byłeś z nami, w ogóle nie mówiła – kontynuował. – I nagle, po dwóch sesjach, opowiedziała mi wszystko. Wyłożyła mi całe swoje tło motywacyjne – owszem, schizofreniczne, ale w sumie na swój sposób przekonujące. Nie... Nie wiem, ile z tego jest prawdą, a ile wynikiem urojeń, oraz ile z tego, jeżeli w ogóle, wymyśliła, żeby wydostać się z więzienia. Chodzi o to, że... – Westchnął. – Spójrz tylko, Jerry. Zważywszy na historię jej przypadku, jego diagnoza jako schizofrenii paranoidalnej wydaje się nieunikniona, prawda? Ile z jej opowieści o matce jest prawdą... – Wzruszył ramionami. – Mnie o to nie pytaj. Moim zdaniem Elizabeth po śmierci matki przeszła bardzo poważną traumę, która wywołała u niej pierwsze objawy choroby. Co do zamknięcia w ciężarówce z trumną matki – cóż, według mnie brzmi to jak fantazja, ale... Mogę tylko z pewnością powiedzieć, że wiarygodnie wyjaśnia to jej fiksację. Dziewczyna obiektywizuje własną seksualność w kategoriach ciała swojej matki. Odnosi się do wszelkich prób rozbudzenia swej seksualności jak do ekshumacji zwłok matki – mówi o nich jako o spisku, którego celem jest wydobycie matki z grobu. To z kolei, jak się wydaje, wywołuje u niej złość na matkę, bo nie obroniła jej

przed molestowaniem – i dalej: gniew materializuje się jako martwy rodzic, który wreszcie wraca, by prawidłowo odegrać rolę protektora jako Sekretny Przyjaciel.

Sachs jeszcze przez chwilę poważnie kiwał głową. Potem zdjął z czubka głowy okulary i skinął nimi z przesadną powagą. Conrad nieco przesunął obolałe pośladki, modląc się, by to się wreszcie skończyło.

– No cóż, najważniejsze pytanie brzmi, czy dziewczyna może odpowiadać przed sądem – stwierdził. – Czy z jej pamięcią jest wszystko w porządku?

– Tak, zdaje się, że ma świetną pamięć. Kazałem jej powtarzać swoje historie i nigdy nie różniły się w szczegółach. Ale jej afekt jest zupełnie nieprawidłowy, całkowicie niedostosowany; ma paranoidalne wyobrażenia, omamy słuchowe...

Sachs nachylił się nad biurkiem.

– A czy może uczestniczyć we własnej obronie, Nathan?

Conrad otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale coś w zachowaniu Sachsa – coś, jakiś dziwny zapach – sprawiło, że się zawahał. Wreszcie odpowiedział:

– Nie. Do diabła, nie. Dziewczyna cierpi na ciężki przypadek schizofrenii, Jerry. Schizofrenii paranoidalnej. To moja diagnoza. Nie może.

– I powtórzysz to przed sądem?

Conrad po raz kolejny się zawahał. Potem jednak powiedział:

– Tak. Tak, jasne, że powtórzę. Powiem, że nie może odpowiadać przed sądem. W żadnym wypadku.

Najwyraźniej była to odpowiedź, jakiej dyrektor Impellitteri oczekiwał. Rozparł się w swoim wysokim – i miękkim – fotelu. Wcisnął okulary z powrotem na wielką wypukłą czaszkę. Klepnął dłońmi w wielki wypukły brzuch. W kąciку jego szerokich ust pojawił się różowy uśmiech.

– To dobrze – powiedział. – Bardzo dobrze.

Conrad nie mógł dłużej wytrzymać. Wstał. Wypuścił z ulgą powietrze, czując, że w jego obolałych pośladkach znowu zaczyna krążyć krew.



– Cóż, muszę już iść, ale...

Sachs praktycznie skoczył na równe nogi. Wyciągnął ku Conradowi dłoń wielkości golonki.

– No cóż, świetna robota, Nate – powiedział. – Wielki Nate, tak cię będziemy teraz nazywać. – Conrad skrzywił się, kiedy dyrektor ścisnął ogromnym łapskiem jego dłoń. – To znaczy, chodzi o to, że dziewczyna naprawdę zaczęła ci ufać, co? Rozmawia czasem z pielęgniarkami. Łyka lekarstwa, normalnie się odżywia. Ani się obejrzysz, a przejdiesz z nią do etapu małej romantycznej nerwicy przeniesieniowej, farciarzu. – Roześmiał się i trzepnął Conrada w ramię. – Ślicznotka z niej, co, Nate? – dodał.

Zanim Conrad zdążył odpowiedzieć, Sachs ciężką ręką otoczył jego ramiona i szybko popchnął go w kierunku drzwi.

„Ani się obejrzysz, a przejdiesz z nią do etapu małej romantycznej nerwicy przeniesieniowej, farciarzu. Ślicznotka z niej, co, Nate?”

Boże, pomyślał Conrad, na tego faceta brak słów.

Jechał swoją corsicą przez most na Pięćdziesiątej Dziewiątej, zmierzając z powrotem w stronę Manhattanu. W zapadającym zmroku lśniły przed nim skupiska śródmiejskich drapaczy chmur. Mijały go samochody, śmigając obok otwartego okna.

„Małej romantycznej nerwicy przeniesieniowej...”

Boże, Boże, Boże.

Wjechał prosto w strumień mknących samochodów. Uchwycił się prawego pasa. Wpatrywał się w kołyszące się przed nim i falujące czerwone tylne światła. Chłodne jesienne powietrze owiewało mu twarz. Myślał o Elizabeth.

Przez cały tydzień rozmawiał z nią codziennie. We wtorek jeszcze raz poprzesuwał umówionych pacjentów, żeby się z nią zobaczyć. W czwartek zrobił to ponownie. Słuchał, jak Elizabeth opowiada o swoim dzieciństwie. O domach dziecka i rodzinach zastępczych. Oraz o głosach, które mówiły do niej, choć nikt inny ich nie słyszał.

Słuchał też, jak opowiada o Sekretnym Przyjacielu, o

rzeczach, które zrobił Sekretny Przyjaciel.

Opowiadała na przykład o wypadku w Centrum Dziecięcym na Manhattanie. Elizabeth czuła się tam bardzo samotna, tak samo jak wcześniej w domu. Rozmawiała szeptem z Billym, rudym chłopcem z wymyślonej przez nią Słonecznej Szkoły. Billy podrośł już wtedy, podobnie jak ona. Jego osobowość jednak najwyraźniej niewiele się zmieniła.

W centrum przebywała pewna czarna dziewczyna, która tyranizowała Elizabeth – przynajmniej Elizabeth tak twierdziła. Kazała jej wykonywać za nią jakieś prace i kradła jej jedzenie. Pewnego dnia zagroziła Elizabeth, że przedstawi ją jednemu – jak to określiła – ze „swoich kumpli”. Groźba sprawiła, że Billy – Sekretny Przyjaciel – wpadł w szal. Ukradł ze stołówki nóż. Tego samego wieczoru zaatakował czarną despotkę i rozciął jej policzek. Elizabeth miała wtedy jedenaście lat. Według raportu z jej akt, żeby powalić dziewczynkę na ziemię i odebrać jej nóż, potrzeba było czterech rośłych pielęgniarzy.

Innym razem jeden z pielęgniarzy spróbował wślizgnąć się w nocy do łóżka Elizabeth. Dziewczyna powiedziała, że Sekretny Przyjaciel zamienił się w lwa i rzucił na napastnika. Zanim lew został poskromiony, twarz pielęgniarza zdążyła się już zamienić w krwawą maskę. Według raportu centrum między zębami Elizabeth znaleziono kawałki ciała napastnika.

Z kolei w wypadku holenderskiego marynarza okazało się, że to matka Elizabeth wróciła, by dać mu nauczkę.

„Złamała mu obie ręce, a jedno z jąder zamieniła w budyń. Od gościa musiało ją odciągać trzech gliniarzy”.

Conrad wysłuchał wszystkich tych opowieści. Spędził sporo czasu, zastanawiając się nad nimi oraz przeglądając akta dziewczyny. Starał się oddzielić prawdę od urojeń i halucynacji. Jego umysł uciekał jednak od tematu. Skupiał się ciągle na innych rzeczach. Na brzmieniu głosu Elizabeth. Na jej twarzy.

Dziewczyna była w jego obecności nieco bardziej ożywiona niż na początku. Nie mówiła już przez cały czas obojętnym, śpiewnym głosem, niekiedy ustępował on miejsca jej własnemu,

przydymionemu pomrukowi. Zdarzało się też, że się śmiała. Na jej szlachetne policzki wstępował wtedy róż, a zielone oczy zaczynały się iskrzyć. W takich momentach dźwięk jej głosu, jej widok zapierał mu dech w piersiach.

„Ślicznotka z niej, co, Nate?”

Za każdym razem kiedy jechał do Impellitteri, miał nadzieję, że ją usłyszy, zobaczy w takim stanie: mruczącą, roześmianą.

„Farciarzu”.

I znowu o niej śnił. W środę w nocy. Śniło mu się, że Elizabeth stoi w drzwiach domu. Kiwa na niego ręką, a on idzie w jej stronę. Kiedy się zbliża, widzi, że to dom, w którym dorastał. Wie, że w tym domu czai się coś strasznego, ale mimo to idzie naprzód. Elizabeth wycofuje się do środka, a on wie, że musi iść za nią.

Zanim jednak doszedł, obudził się. Serce waliło mu jak oszalałe. Poduszka była przesiąknięta potem.

Następnego dnia, w czwartek, czyli wczoraj – miał fantazję. Nie spał, kiedy mu się przydarzyła. Co więcej, był z pacjentką: z Julią Walcott. Julia siedziała w fotelu i opowiadała mu o amputacji nogi. Conrad oddychał miarowo, całkowicie skoncentrowany na tym, co mówiła. I nagle przestał słuchać. Zaczął myśleć o Elizabeth. Myślał o tym, jak leży naga w łóżku. Jej białe ramiona wyciągają się ku niemu. Była mu wdzięczna za to, że ją wyleczył. Chciała mu pokazać, jak bardzo jest wdzięczna. „Nie chcesz mnie dotknąć?” – szepnęła. Conrad z trudem wrócił myślami do pani Walcott.

Teraz, w samochodzie, poruszył się w fotelu z zażenowaniem. Kiedy przypominał sobie swoją w fantazję, dostał erekcji.

Corsica zjechała z mostu i włączyła się w strumień stłoczonych samochodów na Drugiej Alei. Conrad szybko nastawił radio. Przez resztę drogi do domu słuchał wiadomości.

Po powrocie do mieszkania zastał Agathę siedzącą przy jadalnym stole. Garbiła się nad nim z miną nieszczęśnicy. Jej

kasztanowe włosy rozsypywały się po blacie. Opierała głowę na obu dłoniach.

– Maa-mooo... – przesączył się przez ścianę za stołem pełen rozpaczny jęk.

– Kochanie, zaśnij wreszcie – powiedziała Agatha. Wyrzuciła z siebie słowa przez zaciśnięte zęby.

– Ale ja nie mogę zasnąć – jęknęła przez łzy Jessica.

– No to zamknij oczy i leż cicho – powiedziała delikatniej Aggie. Conrad pomyślał, że znakomicie udaje cierpliwą.

Zamknął drzwi. Agatha podniosła wzrok i zauważyła go.

– Dzięki Bogu, kawaleria dotarła – powiedziała. Conrad zdobył się na uśmiech. – Czy mógłbyś iść tam i zamordować nasze dziecko? Rozmawiamy tak od półtorej godziny.

Conrad ze znużeniem skinął głową. Postawił na podłodze aktówkę i poszedł do pokoju Jessiki.

Pokój dziecienny był prawdziwym arcydziełem Agathy. Pomalowała go naprawdę pięknie. Ściany były błękitne. Na jednej z nich była namalowana tęcza, na drugiej – kryształowy pałac. Otaczały go chmury. Im bliżej sufitu, tym ściany były ciemniejsze. Sufit był czarny jak noc. Agatha upstrzyła go gwiazdami i niewyraźnymi, przypominającymi widmo zarysami konstelacji.

Pod tymi właśnie gwiazdami usiłowała zasnąć Jessica. Leżała na piętrowym łóżku, na wysokości policzków wchodzącego do jej pokoju Conrada. Kiedy podszedł, była zwinięta w kłębek i leżała na boku. U jej stóp zwinięta była kołdra w Wielkie Ptaki z *Ulicy Sezamkowej*. Miała na sobie różową koszulkę do spania, spod pachy wystawał jej różowy pluszowy żółw. Conrad wiedział, że to Żółw Tot i ma na imię Moe. Jessica z całej siły przytulała maskotkę. Usta wyginały jej się w podkówkę. Jej oczy były pełne łez.

– Cześć, tatusiu – powiedziała załóżnie.

Conrad uśmiechnął się wbrew sobie. Podciągnął kołdrę i wsunął ją małej pod policzek. Pocałował delikatnie córkę w czoło.

– Co w moim domu robi dziecko z otwartymi oczkami? – szepnął.

- Nie mogę zasnąć.
- Wiesz przecież, że musimy jutro wstąpić. Jedziemy na wieś. Zobaczyć, jak liście zmieniają kolor.
- Wiem. Ale się boję – powiedziała Jessica.
- Czego się boisz?
- Jessica żałośnie pociągnęła noskiem.
- Boję się Frankensteinów – powiedziała. – Oglądałam na Disney Channel program na Halloween i byli tam Frankensteinowie, i teraz się ich boję.
- Ojej – powiedział Conrad.
- Mama mi już mówiła, że tak naprawdę nie ma Frankensteinów. Ale ja nie boję się tych Frankensteinów, którzy są naprawdę.
- Aha. No to których się boisz?
- Tych w mojej głowie.
- Aha.
- Z dziecięcych oczu spłynęła pojedyncza łza. Potoczyła się po nosie i wsiąkła w plusz wiernego Moe.
- Mama mówi, że oni są tylko w mojej głowie. I kiedy zamykam oczy, to ich tam widzę. I boję się ich.
- Przez chwilę Conrad potrafił tylko kiwać głową.
- Ojej – powiedział w końcu. – Taki Frankenstein to prawdziwy zbój.
- Wiem. I nie mogę zasnąć.
- A niech to. – Conrad podrapał się w zamyśleniu po brodzie.
- Może zaśpiewać ci piosenkę?
- Tatusiu, przecież ty nie potrafisz śpiewać.
- No tak. Zapomniałem. No dobra. Pomyślmy przez chwilę.
- Znowu zaczął się drapać w brodę. Córka patrzyła na niego poważnym wzrokiem. Moe wchłonął jeszcze jedną łzę. – No dobra – powiedział w końcu Conrad. – Już wiem. Przepędzimy potwory.
- Jessica pociągnęła noskiem.
- Jak chcesz przepędzić potwory, skoro one są tylko w mojej głowie?
- To bardzo proste – powiedział Conrad. – Ale kosztuje sto

dwadzieścia pięć dolarów za godzinę, w porządku?

– Może być.

– Dobrze, więc teraz zamknij oczy.

– Ale wtedy widzę potwory.

– No cóż, przecież musisz widzieć potwory, jeżeli chcesz je przegonić, mam rację?

Skinęła głową i przymknęła oczy.

– Widzisz je? – zapytał Conrad.

Jessica znowu skinęła głową.

– A teraz – powiedział Conrad – wyobraź sobie pochodnię.

Otworzyła oczy.

– Nie wiem, co to jest pochodnia.

– Taki kij z ogniem na górze.

– Aha, już wiem. – Zamknęła znowu oczy. – Już.

– Dobra, a teraz pomachaj pochodnią przed potworami.

– Po co?

– Bo Frankensteinowie nie cierpią ognia. Zawsze od niego uciekają.

– Skąd wiesz?

– Widziałem na filmie.

– Aha.

– A teraz spróbuj im wetknąć pochodnię w twarz. Widzisz, jak uciekają?

Powoli, nadal z zamkniętymi oczami, Jessica zaczęła się uśmiechać.

– Super – powiedziała. – Super.

Conrad nachylił się i jeszcze raz pocałował ją w czoło.

– Dobranoc, ślicznotko – wyszeptał.

– Dobranoc, tatusiu.

Conrad wrócił do salonu. Agatha podniosła głowę i pokręciła głową.

– Jesteś bohaterem – powiedziała.

– Dlatego, że przepędziłem zmyślone potwory?

Aggie uśmiechnęła się leniwie.

– Takie życie.

Tej nocy kochał się z żoną niepokojony silnym uczuciem tęsknoty.

Nigdy, w całym swoim życiu, nie kochał się z żadną inną kobietą. Czasem śledził je wzrokiem na ulicy. Miał fantazje, czasem też myślał o nich: nagich krzyczących dla niego dziewczętach. Wczesną wiosną zdarzały mu się dni, kiedy myślał, że umrze, jeżeli nie posiadzie jednego z tych młodych stworzeń paradujących obok niego w nowych spódniczkach w kwiaty. Ostatecznie jednak zawsze była to Agatha. Były to jej oczy, zapraszające i lekko rozbawione. Jej piersi, dotyk jej piersi, który dawniej, w ich pierwszych wspólnych latach, wywoływał u niego fizyczny ból. To, jak wciągała gwałtownie oddech, kiedy już dochodziła, sposób, w jaki wypełniały się łzami jej oczy – ostatecznie zwykle mu to wystarczało.

Tej nocy jednak kochał się z nią, lecz ból i tęsknota nie chciały go opuścić. Pocałował ją, wyszeptał jej imię. Palce Aggie musnęły mu szyję, wbiły się w plecy. A on czuł się pusty, czuł coś w rodzaju tęsknoty za domem. Tak jakby coś mu w życiu umknęło. Coś, czego desperacko pragnął, ale czego nigdy nie miał dostać.

Agatha wygięła plecy w łuk, wciągnęła powietrze. Jej oczy zwilgotniały. Potoczyły się z nich łzy. A Conrada ogarnęła panika, bo poczuł, że traci erekcję.

Instynktownie wiedział, co robić. Zamknął oczy. Mruknął: – Aggie. Kocham cię. – I zaczął myśleć o Elizabeth. Zaczął myśleć o bieli jej skóry, o rumieńcu na jej policzkach. Zaskakującej nagości jej drobnych cudownych piersi, odsłoniętych przez rozpinaną na jego oczach koszulę... „Nie chcesz mnie dotknąć?”

Mąż i żona doszli razem i leżeli, dysząc ciężko, w swoich ramionach.

Minęła dziesiąta. Conrad wiedział o tym, nawet nie otwierając oczu. Usłyszał, jak pan Plotkin splotuwa.

Leo Plotkin był emerytowanym pracownikiem branży

konfekcyjnej, który zajmował mieszkanie dokładnie nad Conradami. Był gderliwym starym Żydem, który nie odzywał się do Conrada od czasu, gdy zobaczył, że wnosi do windy choinkę. Każdego wieczoru, z dokładnością mechanizmu zegarowego, punktualnie minutę po dziesiątej, Conrad i Aggie słyszeli, jak pan Plotkin spluwa. Donośny i soczysty odgłos prosto z jego łazienki przedostawał się przez rury grzewcze do ich mieszkania. Conrad nazywał to „charkiem o dziesiątej”. Można było według niego regulować zegarek.

Kiedy tego wieczoru Conrad usłyszał splunięcie, otworzył oczy i spojrzął na Aggie. Podchwyciła jego wzrok i roześmiała się. Przytuliła się do niego i położyła mu głowę na piersi. Przez dłuższą chwilę patrzył na jej włosy. Wdychał ich zapach.

– Mogę ci zadać kretyńskie pytanie? – zapytał po paru minutach.

Agatha nadal opierała głowę o jego pierś. Bawiła się w milczeniu sutkiem męża. Conrad wdychał zapach jej włosów.

– To zależy – szepnęła. – A mogę cię za nie wyśmiać i stracić do ciebie cały szacunek?

– Oczywiście, w przeciwnym razie będę głęboko rozczarowany.

– No to strzelaj.

Conrad wziął głęboki wdech. A potem zapytał:

– Czy uważasz – to znaczy, odkładając na bok Boga i wszystkie inne, wiesz, powiedzmy: kwestie nadprzyrodzone – czy uważasz, że człowiek ma duszę?

– O kurczę – powiedziała Agatha. – No wiesz, mam wprawdzie ciągle do czynienia z wydawcami, ale uważam, że teoretycznie jest to możliwe. A o co dokładnie ci chodzi?

– No rozumiesz, chodzi o to, czy uważasz, że możesz rozmawiać z osobą na przykład chorą psychicznie albo z pacjentem z zaawansowanym alzheimerem czy choćby z kimś z wieloraką osobowością – w każdym razie z osobą, której ego zostało rozbite nie do poznania, i ciągle znaleźć w niej jakąś zasadniczą, podstawową indywidualność? Jakieś własne ja, które



pozostaje niezmiennie bez względu na wszystko?

– No co ty...

Conrad się roześmiał.

– Ach.

Aggie odwróciła się do niego i szybko pocałowała go w zuchwę.

– Jeżeli jeszcze raz odbije ci przy mnie szajba – szepnęła – to ja biorę samochód i mieszkanie.

Conrad uśmiechnął się i skinął głową.

– Nie ma żadnej duszy – powiedziała łagodnie Agatha.

– Człowiek po prostu umiera. Masz czterdzieści lat. Życie nie jest łatwe. Idź spać.

Jeszcze raz go pocałowała, po czym odwróciła się na bok. Po kilku sekundach zaczęła oddychać głęboko i Conrad wiedział, że został sam.

Przestał się uśmiechać. Wbił oczy w sufit.

„Jeżeli jeszcze raz odbije ci szajba”.

Pomyślał, że coś takiego rozwija się w dziwny sposób. Wariowanie, załamanie. Dziwne, bo człowiekowi wydaje się wtedy, że staje się coraz dojrzały, coraz mądrzejszy. Że dysponuje rewelacjami, które zbawią świat. Że cierpiał, ale osiągnął wreszcie wyższy poziom oświecenia. I przez cały czas jest naprawdę spokojny. Jest spokojny, choć na jego szyi zaciska się garota neurozy.

Jeszcze dzień po tym jak zmarła jego matka, Conrad czuł się dobrze. Był silny. W tamtych dniach Nathanowi – długowłosemu studentowi chodzącemu w kolorowych koszulkach – wydawało się, że wzniosł się ponad tak niskie uczucia jak żal. Oczywiście nie miał zamiaru się wznosić ponad pewne bardziej małostkowe uczucia. Był na przykład zły na ojca, że czekał tak wiele godzin, żeby do niego zadzwonić. (Powiedział, że według niego nie było sensu budzić go tak wcześnie złymi nowinami).

I oczywiście był... zasmucony z powodu straty matki. Ale żal? To było takie nieoświecone.

Ojciec powiedział, że w środku nocy mama, zataczając się, wyszła do kuchni, żeby zrobić sobie herbatę. Była oczywiście pijana. Miała na sobie zwiewną jedwabną nocną koszulę. Nathan pamiętał ją: była biała, ozdobiona fioletowymi chryzantemami. Ojciec powiedział, że włączyła palnik na kuchence gazowej. Potem chciała położyć na nim dzbanek do herbaty. Kiedy to zrobiła, płomień skoczył w górę i zaczął lizać jej zwisający luźno zwiewny rękaw. Ojciec powiedział, że koszula nocna musiała stanąć w ogniu jak skrawek papieru. Nathan nie mógł przestać myśleć o tym, że może gdyby była trzeźwa, udałoby się jej go jakoś stłumić. Może też gdyby w domu był ktoś inny niż ojciec...

Dowiedział się od ojca, że mama przeżyła jeszcze całą noc. Nathan nie lubił o tym myśleć. Nie lubił też myśleć o ojcu płaczącym do słuchawki telefonu. Ogólnie rzecz biorąc, mimo wszystko czuł się dobrze. Spokój ciągle był w nim, jak opowiadał pełnej wątpliwości Agacie. Był całkowicie pogodny. Powiedział jej, że dzięki medytacjom, dzięki studiowaniu zen potrafi wykroczyć poza dualizm życia i śmierci. Czas jako taki – czas, w którym zginęła jego matka – był przecież jedynie iluzją. Każdy mógł się o tym przekonać.

Zanim złapał nocny lot do Nowego Jorku, poszedł pomedytować na Seminary Hill.

To była jego ulubiona część dnia. Zmierzch. Kiedy słońce opadało do zatoki wsparte na poduszce z chmur: różowych, lawendowych i zielonych. Pod wpływem wiatru kłębiły się, zawracały i rozszerzały. Nathan siedział na dużym płaskim kawałku skały. Złożył nogi w pozycji półlotosu – pełen lotos był dla niego nieosiągalny z powodu kontuzji kolana. Liczył oddechy, wypuszczał powietrze za pomocą przepony. Pozwolił, by jego umysł odpłynął. Wpatrywał się w słońce. Zatapiał się w *samadhi*, stanie doskonałej koncentracji.

Minęło pół godziny, zanim ktoś go odnalazł. Trafiła na niego wykładowczyni literatury, atrakcyjna młoda kobieta. Poszła na spacer na wzgórze, by pooglądać gwiazdy. Kiedy go zauważyła, zatrzymała się na porośniętym trawą zboczu. Najpierw pomyślała,

że jest pijany. Conrad potykając się, krążył z wyciągniętymi przed siebie rękami w przytłumionym świetle zmierzchu. Poirytowana, lecz rozważna pani profesor miała już zawrócić i ruszyć w stronę ulicy. Ale nagle usłyszała jego krzyk – przenikliwy krzyk bólu. Zanurkowała w światło zmierzchu i zaczęła nasłuchiwać. Usłyszała, jak szlocha. Zbliżyła się do niego o krok.

– W porządku? – zawołała.

– Moje oczy – krzyknął Nathan. – Jezus Maria! Moje oczy!

Odłożyła rozwagę na bok. Podbiegła do niego i chwyciła go za ramiona.

– O, matko!... – szlochał Nathan. – O Jezu. O Jezu. Moje oczy.

Przez dwa dni był zupełnie ślepy. Na pogrzeb matki poszedł z głową owiniętą bandażem. Do grobu za rękę musiała go podprowadzić Aggie. Spojrzał w wykopany dół i nie zobaczył niczego. Musiał sobie wyobrazić trumnę. Matkę w trumnie. Jej otwarte, wpatrzone w niego oczy.

„Ciągle tutaj jestem”.

Leżąc w łóżku, Conrad pogłaskał biodro żony. Biedna Aggie, pomyślał. Nawet wtedy zajęło jej kilka tygodni, zanim przekonała go, by udał się do psychiatry. Gdy wreszcie poszedł, przez kolejne sześć miesięcy nie chciał przyznać, że przeżył załamanie. Dopiero po dziesięciu latach poczuł, że się z tego otrząsnął. Wtedy już sam był psychiatrą.

Od tamtego momentu od czasu do czasu, podobnie jak kolano, dokuczały mu oczy. Bolały go, kiedy miał za sobą długi dzień albo kiedy za mało sypiał. Widział wtedy czerwone błyskawice przypominające powidoki chmur wokół zachodzącego słońca.

„Jeżeli jeszcze raz odbije ci szajba.

Pozwolił dłoni, by ześlizgnęła się po ciele Aggie. Spojrzał w sufit. Do tego momentu, kiedy to się stało, do momentu, kiedy przeżył załamanie, o niczym nie miał pojęcia. W ogóle nie zdawał sobie sprawy, że coś jest nie tak.

Zamknął oczy. Oddychał powoli. Była tam. Była przed nim.

Jej długie jedwabiste złote włosy. Jej szlachetne policzki, jej biała, tak niesamowicie biała skóra. Otwarte połówki rozpiętej koszuli. Elizabeth.

„Nie chcesz mnie dotknąć?”

Jest taka piękna, pomyślał Conrad. Zaczął zatapiać się w sen. Taka piękna.

Budzik w radiu włączył się o ósmej rano. Prezenter mówił coś o prywatnym samolocie, który rozbił się na terenie osiedla niedaleko Houston. Conrad wyłączył radio. Usiadł na łóżku.

Spał mocno. Zdrętwiało mu kolano. Rozprostował je z grymasem na ustach. Ostrożnie zsunął nogę z łóżka. Wstał i utykając, powoli ruszył w stronę łazienki. Wziął prysznic, pozwalając, by gorąca woda zrobiła mu masaż kolana. Myślał o tym, że miał jakiś inny sen. Coś o szpitalu. Spróbował go sobie przypomnieć, lecz obrazy odpłynęły od niego jak chmury. Wyszedł spod prysznic. Wytarł się i owinął ręcznik wokół bioder. Wychylił się z łazienki. Agatha czekała już pod drzwiami. Uśmiechnęła się do niego z półotwartymi oczami.

Pocałował ją.

– Jak się spało?

– Mm... dobrze. Zaspokojonym kobietom zawsze dobrze się śpi.

Minęła go i weszła do łazienki. Conrad wrócił do sypialni. Kolano bolało go już nieco mniej.

Wyjrzał przez zasłony. Dzień był szary, ale nie padało. Będzie dobrze, byleby nie zaczęło lać, pomyślał. Podeszedł do szafy we wnęce i ubrał się, czekając, aż Agatha wróci spod prysznic. Włożył dzinsy i brzoskwiniową zapinaną na guziki koszulę. Mieli jechać na wieś, więc odpowiedniejsza byłaby raczej bluzka. Nie czuł się jednak dobrze w bluzkach. Właściwie nie czuł się dobrze w niczym poza szarymi garniturami.

Skończył zapinać guziki koszuli i wrócił do okna. Rozsunął zasłony.

Aggie wyszła z łazienki. Conrad odwrócił się i kątem oka

zauważył, jak przechodzi obok drzwi. Zawijając pasek białego szlafroka, kierowała się w stronę kuchni. Chwilę później usłyszał jej głos:

– Wstajemy, dziecinko. Słoneczko już wysoko.

Conrad wszedł do salonu. Agatha kładła właśnie na stole pudełka z płatkami. Otręby z rodzynekami dla niego, musli dla siebie i prażony ryż dla małej. Wróciła do kuchni, śpiewając po drodze:

– Wstajeeemy, śpiochu. Musimy zdążyć przed korkami!

Conrad usiadł przy stole. Aggie wróciła z miseczkami i mlekiem.

– Przez te gnijące Frankensteiny strasznie późno zasnęła – powiedziała. – Zanim wyruszymy, będzie południe.

Poszła do pokoju dzieciennego.

– Kochanie! Wstajemy!

Conrad uśmiechnął się. Nasypał sobie do miseczki płatków.

– Nathan? – zapytała nagle zza jego pleców Aggie. – Czy Jessie już wstała?

– To znaczy?... – Sięgnął po mleko. Powąchał, czy nie skwaśniało.

– Nie ma jej w łóżku – powiedziała Agatha.

Conrad oblał swoje płatki mlekiem.

– Jak to, nie ma?

– Normalnie, nie ma – odparła Agatha. Ruszyła przez salon w stronę łazienki. – Może już wstała? Jessie? – zawołała.

Conrad odłożył mleko i nastawił uszu. Z łazienki dobiegł do niego głos Aggie.

– Jessie? – zawołała raz jeszcze.

Conrad odsunął krzesło. Wstał i poszedł do dzieciennego pokoju.

– Jak to, nie ma jej w łóżku? – mruknął. – No to gdzie niby ma być?

Usłyszał, jak Aggie woła tym razem w sypialni:

– Jessie? Jesteś tu? Kochanie?

Conrad wszedł do pokoju. Piętrowe łóżko było puste. Kołdra

Jessiki leżała w nogach materaca. Pluszowy żółw zniknął.

Pewnie jest w szafie, pomyślał Conrad. Wchodziła tam czasem, by z dala od wszystkich pobawić się zabawkami.

Podszedł do wnękowej szafy i zajrzał do środka. Było tam przygotowane dla Jessiki wolne miejsce. Otaczały je różne pluszowe zwierzęta. Małej jednak nie było w środku.

Conrad wrócił do salonu. Agatha czekała tam na niego.

– Znalazłeś ją? – zapytała.

– Nie. Szukałaś w sypialni?

– Tak. Nie ma jej tam. – Agatha uśmiechnęła się do niego ze zdziwieniem. – Gdzie ona mogła pójść?

– Musi być w sypialni – stwierdził Conrad. – No bo gdzie indziej?

Conrad sam poszedł do sypialni. Agatha ruszyła za nim. Gdy tylko zajrzał do środka, wiedział już, że pokój jest pusty. Mimo to popatrzył do szafy. Sprawdził miejsce po drugiej stronie łóżka, przy oknie. Spojrzał na żonę zdziwiony.

– Nathan? – zapytała.

– Gdzie ona jest? – dziwił się dalej Conrad.

Agatha otworzyła usta.

– O mój Boże!... balkon – powiedziała przejęta.

– Wie, że nie może tam wchodzić – spróbował ją uspokoić Conrad. Kiedy jednak żona wybiegła z pokoju, szybko popędził za nią.

Aggie dotarła na miejsce pierwsza i otworzyła szklane drzwi. Wyszła na balkon. Conrad wszedł za nią. Widział, jak bierze głęboki wdech, podchodząc do poręczy. Wyjrzała na dziedziniec poniżej. Conrad stał za nią. Drżąc na całym ciele, czekał, aż się odwróci.

Popatrzył na nią i ulżyło mu.

– Nie – powiedziała. – W porządku. – A potem znowu na niego spojrzała. – No to gdzie...?

Oboje wrócili do salonu. Kręcili się to tu, to tam, rozglądając się bez sensu.

– Jessica – zawołała Aggie. – Schowałaś się?

– Jessica! – krzyknął Conrad rozkazującym tonem. Zajrzał za jeden z foteli. Aggie podeszła do szafy i sprawdziła w środku.

– Jessico – powiedziała Aggie. – Nie chowaj się, kotku. Mamusia się boi. – Odwróciła się od szafy. Conrad zauważył pełen napięcia wyraz jej twarzy. Jej czoło było pomarszczone, usta ściągnięte w dół. – Jessica!

Conrad doznał nagle olśnienia: nachylił się i zajrzał pod stół jadalny. Naprawdę był przekonany, że Jessica będzie tam kucać, śmiejąc się i tuląc Żółwia Toda. Był przekonany, że usłyszy, jak mała krzyczy: „Buu!” – i zacznie się głośno śmiać.

Ale Jessiki tam nie było.

– Jessica! – zawołała znowu Aggie.

Conrad usłyszał w jej głosie drzenie. Z trudem przełknął ślinę.

– Kochanie – powiedziała Agatha. – Przestań się chować, dobrze? Naprawdę. Kochanie, mamusia naprawdę się boi.

Spojrzała znowu na Conrada. Zacisnęła kurczowo palce na szlafroku przy szyi.

– Jak myślisz, czy mogła wyjść na korytarz, czy...?

Nagle zamilkła. Jej oczy się poruszyły. Przeniosły się z niego na drzwi do mieszkania. Conrad widział, że szarzeją jej policzki. Widział, jak na jej twarzy pojawia się tak czyste, tak otępiałe przerażenie, aż jego serce zatrzeszczało jak wytarty silnik. Zrobiło mu się miękko w kolanach.

– Co? – zapytał. – Co to...

– Nathan. – Agatha ledwo była w stanie wydusić z siebie jego imię. – O mój Boże!... Nathan...

Conrad odwrócił się. Odwrócił się i pobiegł oczami za wzrokiem Aggie. Spojrzał na drzwi.

– Jezu Chryste – przeraził się.

Łańcuch zwisał luźno. W dwóch kawałkach. Był przecięty dokładnie w połowie.

Conrad poczuł ucisk w gardle.

– Nathan... – Agatha i tym razem ledwo zdołała wyszeptać jego imię.

Conrad podbiegł do drzwi. Położył dłoń na gałce. Drzwi się otworzyły. Oba zamki były otwarte. Conrad wyjrzał na korytarz. Nikogo. Nie było tam nikogo. Usłyszał, jak z tyłu Aggie krzyczy dzikim, drżącym głosem:

– Jessie! Jessie, wracaj tu natychmiast, kochanie! Proszę, kochanie! Mamusia się boi! Proszę...

Conrad odwrócił się do niej z dzikim wzrokiem. Agatha jedną ręką ścisnęła ciągle szlafrok. Drugą zakrywała sobie usta. Wpatrywała się w niego.

– O Jezu – powiedziała. – O Jezu, Nathan. Moje maleństwo. Dzwon na policję. O Boże...

Ugięły się pod nią kolana. Szybko wyciągnęła przed siebie rękę. Złapała się oparcia fotela.

Conrad wbiegł do pokoju. Przyskoczył do stojącego na stoliku telefonu.

– O Boże – powtórzyła Aggie.

Conrad złapał za słuchawkę. Dotknął klawiszy. W głośniku nie było sygnału. Gdzie, do diabła, jest sygnał? Zaczął szybko naciskać klawisze. Żadnego dźwięku. Co, do diabła, co jest...?

Nagle usłyszał dźwięk. Głos. W telefonie, w słuchawce. Czysty, mocny głos. Mówił coś do niego drwiącym spokojnym tonem. Był całkowicie opanowany.

Powiedział tylko jedno zdanie.

– Dzień dobry panu, doktorze.



## CZEŚĆ DRUGA

## NIKOMU ANI SŁOWA

Porwanie dziecka było proste. Dziecinnie proste.

Kilka minut po trzeciej w nocy Jajo opuścił mieszkanie Sinclair. Zjechał windą na sam dół. Dorobionym wcześniej kluczem otworzył drzwi na dziedziniec. Przeszedł przez podwórko do apartamentowca Conradów. Przyjemna noc, zauważył. Chłodne powietrze. Czyste niebo. Pas niewyraźnych gwiazd między oboma budynkami – idąc, patrzył na nie i nucił sobie.

Jedynym poważnym problemem okazał się zamek do drzwi na dziedziniec w drugim budynku. Był zbyt solidny. Jajo nie był w stanie rozbroić go swoim wytrychem. Żeby go podważyć, musiał użyć ostro zakończonych szczypiec. Walcząc z zasuwą, nucił *All or Nothing at All*. Zdaniem Jaja, Sinatra spieprzył tę piosenkę. Zasuwa odskoczyła i rygiel się podniósł. Zajęło to nie więcej niż sześćdziesiąt sekund.

Wszedł do sutereny i zapalił niewielką latarkę. Podążył za snopem światła w stronę centralki telefonicznej. Dolenko, który zajmował się elektroniką, dał mu mały nadajnik: czarne plastikowe pudełko wielkości dłoni. Były do niego podłączone dwa krokodylkowe zaciski. Dolenko wyjaśnił Jajowi, jak ma się podpiąć pod linię telefoniczną Conrada. Okazało się to bardzo proste. Zaciski w centralce były wyraźnie oznaczone: 5D. Nadajnik natychmiast zaskoczył. Proste jak drut.

Po wszystkim Jajo po prostu ruszył w górę schodami, unikając portiera w holu. Szybko wspiął się na piąte piętro.

Miał na sobie ciemne ubranie: czarne spodnie i granatową wiatrówkę. Kieszenie jej wypchane były narzędziami. Pod pachą Jajo trzymał koc. Tak czy inaczej doszedł do wniosku, że wygląda całkiem normalnie. Gdyby spotkał kogoś na schodach, po prostu uśmiechając się, pomachałby mu ręką. Oczywiście o trzeciej w nocy było to mało prawdopodobne. I rzeczywiście, nie natknął się na nikogo.

Na piątym piętrze zostawił za sobą schody i podszedł do drzwi mieszkania Conradów. Dopiero teraz, pomyślał, czeka go bardziej złożone zadanie. Będzie musiał pracować nad zamkiem na korytarzu. I tym razem wszystko poszło bez problemów. Zamek był dobrze naoliwiony i szybko odskoczył. Blokada – to była pestka. Trzasnęła w momencie, kiedy Jajo wsunął wytrych w dziurkę. Pchnął powoli drzwi, by dostać się do łańcucha. Na swoje szczęście przyniósł ze sobą ciężkie nożyce do cięcia metalu.

Wsunął je przez szparę w drzwiach. Ostrożnie umieścił szczęki między dwoma ogniwami. Ścisnął mocno uchwyty nożyc. Trzasnęło. Dźwięk przypominał wystrzał z karabinu – był zaskakująco głośny.

– Cholera! szepnął Jajo.

Wstrzymał oddech. Ktoś musiał to usłyszeć. Przykucnął w korytarzu. Łańcuch zwisał swobodnie w dwóch kawałkach. W mieszkaniu panowała cisza. Po chwili Jajo parsknął cicho i wzruszył ramionami. Chyba nie, pomyślał. Wszedł do środka.

Cicho zamknął za sobą drzwi. Poszedł szybko do pokoju dziecinnego. Znalazł dziewczynkę śpiącą w swoim piętrowym łóżeczku. Leżała na boku, twarzą do Jaja. Miała otwarte usta. Pod pachą ścisnęła jakiegoś różowego pluszowego zwierzaka.

Śliczne dziecko, pomyślał Jajo. Śpi sobie jak u Pana Boga za piecem. Uśmiechnął się. Pomysł, by porwać ją, kiedy jej mamusia śpi sobie smacznie tuż obok, był bardzo zabawny.

Wyciągnął z kieszeni słoik. W połowie wypełniała go bezbarwna ciecz – chloroform. Wyciągnął szmatkę i zwilżył ją, trzymając przy otworze słoika. Kiedy przyłożył materiał do ust dziewczynki, obudziła się na sekundę. Zamrugęła oczami. Spojrzała na niego zaspanym wzrokiem. Potem musiała zacząć się dusić, bo jej oczy się rozszerzyły i pojawiło się w nich przerażenie. Jajo uśmiechnął się, mocniej przyciskając szmatkę. Po chwili oczy małej zamknęły się. Jajo poczuł, jak jej ciało wiotczeje mu w rękach. Roześmiał się cicho.

Rozłożył na podłodze koc. Ściągnął dziewczynkę z łóżeczka i położył ją na ziemi. Obok niej postawił maskotkę. Mogła się

przydać do tego, by dziewczynka była pogodna i siedziała cicho, zanim ją zabiją. Owinął małą w koc, zakrywając ją od stóp do głowy.

Potem Jajo przerzucił sobie dziewczynkę przez ramię. Postanowił zostawić Maxwella w mieszkaniu Sinclair. Olbrzym poruszał się równie cicho jak batalion czołgów. Poza tym gdyby położył łapska na dziewczynce, mógłby się podniecić i wszystko zepsuć. Teraz jednak Jajo żałował, że nie wziął ze sobą osiłka. Chryste, ile może ważyć dziecko? Jeżeli będzie nieostrożny, może nadwerężyć sobie kręgosłup.

Zaniósł ją przez korytarz do drzwi. Dyszał już ciężko, kiedy dotarł do klatki schodowej.

Na dole musiał chwilę odpocząć. Zatrzymał się na klatce na poziomie sutereny. Położył owiniętą w koc dziewczynkę obok ściany przy schodach. Oparł się o ścianę, pocąc się obficie i chwytając łąpczywie powietrze. Po kilku minutach sięgnął do drzwi klatki schodowej. W tym samym momencie usłyszał szum splukiwanej w toalecie wody – tuż obok, w suterenie.

Jajo zamarł. To musiał być portier. Pewnie zszedł na dół, żeby się wysikać. Jajo poczuł nagle, że serce wali mu jak młot.

Wbił szeroko otwarte oczy w drzwi klatki schodowej. Na czole pojawiły się krople potu, które zaczęły mu spływać do oczu. Tuż za drzwiami usłyszał kroki portiera. Sięgnął do prawej kieszeni i poczuł w niej dotyk noża sprężynowego. Był na miejscu, objając się o nożyce i wytrych. Jajo złapał go, ale to tylko pogorszyło sprawę. Zaczął się trząść.

Pieprzony tchórz, pomyślał. Pomyślał to głosem swojej matki, jej kocim miauczeniem. Pieprzony, bezmózgi, zasmarkany tchórz.

Kroki portiera zabrzmiały bliżej. Jajo wyobraził sobie, jak ostrze noża pograża się w brzuchu mężczyzny. Wyobraził sobie, co w tym momencie by czuł. Ustupający opór ciała. Krew. Poczucie słabości w ramieniu, którego mięśnie nagle zamieniły się w gumę. Nie mógłby tego zrobić. Wiedział, że nie mógłby tego zrobić.

Portier minął drzwi. Chwilę później Jajo usłyszał dźwięk otwieranej windy. Jeszcze sekunda i drzwi się zamknęły. Nastąpiła cisza. Jajo wziął głęboki wdech. Pchnął drzwi i wyjrzał przez szparę. Suterena była pusta.

Jajo roześmiał się. Wypuścił nóż z ręki. Przytrzymał stopą drzwi i zarzucił sobie dziewczynkę z powrotem na plecy. Wyniósł ją na dziedziniec i ruszył w stronę swojego budynku.

W mieszkaniu Sinclair – w swoim mieszkaniu – znalazł się dokładnie siedemnaście minut po tym, jak je opuścił. Było to dziecinnie proste.

Mieszkali we trzech, nie licząc dziecka. Jajo, Maxwell i Dolenko. Dolenkę sprowadził Świrus. Był jego przyjacielem, to znaczy kiedy jeszcze Świrus był żywy, czyli zanim Maxwell go zabił. Dolenko spotkał Świrusa w jednym z klubów nocnych, do których Świrus lubił chodzić. W starych dobrych czasach Świrus zabierał Jaja do tych klubów, gdzie było mnóstwo pedałów w skórzanych kurtkach, przynajmniej tak wydawało się Jajowi. Czasem można tam było nawet zobaczyć seks na żywo. Kiedyś Jajo widział, jak goście klubu gwałcą na barze dziewczynę. Miała związane ręce, a jej głowę zakrywała skórzana maska. Wszyscy przy barze kibicowali gwałcicielom. Ujrawszy to, Jajo pokręcił głową. Pieprzone pedały, pomyślał; nie było rzeczy, której by nie zrobili. Ale Świrus lubił takie akcje.

Po wyjściu z baru Jajo i Świrus wracali do swojego mieszkania w Flushing. Świrus i Jajo dzielili ze sobą dom, tylko we dwóch. Wracali tam i spędzali razem wieczór, śmiejąc się z pedałów, których chwilę wcześniej obserwowali. Tańczyli ze sobą w samej bieliźnie albo nawet nago, naśladując pedałów. Udawanie ich rozśmieszało Jaja. Kumpłowanie się ze Świrusem było fajne.

Potem jednak Świrus spotkał w jednym z klubów Dolenkę. Gość pracował jako elektryk w miejskim wydziale transportu. Był szczupły i muskularny. Kiedy zdejmował koszulkę, można było dostrzec każde ścięgno wypychające jego skórę. Wyglądało to, jakby przez cały czas się napinał. Jego szczupła twarz sprawiała

podobne wrażenie. Krótkie czarne włosy z siwymi pasemkami zaczesywał na języka. Ściągnięta rysowały mu się również na karku. Oczy zawsze miał wybałuszone, a usta drżące i wykrzywione.

Dolenko wyglądał tak częściowo dlatego, że ćpał kokę. Zawsze był nabuzowany, zawsze naszprycowany. Mimo to Świrus przypadł mu do gustu. I bardzo szybko to Świrus i Dolenko zaczęli spędzać większość czasu razem. Świrus prawie w ogóle przestał wracać do Jaja – do domu.

– Co z tobą, pedał jesteś czy co? – pytał Świrusa Jajo. – Ciągłe gdzieś z nim łazisz.

Świrus jednak w charakterystyczny sposób odrzucał tylko rudą czuprynę i mówił:

– Odpierdol się. Jest śmieszny. Lubię go.

I tyle.

Początkowo właśnie dlatego Jajo zainteresował się Maxwelllem: żeby odplacić Świrusowi za kumplowanie się z Dolenką. Kiedy Maxwell trafił do Rikers, Jajo wychodził z siebie, żeby zaprzyjaźnić się z nowym więźniem. Ten zaś nienawidził wyspy: krat, bezustannego hałasu, twardych spojrzeń innych mężczyzn. Był jak przerażone zwierzę w klatce, więc ucieszył się, że jeden ze strażników okazuje mu sympatię. Jajo powiedział Maxwellowi, żeby odwiedził go po wyjściu z pudła. I Maxwell to zrobił. Skoro więc Świrus i Dolenko tak bardzo chcieli się z sobą kumplować, Jajo zaczął się kumplować z Maxwelllem.

– Popatrz tylko na tego kolesia – powiedział Świrus, kiedy zobaczył Maxwella. – Jajo, to przecież jakieś pieprzone monstrum! Człowieku, to jakiś pieprzony Frankenstein! Kumplujesz się z Borisem Karloffem.

– Lubię go – odpowiedział z uśmiechem Jajo. – Jest śmieszny. Rozumiesz?

Początkowo stosunki między nimi wszystkimi były napięte. Ale po jakimś czasie wszystko się wygładziło. Pewnego dnia Jajo opowiedział Świrusowi o tym, co Maxwell lubi robić z kotami. Świrus stwierdził, że to przekomiczne. Przyniósł Maxowi małego kotka i kazał Jajowi i Dolence siedzieć przy stole jadalnym, kiedy

Maxwell go zabijał. Olbrzym wyciął kociakowi język, tak by nie mógł miauczeć, po czym jedną po drugiej połamał mu nogi, aż wreszcie go udusił. Najśmieszniejsze było jednak to, że Świrus kazał mu to zrobić bez majtek. Kiedy Max porządnie się podniecił, Świrus złapał go za krótkiego grubego kutasa i tak długo walił mu konia, aż wreszcie Max zaczął krzyczeć i trysnął, plamiąc całe mieszkanie.

– Pedały! – krzyczał na nich Jajo. Śmiał się jednak przez cały czas. Świrus też się śmiał, zaśmiewał się, aż opadł z sił.

Potem zostali naprawdę dobrymi przyjaciółmi.

Teraz było ich już tylko trzech. Jajowi było z tego powodu przykro. Tęsknił za Świrusem. Było mu przykro, że Maxwell podciął Świrusowi gardło. Jego zdaniem nigdy by się to nie wydarzyło, gdyby Świrus nie zaczął się kumplować z Dolenką.

Wróciwszy od Conradów, Jajo położył dziewczynkę w sypialni. Mieszkanie Sinclair umebłowali dosyć skromnie, ale w sypialni był materac i telewizor. Okna zakrywały ciężkie zasłony. Na podłodze stała niewielka lampka. Rzuciła na białe ściany długie cienie.

Jajo położył małą na materacu i odwinął ją z koca. Leżała na boku bez ruchu. Miała na sobie długą flanelową koszulkę do spania. Przy szyi ozdobiły ją czerwone wstążki, a we wszystkich innych miejscach – serduszka. Koszulka podwinęła się dziewczynce powyżej talii. Pod spodem była naga. Widok jej nagości sprawił, że Jajo poczuł się niewyraźnie. Pociągnął koszulkę w dół. Pokręcił głową. Położył obok małej pluszowego zwierzaka.

Przez cały czas Maxwell stał za Jajem i patrzył. Dolenki nie było w mieszkaniu. Wyszedł, by zająć się biurem Conrada, i jeszcze nie wrócił. Maxwell stał i spoglądał Jajowi przez ramię. Jego oczy pojaśniały. Wielkie jak u niedźwiedzia grizzly ramiona nerwowo zwisały mu po bokach. Miał dziwny wyraz twarzy, błąkał się po niej rozmarzony uśmiech. Jajowi się to nie spodobało. Gdy Maxwell się już podniecił, nie było sposobu, by go powstrzymać.

Kiedy więc Jajo skończył zajmować się dzieckiem, odwrócił się do Maxa.

– Posłuchaj – rzekł. Żeby na niego spojrzeć, musiał wyciągnąć szyję. Podniósł palec na wysokość niewielkiej twarzy z zapadniętymi oczyma i wydętymi wargami. – Na razie musisz ją zostawić w spokoju, w porządku? Teraz, nie możesz jej nic zrobić. To by wszystko zepsuło. Rozumiesz?

Maxwell zatarł ręce. Wpatrywał się w dziecko. Wyglądał na zakłopotanego.

– Tylko jej dotknę – zapewnił. – Niczego nie zepsuję.

– Nie – stanowczym głosem zakazał Jajo. Przypominało to mówienie do psa. – Nie możesz jej dotknąć. Podniecisz się i stracisz nad sobą kontrolę. Zanimbyś się zorientował, byłoby po wszystkim. Wiesz, że mam rację, prawda? Prawda?

Przez chwilę wzrok Maxwella krążył między Jajem a dziewczynką. Jajowi włosy zjeżyły się na karku. Pomyślał o Świrusie, wierzgającym nogami, trzęsącym się i wykrwawiającym na oczach Maxwella. Maxwella i jego stojącego kutasa.

Po chwili jednak Maxwell się odwrócił.

– Chciałem tylko popatrzeć – usprawiedliwił się.

– Dobry chłopiec – pochwalił go Jajo. Poklepał Maxa po grubym ramieniu. – Możesz na nią patrzeć, w porządku. Ale drzwi zostaw otwarte. Chciałbym spróbować się zdrzemnąć przez jakąś godzinę.

Maxwell z wdzięcznością skinął głową. Postawił przy ścianie krzesło i usiadł na nim. Nachyliwszy się z przygarbionymi ramionami i ciężkimi łapskami zwisającymi między nogami, wpatrywał się w dziewczynkę. Jajo przeszedł do salonu. Zostawił drzwi otwarte. Mimo wszystko postanowił poczekać na powrót Dolenki, zanim spróbuje zasnąć.

W salonie stały dwie sofy, stolik do kawy i trzy składane krzesła. Było tam też kilka lamp stojących. Poza tym szeroka podłoga była pusta. Wszystkie meble Lucii Sinclair zostały wyniesione. Wspaniałe fotele i imponujące regały. Palisandrowe



gabloty z porcelanowymi bibelotami. Wszystko zabrał wnuk Lucii Sinclair. Przyleciał z San Francisco na pogrzeb i zatrzymał się na parę dni, by zająć się meblami. Tego samego dnia, kiedy policja zwinęła znaczącą miejscę zbrodni żółtą taśmę, całkowicie wyczyścił mieszkanie. Dziesięć dni po śmierci staruszki jej luksusowe lokum było puste. Nazajutrz wprowadzili się Jajo, Maxwell i Dolenko.

Kiedy Dolenko wrócił z biura Conrada, Jajo leżał na jednej z sof. Zamknął oczy, próbując zasnąć. Wyobraził sobie siebie śpiewającego w klubie nocnym. W ten sposób uspokajał umysł. Wyobrażał sobie siebie w smokingu, z cygarem w zębach i piosenką *All or Nothing at All* na ustach. Kobiety siedziały przy stolikach i wzdychały. Ich mężczyźni patrzyli na niego spode łba z niechętnym podziwem. Po chwili jednak myśli Jaja się poplątały. Nadal usiłował śpiewać w nocnym klubie, tyle że w rezultacie głośno pierdział. To było okropne. Brzmiało jak trąbka. Publiczność się zaśmiewała. Kobiety zasłaniały białymi dłońmi czerwone usta. Mężczyźni walili w białe stołów i rechotali. Nie potrafił się powstrzymać. W tym momencie Dolenko trącił go w ramię.

– Jajuś, ona wstaje – powiedział. Potrząsnął Jajem.

Jajo otworzył oczy i gwałtownie usiadł.

– Co?

– Budzi się, stary.

– Aha. W porządku. W porządku.

Jajo obiema dłońmi potarł twarz. Spojrzał ogłuszony na Dolenkę. Ten stał nad nim, kołysząc się na palcach. Kiwał szybko bez powodu głową. Pośpiesznie żuł gumę. Mięśnie jego szczęki odstawały od kości i ciężko pracowały. Zamglone od kokainy oczy poruszały się prędko.

– Dzięki, Dolenko. Dzięki – powiedział Jajo. Spojrzał na zegarek. Piąta piętnaście.

Wstał i poszedł do sypialni.

Dziewczynka wierciła się na łóżku. Odwróciła się na plecy i przetarła oczy dłonią. Maxwell stał przed krzesłem. Patrzył na nią

swoimi ogromnymi oczami. Jajo słyszał, jak dyszy.

Dziewczynka zamrugła i rozejrzała się.

– Mama? – powiedziała. Potem odwróciła się i zauważyła Jaja i Maxwella. – Gdzie jest mama? Mama. – Spróbowała usiąść. – Au! – jęknęła. Podniosła dłoń do głowy. Spojrzała na obu mężczyzn. Jej usta zaczęły drżeć. Policzki zrobiły się czerwone.

– W porządku, maleńka – powiedział Jajo. Jego młodzieńcza twarz tryskała radością i życzliwością.

– Gdzie jest mama? – zapytała dziewczynka.

Jajo posłał jej promienny uśmiech.

– Posłuchaj, maleńka, mamy tutaj nie ma i nie będzie, rozumiesz? Ale my się tobą zaopiekujemy. Mamy telewizor i w ogóle. Będzie super.

– Chcę do mamy. Proszę. – Dziewczynka zaczęła płakać.

– Gdzie jest mama?

Szlag by to, pomyślał Jajo. Nie przestawał się jednak uśmiechać.

– Nie płacz, maleńka. Naprawdę się tobą zaopiekujemy – powtórzył. – Może włączymy telewizor i...

Dziewczynka zaczęła płakać głośniej. Wciągnęła mocno powietrze.

– Mamo! Mamo! – wrzasnęła.

– Ożeż, kurwa – mruknął Jajo.

Pobiegł szybko do drugiego pokoju po chloroform. Słyszał za sobą, jak mała ryczy. Szlochała tak mocno, że ledwo była w stanie mówić.

– Mamo! Mamo! – powtarzała.

Jajo zwilżył szmatkę i wrócił z nią do sypialni. Kiedy wbiegał, Maxwell stał tuż obok łóżka. Trzymał ręce uniesione przed sobą. Oddychał ciężko; z gardła wydobywał mu się zabawny bulgot. Dziewczynka kulila się przy ścianie, tuląc w ramionach pluszowego misia. Patrzyła na Maxwella i płakała tak mocno, że nie była w stanie wymówić słowa. Kiedy Jajo podbiegł, odwróciła się do niego i udało jej się powstrzymać szloch na tyle, by jęknąć:

– Proszę. Proszę. Ja chcę do mamy.

Jajo stanął tuż przy niej. Cofnęła się, ale zdążył ją złapać jedną ręką za kark, a drugą spróbował jej zatkać usta szmatką. Wyrwała mu się, kręcąc głową.

– Nie! Nie! – szlochała. – Proszę.

Jajo przycisnął jej szmatkę do ust. Ale dziewczynka znowu mu się wyrwała. Złapała powietrze, szlochając. Jajo przyciągnął jej głowę i wepchał szmatkę w usta. Poczul, jak mała rzuca się do przodu. W tym samym momencie zwymiotowała na łóżko, pokrywając je obficie, żółtą mazią.

– O kurwa – krzyknął Jajo. Wycofał się w odpowiedniej chwili, by uciec przed strumieniem.

– O nie... – załkała dziewczynka, patrząc na własne wymioty.  
– O nie.

Krwawiła jej warga. Znowu zaczęła szlochać.

Jajo przycisnął jej głowę do szmatki.

– Zamknij się wreszcie!... – rozkazał.

Tym razem dziewczynka nie próbowała uciec. Patrzyła ponad szmatką na Jaja. W jej oczach pojawiły się łzy. Potem opadły na nie powieki i mała zwiotczała. Jajo pozwolił jej opaść na łóżko. Pomachał dłonią przed twarzą, starając się przegonić smród wymiotów.

Klnąc pod nosem, wyciągnął spod dziewczynki zabrudzony koc. Zwinął go i cisnął w kąt. Potem podniósł wzrok i zauważył Maxwella.

Olbrzym stał ciągle z uniesionymi rękami. Miał czerwone policzki. Wydawało się, że zmarł. Popatrzcie tylko, pomyślał Jajo, kutas sterczy mu jak tyczka.

Wyprostował się i poklepał Maxa po ramieniu.

– Chodźmy – powiedział, starając się, by w jego głosie nie zabrzmiał gniew.

Zostawili dziewczynkę w sypialni i zamknęli za sobą drzwi.

Nadszedł ranek, a Maxwell ciągle siedział i wpatrywał się w drzwi. Zajął jedno ze składanych krzeseł. Siedział nachylony do przodu, pocierając ręce jedna o drugą. Nie odrywał wzroku od

drzwi.

Jajo i Dolenko znajdowali się po przeciwnej stronie pokoju, obok prowadzących na balkon szklanych drzwi. Jajo siedział na składanym krześle, trzymając na kolanach przenośny telefon. Dolenko stał za nim. Do wyłupiastych oczu miał przyklejoną lornetkę. Celował nią w linię okien po drugiej stronie dziedzińca. Kołysał się w górę i w dół na palcach.

Dolenko spojrział przez lornetkę i zachichotał. Miał piskliwy śmiech, jak dziewczyna: Hi! Hi! Hi!

– Popatrz na to. Ciągłe nic nie wiedzą. Siedzą przy śniadaniu.  
– Nawet jego głos wydawał się zyłasty i napięty. – Och, super. Cycata idzie do dziecinnego. Hi! Hi! Hi! – zaśmiał się znowu. – Szukają jej. Gdzie ona jest, papuńciu? Nie mam pojęcia, mamciu. Gdzie ona może być? Hi! Hi! Hi!

Jajo parsknął. Pokręcił głową nad płytkim poczuciem humoru Dolenki, ale i jemu wymknął się uśmiech. Siedział rozwalony w krześle i spoglądał przez drzwi. Nawet bez lornetki wyraźnie widział Conradów: dwie niewielkie postaci biegające po mieszkaniu po drugiej stronie dziedzińca. Poruszały się w coraz bardziej rozpaczliwym tempie.

Dolenko zaczął kołysać się szybciej.

– Widzą drzwi! Widzą drzwi! – powiedział.

Jajo położył rękę na słuchawce. Cokolwiek by mówić o Dolence, pomyślał, trzeba przyznać, że facet zna się na tej swojej elektronice. Początkowo Jajo chciał założyć w mieszkaniu Conrada pluskwy albo nawet umieścić w nim jakieś ukryte kamery. Kiedy okazało się to niewykonalne, Dolenko wpadł na pomysł z przekaźnikiem. Dzięki temu telefon Conrada był podłączony prosto do przenośnego telefonu Jaja. Jajo go słyszał – a Conrad mógł dzwonić tylko do niego.

Jajo podniósł słuchawkę do ucha.

Chwilę później zobaczył, jak Conrad biega w poszukiwaniu telefonu. Kiedy lekarz uniósł słuchawkę, Jajo usłyszał kliknięcie. Słyszał, jak Conrad naciska klawisze, jak uderza w przycisk pod słuchawką. Potem nastąpiła chwila ciszy.

Jajo wziął oddech i odezwał się cicho. Był podniecony, ale starał się, by jego głos był równy i spokojny.

– Dzień dobry panu, doktorze – powiedział. – Nazywam się Jajo.

Po drugiej stronie zaległo milczenie. A potem Conrad wyrzucił z siebie:

– Co do jasnej!...

Jajo przerwał mu.

– Proszę mnie posłuchać. Nikomu ani słowa. Mamy pańską córkę.

Tym razem pauza była dłuższa.

– Kim jesteś? Kim, do diabła, jesteś? – powtarzał Conrad.

– Przez kilka dni pracowałem nad pańskim mieszkaniem, doktorze. Umieściłem tam kamery – widzę, co pan robi. Umieściłem też mikrofony, więc słyszę, co pan mówi. Nawet niezłą ma pan koszulę. – Jajo zmrużył oczy. – Do twarzy panu w pomarańczowym. I częściej powinien pan chodzić w dzinsach.

– Patrzcie na niego. Patrzcie na niego: facet szuka kamer – wyszeptał Dolenko. – Hi! Hi! Hi! Rozgląda się. O kurwa! Gdzie są kamery? – Roześmiał się.

Jajo uciszył go machnięciem ręki. Wzrok nadal miał utkwiony w oknie po drugiej stronie, w postaci Conrada.

– Jeżeli spróbuje pan wyjść – mówił dalej – jeżeli w jakikolwiek sposób spróbuje się pan z kimkolwiek skontaktować, zabiję pańską córkę. Jeżeli spróbuje pan rozmontować moje urządzenia, jeżeli w ogóle zrobi pan cokolwiek podejrzanego, zabiję ją.

– Sukinsynu. Gdzie moja córka? Chcę rozmawiać z...

– Ups! – powiedział Jajo. Uśmiechnął się. – Błąd. Jeżeli popełni pan jeszcze jeden błąd, skrzywdzimy pańską córkę. Kolejny błąd, a pańska córka umrze.

Zaczekał chwilę. Żałował, że nie widzi, jak nadziany doktorek z Park Avenue rozdziawia gębę.

– W porządku – rzekł po chwili Conrad. – Czego chcesz?

Uśmiech Jaja rozszerzył się. Jego oczy pojaśniały.

– Wreszcie zaczyna pan chwytać, doktorze. Proszę posłuchać: czy ma pan dzisiaj jakieś spotkania? Oczekuje pan jakichś telefonów?

Po drugiej stronie zapadła cisza. A potem:

– Nie. Nie.

– Proszę mi powiedzieć teraz, bo jeżeli ktokolwiek się pojawi, nasza kochana Jessica zarobi porządnego guza.

– Nie. Mieliśmy jechać... Nieważne. Nie.

– To dobrze. Chcę, żeby pan został na miejscu i nic nie robił. Może pan jeść, może pan srać, ale nawet jak pan będzie srał, ja będę to widział. O siódmej wieczorem znowu zadzwonię. Wtedy powiem panu, co ma pan zrobić, by odzyskać córkę żywą.

– Posłuchaj... – powiedział Conrad.

Jajo umieścił słuchawkę z powrotem w bazie przenośnego zestawu. Roześmiał się cicho. – Hi! Hi! Hi! – zawtórował mu z tyłu Dolenko.

Maxwell siedział zgarbiony na krześle, gapiąc się na drzwi sypialni.

## TWARDZIEL

Conrad powoli odłożył słuchawkę.

– Nathan?

Wziął głęboki wdech.

– Nathan, co...

W końcu zdołał odwrócić się do żony.

– O Jezu, Nathan – powiedziała. – Co się dzieje?

Aggie nachyliła się ku niemu, ściskając kurczowo między piersiami dłoń. Miała dziki wzrok, ale nie płakała. Wyglądała, jakby go o coś błagała. – Nathan?

Minęła chwila, zanim zdołał wydusić z siebie głos. Odchrząknął.

– Została porwana.

– Porwana...?

– Posłuchaj, Aggie... – Zbliżył się o krok do żony. Złapał ją za ramiona.

– Porwana? Moje maleństwo? Dlaczego ktoś miałby ją...?

– Ćśś, Aggie, posłuchaj...

– Ale dlaczego ktoś miałby porywać moją maleńką? Dlaczego ktoś miałby...?

– Nie wiem. Aggie, posłuchaj, nie wiem.

– Muszą nam ją oddać. Oddadzą nam ją, prawda? Chcą pieniędzy? Damy im pieniądze, mogą wziąć wszystkie nasze pieniądze, Nathan. Powiedziałeś im? Musisz im powiedzieć, wtedy nam ją oddadzą. Nathan...

– O Jezu! – Conrad wziął żonę w ramiona i przycisnął do siebie. Do oczu nabiegły mu łzy, ale udało mu się je stłumić. Trzymał mocno Aggie. Trzęsła się. Ciągle mówiła wprost do jego piersi.

– Przecież nie mogą tak po prostu tu sobie wchodzić, prawda? Do naszego domu? Do naszego mieszkania? Zabrać moje dzieciątko. Nie chcą jej zrobić krzywdy, prawda? Przecież to tylko

mała dziewczynka.

– Ćśś – szepnął jej Conrad do ucha. Z rozpaczą pocałował ją w policzek. – Ćśś.

– Czy powinniśmy zadzwonić na policję? Może gdybyśmy zadzwonili na policję...

– Nie możemy. Obserwują nas, podsłuchują. Udało im się jakoś... Wstawili nam do mieszkania kamery. Mikrofony. Widzą, co robimy, słyszą nas...

– Ale musimy... Musimy coś zrobić.

– Musimy poczekać. Ten mężczyzna, Jajo, zadzwoni o siódmej. Powie, co mamy zrobić. Jeżeli nie zaczekamy... Jeżeli zobaczą, że coś robimy... Wtedy oni... Wtedy zrobią jej krzywdę, Aggie...

– O nie! O Boże!

Conrad zacisnął oczy, nadal tuląc mocno żonę.

– Ćśś – szepnął jej do ucha. – Ćśś.

Po chwili Agatha powoli odepchnęła się od męża. Spojrzała na niego. Nadal nie płakała. Jej źrenice były jednak rozszerzone jak oczy kogoś, kto otrzymał cios w żołądek. Pokręciła głową, wpatrując się w jego twarz, szukając na niej czegoś, czegokolwiek.

Conrad dotknął policzka żony.

– Wszystko będzie dobrze – zapewnił.

– Co się dzieje? Nathan? Dlaczego to się dzieje? – W końcu z jej oczu popłynęły łzy. – O Jezu! Moja maleńka! Jessie! o Boże!

Agatha rozplakała się, zakrywając usta dłonią. Sięgnęła na ślepo drugą ręką i znalazła krzesło. Przysunęła je do siebie, opadła na nie. Siedziała przy stole jadalnym i płakała. W białym szlafroku, ze zwisającymi splątanymi włosami, z poplamionymi i wilgotnymi okrągłymi policzkami, wyglądała na starą i zagubioną. Pocierała o siebie złożone na stole dłonie.

Conrad odwrócił od niej głowę. Przeczesał palcami rzadkie włosy. Agatha ciągle płakała i wykręcała dłonie. Nie mógł na nią patrzeć. Po kolejnej minucie opuścił pokój. Poszedł szybko do sypialni. Na podłodze wnekowej szafy leżała jego torba medyczna. Conrad ukląkł i otworzył ją. Poszperał w środku, aż wreszcie



znalazł buteleczkę xanaxu.

Niezgrabnie wytrząsał na dłoń dwie tabletki.

– To powinno pomóc – szepnął do siebie. Tabletki były fioletowe i okrągłe – dwie jednomiligramowe dawki. Zacisnął je obie w pięści i zamknął wieko buteleczki. Po chwili otworzył ją znowu i wytrząsał jeszcze jedną tabletkę.

W łazience napełnił szklankę wodą. Zaniósł tabletki i wodę Agacie, która ciągle siedziała przy jadalnym stole. Wpatrywała się w ścianę. Była cicho, ale po jej policzkach bez przerwy płynęły łzy. Ciągle wykręcała dłonie.

– Proszę – powiedział Conrad. Postawił przed żoną wodę i tabletki. Odwrócił wzrok. Spojrzał na drzwi, z których zwisały kawałki przeciętego łańcucha. – To powinno pomóc – zapewnił.

Aggie spojrzała na niego oszołomiona.

– Co?

– Lekarstwo. Pomoże ci.

Agatha popatrzyła na fioletowe tabletki. Po chwili znowu spojrzała na męża. Roześmiała się – ciągle płacząc, roześmiała się. Potem przestała się śmiać. I nagle, tak jakby policzkowała Nathana, otwartą dłonią uderzyła w szklankę. Woda rozlała się po stoliku, po czym zaczęła spływać na rdzawoczerwony chodnik. Zostawiła na nim ciemną plamę. Szklanka potoczyła się głośno po podłodze.

– Niech cię szlag, Nathan – powiedziała Aggie. Conrad nigdy nie słyszał, by mówiła takim głosem. Gardłowym, roztrzęsionym. – Niech cię szlag.

Kiedy spojrzała na niego, Conrad poczuł pustkę w żołądku, a w nogach słabość. Osunął się na stojący naprzeciw Agathy fotel.

– Przepraszam. O Jezu, przepraszam, Aggie. – Chciał dotknąć jej dłoni, ale Agatha ją cofnęła. Nie była w stanie na niego patrzeć. Conrad poczuł ucisk w gardle. Znowu musiał walczyć ze łzami. – Nie mogłem patrzeć, jak... – powiedział.

– Nie mogłem.

Nie musiał mówić nic więcej. Spojrzał na stolik. Po kilku sekundach Agatha odwróciła się do męża. Z jej oczu przestały

płynąć łzy. Wyglądała na zmęczoną, przygarbioną pod ciężarem znużenia. Ujęła rękę Nathana. Conrad uściśnął jej dłoń z całych sił.

– Wiem – powiedziała łagodnie. – Wiem.

Przez pierwsze kilka godzin po rozmowie z Jajem Conradowi wydawało się, że oszaleje. Oboje z Aggie siedzieli w mieszkaniu. W swoim mieszkaniu. Wpatrywali się w ściany. Wpatrywali się w okna jak więźniowie. Nie rozmawiali. Nie wiedzieli, co powiedzieć. Nie chcieli, by oni – Jajo czy kto tam jeszcze – usłyszeli. Po prostu siedzieli na sofie, trzymając się za ręce. Conrad siedział i myślał. Myślał o Jaju.

Myślał o głosie Jaja.

„Jeżeli popełni pan błąd...”

Dźwięk głosu Jaja. Conrad myślał nad jego miłym, beztróskim, kpiącym wdziękiem...

„... nasza kochana Jessica zarobi porządnego guza...”

Nie rozpoznawał tego głosu; nie był w stanie go komukolwiek przypisać. Wydawało mu się jednak, że dosyć dobrze rozpoznaje jego ton. Conrad pomyślał, że raz czy dwa razy w życiu już go słyszał. W salach szpitalnych. W pozbawionych cienia kątach zamkniętych białych pokojów.

„Jeżeli popełni pan błąd.

Po chwili Conrad wstał. Zaczął chodzić. Musiał zacząć myśleć. Musiał zacząć myśleć o Jaju. Musiał zacząć myśleć o tym, co powiedział Jajo.

„Dzień dobry panu, doktorze”.

Nazwał go doktorem. Wiedział, kim jest. Być może chodzi o jakiegoś byłego pacjenta. Być może pragnie on tylko uwagi. Albo narkotyków – może jego zdaniem lekarz jest w stanie ułatwić mu dostęp do narkotyków. Musi czegoś chcieć. Narkotyków. Pieniądzy. Czegokolwiek.

Conrad chodził dalej. Myślał o tym, co się stanie o siódmej wieczorem, kiedy Jajo zadzwoni i znowu będą rozmawiać.

Nagle Agatha zaczęła płakać. Conrad się zatrzymał. Usiadł i objął ją. Trzymali się oboje w ramionach. Zaczęli się wzajemnie

zachęcać, by nie tracić spokoju, by coś zjeść, by pozostać silnymi. Nic jednak nie zjedli. Nie byli w stanie. Czekali. Dłonie Conrada zdawały się nie ruszać. W oknie szare światło dnia zdawało się nie zmieniać.

Martwota chwili jakby nabrzmiewała w Conradzie. Chwilami pragnął rozedrzeć własną skórę, by się do niej dostać. Pragnął wybiec przez drzwi i zawołać policję. Pragnął sięgnąć przez linię telefoniczną do Jaja i wyciągnąć bandytę przez słuchawkę, potrząsając nim: „Gdzie jest moja córka?” W pewnej chwili, po jakichś dwóch godzinach tej męki, przemknęła mu nawet przez głowę wizja, w której zabiera kuchenny nóż i zabija siebie i żonę. Zrobiłby wszystko, żeby to się skończyło.

To był najgorszy moment. Kiedy minął, dzień zaczął się zmieniać. Wydawało się, że zaczął się zmieniać sam czas. Poruszył się, nabrał prędkości. Mąż i żona poszli razem do sypialni. Usiedli na skraju łóżka i włączyli telewizor. Wiadomości z kablówki. Co pół godziny nowy serwis. Zmiany w Europie Wschodniej. Pożar tankowca w Zatoce Perskiej. Dzień mijał – pół godziny po półgodzinie. Conrad wpatrywał się w ekran telewizora, akurat nadawano wiadomości. Myślał o Jaju. Przypominał sobie jego głos i własny głos. Głos Conrada był pełen przerażenia; on też był przerażony i pozwolił, by przerażenie przedostało się do jego głosu.

Myśląc o tym, zaciskał zęby. Powietrze zaczęło z drzeniem wydobywać się z jego płuc. Patrzył w telewizor. Aktor Mel Gibson przygotowywał nowy film. W zachodnich stanach pojawił się śnieg. Na wschód zaczynało napływać chłodniejsze powietrze. W oknie zmieniło się światło, stało się stalowe. Conrad i Aggie położyli się na łóżku. Agatha zasnęła na chwilę w jego ramionach. Nathan gapił się w sufit. Myślał o Jaju i o tym, co się stanie o siódmej wieczorem.

Aggie obudziła się i postanowiła się ubrać. Stała w kącie, a Conrad przytrzymał przed nią szlafrok. Szybko włożyła dzinsy i kupioną w Mohonk Mountain House bluzę. Ubierając się, rozglądała się po pokoju i szukała kamer. W łazience przykryła

kolana ręcznikiem. Ale i tak ze wstydu piekły ją oczy.

O piątej przygotowali obiad. Stanęli obok siebie przy kuchennym blacie. Robili kanapki: z szynką i serem. Kiedy Agatha kroїła chleb, załamała się i znowu zaczęła płakać. Conrad o mało jej nie uderzył. Miał ochotę zawołać: „Przestań! Nie widzisz, że to mnie dobija?”. Nie zrobił tego jednak – przeciwnie, objął ją ramieniem. Płacząc, wróciła do krojenia chleba.

Okolo siódmej czas znowu zwolnił. Wydawało się, że się zatrzymał. Na zewnątrz zamierało światło; w oknach zaczęła pojawiać się noc. Conrad do samego końca wpatrywał się w promienie słońca. Jak robi się ciemno, powtarzał sobie; jak tylko robi się ciemno, zadzwoni. Kiedy wreszcie się ściemniło, nie zostało im już nic do obserwowania. Przez ostatnie pół godziny Conrad i Aggie siedzieli przy jadalnym stole. Odsunęli talerze na bok, choć było na nich jeszcze sporo jedzenia. Trzymali się za ręce. Usiłowali się uśmiechać.

Za pięć siódma Agatha wzięła ręce męża w obie dłonie. Spróbowała się uśmiechnąć, ale znowu wybuchnęła płaczem.

– Powiedz im, Nathan – udało jej się z siebie wykrztusić – powiedz im... że zrobimy wszystko. Powiedz im to.

Proszę, pomyślał Conrad. Proszę, przestań. Pogładził jednak jej dłonie i również spróbował się uśmiechnąć.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział ochryplym głosem. Agatha spróbowała skinąć głową.

Conrad spojrzał na zegarek. Była punktualnie siódma wieczorem. Zadzwonił telefon.

Conrad podszedł do aparatu. Aggie stanęła tuż za jego ramieniem. Wziął oddech. Telefon znowu zadzwonił. Conrad podniósł słuchawkę, lecz po drugiej stronie panowała cisza. Nic nie mówił. Czekał.

– Nie przywita się pan, doktorze? – odezwał się Jajo. – Wie pan, dobre wychowanie nadal obowiązuje.

Conrad milczał przez chwilę, zanim odpowiedział. Miał prawie jednaście godzin, żeby wszystko sobie przemyśleć. Chciał

to rozegrać prawidłowo.

– Witaj, Jajo – powiedział. Było dobrze. Jego głos był spokojny i mocny. Znowu był lekarzem. – Witaj, Jajo. Porozmawiajmy o mojej córce.

Jego rozmówca się zawahał. Conrad to usłyszał. Wreszcie Jajo stwierdził:

– Powiem coś panu, doktorze. To ja będę mówił. Pan ma słuchać. W końcu na tym polega praca psychoanalityka, prawda? Ja mówię, pan słucha. – Zachichotał cicho. – Pan więc będzie słuchał, a ja powiem panu dokładnie, co ma pan zrobić...

– Nie – przerwał Conrad. Przycisnął mocno słuchawkę do ucha. Wepchnął wolną dłoń do kieszeni spodni, tak by sukinsyn nie widział, jak bardzo się trzęsie. – Nie – powtórzył. – Obawiam się, że mi to nie odpowiada, Jajo.

– Nathan! – ostro szepnęła Agatha.

Conrad odwrócił się do niej plecami. Z całej siły przycisnął słuchawkę do ucha.

Gładki głos po drugiej stronie linii nagle stał się twardy i mroczny.

– Ostrożnie, doktorze. Niech pan pamięta, co mówiłem o błędach.

– Pamiętam, Jaj... – Conrad musiał przerwać; musiał przełknąć ślinę, by odzyskać głos. – .. Jajo. Ale zanim przejdziemy do sedna, zanim powiesz mi, co mam zrobić, chcę rozmawiać z moją córką.

– Ej, doktorze. Zdaje mi się, że pan czegoś nie łapie. To czego pan chce, w ogóle się nie liczy. A raczej gównem się liczy.

– No cóż, rozumiem twoje podejście, ale...

Nagle Jajo zaczął wrzeszczeć:

– Tylko mi tu nie wyjeżdżaj z tym psychoanalitycznym gównem, pieprzony pojebie. Rozetnę jej bebechy jak rybie, wypatroszę ją jak śledzia, słyszysz, głupi konowale? Słyszysz?

Conrad ledwo był w stanie wydobyć z siebie głos. Otworzył usta, lecz wydostał się z nich jedynie słaby, bełkotliwy jęk. Zamknął je. Zacisnął zęby. Wydusił przez nie:

– Jeżeli z nią... jeżeli z nią nie porozmawiam... Jajo... założę, że jest martwa.

Z ust Aggie wydobył się stłumiony krzyk.

– A jeżeli jest martwa – kontynuował Conrad – to idę na policję.

– Pierdolenie. Posłuchaj, kutasie, zaraz ci powiem, czym się dla ciebie skończy takie...

Nathan odłożył słuchawkę.

Stał przez chwilę z dłonią na telefonie. Stał i wpatrywał się w aparat. Muszę teraz odejść, pomyślał. Obserwują mnie. Muszę puścić słuchawkę. Powoli otworzył dłoń. Odsunął ją od telefonu.

– Nathan! – zdołała wreszcie wykrzyknąć Aggie. – Nathan, mój Boże, co ty zro...

– Posłuchaj. – Odwrócił się do żony i mocno złapał ją za ramiona. Spojrzał twardo w jej oszalałe oczy.

– Nathan, mój Boże, mój Boże... – bełkotała półszepem Aggie.

Conrad zaczął mówić głośno i wyraźnie. Chciał być pewien, że Jajo go słyszy.

– Posłuchaj, Aggie. Idziemy na policję. Musimy iść na policję.

„Dzwoń!” – pomyślał. „Skurwysynu! Oddzwaniaj! Dzwoń!”

Miał prawie jedenaście godzin, żeby się nad tym zastanowić. Doszedł do wniosku, że musi zrobić właśnie to. Kimkolwiek byli, musieli być zdesperowani. Czegokolwiek chcieli, musieli tego chcieć rozpaczliwie. Narkotyków... pieniędzy... uwagi lekarza... Czegoś, co miał; czegoś, co mogli dostać od niego. Cokolwiek to było, była to jego jedyna karta przetargowa. Jeżeli jej nie użyje, jeżeli nie będzie naciskał na to, by porozmawiać z Jessicą – z jakiego powodu mieliby ją trzymać przy życiu?

– Musimy iść na policję – powtórzył.

Telefon ciągle milczał. Aggie spojrzała na męża i pokręciła głową: nie, nie...

– Musimy.

Puścił Aggie. Ruszył w stronę drzwi.

W tym momencie zadzwonił telefon.

Conrad zatrzymał się. Odwrócił się powoli. Telefon znowu zadzwonił. Aggie stanęła, wpatrując się w aparat. Conrad podszedł do niej. Gdy tylko telefon zadzwonił po raz trzeci, podniósł słuchawkę. Wsunął drżącą dłoń z powrotem do kieszeni.

– Co? – zapytał.

Cisza po drugiej stronie wydała mu się długa jak autostrada w Teksasie: odniósł wrażenie, że nigdy się nie skończy, że nic jej nie zakłóci. Po chwili jednak, najpierw cicho, potem coraz głośniej, Jajo znowu zaczął się śmiać: złowrogim, gładkim chichotem.

– Ej – powiedział. – Ej, twardy jesteś. Twardy doktorek. Twardy tatuś. O, tak. A co ty na to, żebym ją przyprowadził do telefonu i pozwolił ci słyszeć jej krzyk? Co ty na to?

– Nie – rzekł Conrad łagodnym i spokojnym głosem. – Czegokolwiek ode mnie chcesz, nie dostaniesz tego, jeżeli zrobisz jej krzywdę.

Jajo nie przestawał się śmiać.

– Słyszę cię. Słyszę cię i wszystko rozumiem. Twardy mały doktor Tatuś z ciebie. – Zamilkł na chwilę. – Wiesz co, nawet mi się to podoba – kontynuował. – Nie żartuję, naprawdę. Lubię takie rzeczy: przypominają mi siebie. Wiesz co? Pewnie w innych okolicznościach moglibyśmy zostać całkiem dobrymi kumplami.

Dłoń w kieszeni Conrada zacisnęła się w pięść. „Mam go” – pomyślał.

– Niech będzie – stwierdził Jajo. – Poczekaj chwilę, twardzielu.

Conrada dobiegło szczęknięcie, a potem cichy szum. Wsłuchiwał się z całych sił, ale nie wyłapał żadnego innego dźwięku.

– Nathan... – szepnęła Aggie. – Co się dzieje?

Odwrócił się do niej, położył jej dłoń na ramieniu. Twarz Aggie była blada i pomarszczona, w jej oczach malowało się napięcie. Włosy zwisały w poplątanych kołtunach wokół jej policzków. Conrad uśmiechnął się do żony.

W telefonie usłyszał znowu szcęknięcie.

– Tatuś?

– Jess?

– Tatuś. – Dziewczynka zaczęła płakać. – Boję się, tatusiu.

Oczy Conrada wypełniły się łzami.

– Wiem, maleńka. To nic takiego.

– Nie chcę tutaj zostać, tatusiu. Ci panowie są źli. Dlaczego nie mogę wrócić do domu? Chcę wrócić do domu.

– Wszystko będzie dobrze, Jessie. Wkrótce będziesz w domu.

Conrad zacisnął oczy.

– O Boże, Nathan, proszę...

Aggie obiema rękami sięgnęła po telefon.

Conrad trzymał go jednak z dala od niej. I tak usłyszał, jak Jessica woła:

– Nie! Chcę pomówić z mamą. Chcę do mamy. Proszę. Proszę... Tatusiu!

Potem zamazany szloch zaczął się stawać coraz cichszy – dziewczynkę odsunięto od telefonu.

– A teraz – powiedział po chwili Jajo – oto co ma pan zrobić, doktorze.

Conrad zakrył oczy dłonią. Wiedział, że go obserwują, wiedział, że kamera rejestruje wszystko, ale nie mógł się powstrzymać. Kiedy ocierał łzy, po całym jego ciele przeszedł dreszcz.

– Ma pan odwiedzić jedną ze swoich pacjentek – mówił Jajo.  
– Kobietę. Nazywa się Elizabeth Burrows.



## JEDNO PROSTE PYTANIE

„Będziemy pana śledzić. Przez cały czas ktoś będzie pana obserwował”.

Conrad włożył płaszcz. Podszedł z Aggie do drzwi.

„Jeżeli się pan zatrzyma, zabiję ją. Jeżeli skreśli pan w złą stronę, zabiję ją. Jeżeli zacznie się pan popisywać, jeżeli zacznie pan hałasować, jeżeli popełni pan błąd – będzie martwa”.

Przy drzwiach Aggie spojrzała na męża. Nie zapytała, czy wszystko będzie dobrze. Po prostu na niego spojrzała. Jej oczy wydawały się olbrzymie i ciemne. Conrad dotknął jej policzka. Nachylił się i musnął ustami jej wargi.

– Nie pozwól im patrzeć, jak płaczesz, Aggie – powiedział.

Uśmiechnęła się blado. Pokręciła głową.

– Nie.

– Nikomu nie otwieraj.

Nie była w stanie mówić.

– Wróć.

Skinęła głową. Jej oczy były pełne łez.

Conrad wziął głęboki oddech i wyszedł na korytarz. Usłyszał, jak zamykają się za nim drzwi mieszkania.

„Ktoś będzie obserwował zza pleców każdy pański krok” – powiedział mu Jajo. „Kto taki? Kto wie... Być może będzie to portier, być może pański najlepszy przyjaciel. Być może rzeźnik albo piekarz. Ale ktoś zawsze tam będzie”.

Conrad powoli podszedł do windy. Nacisnął przycisk. Światelko nad drzwiami wystartowało od apartamentu na górze i zaczęło się poruszać: 12... 11... 10... Conrad stał przed drzwiami i przeczesywał wzrokiem korytarz. Nikogo nie zauważył. Jego oczy spoczęły na drzwiach do mieszkania 5C. Drzwiach jego sąsiadów. Tam, za drzwiami byli, Scott i Joan, emerytowany jubiler i jego żona. Drzwi zdawały się przyciągać Conrada. „Zadzwoń na policję, Scott”. Słyszał, jak to mówi. Stojąc przy windzie, pochylił

się nawet w kierunku drzwi.

Ale potem ręka powędrowała mu do gardła.

„Nawet niezłą ma pan koszulę. Do twarzy panu w pomarańczowym”.

Za Conradem otworzyły się inne drzwi. Lekarz odwrócił się. Z mieszkania wychodził Billy Price, w każdej ręce niósł karton. Conrad przypomniał sobie, że spotkał go w windzie: swojego nowego sąsiada, typka z Wall Street ze zwietrzałym poczuciem humoru.

Młody mężczyzna posłał mu nieśmiały uśmiech.

– Cześć, doktorze. Jak leci?

Conrad uśmiechnął się i skinął głową.

– Kolejna sobota poszła się pasać – stwierdził Price. Otworzył drzwi do zsypu i przytrzymał je ramieniem. – Nie uwierzy pan, ale ciągle jeszcze rozpakowuję kartony.

Wrzucił do środka pakunki.

Conrad obserwował go. Nie, pomyślał. Nie, nie jestem pewien, czy wierzę. Nie przestawał się uśmiechać.

– A gdzie się podziewa dziewczynka? – zapytał Price.

Conrad mało nie rozdziawił ust.

– Och... nie ma... Jest u koleżanek.

– Ach – powiedział Price. – No cóż. Będziemy się teraz częściej widywać. Racja?

Puścił mu oko i powoli ruszył w stronę mieszkania.

Otworzyły się drzwi windy. Conrad wszedł szybko do środka.

– Racja – potwierdził.

„Ktoś będzie obserwował zza pleców każdy pański krok” – powiedział Jajo. „Kto taki? Kto wie... Być może będzie to portier, być może pański najlepszy przyjaciel. Być może rzeźnik albo piekarz. Ale ktoś tam zawsze będzie”.

W windzie Conrad obserwował, jak ponad drzwiami porusza się światelko: 5... 4... 3... Jeżeli ktokolwiek obserwował windę z zewnątrz, zorientowałby się, gdyby Conrad ją zatrzymał, gdyby z

niej wyszedł.

Nie zrobił tego. Zjechał do holu.

Wyszedł i ruszył w stronę portiera. Tego wieczoru dyżur pełnił Ernie – wysoki szczupły Latynos o szerokim, białym życzliwym uśmiechu. Otworzył drzwi. Kiedy Conrad przechodził, Ernie uśmiechnął się i mrugnął do niego.

– Miłego dnia, doktorze – powiedział.

Conrad również się uśmiechnął.

Noc była zimna i lekko wilgotna. Nad fasadą Biblioteki Morgana po drugiej stronie ulicy wisiała rzadka mgiełka. Wycelowane w budynek reflektory uwypuklały jego fryzy, pograżając nisze w głębszym cieniu. Poświata wisiała między gałęziami sykomor, blade światło odbijało się w ich umierających złotych liściach.

Pod drzewami przechodzili ludzie. Czarny mężczyzna w skórzanej kurtce i z roześmianą dziewczynką na rękach; siwowłose pan w ciemnym garniturze; stara, ufarbowana na rudo kobieta przechadzająca się z cocker-spanielem. Na schodach biblioteki, z głową pochyloną nad podniesionymi kolanami, siedział młody bezdomny mężczyzna.

Conrad zatrzymał się na chwilę i zaczął się im przyglądać. Poczul na skroniach pot. Po policzku, a potem po brodzie spłynęła mu pojedyncza kropla.

„Jeżeli się pan zatrzyma, zabiję ją. Jeżeli skreśli pan w złą stronę, zabiję ją. Jeżeli zacznie się pan popisywać, jeżeli zacznie pan hałasować, jeżeli popełni pan błąd – będzie martwa”. Ruszył w stronę widocznych obok drzwi do garażu.

– Co słyhać, doktorze? Odpalamy starego rollsika?

Conrad spojrział na twarz parkingowego, Lara. Znał ją: nos mopsa, lśniące policzki Świętego Mikołaja. Lar pracował w garażu prawie co wieczór. Zawsze salutował Agacie, kiedy tylko ją zobaczył. A kiedy spotykał Jessie, zawsze udawał, że chce jej ukraść nosek. Conrad wpatrzył się w jego niewielkie zezowate oczy, które błysnęły mu w odpowiedzi jak czarne szklane kulki.

– Byłbym zobowiązany – powiedział Conrad.  
Lar zasalutował i podreptał w głąb garażu.  
Conrad czekał z rękami w kieszeniach płaszcza.  
Nerwowo spojrział przez ramię, a serce zabiło mu dwa razy mocniej.

Po drugiej stronie ulicy, tuż pod więdnącym miłorzębem, stała jakaś postać – i wpatrywała się w niego. Conrad otworzył usta. Wbił wzrok w stojącą postać.

Ona jednak powoli, beztrąsko odwróciła się i odeszła w dal.

Z czeluści garażu z piskiem opon wystrzeliła srebrnoniebieska corsica Conrada. Zatrzymała się tuż przed właścicielem. Wsiadł z niej parkingowy.

– Dzięki, Lar – ochryplym głosem powiedział Conrad. Wślizgnął się za kierownicę samochodu.

„Oto co ma pan zrobić, doktorze. Jest teraz siódma pięć. Jak tylko odłoży pan słuchawkę, ma pan włożyć płaszcz i wyjść. Pojedzie pan do tego wariatkova – Impellitteri. Dojazd zajmie panu dwadzieścia, dwadzieścia pięć minut – co najwyżej”.

Corsica mijiała powoli Trzydziestą Szóstą Ulicę, zbliżając się do tunelu Midtown. Na rogu Lexington Conrad zatrzymał się na światłach. Z boku zrównał się z nim zielony pontiac grand am. Jego silnik zacharczał. Conrad odwrócił się i zobaczył za kółkiem muskularnego młodego mężczyznę. Był ostrzyżony na jeża i miał na sobie białą koszulkę. Spojrział na Conrada, uśmiechając się z wyższością. Dodał gazu, zaryczał silnikiem.

Conrad z trudem przełknął ślinę, a potem się odwrócił. Spojrział w lusterko. Nie był w stanie przyjrzeć się kierowcy w samochodzie z tyłu. Widział tylko parę reflektorów – i kontury wpatrującej się w niego głowy.

Zmieniło się światło. Conrad nacisnął pedał gazu. Ruszył w stronę tunelu.

„Dobra” – powiedział Jajo. „Mamy więc siódmą trzydzieści. Wchodzi pan do wariatkova i idzie prosto do pokoju Elizabeth. Niech pan z nikim nie rozmawia, niech pan nie marnuje czasu. Nie

ma pan czasu, doktorze, rozumie pan, co chcę przez to powiedzieć? Idzie więc pan prosto do Elizabeth. Rozmawia pan z nią. Jak zwykle. Po prostu z nią rozmawia, tak żeby się odprężyła i zaczęła z panem gadać. Daję panu na to jakieś pół godziny, może czterdzieści minut, jeżeli chce pan, żeby się trochę otworzyła. Dobra, mamy więc ósmą piętnaście. Ona gada, jest odprężona, ufa panu. W tym momencie, dokładnie kiedy nadejdzie odpowiedni moment – rozumie pan? Właśnie w tym momencie zadaje jej pan jedno proste pytanie”.

Kilka ulic połączyło się w jedną, opadając w stronę wjazdu do tunelu. Corsica włączyła się w bystry strumień przytulonych do siebie samochodów. Po chwili Conrad mrużył już oczy pod wpływem oślepiającego podziemnego światła. Lampy na brudnych żółtych kafelkach ścian tunelu. Reflektory samochodów nadjeżdżających z przeciwka. Rozbłyskujące na czerwono światła stopu tych, które jechały przed nim.

W przejściu po prawej stronie przechadzał się jakiś robotnik; spojrzał na Conrada, kiedy ten przejeżdżał obok. Z tyłu do lekarza zbliżała się ciężarówka Coca-Coli. Z przodu mężczyzna prowadzący niebieskiego chevroleta spojrzał na niego w lusterko; Conrad zobaczył jego oczy.

„»Elizabeth, jaki to numer?«. Tak brzmi pytanie. Nic więcej – tyle ma jej pan do powiedzenia. Tylko o to musi ją pan zapytać. Kiedy się już nakręci, kiedy zacznie z panem gadać, musi się pan tylko nachylić, udać, no wie pan, życzliwego psychiatrę i zapytać: »Elizabeth, jaki to numer?«. Nic więcej. Proste jak drut”.

Conrad wyłonił się z tunelu i zanurzył w mgliste wieczorne powietrze. Dołączył do kolejki samochodów przed bramką. Po chwili minął ją i znalazł się na Long Island Expressway.

Z całej siły ścisnął kierownicę. Czuł, jak koszula na plecach i pod pachami przesiąka mu potem. Corsica, otoczona przez samochody, płynęła wraz z nimi po szerokiej autostradzie. Samochody mijały Conrada. Znikały za nim. Zatrzymywały się z boku. Ciemne sylwetki za kierownicami.

Reflektory przypominające oczy.

Kiedy wjeżdżał na parking Impellitteri, była siódma trzydzieści pięć. Miał pięć minut spóźnienia.

„Dziewiąta. Musi pan wrócić do dziewiątej. Ani minutę później. Ani sekundę. Nie będę czekał nawet sekundy, doktorze. Minie dziewiąta, a będzie po panu, będzie po pańskiej córce. Niech pan o tym pamięta”.

Conrad zaparkował samochód na zarezerwowanym miejscu tuż przy ścianie budynku. Przyklepał wewnętrzną kieszeń płaszcza i wyczuł pod nią dyktafon. Wziął go ze sobą, by mieć pewność, że w oczach Elizabeth wszystko będzie wyglądało normalnie.

„Elizabeth, jaki to numer? Jedno proste pytanie”.

Wysiadł z samochodu i zamknął za sobą drzwi.

Z dala od budowli Manhattanu zapewniających osłonę od jesiennych powiewów wieczór był chłodny. Mgielka sprawiła, że Conrad na skórze i przy wilgotnych od potu włosach poczuł dotkliwe zimno. Zaczął się trząść.

Stał przez sekundę w miejscu, starając się dojść do siebie. Drżały mu ręce. Nie był w stanie złapać oddechu. Powoli, oblizując wargi, podniósł wzrok i spojrzał na Impellitteri.

„Wieża zegarowa” – powiedział Jajo. „Kiedy już dziewczyna da panu numer, pojedzie pan pod wieżę zegarową na Leonard Street. Wie pan gdzie? To daleko, w śródmieściu, więc niech pan sobie zostawi co najmniej pół godziny, żeby się tam dostać. Oznacza to, że musi pan wyjść z Impellitteri najpóźniej o ósmej trzydzieści. Niech pan zdobędzie numer i wyjdzie o ósmej trzydzieści. Dzięki temu zdąży pan na czas. Dziewiąta. Musi pan wrócić do dziewiątej. Ani minutę później. Ani sekundę”.

Oddychając ciężko, Conrad wbił wzrok w surowy kamienny sześcian, błyszczący na szaro w wieczornej poświacie. – Opadła na niego rzadka mgielka. Jej krople tańczyły i opadały w promieniach światła reflektorów. Tam gdzie za oknami paliły się lampy, ich łuna wwiercała się w kraty wzmacniające okna. Tam gdzie nie było światła, w Conrada wpatrywały się bezduszne prostokąty.

„Nie chcę tutaj zostać, tatusiu. Ci panowie są źli. Dlaczego

nie mogę wrócić do domu? Chcę wrócić do domu”.

– O Boże – szepnął Conrad. Tak bardzo się bała.

„Tatusiu, dlaczego nie mogę wrócić do domu?”

Tak bardzo się bała, a on nic nie wiedział. Nie wiedział, kto i dlaczego ją porwał. Nie rozumiał nawet, czego chcą porywacze.

„Nie chcę tutaj zostać, tatusiu”.

Moja maleńka, pomyślał Conrad. Moja dziewczynka.

Po chwili odrzucił od siebie te myśli. Musiał się skoncentrować. Emanować spokojem, profesjonalizmem, kompetencją. Znowu być lekarzem. Przycisnął dłonie do ciała, starając się powstrzymać ich drżenie.

„Elizabeth” – pomyślał. „Jaki to numer?”

Jedno proste pytanie. Nic więcej nie musiał wiedzieć.

Wszedł do szpitala.

Recepcja była pogrążona w mroku.

Pod sufitem trzaskały i buczały fioletowe jarzeniówki. Siostra za biurkiem, strażnik przy wejściu – obie postacie wyglądały zaledwie jak zarysy sylwetek.

„Z nikim niech pan nie rozmawia. Niech pan nie marnuje czasu”.

Conrad wyjął szpitalny identyfikator. Przytrzymał go przed sobą, przechodząc obok pielęgniarki w recepcji. Skinęła mu głową, nawet się nie uśmiechając. Patrzyła za nim. Conrad przypiął identyfikator do klapy płaszcza. Dzięki temu miał się czym zająć, kiedy przechodził pod uważnym okiem strażnika.

Podszedł do windy, do szerokich srebrnych drzwi. Nacisnął przycisk.

– Hej! – nagle dobiegł do niego głos ze słabo oświetlonego korytarza. – Hej, Nate!

„Cholera” – pomyślał Conrad. Nie odwrócił się. Otworzyły się drzwi windy. Wszedł do środka.

– Nate! Hej, Nate! Czekaj!

„Niech pan z nikim nie rozmawia, niech pan nie marnuje czasu”.

By dostać się na czwarte piętro, Conrad musiał użyć swojego klucza uniwersalnego. Zaczął grzebać przy łańcuszku na klucze, próbując znaleźć właściwy. „Szybciej” – myślał. „Szybciej”.

„Niech pan nie marnuje czasu”.

Głos Jerry’ego Sachsa, w miarę jak jego właściciel przybliżał się korytarzem, stawał się coraz głośniejszy.

– Na-than! Zatrzymaj windę.

Drzwi windy zamknęły się. Conrad włożył w otwór klucz i przekręcił go. Spojrzał w górę na podświetlane numerki.

Nagle winda z powrotem się otworzyła. Jerry Sachs wszedł do środka.

Gruby dyrektor nieznośnie dyszał. Na czubku jego różowej głowy błyszczał pot. Przód różowej koszuli był mokry. Podobnie materiał groszkowego garnituru pod pachami.

– Jezu, Nathan, nie słyszałeś mnie? Wciśnij trójkę, jeśli łaska. O Boże!

Otarł szeroką twarz równie szeroką dłonią.

– Przepraszam, Jerry. Byłem...

Głos Conrada zamarł. On sam posłusznie wcisnął przycisk z numerem trzy. Winda zamknęła się po raz drugi. Ruszyła w górę.

Jechali powoli, a Conrad pilnie studiował podświetlone numerki: L... 2... Sachs spojrział na niego wesoło.

– I co? – zapytał. – Sobotni wypad na miasto, co? Wieczorna randka z Natem. Założę się, że twoje pacjentki z Central Park West raczej nie preferują spotkań o tej porze.

Zarechotał.

Conrad odwrócił się i spojrział na niego. Popatrzył przez grube czarne okulary prosto w szeroko rozstawione, zniekształcone przez soczewki oczy. Głupie oczy, nagle doszedł do wniosku. Przekupne i ordynarne, owszem – ale generalnie głupie i pełne przerażenia tym, jak mądry i skomplikowany jest świat.

– Jerry – zaczął ostro Conrad. Chciał powiedzieć: moja córka została porwana. Mój dom jest pod obserwacją. Proszę. Zadzwoń na policję.

Ale nie dokończył. Nie mógł się zmusić do wypowiedzenia



choćby jednego słowa.

„Przez cały czas ktoś będzie pana obserwował. Jeżeli zaczniesz się pan popisywać, jeżeli zaczniesz pan hałasować, jeżeli popełni pan błąd – będzie martwa”.

– Chyba trochę już późno – powiedział łagodnie.

Winda zatrzymała się na trzecim piętrze. Drzwi się otworzyły.

– Narka, Nate.

Sachs wyszedł. Conrad wjechał na czwarte piętro sam.

Była siódma czterdzieści. Conradowi zostało pięćdziesiąt minut. Przeszedł obok strażniczki przy biurku – tej samej masywnej kobiety co za pierwszym razem. Otworzył drzwi na oddział. Wszedł na korytarz i skierował się w stronę sali numer trzy.

Z mroku wyłaniały się idące w jego stronę pielęgniarki. Inne pojawiały się za nim i wyprzedzały go. Conrad unikał ich oczu. Ścisnął kurczowo łańcuszek z kluczem. Spojrzał na niego, na swój gruby uniwersalny klucz.

„Jaki to numer” – powtarzał przez cały czas w myślach. „Jedno proste pytanie”.

Sięgnął do drzwi i wsunął klucz w dziurkę...

W tej samej chwili zaczęła w nim narastać panika. Twarz oblał mu pot. Jego dłoń zaczęła się trząść tak mocno, że usłyszał, jak brzęczy gałka od drzwi.

„Nie mogę... tego zrobić. Nie mogę tego zrobić”.

Czuł, że nie może oddychać. Rozejrzał się wokół siebie, spojrzał na korytarz, na lampy, na pogrążonych w cieniu ludzi, którzy zdawali się przechylać i opadać...

„Nie mogę tego zrobić. Aggie...”

Zostawił ją...

„Aggie”.

Zostawił żonę samą.

„Z nimi”.

Z nimi – ale kim, do diabła, są oni? Obserwują ją,

pod słuchują. I mogą znowu przyjść. Mogą rozbroić zamki, tak jak zrobili to wcześniej. Chryste, wystarczy, że zapukają – Aggie zrobi wszystko, co jej każą. Zrobi wszystko, by uratować swoje dziecko. Jak mógł ją tam zostawić? Jaki mężczyzna...

„Nie mogę”.

A teraz miał się zobaczyć z pacjentką. Z poważnie upośledzoną kobietą, która zaczęła mu ufać. Miał jej zadać pytanie – i nie wiedział... nic. Nie wiedział, czy ją znają, czy mogą jej pomóc... Czy ich pytanie wyrządzi jej krzywdę czy może sprawi, że wpadnie w szal. Przecież może ono zniszczyć nawet tę resztkę psychicznego zdrowia, która jej została – a on nie wiedział. Nie wiedział.

Jaki numer? Dlaczego Elizabeth? Dlaczego ja?

„Na litość boską, dlaczego ja?”

„Nie chcę tutaj zostać, tatusiu. Ci panowie są źli. Dlaczego nie mogę wrócić do domu?”

Powinien był odmówić. Powinien był zadzwonić na policję. Powinien był negocjować...

Przed oczami zamazał mu się obraz. Jego dłonie nadal się trzęsły. O Boże, pomyślał, oni zabijają moją córkę.

A on nie mógł jej pomóc. Był bezsilny, był niczym, nie mógł pomóc, nie mógł...

– Szlag! Szlag! Niech to szlag! – szepnął.

Wpatrywał się we własną dłoń, próbując się skupić. Zmusił się, by kontrolować oddech, by oddychać przeponą, by wypuścić powietrze. Lekarz... Znowu był lekarzem.

– Niech to szlag!

Szybkiem, wściekłym ruchem otarł pot z twarzy i łzy z oczu. Ścisnął z całej siły klucz i trzymał go tak długo, aż ząbki wbiły mu się w palce. Aż dygotanie dłoni zamieniło się w miarowy paroksyzm.

„Jaki to numer, Elizabeth?” Tylko tyle – musiał powiedzieć tylko tyle, zapytać tylko o to. Miał tyle siły, aby to zrobić. Był w stanie panować nad sobą tak długo, by to zrobić. Mógł dotrzeć do wieży zegarowej na Leonard Street i przekazać im numer. A oni

oddadzą mu córkę – żywą.

„Proste jak drut”.

Ogromnym wysiłkiem woli oczyścił umysł. Przekręcił klucz. Gałka ustąpiła. Ciężkie drewniane drzwi do pokoju Elizabeth rozchyliły się i otwarły. Conrad wszedł do środka. Wyciągnął klucz. Drzwi z głuchym łoskotem zamknęły się za nim.

W tej samej chwili zatrzymał się. Podniósł tuż za progiem głowę i otworzył usta. Poczuł, że dłonie ogarnia mu chłód.

„O Jezu. O Jezu. O Jezu”.

Pokój był pusty.

## SAMOTNA MATKA

Jessica lubiła się bawić w pokoju dzieciennym w dużej wnękowej szafie. Agatha specjalnie wyszorowała tam dla niej podłogę. Kiedy dziewczynka chciała pobyć sama, siadała w środku i rysowała albo układała puzzle. Czasem bawiła się lalkami – pochłonięta ich historią, szepcząc sama do siebie, recytowała dialogi.

Przy ścianach, ustawione jak publiczność, leżały maskotki Jessiki. Pluszowe misie, aligatory, Marsjanie, klauni. Kermit Żaba, Goofy, Truskawkowe Ciasteczko. Jej przyjaciele – tak właśnie nazywała swoje zabawki. Pytała na przykład: „Mogę zabrać moją przyjaciółkę do parku?”. Albo: „Może by tak doszyć mojemu przyjacielowi z powrotem oko?”.

Agatha stała w drzwiach szafy. Patrzyła na przyjaciół Jessiki. Było ich mnóstwo, dziesiątki. Jessica nie lubiła się ich pozbywać. A kiedy patrzyła na matkę z trzęsącymi się ustami i mówiła: „Ach, mamusiu, nie wyrzucaj mi przyjaciela” – no cóż, cóż miała zrobić biedna matka?

Aggie uśmiechnęła się nieznacznie – nie do końca nawet zdając sobie z tego sprawę. Była całkowicie zagubiona w myślach. Rzeczywiście wyglądało na to, że trzymali tu każde stworzonko, jakie kiedykolwiek znalazło się w ich mieszkaniu. Goofy – był ulubieńcem Jessiki przez prawie pół roku, kiedy miała trzy latka. Miss Piggy z przodu szafy – przez większość poprzedniej wiosny dzieliła z Jessicą łóżko. No i był jeszcze Śnieżek. W samym tyle szafy. Biały Śnieżek.

– Ały Eziek – powiedziała na głos Agatha.

Śnieżek był niewielkim pluszakiem, dziś już szarym, w niektórych miejscach nawet czarnym. Brakowało mu jednego pomarańczowego oka. Z prawej łapy wydostawała się pianka. Szpecił go opatrunek z fioletowego szwu – zdarzył się wypadek, a Aggie miała pod ręką tylko fioletową nitkę. Mimo to smutno było

patrzeć, jak stary Śnieżek leży tak ciśnięty w kącie. Na wpół pogrzebany pod Krabem Sebastianem i Słodziakowym Pieskiem. Zdegradowany przez dziesięć innych postaci, które Jessie zapragnęła mieć, kiedy zobaczyła je w telewizji lub w domach innych dzieci.

Biały Śnieżek znalazł się tutaj pierwszy, zamieszkał w szafie, zanim pojawiła się cała reszta. Był naprawdę pierwszy. W dniu kiedy urodziła się Jessica, do szpitala przyniosła go matka Aggie. Wcisnęła jej pluszaka pod ramię, gdy Aggie leżała jeszcze w łóżku. Powiedziała: „Najwyższy czas” i stanowczo skinęła głową. Aggie w odpowiedzi mogła tylko pokręcić własną głową. Pierwsza z całej rodziny skończyła czteroletni college; porzuciła nieciekawą karierę w opiece społecznej, by zdobyć prestiż, pieniądze, a nawet pewną sławę jako artystka; na miłość boską, poślubiła nawet ideał powszechnego poważania w oczach jej matki – żydowskiego lekarza; ale dopiero dzisiaj, dopiero teraz po raz pierwszy w życiu ta starzejąca się, zrzędliva, rozczarowana kobieta okazała cień dumy czy chociażby zainteresowania osiągnięciami młodszej córki.

Pluszowy miś. Biały Śnieżek.

Oczywiście dziecko początkowo nie okazywało najmniejszego zainteresowania maskotką. Przez ponad półtora roku wierny pluszak siedział sobie bezimienny i całkowicie ignorowany w kącie kojca. Ale pewnej niedzieli, tuż po świętach, kiedy Jessica miała dziewiętnaście miesięcy, nadszedł jego dzień. Nathan siedział w fotelu i czytał. Aggie leżała na sofie, głośno czytając opisy haseł krzyżówki z „Timesa”. Jessica siedziała na podłodze i „rysowała” kredką w jednym z bloków Aggie.

Nagle mała spojrzała w górę. Otworzyła szeroko oczy, opadła jej bródka. Wystrzeliła zdecydowanie palcem w drzwi balkonu.

– To jeś...? To jeś...? – zawołała. – To jeś...?

Nathan spojrzał na drzwi. Uśmiechnął się.

– Hej! To jeś śnieg. Śnieżek.

– Eziek! – powiedziała Jessie. Nowe słowo wydobyło się z

jej ust z nutką zdumienia.

Opuściła rękę i wpatrzyła się w spadające z nieba wielkie płaty.

– Eziek!

– Taa – powiedział Nathan. – Niezłe, co?

– Eziek! – Jessie zaczęła się gramolić i wreszcie stanęła na nóżkach. Tak szybko, jak tylko potrafiła, podreptała do kojca. Agatha się roześmiała. Jak mawiał Nathan, kiedy mała biegła w ten sposób, wyglądała jak robot usiłujący zejść z boczem wzgórza. Jessie udało się jednak dotrzeć do kojca; sięgnęła do środka i wyszarpała swojego starego pluszaka. Podniosła go, pokazując Nathanowi. Jej głos aż drżał z przejęcia.

– Eziek! – zawołała.

– Tak, masz rację! – roześmiał się Nathan. – Śnieżek jest biały. Biały Śnieżek.

– Ały Eziek! – zawołała triumfalnie Jessica. – Ały Eziek! – I z całych sił przytuliła pluszaka. Kołysała nim w górę i w dół w silnym uścisku i przez cały czas gaworzyła mu do ucha: – Ały Eziek. Ały Eziek.

Od tego czasu – co najmniej przez rok – wszędzie ciągnęła za sobą maskotkę. Uczyla Białego Śnieżka słów, które sama dopiero co poznała. Pokazywała mu obrazki w swoich książeczkach. Kładła go do łóżka, żeby się trochę przespał. Trzymała pod pachą, kiedy sama szła spać. Aggie pamiętała nawet, że musiała go całować na dobranoc, kiedy razem z jej córką był kładziony do łóżeczka.

Aggie podeszła do leżącej z tyłu szafy maskotki. Uklękła przed nią. Chciała ją jakoś doprowadzić do porządku: zdjęć z niej Kraba Sebastiana i Słodziakowego Pieska. Może przesunąć trochę do przodu. Nie za mocno. Nie tak mocno, by Jessica to zauważyła... To znaczy, kiedy wróci do domu... Kiedy Nathan ją przyprowadzi...

Agatha zdusiła w sobie szloch i wzięła starego pluszaka na rękę. Przytuliła go mocno. Potarła policzek o jego przetarte, wystrzępione szare futerko.

– Ały Eziek – powiedziała.

Oczy jej wypełniły się łzami. Obraz przed nimi zamazał się. Przycisnęła jednookiego misia do piersi. Pamiętała ciągle – czuła ciągle w tym miejscu ciepły ciężar nowo narodzonego dziecka. Lekarz rzucił Jessicę na jej opuchnięte piersi jak wyłowioną rybę. Aggie dyszała po ogromnym wysiłku. Powtarzała bez przerwy: „O, dziecko. O, dziecko”. Bez końca. Musieli czekać tak długo. Aż Nathan wyzdrowieje. Aż założy własny gabinet. Aż będą mieli pieniądze. Aż poczują, że są pewni. Spojrzała do góry i zobaczyła Nathana, który stał nad nią. Jednocześnie płakał i śmiał się. – O! – powiedziała do niego. – O, dziecko. – A potem przyszła jej matka z pluszakiem. Z Białym Śnieżkiem.

Agatha z uporem tłumiała łzy. Przetarła oczy uchem maskotki. Nie pozwól im patrzeć, jak płaczesz, pomyślała. Niech pieprzone sukinsyny zgniją prędej w piekle, niż zobaczą twoje łzy, Aggie. Wszędzie wokół siebie wyczuwała kamery – na sobie, jak ręce kogoś obcego. Wyobrażała ich sobie – postaci o gorących białych oczach – jak ją obserwują. Obserwują ją.

Kim jesteście, sukinsyny? Dlaczego nam to robicie?

Minęło kilka minut, zanim zdołała osłabić nieco uścisk, w jakim trzymała pluszaka. Po chwili powoli położyła maskotkę na podłodze na swoim miejscu. Na miejscu z tyłu szafy. Jej miejscu. Oparła ją o ścianę w wyprostowanej pozycji.

Nie martw się, pomyślała, patrząc na misia. Nathan ją przyprowadzi. Odzyska ją i przyprowadzi, naprawdę. Teraz właśnie to robi.

Powtarzała to sobie setki, tysiące razy w ciągu ostatniej półgodziny, odkąd wyszedł. Nathan był tam, ratował ją, właśnie w tej chwili, właśnie teraz. Nie powiedział jej, gdzie idzie. Wyjaśnił, że mu nie pozwolili. Ale gdziekolwiek kazali mu pójść, zrobił to; kimkolwiek są, czegokolwiek ód niego chcą, on im to da i przyprowadzi z powrotem dziecko. Powtarzała to sobie bez przerwy. Wkrótce, myślała ciągle, już za kilka godzin – najpóźniej o dziewiątej trzydzięci – Nathan wejdzie do mieszkania z ich córeczką na rękach.

Spojrzała jeszcze raz na sfatygowanego szarego pluszaka. Wszystko będzie dobrze, pomyślała. Po prostu zaczekaj. Nathan ją przyprowadzi. Wszystko będzie dobrze...

W tym momencie zadzwonił dzwonek do drzwi.

Aggie wstrzymała oddech. Przez chwilę się nie ruszała.

„Nikommu nie otwieraj”.

Dzwonek znowu zadzwonił.

Aggie podniosła wzrok i spojrzała na sufit szafy, zwracając się do ukrytych tam kamer. Co powinna zrobić? Co według nich powinna zrobić?

Tym razem rozległo się pukanie. Delikatne, ale miarowe i natarczywe. A jeżeli to oni? Jeżeli chcą wejść? Jeżeli się na nią wściekną za to, że nie podejdziesz do drzwi?

Pukanie na chwilę zamilkło. Potem zadzwonił znowu dzwonek. A potem znowu rozległo się pukanie.

– Pani Conrad?

Męski głos. Wołał ją.

Agatha powoli wstała. Jak w transie wyszła z pokoju dzieciennego. Jej stopy sunęły do przodu, jakby przyciągała je jakaś magiczna siła. Oczy Agathy nadal krążyły po mieszkaniu. Szukały kamer. Zatrzymały się na telefonie: dzwońcie, sukinsyny. Powiedzcie, co mam robić. Powiedzcie, czego chcecie. Na litość boską, zrobię to, zadzwońcie tylko.

– Pani Conrad?

Od strony drzwi nadal dobiegało delikatne, miarowe stukanie.

Agatha weszła do przedpokoju. Stała przed drzwiami i przeczesała palcami włosy. Co według nich mam zrobić? Nie mogła się zdecydować.

Bardzo powoli podniosła dłoń. Tak cicho, jak tylko była w stanie, przesunęła wieczko judasza. Nachyliła się i wyjrzała na zewnątrz.

W korytarzu machał do niej mężczyzna. Przystojny młody mężczyzna o ciemnych przylizanych włosach.



– Dzień dobry, pani Conrad – powiedział. – To ja.

Początkowo nie potrafiła go z nikim skojarzyć. Wreszcie zaskoczyła. Price. Nowy sąsiad, Billy Price, z 5H. Agatha nie rozmawiała z nim jeszcze, wymienili tylko kilka razy zdawkowe „dzień dobry” przy windzie. Plotka wśród sąsiadów głosiła, że jest dwudziestopięcioletnim maklerem giełdowym i że pochodzi z Topeki w Kansas. Kawaler. Po Harvardzie. Trzech młodszych braci, rodzice.

– Hm... dzień...? – Agatha musiała odchrząknąć. Podeszła do drzwi i powiedziała przez nie: – Czy możesz przyjść później, Billy? To nie jest dobry moment. Jestem nieubrana.

– Mnie to nie przeszkadza – odparł Billy Price. Roześmiał się chłopięco. – Niech pani da spokój, pani Conrad, Agatho, tak? Przecież musisz mnie wpuścić. Wiem, że jesteś sama, ale... bez żartów.

Aggie nie odpowiedziała. Spojrzała za siebie na telefon, po czym z powrotem na drzwi. Dzwon, pomyślała. Powiedz mi. Co mam według ciebie zrobić?

„Musisz mnie wpuścić”.

Dlaczego on tak nalega? I skąd wie, że jest sama? Może widział, jak wychodzi Nathan, ale... spotkał ją przecież kiedyś z Jessicą, wiedział, że ma córkę. Skąd może wiedzieć, że Jessiki nie ma w mieszkaniu?

– Och, A-ga-tho! – Tym razem wykrzyczał jej imię. Jego głos był groźny, niebezpieczny.

Jeżeli on nie jest jednym z nich, to dlaczego nie dzwonią?

– Wpuść mnie, A-ga-tho!

Aggie bez namysłu wyciągnęła rękę. Otworzyła drzwi.

Billy Price natychmiast wszedł do środka. Aggie musiała się cofnąć, żeby zejść mu z drogi. Uśmiechnął się nieśmiało, zamykając za sobą drzwi.

– Cześć. Pamiętasz mnie? Billy Price. Z drugiego końca korytarza. – Jego oczy przebiegły po niej w górę i w dół. Ciągłe była w dzinsach i bluzce. Nie włożyła biustonosza. Kiedy na nią patrzył, poczuła pod koszulką nagie piersi. Uśmiechnął się znowu

nieśmiało, ale kiedy podniósł na nią oczy, zauważyła, że wcale nie ma w nich nieśmiałości. Były gorące; śmiały się z niej. – Naprawdę przepraszam – kontynuował. – Chciałem tylko pożyczyć książkę telefoniczną, nie mam jeszcze swojej. I... prawdę mówiąc, wiedziałem, że jesteś sama w domu, i... Cóż, nie miałem dotąd okazji, żeby cię poznać, więc... Więc pomyślałem, że wpadnę. Rozumiesz?

– Cóż, ja... – Aggie spróbowała ułożyć zdanie, ale jej myśli pędziły zbyt szybko. Czy jest jednym z nich? Dlaczego się z nią bawi? – Jest... w kuchni. Książka telefoniczna. Przyniosę ją.

– Ależ nie ma pośpiechu – powiedział Billy Price. Zbliżył się do niej o kolejny krok. Był już zbyt blisko, czuła na twarzy jego ciepły oddech. – Naprawdę. Pomyślałem, wiesz... To znaczy, zauważyłem cię na korytarzu i pomyślałem... No cóż, skoro nie ma twojej rodziny i tak dalej, to może nadarzyła nam się całkiem miła okazja, żeby, no wiesz, porozmawiać trochę, usiąść razem... Lepiej się poznać.

W tym momencie – z piskiem przypominającym odgłos piły tarczowej przecinającej kamień – za plecami Agathy zadzwonił telefon.

Aggie podskoczyła. Gwałtownie wciągnęła powietrze.

– Słodki Jezu! – krzyknęła. Odwróciła się.

Telefon zadzwonił ponownie.

Dysząc ciężko, spojrzała z powrotem na Billy'ego Price'a. Patrzył na nią. Zmusiła się do uśmiechu.

– Ojej, telefon – powiedziała. – Mogę przeprosić?

Kiedy chwiejnym krokiem zbliżała się do aparatu, serce waliło jej w piersiach jak oszalałe. Odwróciła się plecami do Price'a. Podniosła słuchawkę.

– Ha... Halo?

Głos natychmiast wrzasnął jej dziko do ucha:

– Kto to jest, głupia pizdo, ty głupia pizdo! Mówiłem, że macie nikogo nie wpuszczać! Rozetnę ją, rozetnę ci, do kurwy nędzy, berbecia na pół, pieprzona pizdo! Mów, kto to – i to już, już, już, już, już!

– Ja... Jak... Ja... Mogę...  
– Jak chcesz, głupia pizdo! – I mężczyzna dodał: – Dawać małą.

– Nie, ja...

Aggie przez mgiełkę przerażenia usłyszała w tle głos córki:

– Puśćcie mnie! Nie! Proszę. Proszę.

Dziewczynka zaczęła płakać.

– Proszę – szepnęła Aggie. – Ja po prostu nie wiem, jak to powiedzieć...

Głos mężczyzny nagle stał się spokojniejszy, nagle nieco ucichł. Aggie ciągle słyszała płacz Jessiki. Ale w płaczu tym był tylko strach – Aggie słyszała, że nie było w nim bólu. Jeszcze nie.

– Jessie – szepnęła.

– Posłuchaj – powiedział mężczyzna zadyszczanym głosem.

– Jestem twoją koleżanką. Rozumiesz? Jestem twoją koleżanką Louise. Rozumiesz, co mówię? Masz powiedzieć: „Cześć, Louise...”

– Cześć... – Agacie załamał się głos. Spróbowała jeszcze raz:  
– Cześć, Louise.

– Bardzo dobrze. A teraz powiedz: „Oddzwonię do ciebie Louise. Taki a taki wpadł tutaj z takiego a takiego powodu”.

– Ja... Ja...

– Mów, głupia ruco!

– Już, och, od... oddzwonię do ciebie Louise. Och... Billy Price, mój nowy sąsiad z drugiego końca korytarza... wpadł tylko, żeby pożyczyć książkę telefoniczną. Tylko żeby pożyczyć książkę telefoniczną.

– Dobrze – powiedział mężczyzna. – A teraz każ temu żalosnemu pojebowi wypierdalać, i to migiem, ty głupia pizdo, ty głupia ruco, ty pieprzona zdiro. Masz sześćdziesiąt sekund. Potem ją pochlastam.

Mężczyzna trzasnął słuchawką.

Agatha odłożyła słuchawkę na widełki. Odwróciła się twarzą do Billy’ego Price’a. Dalej się w nią wpatrywał.

– Przyniosę książkę telefoniczną – szepnęła.

– Och... naprawdę – powiedział trochę niepewnym głosem Price. – Naprawdę, nie ma pośpiechu.

– Jest – stwierdziła Agatha. – Naprawdę. Jest.

Zostawiła go i ruszyła do kuchni.

Książka telefoniczna była tam gdzie zawsze – Aggie rozmawiała głównie z telefonu w kuchni. Ostatnio zostawiła książkę na parapecie. Leżała przywalona wielką puszką z ciasteczkami, pudełkiem torebek na jedzenie i na wpół zjedzoną paczką precli. Wszystko to Aggie przytrzymała jedną ręką. Drugą zaczęła spod spodu wyciągać grubą książkę.

„Kto to jest, głupia pizdo, ty głupia pizdo! Mówiłem, że macie nikogo nie wpuszczać!”

Ciągle słyszała jego głos. Straszny głos. Wypalił się w jej uszach, odcisnął piętno w umyśle.

„Mów, kto to – i to już, już, już, już, już!”

Oswobodziła książkę. Puszka z ciasteczkami i cała reszta spoczęły bezpiecznie na parapecie. Aggie odwróciła się gotowa, by zanieść książkę do salonu.

„Dlaczego nie wiedział?”

– O Jezu – szepnęła na głos. Nie zatrzymała się jednak. Nie mogła. Nie miała czasu. Podeszła z książką telefoniczną w rękę do drzwi kuchennych.

„Ale dlaczego?” – pomyślała. Dlaczego nie wiedział, kto jest w mieszkaniu? Przecież Price to powiedział, przedstawił się. „Cześć. Pamiętasz mnie? Billy Price? Z drugiego końca korytarza?” Powiedział to w chwili, kiedy wchodził do środka. Dlaczego mężczyzna po drugiej stronie linii go nie słyszał? Dlaczego nie słyszał go, choć wszędzie miał mikrofony?

Wyszła z kuchni i ruszyła krótkim korytarzem.

Może właśnie nie słuchali. Może siedzieli daleko od aparatury.

Weszła do sypialni. Biedny Price wyglądał na trochę oszołomionego. Ręce wsunął do kieszeni, szurał stopami, a wzrokiem bez wyraźnego celu błędził po ścianach.

W głosie mężczyzny brzmiała histeria – w głosie mężczyzny

z drugiej strony linii. Spanikował. Nie wiedział, kto jest w mieszkaniu, ponieważ...

Aggie trzymała ciężką książkę w obu dłoniach. Zbliżając się do Price'a, wyciągnęła ją przed siebie. Zmusiła się do przyjacielskiego uśmiechu.

– Proszę bardzo – powiedziała.

„Nie ma żadnych pieprzonych mikrofonów” – pomyślała. W mieszkaniu są kamery – z pewnością facet ich widzi. Widział, że wchodzi Billy Price. Widzi wszystko, co robią. Ale ich nie słyszy. Nie słyszał, jak rozmawiali przez drzwi – dlatego wtedy nie zadzwonił. Zadzwonił, kiedy zobaczył Price'a. Musiał zadzwonić, musiał na nią nakrzyczeć przez telefon, żeby się zorientować, co się dzieje. Nie mógł po prostu słuchać. „Nie ma żadnych mikrofonów”.

– Och... Eee... No cóż, dziękuję – powiedział Billy Price.

– Dziękuję, ee... – Wyciągnął rękę, by zabrać książkę. Spojrzał Aggie w oczy, podejmując jeszcze jedną próbę. – Rozumiem, że raczej nie zaprosisz mnie na herbatę, co?

Agatha uśmiechnęła się jeszcze szerzej. Przekrzywiła głowę jak pełna serdeczności sąsiadka.

– Posłuchaj mnie, żałosny mały skurwysynie – powiedziała.

– Masz natychmiast przerwać to błaznowanie i mi pomóc. Moja córka została porwana. Moje mieszkanie jest pod obserwacją. Zadzwonź na policję. Powiedz im. I to zaraz.

Price'owi uśmiech zamarł na twarzy. Spojrzał na Aggie w osłupieniu. Po chwili jego uśmiech powoli zniknął. Chłopak otworzył szeroko usta.

– I nie gap się tak, synku, przecież oni cię widzą – powiedziała Aggie, uśmiechając się słodko. – Uśmiechnij się. I zabierz książkę.

Wepchnęła mu książkę w rękę. Chwycił ją. Roześmiała się dźwięcznym, sąsiedzkim śmiechem.

– I nie myśl, że żartuję – powiedziała. – Najlepiej w ogóle nie myśl. Po prostu wracaj na swoją chatę, czy jak ją tam nazywacie, i wykręć dziewięćset jedenaście, tak jakby zależało od

tego życie małej dziewczynki. – Zaczęła go popychać w stronę drzwi, napierając na książkę telefoniczną, tak że musiał się wycofać. Price spróbował przywołać na usta rachityczny uśmiech i gapił się na nią szklistymi oczami.

Sięgnęła obok niego ręką i otworzyła drzwi.

– Jeżeli policja tutaj przyjdzie, moja córka umrze. Powiedz im to. Upewnij się, że zrozumieli. A teraz powiedz: „Dziękuję pani i do widzenia, pani Conrad.

– Dziękuję pani i do widzenia, pani Conrad – powiedział beznamiętnie Price. Aggie wypchnęła go na korytarz i zatrzasnęła mu przed nosem drzwi.

Agatha odwróciła się i wpatrzyła w telefon. Jeżeli się myliła – jeżeli w mieszkaniu są mikrofony, jeżeli oni mogli ją usłyszeć – zadzwoni. Nagle pomyślała, że musi zadzwonić, że na pewno się myliła. Wszystko wydarzyło się tak szybko, że nawet nie miała czasu, żeby porządnie to przemyśleć. Było tak wiele innych możliwości. Oczywiście, że się myliła. Oczywiście, że zadzwoni. Zadzwoni właśnie teraz, a ona znowu usłyszy ten straszny głos, tego nikczemnego mężczyznę. Usłyszy swoją córkę, usłyszy, jak płacze. Jak krzyczy. Wbiła wzrok w telefon. Ale telefon milczał. Jeżeli się jednak myliła... Jeżeli się pomyliła...

Telefon nadal nie dzwonił.

Aggie ruszyła środkiem pokoju. Poruszała się na paluszkach, nie chcąc drażnić śpiącej bestii – milczącego telefonu. Szła powoli, prawie nie oddychając. Minęła znowu korytarz. Wróciła do pokoju dziecinnego. Chciała uciec tak daleko od telefonu, jak się tylko da. Jeżeli od niego ucieknie, może jej nie złapie.

Telefon ciągle nie dzwonił. Ciągle nie dzwonił. Miała rację. Nie mogli jej usłyszeć. W mieszkaniu nie było mikrofonów. Tylko kamery. Miała rację. Powoli jej wezbrane przerażenie zaczęło opadać. Mogła się skoncentrować, oczyścić umysł. Weszła do pokoju dziecinnego. Podeszła do szafy. Dziwne, ale czuła się tam – między zabawkami Jessie – bezpieczniej. Czuła, że coś ją tam chroni przed telefonem.

Podeszła do tylnej ściany szafy. Schyliła się i podniosła

starego szarego pluszaka. Przytuliła go mocno. Zakołysała nim w górę i w dół.

Udało nam się, Śnieżku, pomyślała. Zawiadomiliśmy policję. Policjanci aresztują tych mężczyzn. Przyprawdzą Jessie. Jestem tego pewna.

Jeszcze mocniej przytuliła misia.

– Słodki Jezu – szepnęła na głos. – Proszę, pomóż nam.

I wtedy w sąsiednim pokoju zaczął dzwonić telefon.

## NORMALNE UBRANIE

Conrad wpatrywał się w pusty pokój. Wydawało mu się, że czuje czas – czuje, jak pędzi na jego nieruchomą postać. Była... Która? Siódma czterdzieści jeden? Czterdzieści dwa? Dziwne, ale nie był w stanie spojrzeć na zegarek. Wiedział jednak, że o ósmej trzydzieści powinien wyjść, znaleźć się na drodze. I kiedy tak stał, przeczesując pusty pokój wzrokiem, czuł, że ta chwila zbliża się do niego. Spojrzał na miskę na wodę stojącą tam gdzie wcześniej, czyli na stole. Puste krzesło pod kratą okna. Puste łóżko z gładko zaścieloną kołdrą. Czuł, że czas pędzi na niego jak lokomotywa.

Co ma teraz zrobić? Gdzie jest Elizabeth? Gdzie, do diabła, może być? Przecież, na litość boską, była agresywną pacjentką na oddziale zamkniętym! Powinna być właśnie tutaj.

Odwrócił się do drzwi. Sięgnął ku klamce.

I w tym momencie drzwi się otworzyły. Za nimi stała Elizabeth.

Weszła do pokoju i zatrzymała się. Stała z dumą przed Conradem. Zaprezentowała się przed nim w całej okazałości, a na jej ustach pojawił się przebiegły tryumfalny uśmiech. Była inaczej ubrana, na tym polegała różnica. Miała na sobie normalne ubranie – nie to przydzielone przez miasto, ale własne. W sumie nic takiego. Zwyczajna stara różowa sukienka, opadająca swobodnie wzdłuż jej ciała. Zniknęły wymięte sztruksy i koszula włóczęgi. Włosy Elizabeth związała z tyłu całkiem ładną czarną kokardką. Usta pociągnęła pomarańczowo czerwoną szminką, która pasowała do jej jasnej karnacji. Głębię swoich zielonych oczu delikatnie uwydatniła kredką. Nawet Conrad, nawet w tym momencie, był w stanie to stwierdzić: nie wymyśliłby jej sobie nawet usychający z tęsknoty za miłością chłopiec – tak była piękna.

Za plecami Elizabeth pojawiła się terapeutka. Niska, śliczna Hiszpanka. Stała trochę z boku, aby Elizabeth mogła się zaprezentować. Ponieważ Conrad się nie odzywał, kobieta



stwierdziła:

– Chciała się dla pana wystroić. Jest podekscytowana, kiedy pan przychodzi. Piękna z niej dziewczyna, co?

– Och... co? – Conrad zamrugnął i pokręcił głową. – Tak. To znaczy, oczywiście, tak. Elizabeth... wyglądasz... uroczo. Naprawdę. Naprawdę wyglądasz... wspaniale.

Elizabeth uśmiechnęła się, a na jej policzkach zakwitł rumieniec.

– To tylko moje stare ubranie. Miałam je na sobie, kiedy się tutaj dostałam.

– Wyglądasz... pięknie. Naprawdę – zdołał powtórzyć Conrad.

Elizabeth roześmiała się. Wydawało się, że chce powiedzieć coś jeszcze. Ale powstrzymała się i spojrzała na siostrę.

– Już dobrze, dobrze, już sobie idę – powiedziała kobieta.

– Co? – zdziwił się Conrad. – Ach, tak. Proszę. Dziękuję pani bardzo.

Siostra się wycofała, zamykając za sobą drzwi.

Elizabeth ciągle się nie odzywała. A Conrad stał przed nią jak głupek. Zatarł ręce.

– Hm... Cóż... – powiedział.

„Rozmawia pan z nią. Jak zwykle. Po prostu pan z nią rozmawia, tak żeby się odprężyła. Zaczęła z panem gadać. Daję panu na to jakieś pół godziny”.

– Hm... Cóż, Elizabeth – powtórzył.

– Doktorze – powiedziała. Wzięła głęboki oddech. – Doktorze, podjęłam decyzję.

Conrad czekał. Czuł, że czas pędzi na niego. Powolnym, miarowym krokiem Elizabeth przeszła obok niego i dotarła do krzesła pod oknem. Conrad odwrócił się za nią. Patrzył w milczeniu, jak siada. Przyjęła zwyczajną pozycję: głowa prosto, ręce spokojnie złożone na kolanach. Conrad czuł, jak z jego włosów opada kropelka potu, jak toczy mu się strużką po szyi. Dalej, pomyślał.

„Daję panu na to jakieś pół godziny”.

– Postanowiłam opowiedzieć panu o Robercie Rostoffie – oświadczyła Elizabeth.

– O Robercie?

– Tak. O tym mężczyźnie, którego... on zabił, którego zabił Sekretny Przyjaciel. Dlatego tutaj jestem. – Spojrzała na niego. Miała ściągnięte usta i poważne oczy. – Nikomu o tym nie mówiłam – wyznała. – Nie wszystko. Postanowiłam opowiedzieć o tym panu.

Conrad wpatrzył się w nią z rozdziawionymi ustami.

– Postanowiłaś... – Myśli w jego głowie pędziły jak szalone: jaki to numer? Czy to ma z tym coś wspólnego, to znaczy z Robertem Rostoffem? Dlaczego moja córka, Elizabeth? Dlaczego ja?

Spojrzał wreszcie na zegarek – była siódma czterdzieści sześć. Osuszył dłoń i policzki.

„Rozmawia pan z nią. Jak zwykle. Po prostu pan z nią rozmawia, tak żeby się odprężyła”.

– No cóż... Oczywiście – powiedział powoli Conrad.

– Ja... oczywiście, że chcę, żebyś mi o tym opowiedziała, Elizabeth.

Odwrócił się od niej, starając się doprowadzić twarz do porządku. Podszedł do przeciwległego kąta pokoju po drewniane krzesło. Przyniósł je i postawił tyłem do dziewczyny.

„Jak zwykle”.

Jakby nigdy nic zdjął płaszcz i położył go na łóżku. Widział, że Elizabeth wpatruje się w niego ze zdziwieniem.

– Sobota – stwierdził z uśmiechem. Bez garnituru i krawata czuł się trochę nagi.

Usiadł okrakiem na krześle. Złożył ramiona na oparciu. Doszedł do wniosku, że wygląda na wystarczająco opanowanego i skupionego. Starał się uchwycić tej myśli.

– Możemy zaczynać, Elizabeth – stwierdził.

Dziewczyna zawahała się i wpatrzyła w jego twarz.

– Chodzi o to... że doszłam do wniosku... że nie jest pan jednym z nich – odezwała się wreszcie. – O to chodzi, prawda?

Nie mówię, że... podejrzewałam pana, ale... musi pan zrozumieć: trudno mi o tym mówić... Nigdy tego tak do końca nie wiem. Ludzie są mili, a potem nagle... zmieniają się. Rozumie pan?

Conrad poważnie skinął głową.

– Tak. Rozumiem.

– No to w porządku. – Poruszyła stanowczo podbródkiem.

– W porządku. – Spojrzała na niego. – Nie chce pan włączyć swojego urządzenia?

– Co? Och... – „Cholera jasna”, pomyślał. Wyplątał się z krzesła. Wyciągnął dyktafon z kieszeni płaszcza i postawił go na stole. – Możesz zaczynać – powiedział. Z powrotem usiadł okrakiem na krześle.

– No dobrze – stwierdziła. – No dobrze.

„Daję panu jakieś pół godziny”. Conradowi praktycznie przez cały czas pobrzmiwały w uszach słowa Jaja.

Ósma trzydzieści, pomyślał. O ósmej trzydzieści ma mnie już tutaj nie być.

Była siódma czterdzieści osiem.

– Opowiedz mi o tym – powiedział.

Elizabeth zaczęła mówić.

## MORDERSTWO ROBERTA ROSTOFFA

– Za każdym razem wyglądał inaczej. To znaczy – Sekretny Przyjaciel. Chyba już o tym panu mówiłam, ale to bardzo ważne. Nigdy nie był taki sam. Musi to pan zrozumieć. Doktor Holbein tego nie rozumiał. Był moim lekarzem w szpitalu stanowym. Po tym jak Sekretny Przyjaciel skrzywdził marynarza – tego marynarza, który dotknął moich... dotknął mnie czy jakoś tak... po tym zostałam wysłana do szpitala stanowego. Dawali mi tam lekarstwo, a doktor Holbein ze mną pracował. Doktor Holbein był dobry, był miły. Był trochę jak pan, tylko starszy i miał siwą brodę. I nie miał tak smutnej twarzy jak pan – przez cały czas się śmiał. W każdym razie był z Kalifornii, więc już go nie widuję. – Ale lubiłam go.

Jego lekarstwo sprawiało, że robiłam się śpiąca, ale po pewnym czasie zaczęłam się dzięki niemu czuć lepiej. Przestało mi się wszystko mylić. A Sekretny Przyjaciel przestał przychodzić – a przynajmniej tak mi się wydawało. To znaczy – no wie pan, nigdy do końca nie mogłam być tego pewna. Próbowałam powiedzieć o tym doktorowi Holbeinowi: nigdy do końca nie mogłam być tego pewna, ponieważ on za każdym razem wygląda inaczej.

Ale doktor Holbein powiedział, że mogę już żyć poza szpitalem. Lucy – moja opiekunka społeczna – pomogła mi dostać pracę w Centrum Wolności dla Dzieci. Było to centrum opieki dziennej przeznaczone dla biednych dzieci. Moja praca polegała na tym, że sprzątałam tam wieczorami. Wycierałam stołówkę, pokoje, okna. Była to poważna praca. Trzeba było pamiętać o wielu rzeczach. Ale lubiłam ją. Lubiłam przebywać w pobliżu dzieci, chociaż kiedy przychodziłam, zwykle ich już nie było. Po prostu lubiłam być tam gdzie one. Lubiłam wchodzić czasem do pustych klas i po prostu siedzieć – rozumie pan? Siadałam i myślałam o – wie pan – o szkole, o Słonecznej Szkole. Ale nie jak wariatka czy coś takiego. To było bardzo miłe.

Potem było jeszcze lepiej, potem było to, co najlepsze – przychodziłam do pokoju – mieszkania, które było tylko moje. Mieściło się w kamienicy na Osiemdziesiątej Pierwszej Ulicy, niedaleko Columbus Avenue. Na dole, na parterze, mieszkał pracownik socjalny. Ronnie. Przychodził często do mnie, żeby mnie odwiedzić. Ale przez resztę dnia byłam sama. Miałam tylko jeden pokój, ale była tam mała kuchenka i łazienka, i kanapa, którą wieczorem rozkładałam i robiło się z niej łóżko. Uwielbiałam to. Chciałabym tam teraz być, naprawdę. Ale myślę, że po tym co się stało, nigdy tam już nie wrócę.

W każdym razie był to najszczęśliwszy okres w moim życiu. Trwał siedem, może osiem miesięcy. Wieczorami pracowałam w centrum i miałam własne mieszkanie. Czułam się dobrze. Nic mi się już nie myliło. Tak naprawdę jedynym problemem było to, że czułam się tak szczęśliwa i – wie pan – martwiłam się... Martwiłam się, że Sekretny Przyjaciel może wrócić. To znaczy, nigdy nie mogłam być tego pewna, zawsze był... No i powiedziałam o tym doktorowi Holbeinowi. Ale on stwierdził, że powinnam się przestać martwić. Powiedział, że Sekretny Przyjaciel odszedł na zawsze.

Ale mimo to się martwiłam. Myślałam o tym często. Myślałam o tym przez cały czas.

W każdym razie Centrum Wolności, gdzie pracowałam, mieściło się w budynku przy niewielkiej uliczce w Village. Wąskiej, wybrukowanej uliczce, na której stała staroświecka latarnia. Budynek był ceglany i zajmował całą stronę uliczki, a po drugiej widać było również ceglana ścianę kościoła. Czasem kiedy szłam uliczką, zaczynały dzwonić dzwony kościoła, czasem nawet wydzwaniały kolędę.

Kiedy wychodziłam z pracy, około jedenastej wieczorem, uliczka była zawsze ciemna i pusta. Po drugiej stronie paliła się tylko latarnia. Nikogo nie było widać z wyjątkiem przechodniów na MacDougal Street, do której prowadziła uliczka.

Ale pewnej nocy, kiedy wyszłam z centrum, ktoś tam był. Pomyślałam... Pamiętam, że wyszłam przez drzwi, dzwon

kościelny zaczął wybijać jedenastą i pomyślałam... Zobaczyłam kogoś. Postać stojącą za lampą, ukrytą w jasnym świetle lampy. Czułam ją jednak. Stała tam. Patrzyła na mnie...

No i byłam... byłam przerażona. Byłam przerażona, ale próbowałam ją zignorować. Chciałam przejść obok i pójść w stronę MacDougal Street. Udało mi się przejść jakieś cztery kroki. I nagle dzwon przestał wybijać godzinę. Jego echo zamarło i wokół zrobiło się bardzo cicho. I wtedy usłyszałam męski głos, tuż za plecami, właściwie we własnym uchu. „Elizabeth” – powiedział.

Zatrzymałam się i odwróciłam.

„Idź sobie” – powiedziałam na głos. „Idź sobie. Nie chcę, żebyś tutaj był”.

Ale on ciągle tam był. Był tam ciągle i szedł w moim kierunku. Zobaczyłam jego twarz. Jego rude włosy, jasną skórę, piegi. Miał na sobie ciemny płaszcz, a ręce trzymał w kieszeniach.

„Idź sobie” – krzyknęłam. „Nie”.

Ale on ciągle szedł w moim kierunku. I znowu usłyszałam jego głos: „Elizabeth”.

Odwróciłam się i uciekłam.

Pobiegłam uliczką, tak szybko, jak tylko mogłam. Wpadłam na MacDougal. Byli tam ludzie, młodzi ludzie, którzy przyjechali na studia, i mieszkańcy. Widziałam światła latarni, restauracji i sklepów. Pobiegłam do nich tak szybko, jak tylko mogłam. Spojrzałam przez ramię, żeby zobaczyć, czy ciągle jest za mną... a kiedy to zrobiłam, spadłam z krawężnika.

Z lewej strony dobiegł do mnie pisk hamulców. Zatrąbił klakson. Pamiętam, że odwróciłam się i zobaczyłam przedni błotnik taksówki, który wyglądał jak zęby jakiegoś wielkiego, mającego mnie pożreć potwora. Krzyknęłam i zasłoniłam rękami twarz.

Nagle ktoś mnie złapał. Poczułam, że w pasie obejmuje mnie czyjeś ramię. Coś mnie pociągnęło do tyłu, z powrotem na chodnik. Taksówka przejechała obok mnie.

Ale ramię ciągle mnie trzymało. „To on” – pomyślałam.

Rozumie pan? „To on” – myślałam. Złapał mnie. Więc go uderzyłam. Walnęłam go w ramię. Kopnęłam go, zaczęłam się wyrywać i krzyczeć: „Puść mnie. Proszę!”.

„W porządku, w porządku” – powiedział. Opuścił mnie powoli na ziemię. Odwróciłam się do niego. Roześmiał się. A potem powiedział wesołym głosem: „Rozumiem, że według ciebie w Nowym Jorku tak się okazuje wdzięczność”.

Bo widzi pan, to nie był wcale on, ten rudy. To był inny mężczyzna. Młody, przystojny. Z taką trochę okrągłą chłopięcą twarzą. Brązowymi włosami opadającymi na oczy. I miał miły uśmiech – mimo że śmiał się ze mnie, jego uśmiech wydał mi się miły.

Popatrzyłam przez ramię na aleję. Rudy mężczyzna zniknął. Stałam przed kimś nieznanym, obcym, zdyszczanym, skrępowanym.

„Przepraszam” – powiedziałam. „Nie chciałam... Przepraszam...”

Nie wiedziałam, co mówić. Byłam bardzo zakłopotana. Ruszyłam w swoją stronę, ale on poszedł za mną.

„Zaczekaj chwilkę” – powiedział. „Stałem cały dzień tam na rogu i czekałem, aż jakaś śliczna dziewczyna wejdzie pod taksówkę, żebym mógł jej uratować życie. Nie mów mi więc teraz, że to była strata czasu”.

No i to było zabawne. Nie wiedziałam... Nie wiedziałam, jak mam zareagować. Pędziłam więc dalej w kierunku skrzyżowania.

„Nie no, zaczekaj, naprawdę” – powiedział. Złapał mnie za ramię. Zatrzymałam się i spojrzałam na niego. Powiedział... powiedział: „Wiesz co, Japończycy twierdzą, że jak mężczyzna uratuje kobiecie życie, musi jej potem kupić salon samochodowy. A może chodziło o drinka? Kto ich tam zrozumie, jak gadają sobie po japońsku”.

Nie wiedziałam... Powiedziałam tylko: „Japońsku?”

Znowu się roześmiał – naprawdę miał bardzo miły uśmiech. Pokręcił głową. I wyjaśnił, że chce mi kupić drinka; że o to mu chodziło.

No i spojrzałam... spojrzałam na niego i zapytałam:

„Dlaczego?”

A on powtórzył: „Dlaczego?”. Po czym dodał: „No cóż, zastanówmy się. Ponieważ jesteś jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie widziałem w swoim życiu, i ponieważ właśnie uratowałem ci życie. I myślę, że przez najbliższych parę godzin coś takiego drugi raz mi się nie przydarzy. To znaczy, mogę zrobić tylko tyle, żeby ci podziękować”.

No i powiedziałam... powiedziałam: „Nie piję alkoholu”. No wie pan, nie chciałam mu mówić, że zażywam lekarstwa. Dodałam więc: „Ale mogę się napić coli”.

A on odpowiedział: „Cóż – nie jestem pewien. Mamy czwartek, a przepisy są pod tym względem dosyć rygorystyczne. Ale co tam, skoro to tylko raz... Komitet Centralny pewnie nigdy się nie dowie”.

„Komitet Centralny?” – zapytałam.

Roześmiał się. „Chodźmy, kosmitko” – powiedział.

Wziął mnie do małej kawiarni na Szóstej Alei. Nazywała się Alamo. Zamówiliśmy colę i – jak to się nazywa? – sos guacamole z plackami. Były bardzo dobre. A on powiedział mi – powiedział mi, że nazywa się Terry Somerset. Powiedział, że jest aktorem. Powiedział, że występuje w sztuce w MacDougal Street Playhouse. Wiedziałam, gdzie jest ten teatr. Przechodziłam każdego dnia obok niego po drodze do metra. Zawsze chciałam wejść do środka. Powiedział, że pracuje tam i że czasem przepisuje jakieś teksty, żeby dorobić. A ja powiedziałam mu, że pracuję w centrum opieki dziennej. Myślę, że zabrzmiało to, jakbym była jedną z opiekunek. Myślę, że próbowałam mu zaimponować.

No i potem on zapytał: „Późno kończysz pracę, prawda?”

„Tak” – odpowiedziałam. „Tak. Późno”.

A on powiedział: „Wyskoczyłaś z tej uliczki tak szybko, jakby ktoś cię gonił.

A ja powiedziałam: „No bo...” – Powiedziałam bardzo cicho: „Bo było ciemno. I ktoś tam był” – powiedziałam. „Chyba się po prostu przestraszyłam”.

Terry powiedział, że w Nowy Jorku trzeba być bardzo



ostrożnym. A potem rozmawialiśmy o innych rzeczach.

Kiedy wychodziliśmy z kawiarni, było już bardzo późno. Terry wsadził mnie do taksówki i zapłacił za mnie kierowcy. Kiedy jechałam do domu, byłam szczęśliwa. Nigdy nie spotkałam kogoś takiego jak Terry. To znaczy, nigdy z nikim nie byłam tak naprawdę na randce czy czymś w tym rodzaju. Było fajnie. Dobrze się bawiłam.

Przez kilka dni Terry się ze mną nie kontaktował, ale wreszcie w poniedziałek zadzwonił. Zaprosił mnie na kolację. Skłamałam i powiedziałam, że znowu późno kończę pracę. Nie chciałam mu mówić, że każdego wieczoru pracuję do późna; to znaczy, że jestem w centrum tylko sprzątaczką. W każdym razie Terry powiedział, że spotka się ze mną po pracy w Alamo.

Przez cały dzień się martwiłam. Doktor Holbein powiedział mi, że Sekretny Przyjaciel pojawia się, kiedy zaczynam się niepokoić o... wie pan, chodzi o seks. Czy jak wy to tam nazywacie. Ale mówiłam sobie ciągle, że no wie pan, że to tylko cola. To znaczy, Terry nie próbował mi nic zrobić. Dlaczego Sekretny Przyjaciel miałby się gniewać? Mimo to się martwiłam.

Skończyłam tego wieczoru pracę dosyć wcześnie – około dziesiątej czterdzieści pięć. Wyszłam przez drzwi na uliczkę – i nagle złapał mnie rudy mężczyzna.

Chwycił mnie za ramię. Spróbowałam się wyrwać. Ale on przysunął swoją twarz do mojej. A jego głos był wszędzie – w mojej głowie, wszędzie wokół mnie.

„Trzymaj się od niego z daleka, Elizabeth” – powiedział. „On chce wykopać twoją matkę. Musisz to zrozumieć. On tylko chce wykopać twoją matkę. Trzymaj się od niego z daleka”.

„Nie!” – krzyknęłam. Ale on ciągle to mówił, ciągle mówił okropne rzeczy o Terry, o mojej matce. Nie przestawał ich mówić. Znowu krzyknęłam i mu się wyrwałam. Pobiegłam – tak szybko, jak potrafiłam, pobiegłam uliczką.

Poszłam do kawiarni, poszłam zobaczyć się z Terry, ale byłam bardzo zdenerwowana. Terry zapytał mnie, co się stało. Powiedziałam mu, że to nic. Zmieniłam temat. Powiedziałam, że

zawsze chciałam pójść do MacDougal Street Playhouse. A on powiedział, wie pan, że dlaczego nie? Kiedy więc wypiliśmy colę, zabrał mnie z kawiarni. Teatr był już zamknięty, ale Terry miał klucz. Weszliśmy do środka, a on pokazał mi, gdzie na ścianie wisi jego zdjęcie. W korytarzu był napis z tytułem sztuki: *Cienie*, a obok, przypięte do tablicy, wisiały zdjęcia obsady. W środku, trochę z prawej, znalazłam zdjęcie Terry'ego. Pomyślałam, że jest najprzystojniejszy ze wszystkich.

Potem Terry wziął mnie do środka i stanęliśmy razem na scenie. To było bardzo podniecające. Wszystko było tam ustawione tak, jakbyśmy byli w salonie, tyle że meble były przykryte prześcieradłami. Terry wyrecytował mi kilka swoich kwestii, tak jakbym ja też grała w sztuce. Bardzo się śmiałam.

Ale potem Terry powiedział, potem zapytał: „Co się dzieje, Elizabeth? Czym tak się przez cały wieczór martwisz?”

No i musiałam coś odpowiedzieć, więc powiedziałam: „No bo wiesz, to znowu ten mężczyzna. Ten sam co wtedy w alejce. Dokucza mi, mówi brzydkie rzeczy”.

Terry naprawdę się zdenerwował. Powiedział, że od tej pory codziennie będzie po mnie przychodził pod centrum. Powiedział, że lepiej, żeby nie przyłapał tego faceta na tym, jak mi dokucza. Żałowałam, że mu powiedziałam, ale miło było słuchać, jak Terry tak mówi, jak mówi, że będzie mnie chronił i w ogóle. A potem złapał mnie za ramiona i pocałował. Tam, na środku ciemnej sceny. To było bardzo romantyczne. Tak jakbyśmy byli kochankami w jakiejś sztuce.

Następnego dnia miałam iść do kliniki po lekarstwa. Lekarz zapytał mnie, czy wszystko w porządku, czy słyszę głosy, czy coś widzę.

Naprawdę chciałam powiedzieć mu prawdę. Ale się bałam. Bałam się, że weźmie mnie z powrotem do szpitala i już nigdy nie zobaczę Terry'ego. Powiedziałam, że wszystko w porządku. Dał mi lekarstwo i wypuścił.

Potem, w tę sobotę, Terry i ja umówiliśmy się na kolację. Wziął mnie do restauracji w Chelsea. Poszliśmy do kina, a potem

zamówiliśmy kawę w kawiarni i rozmawialiśmy o filmie. Terry mówił o różnych aktorach, czy byli dobrzy czy źli. A potem poszliśmy na spacer.

Było już chyba dosyć późno. Pewnie około jedenastej. Weszliśmy do dzielnicy, która raczej nie była przyjemna. Stały tam wszędzie duże puste budynki – magazyny. A w cieniach bram gromadzili się mężczyźni. I było tam dużo bezdomnych, którzy stali wokół ognisk w kubłach na śmieci. Był późny wrzesień i robiło się zimno, zwłaszcza tam gdzie byliśmy – nad rzeką.

Wreszcie zatrzymaliśmy się przed kamienicą jedno skrzyżowanie od Hudson, na uliczce o nazwie Houses Street. Było bardzo ciemno. Widziałam tylko cienie dużego magazynu, kamienicy i pustego parkingu. Nie było tam latarni, a dom, przed którym staliśmy – kamienica – był jedynym oświetlonym punktem w okolicy.

Terry powiedział: „To moja kamienica. Mieszkam tutaj. Wejdiesz?”.

Spojrzał na mnie, czekając, co powiem. Byłam zdenerwowana. Przerazona. Bałam się, że stanie się coś złego. Ale chciałam, żeby było miło. Wie pan, jak u normalnych ludzi. Więc powiedziałam, że tak. Powiedziałam, że wejdę do środka.

Weszliśmy. Na korytarzu nie było światła i byłam bardzo zdenerwowana. Ale potem – jak weszliśmy na górę, jak weszliśmy do mieszkania Terry’ego – pomyślałam: wszystko będzie dobrze. Pomyślałam: będzie fajnie.

Mieszkanie było na drugim piętrze. Było bardzo ciasne i nie było miłe. Było... no nie wiem: obskurne. Ale... takie trochę męskie. Wie pan, o co mi chodzi? Chodzi o to, że stała tam stara zniszczona sofa i kilka przetartych foteli. Wszędzie leżały czasopisma o sporcie i elektronice. A przy ścianie stało nieduże metalowe łóżko na sprężynach.

Terry powiedział: „Pewnego dnia, jak już będę gwiazdą na Broadwayu, spojrzę na to wszystko i nie będę mógł powstrzymać płaczu”.

Ale mnie się podobało. Cieszyłam się, że weszłam.

W mieszkaniu nie było kuchni, tylko niewielka lodówka i płyta zamiast piecyka. Ale Terry znalazł w lodówce puszkę coca-coli. Usiedliśmy na sofie i przekazywaliśmy sobie puszkę. A potem Terry odłożył ją na bok i zbliżył się do mnie. Znowu zaczęliśmy się całować. Mocno, długo. Włożył mi w usta język. Położył na mnie ręce, na moich piersiach, wszędzie. Ale nie przeszkadzało mi to. Naprawdę. Było mi dobrze. Czułam, że tak ma być. Po chwili włożył mi nawet rękę pod sukienkę. Włożył mi palce pod majtki.

Wtedy właśnie otworzyłam oczy i zobaczyłam go.

Stał przy oknie – rudy mężczyzna. Patrzył na nas w oknie na drugim piętrze. Jego oczy były dzikie, szalone. Jego twarz – cała biała, cała w piegach – była dzika i wściekła.

Krzyknęłam i poderwałam się na nogi, odskoczyłam od Terry'ego.

„Co?” – zapytał. „Co się stało?”

„Musimy iść! Musimy stąd wyjść!” – zawołałam. „Proszę! Muszę wyjść!”

„Wyjść? Elizabeth, co się stało?” Terry wstał. Złapał mnie za ramiona. „Elizabeth, na litość boską, musisz mi powiedzieć, co się dzieje?”

„Nie rozumiesz. Grozi ci niebezpieczeństwo. Grozi ci straszne niebezpieczeństwo...”

„Niebezpieczeństwo? O czym ty mówisz...”

„Rudy mężczyzna. To on. To on”.

Pokazałam palcem na okno. Terry odwrócił się i spojrzał. „Kto? Nikogo tam nie ma”.

„Proszę”. Zaczęłam płakać. Nie mogłam się powstrzymać. „Proszę, musisz mnie zabrać do domu. Musisz ode mnie uciec, i to zaraz”.

„Elizabeth, do cholery, musisz mi powiedzieć, co się dzieje”.

„Nie mogę” – krzyknęłam. Coraz mocniej płakałam. „Nie mogę”.

A potem uciekłam. Byłam przerażona. Bałam się, że Sekretny Przyjaciel zrobi mu krzywdę. Uciekłam z mieszkania. Po

schodach. Pchnęłam drzwi. Potykając się, zbiegłam werandą na chodnik.

Słyszałam, jak Terry woła za mną: „Elizabeth!”. Ale się nie zatrzymałam. Biegłam. Przez ciemność, obok jakichś ciemnych typów. Nie wiem nawet, jak dotarłam do domu. Chyba po prostu biegłam tak długo, aż znalazłam stację metra. Pamiętam, jak wbiegałam do metra, a potem... Potem pamiętam tylko, że byłam już w środku, w domu. Włączyłam światła, zamknęłam drzwi. Położyłam się na łóżku. Leżałam, trzęsąc się i płacząc.

Po długiej chwili chyba zasnęłam.

Elizabeth zamilkła na moment. Conrad spojrzał na zegarek. Była ósma cztery. Wkrótce musi to przerwać. Nie mógł pozwolić sobie na to, by jeszcze przez dłuższy czas słuchać opowieści.

Ciągle jednak się zastanawiał – słuchał i zastanawiał się. A może coś usłyszę? Może za chwilę powie. Coś o numerach.

O mojej córce. O mężczyźnie zwanym Jajem. Może usłyszę coś, co okaże się przydatne. Coś, czego potrzebuję.

Jaki to numer, Elizabeth? Dlaczego ja?

Podniósł na nią oczy. Uśmiechnął się łagodnie. Skinął głową zachęcająco. Elizabeth zaczęła mówić.

Nagle, z biciem serca, wstałam. Obudził mnie jakiś dźwięk. Po chwili zabrzmiał znowu. Dzwonek domofonu. Był głośny jak alarm pożarowy.

Rozejrzałam się, mrugając, zdezorientowana. Pokój był ciemny. Nie byłam nawet pewna, gdzie jestem.

Znowu zabrzmiał dzwonek. Wstałam z łóżka. Zegarek na nocnym stoliku pokazywał kilka minut po drugiej w nocy. Nie byłam w stanie myśleć. Dowlokłam się do domofonu. Nacisnęłam przycisk.

„Tak? Słucham?”

„Elizabeth. Elizabeth, to ja”. To był Terry. „Wszystko dobrze?”

„W... w porządku. Spałam. Co ty ro...?”

„Wpuść mnie. Wpuść mnie na górę. Muszę się z tobą zobaczyć”.

Miałam już mu odpowiedzieć – kiedy czyjaś ręka zatkała mi usta.

Ktoś mnie odciągnął od domofonu. Zobaczyłam, jak sięga w moją stronę biała ręka. Złapałam za nią. Próbowałam ją zatrzymać. Ale ten ktoś był zbyt silny. Nacisnął przycisk i otworzył drzwi na dole.

Walczyłam. Próbowałam krzyżeć. Ale on złapał mnie w pasie i odsunął do tyłu. Usłyszałam w uchu jego głos, ochrypliwy i zdyszany.

„Już dobrze, Elizabeth. Obronię cię przed nim. Zajmę się tobą. Jestem twoim przyjacielem”.

Zaczęłam mu drapać rękę. Próbowałam krzyknąć: „Nie! Proszę! Puść mnie!”. Ale ręka na ustach zdusiła moje krzyki. A ręka w pasie trzymała mnie mocno. Zaczął mnie wciągać do łazienki.

Usłyszałam pukanie do drzwi. Usłyszałam z zewnątrz głos Terry’ego: „Elizabeth? Otwórz, to ja. Wszystko w porządku?”.

„Terry! Uciekaj!” – próbowałam krzyknąć. Krzyknęłam. Ale on stłumił mój głos. Jego ręka zdławiła mój krzyk.

Wrzucił mnie do łazienki. Upadłam na twardą podłogę. Drzwi były zamknięte. Zerwałam się na nogi. Podbiegłam z powrotem do drzwi. Spróbowałam je otworzyć. Były zablokowane. Coś było do nich przysunięte. Zaczęłam walić w nie pięściami.

„Terry! Och, Terry! Boże, proszę, nie! Nie rób mu krzywdy! O Jezu, Terry, uciekaj!”

Złapałam się obiema dłońmi za twarz. Zaczęłam rozdrapywać sobie czoło. Chciałam zedrzyć z siebie szaleństwo. Musiałam to powstrzymać, powstrzymać to, zanim Terry’emu stanie się krzywda. Na oczy zaczęła mi spływać krew. Krzyczałam ciągle: „Terry! Nie wchodź! Uciekaj!”.

I wtedy –było to jak głos z innego świata, z innego kraju czy coś takiego, z daleka, przez mgłę –usłyszałam męski wrzask:

„Nie!”. A potem straszliwy jazgot. Straszliwy –nie wiem – zdławiony jazgot. Spojrzałam w dół. Spojrzałam w dół i zobaczyłam, że mam krew na rękach. Krew. Wszędzie była krew. I nie byłam już w łazience. Byłam na zewnątrz, tam, w ciemnościach. I płakałam, a krew i łzy spływały mi po policzkach. Leżałam gdzieś na podłodze i czułam go pod sobą. Czułam jego krew. Krew była wszędzie. Och, krew. Och, wszędzie. A potem jacyś ludzie zaczęli krzyczeć. Zaczęli krzyczeć moje imię. A potem zapaliły się światła. Oślepiły mnie. Światła w moich oczach. I krzyczący ludzie. A ja byłam pokryta... byłam cała pokryta krwią.

Spojrzałam w dół. Był tam. Leżał pode mną. Był cały pocięty, wszędzie... Jego oczy. O Jezu. Jego oczy. Był martwy, wiedziałam, że jest martwy. I wiedziałam, co się stało. Wreszcie zrozumiałam. Wreszcie wszystko zrozumiałam. Rozumie pan?

Bo to nie był Terry. To nie Terry tam leżał martwy, doktorze. To był on. To był rudy mężczyzna. To był Robert Rostoff. Terry go zabił. Terry był moim Sekretnym Przyjacielem.

## JAKI TO NUMER?

Conrad spojrział na zegarek.

– Co?

Elizabeth siedziała przed nim i cicho płakała. Pochyliła głowę. Łzy kapały jej na kolana, na złożone na nich ręce.

Conrad pokręcił głową, starając się oczyścić umysł, usiłując się skupić. Jest już strasznie późno, myślał. Nie był w stanie myśleć o niczym innym. Ósma dwanaście. Zostało osiemnaście minut. Musi ją zapytać. Musi wyciągnąć od niej numer. Nie mógł się skoncentrować na niczym innym, myśleć o niczym innym.

Mimo to kiedy skończyła, spojrział na nią i zamrugał.

– Co powiedziałaś?

Elizabeth odezwała się przez łzy:

– Powiedziała, że to był rudy mężczyzna. Nie Terry.

– Ale jak to możliwe? Myślałem...

– Powiedzieli mi... to znaczy, policjanci... powiedzieli mi, że to był jakiś urzędnik, kasjer z metra. Powiedzieli, że wziął mnie na randkę i że ja... – Łzy płynęły jej już nieco wolniej. Podniosła głowę. Wbiła w niego wilgotne oczy. – Próbowałam im opowiedzieć o Terry. Wzięłam ich do MacDougal Street Playhouse. Chciałam im pokazać zdjęcie... na ścianie, pamięta pan? – Przełknęła i pokręciła głową. – Ale tam nie było jego zdjęcia. A inni ludzie, reszta obsady... nigdy o nim nie słyszeli.

– Och... Elizabeth.

Conrad chciał powiedzieć coś więcej, ale się powstrzymał.

Pochyliła znowu głowę.

– Potem... Powiedziała im, że byłam u niego w domu. Podałam im adres. Spojrzeli na mnie tylko. Powiedzieli, że domy w tym kwartale są opuszczone. Nawet mnie tam zawieźli. Pokazali mi. Powiedzieli, że rzeczywiście jest tam kamienica. Pokazali mi numer dwieście dwadzieścia dwa. Ale dom był... pusty. Nie było w nim niczego oprócz śmieci.



Conrad spojrział na nią i znowu pokręcił głową.

– On za każdym razem wygląda inaczej – powiedziała żałośnie. – Sekretny Przyjaciel. Nigdy nie wygląda tak samo.

Conrad patrzył na nią jeszcze przez kilka sekund. Dziewczyna spuściła oczy. Jej jasnorude włosy rozsypywały się po policzkach, niemalże opadając na kolana. Łzy płynęły jej jeszcze wolniej. Kiedy Conrad na nią patrzył, zaschło mu w gardle. Słyszał, jak krew pulsuje mu w skroniach. Wiedział, że nie ma już czasu.

– Elizabeth – powiedział łagodnie. Odepchnął krzesło. Przełożył przez nie nogę i stanął przed dziewczyną. Elizabeth, nie patrząc na niego, podniosła rękę i przetarła nią policzek. Conrad słyszał, jak cicho szlocha. Odchrząknął. – Elizabeth – powtórzył. – Muszę ci zadać pytanie.

Powoli uniosła ku niemu twarz. Nawet przez łzy jej oczy zdawały się otwierać drogę prosto do serca. Conrad widział w nich wołanie. Spojrział w bok.

– Cholera – szepnęła. Wziął głęboki wdech. Popatrzył jej w oczy. – Posłuchaj mnie. Mogę ci pomóc. Rozumiesz?

– Och... Może pan? – Wyciągnęła ku niemu rękę. Złapała go za dłonie. – Może pan?

– Tak. I chcę ci pomóc, Elizabeth.

– Przecież ja wiem, że stało się coś bardzo złego. Ale może się też wydarzyć dużo dobrego – powiedziała. – Przez jakiś czas było przecież dobrze. Po tym jak wyszłam ze stanowego szpitala. W Centrum Wolności. Czułam się lepiej. Naprawdę. Próbowałam powiedzieć o wszystkim doktorowi Holbeinowi: on za każdym razem wygląda inaczej. Może wrócić, ponieważ ciągle się zmienia. Rozumie pan? Doktor mi nie uwierzył. Ale pan mi wierzy. Wierzy mi pan?

Conrad uściśnął mocno jej rękę. Podeszedł do niej.

– Posłuchaj mnie. Proszę.

– Sprawia pan, że on już nie przyjdzie. Wiem, że pan to zrobi. Potrafię robić również dobre rzeczy. Wiem o tym...

– Elizabeth.

Jego głos był stanowczy. Pacjentka przestała bełkotać. Ale cały czas patrzyła na niego wyczekująco. Conrad mówił dalej tonem tak łagodnym, na jaki tylko był w stanie się zdobyć.

– Elizabeth... – Nadal trzymał ją za rękę. – Mogę ci pomóc. Pomogę ci. Rozumiesz? – Skinęła ochoczo głową. – Ale dzisiaj – kontynuował – dzisiaj to ja ciebie muszę poprosić o pomoc. Muszę ci zadać pytanie, Elizabeth. To bardzo ważne, żebyś spróbowała na nie odpowiedzieć najlepiej, jak tylko potrafisz. Rozumiesz? Chciałbym... żebyś głęboko się nad nim zastanowiła, dobrze?

Ponownie skinęła głową.

– Tak? – zapytała. – O co chodzi?

Conrad wziął kolejny głęboki wdech. Nie było to łatwe, biorąc pod uwagę, jak szaleńczo waliło mu serce.

– Elizabeth – odezwał się w końcu. – Jaki to numer?

Wołanie w głębi jej oczu złapało go w swoje objęcia. Widział, jak łzy spływają cicho po białych policzkach Elizabeth. W kąciu ust błąkał się słaby uśmiech.

A potem uderzyły w nią jego słowa.

– Jaki to numer? – zapytał. A jej twarz przybrała barwę popiołu. Dziewczyna odskoczyła do tyłu i uderzyła w oparcie krzesła. W jej oczach narosło wzburzenie, mrok, aż w końcu stały się puste. Otworzyła usta. Conrad słyszał rytmiczny gwizd jej oddechu.

– Elizabeth? – powiedział.

– O Boże – szepnęła. Wyrwała rękę z jego dłoni. – o Boże.

„Niedobrze” – pomyślał Conrad.

– Elizabeth, posłuchaj...

Podniosła palce do ust. Zaczęła kręcić głową.

– Nie, nie. O Boże, nie. – Nagle krzyknęła: – Nie! – Skoczyła do tyłu. Krzesło wywróciło się. Uderzyło o krawędź łóżka i brzęknęło o podłogę.

Conrad podszedł do niej z wyciągniętymi rękami.

– Elizabeth, wszystko w porządku. Proszę...

Ona jednak zaczęła się cofać, kręcąc głową i zbliżając się do okna.

– Nie. O nie, o Boże, o Boże.

– Proszę, Elizabeth, jeżeli tylko posłuchasz, co mam do...

Metalowa krata zatrzęsała się, gdy dziewczyna uderzyła plecami w okno. Elizabeth spojrzała na prawo, potem na lewo, tak jakby szukała drogi ucieczki, wyjścia. Ręce trzymała przed sobą, opędzając się nimi od Conrada.

Conrad zbliżył się do niej jeszcze o krok.

Elizabeth znowu się odezwała – i serce Conrada zmroził chłód. Dźwięk jej głosu – był odległy i rozedrgany. Oczy dziewczyny omiatały powietrze, tak jakby szukała w nim jakiejś niewidzialnej twarzy.

– Nie, nie jest – zgrzytnęła przez zęby, przeciągając sylaby.

– Jest dobry. Jest dobry. Naprawdę.

Mówiła do Sekretnego Przyjaciela.

„Och” – pomyślał Conrad. Zatrzymał się w miejscu. Spojrzał na nią. „Och. No to, kurwa, po mnie”.

Elizabeth zaczęła szeptać, bełkotać coś szeptem.

– O nie, o Boże, zostaw go, o nie, proszę... – Wydawało się, że coś przyszpiliło ją do okna. Gwałtownie kręciła głową. W kąciku jej ust pojawiła się biała piana. Pryskała w rytm ruchów jej głowy. – O Boże, proszę, nie, ja tylko, Boże, nie... jednym z nich... zostaw... zostaw... Jesteście wszyscy... wszyscy jednym z nich. Wszyscy są. Wszyscy są, masz rację. Wiem.

Odchyliła głowę. Zatoczyła oczami. Warknęła.

Conrad spojrzał przez ramię...

„Pewnego razu mało nie wykończyła jednego holenderskiego marynarza. Złamała mu obie ręce, a jedno z jąder zamieniła w budyń. W dodatku jest drobną dziewczyną.

Stwierdził, że od drzwi dzielą go cztery kroki. Żeby się jednak wydostać, musiał najpierw przekręcić klucz.

Elizabeth wrzasnęła:

– Wszyscy! Wszyscy! Wszyscy w tym siedzicie!

Oderwała się od ściany. Wpiła oczy w Conrada. Piana na jej

górną wardze bulgotała i ściekała na podłogę.

Conrad zaczął się cofać. Podniósł dłonie.

– Och... proszę. Musisz mnie wysłuchać.

– Proszę. Musisz mnie wysłuchać – upiornym szeptem powtórzyła jak echo Elizabeth. Spojrzała w lewo, potem w prawo. Zamachała wściekle przed sobą rękami. – Musisz wysłuchać. Doktor Conrad, on mi pomoże. On chce mi pomóc... – Nagle zaczęła warczeć; wpatrzyła się w niego z palcami zakrzywionymi w szpony. – Nie. Nie. Nie. On jest taki sam jak ten drugi. Dokładnie taki sam. Jaki to numer? Najpierw udają, najpierw mówią: „Tak, Elizabeth, porozmawiaj z panem doktorem, a potem cię pytają, potem cię pytają... Wszyscy w tym siedzą.

Powoli podeszła do niego. Conrad cofnął się jeszcze o krok. Spojrzał znowu na drzwi. Jeszcze jeden krok, może dwa, a znajdzie się przy nich – i może uda mu się wcisnąć klucz do dziurki. Sięgnął do kieszeni. – Elizabeth – powiedział. – Naprawdę chcę ci pomóc. Próbuję... – Nagle się zawahał. Zwolnił. Spojrzał na nią.

– Ten drugi? – zapytał. „Skąd wiedziała? Skąd wiedziała, że przyjdę?”

– Dokładnie taki sam – powtórzyła Elizabeth. Podeszła z uniesionymi rękami jeszcze bliżej. Jej oczy były płaskie i bezlitosne.

– Drugi lekarz? – zapytał Conrad. „Wystroiła się dla mnie. Skąd wiedziała?”

– Mówią, że są lekarzami – stwierdziła Elizabeth. Nagle załamał się jej głos – był pełen bólu i smutku. – Och, zawsze mówią, że są mili. Mówią, mówią, że są dobrzy. A potem cię pytają. Pytają cię.

– Ten drugi lekarz zapytał cię o numer – powiedział Conrad.

– Jaki to numer? – Zbliżała się do niego, mamrocząc. Poczł jej zapach. Ciepło jej oddechu. – „Jaki to numer?” – o to mnie zapytał.

Conrad zatrzymał się o krok od drzwi.

– Ten drugi lekarz – powiedział. – Doktor Sachs. Jerry

Sachs?

– Sachs. Tak – potwierdziła. – Jaki to numer.

– Zapytał cię o to? On, tak? Dlatego się zdenerwowałaś. Dlatego przedtem nie chciałaś ze mną rozmawiać. Mój Boże, masz rację. Sachs jest jednym z nich.

Nagle Elizabeth zaczęła wrzeszczeć:

– Zabiję cię! Zabiję cię!

Conrad cofnął się jeszcze o krok – i uderzył o drzwi. Przycisnął do nich plecy. Elizabeth ruszyła za nim.

– Nienawidzę cię za to!... – krzyknęła. – Nienawidzę cię, nienawidzę cię za to!

– Elizabeth, do cholery, nie!

Elizabeth nie zatrzymała się. Była już prawie przy nim. Wyciągnęła rękę do jego gardła.

– Elizabeth! – Rzucił się rozpaczliwie do przodu. Złapał ją za sukienkę. – Proszę! Na litość boską! – krzyknął. – Pomóż mi! Pomóż mi! Oni mają moją córkę!

Złapała go. Złapała go za szyję. Poczul ciepło jej zaciskających się palców. Jej paznokcie wbiły się w ciało. Spróbował odepchnąć dziewczynę. Potrząsnął nią, zbliżając twarz do jej twarzy. W jego oczach pojawiły się łzy.

– Na litość boską, na litość boską, proszę! – zawołał. – Proszę, pomóż mi!

Elizabeth zamrugwała. Spojrzała na niego.

– Mają moją dziewczynkę... – powiedział błagalnie. – Musisz zrozumieć. Proszę. Musisz. Porwali mi córkę.

Elizabeth znieruchomiała – zwiesiła głowę, a w jej oczach pojawiła się mgła. Jej usta zaczęły się poruszać. Widać było, że walczy ze sobą. Podniosła dłoń i położyła ją brutalnie na ustach Conrada.

– Proszę – powtórzył. Poczul smak jej palców.

– Twoja córka? – zapytała Elizabeth.

– Proszę. Potrzebuję twojej pomocy.

– Mojej pomocy?

– Tak.

– Z ich powodu. Z powodu tych złych ludzi?

– Tak.

Zatoczyła się.

– To znaczy... Że oni są prawdziwi? – złapała się za głowę i przycisnęła dłonie po obu stronach, tak jakby próbowała je przykleić. – Nie... Nie... To znaczy, że oni są prawdziwi?

Conrad zdyszany ruszył do przodu chwiejnym krokiem. Oparł się z trudem o krawędź stołu.

– Tak – powiedział. Z jego ust wydobył się ledwie szept.

– Proszę. Musisz mi powiedzieć, kim oni są. Musisz mi powiedzieć, czego chcą.

Elizabeth zadrżała. Objęła się ramionami.

– Nie rozumiem. Nie rozumiem, co się dzieje. W ogóle. W ogóle.

– Moja dziewczynka – powiedział Conrad. Zerknął na zegarek. Była ósma dwadzieścia sześć. – O Jezu... Moja dziewczynka.

Spojrzał na Elizabeth. Musi zrozumieć, pomyślał. Muszę mieć czas, trochę więcej czasu, żeby zrozumiała.

Nagle usłyszeli walenie w drzwi. Dobiegł ich znajomy głos:

– Hej, Nate? Nate? Wszystko w porządku?

Conrad odwrócił się. Zobaczył przyciśniętą do wąskiego okna jajowatą twarz Sachsa.

Zamknął oczy.

Sekundę później usłyszał metaliczny dźwięk gałki w drzwiach. Sachs wsunął klucz w zamek.

## D'ANNUNZIO

Agatha leżała na kanapie. Patrzyła w sufit. Biały sufit. Dokładnie nad jej głową widniała długa rysa w kształcie litery „Y”.

Leżała z prawą ręką złożoną na czole. Lewą dłoń oparła na brzuchu. Starego pluszaka, Białego Śnieżka, wcisnęła w zagłębienie w lewym ramieniu. Patrzyła w sufit i wyobrażała sobie, że przybywa policja.

Od momentu kiedy wyszedł Billy Price, minęło pół godziny. Od momentu kiedy kazała mu wezwać policję. Od momentu kiedy wypchnęła go z mieszkania i zatrzasnęła drzwi za jego pustą głupią gębą. Pół godziny od momentu, kiedy stanęła we wnękowej szafie dzieciennego pokoju, tuląc się do szarego misia; od momentu kiedy usłyszała, że telefon w sąsiednim pokoju dzwoni i dzwoni.

Usłyszała telefon i poczuła, jak smakuje strach. Z jej gardła w kierunku języka powędrował strumień, który przypominał miedź. Była pewna – wiedziała – że wszystko straciła. W mieszkaniu są mikrofony. Oni mogli ją usłyszeć. Usłyszeli ją – słyszeli, co mówiła Billy’emu Price’owi.

A teraz dzwonią, żeby powiedzieć, że zabili jej córkę. Dzwonią, żeby zmusić ją do słuchania krzyku umierającej Jessiki.

W drodze do telefonu miała wystarczająco dużo czasu, żeby się nad tym zastanowić. Miała czas, żeby się nad tym zastanowić lepiej. Wyprawa – kilka kroków z jednego pokoju do drugiego – zdawała się ciągnąć w nieskończoność. Telefon dzwonił i d z w o – n i ł. Aggie w końcu podeszła do niego. Pod pachą ścisnęła pluszową maskotkę. Myślała o tym, że usłyszy krzyk Jessiki.

Dlaczegoż to doszła do wniosku, że w mieszkaniu nie ma mikrofonów? Ponieważ ten mężczyzna – ten straszny nikczemny człowiek, którego Nathan nazywał Jajem – ponieważ ten mężczyzna nie usłyszał imienia Billy’ego Price’a? Święci niebiescy! Tylko tyle? To wszystko? A dlaczego nie pomyślała, że

Billy mógł być jednym z nich? Mogli ją sprawdzać. Albo ta ich aparatura do podsłuchu mogła się popsuć. Było tak wiele rozsądnych wyjaśnień tej sytuacji, które mogły jej przyjść do głowy, a wcześniej nie przyszły. Jak mogła w ciągu kilku sekund postanowić zaryzykować życie własnej córki – utratę własnej córki – i to na podstawie domysłu, impulsu, cholernego strzału w ciemno?

Telefon znowu zadzwonił. Po chwili jej dłoń leżała na słuchawce. Jeszcze chwila i Agatha już podnosiła ją do ucha. Słyszała, jak Jessie krzyczy do niej: „Mamusi!” Słyszała jej stłumiony jęk, kiedy zaciskały się wokół niej łapska. Wyraźnie słyszała to w swojej głowie.

Przycisnęła słuchawkę do ucha.

– Tak – szepnęła.

Odezwał się ten sam głos co poprzednio. Głos porywacza. Tym razem był jednak łagodniejszy. Nie było w nim gniewu. Był opanowany i gładki, niemal życzliwy.

– Dobra robota, pani Conrad – pogratulował.

Agatha nic nie odpowiedziała. Wstrzymała oddech.

– Zrobiła pani co trzeba – oświadczył.

– Tak – szepnęła Aggie. – Zrobiłam, co pan mi kazał.

– Zgadza się. Dokładnie to pani zrobiła. Pani córka jest z tego powodu bardzo zadowolona, pani Conrad. Niech mi pani wierzy. Bardzo, bardzo zadowolona.

– Och... – Z ust Aggie wymknął się ściszony szloch ulgi. Stłumiła go. Nie ma mikrofonów. Miała rację. Nie ma tu żadnych cholernych mikrofonów.

– Teraz tylko niech pani będzie nadal taka grzeczna, a wszystko będzie dobrze, zrozumiano?

– Tak – potwierdziła Agatha. – Tak.

– Kto wie – jeżeli będzie pani naprawdę grzeczna, może nawet sam podejdę i złożę pani wizytę? Co pani o tym myśli? Fajnie by było, co?

Mężczyzna roześmiał się złośliwie – a Aggie pomyślała półprzytomnie, że ma głos jak z filmu, jak czarny charakter z



jakiegoś filmu. Jakby odgrywał jakąś rolę...

W tej chwili telefon zamilkł.

Aggie odłożyła powoli słuchawkę. Och. O Boże, pomyślała. Wtedy właśnie przeniosła się na kanapę. Położyła się na niej, a jedną rękę oparła na czole. Wpatrzyła się w sufit. W biały sufit z rysą w kształcie litery „Y”.

Zaczęła sobie wyobrażać policję.

Widziała wciąż tę samą scenę. Był tam Nathan. Stał na dachu wieżowca. Porywacz i jego anonimowi kamraci trzymali Jessie nad krawędzią. Grozili, że ją upuszczą. Nagle – przekleństwa; przez drzwi na dachu wpada policja. Nathan rusza naprzód. Bohatersko wyrywa dziecko z rąk porywacza. A potem – a potem policja otwiera ogień.

Nie mogła przestać o tym myśleć. Bez przerwy wyobrażała sobie, jak policja otwiera ogień. Widziała, jak porywacze zataczają się do tyłu. Jak siła uderzenia kul zmusza ich do tańca. W powietrze wytryskuje z nich krew, sypią się kawałki ciała. W ich oczach widać ból – ból i palące, nieprzerwane, nieznośne przerażenie. Z krzykiem upadają na krawędź dachu. Będą umierać długo.

Aggie leżała na kanapie i wyobrażała sobie tę scenę. Kiedy dochodziła do końca, przewijała w głowie taśmę i puszczała ją od początku. Oglądała ją w zwolnionym tempie. Powoli dochodziła do momentu, kiedy wchodzi policja i otwiera ogień. Kiedy z porywaczy tryska krew i kiedy widzi ich ból – ból i straszliwe przerażenie, dokładnie takie, jakie ona odczuwała w tym momencie.

Aggie leżała na kanapie i wpatrywała się w sufit. Wyobrażała sobie policję i strzały. I uśmiechała się lekko.

W tym momencie ktoś otworzył drzwi do mieszkania. Usłyszała ich skrzypienie. Do środka wszedł jakiś mężczyzna.

Aggie gwałtownie złapała powietrze i usiadła. Chciała powiedzieć: „Nathan?”. Ale słowa zamarły jej na ustach. Spojrzała

przez oparcie kanapy i zobaczyła wchodzącego mężczyznę, który właśnie zamykał za sobą drzwi.

Młody człowiek, około trzydziestki, może nawet młodszy. Miał na sobie zielony kombinezon. W ręce trzymał skrzynkę z narzędziami.

Kiedy Aggie usiadła, odwrócił się i zobaczył ją. Zatrzymał się zaskoczony.

– O kurczę... Przepraszam – powiedział. – Ja... Roger, dozorca, powiedział mi, że w mieszkaniu nikogo nie ma. Dał mi klucz. Jestem... jestem hydraulikiem.

Aggie wpatrywała się w niego z otwartymi ustami.

– Mieszkanie Colemanów na dole... – kontynuował. – Coś im cieknie w łazience. Być może to ze ściany u państwa. Chciałem sprawdzić. Mogę? Roger powiedział, że nikogo nie ma.

Aggie patrzyła na niego jeszcze przez chwilę. Odwróciła się i wbiła wzrok w telefon. Długo wpatrywała się w aparat. Telefon jednak nie dzwonił.

– Och... Mogę? – zapytał ponownie hydraulik. Wskazał kciukiem korytarz.

Aggie podniosła na niego oczy. Patrzyła z osłupieniem na jego twarz. To nie jest twarz hydraulika, pomyślała jak przez mgłę. Ma ostry głos robotnika, ale to nie jest, myślała, twarz robotnika. Twarz młodego człowieka była okrągła, gładka i chłopcęca. Był przystojny, co podkreślała zwłaszcza opadająca mu na oczy brązowa czupryna. No i te oczy: inteligentne, czujne, dowcipne. Z pewnością nie były to oczy hydraulika. Poza tym...

Spojrzała jeszcze raz na telefon. Nie dzwonił. Otworzyła usta.

– Nie... Nie wiem...

– To zajmie tylko chwilę – stwierdził młody mężczyzna. I ruszył w stronę korytarza.

– Nikt do mnie nie dzwonił. Zwykle dzwonią. Dozorca dzwoni – krzyknęła za nim o sekundę za późno Agatha.

– Co to jest?

Agatha wstała z kanapy. Położyła na swoim miejscu

pluszaka. Skrzyżowała ramiona na piersiach. Spojrzała na telefon.

– Już... już późno – zawołała. Spojrzała na zegarek. – Jest już po ósmej.

– Co to jest? – zawołał ponownie hydraulik. Z łazienki zaczął dobiegać głośny odgłos stukania metalu o metal.

Aggie wyszła z pokoju. Podeszła do końca korytarza. Stała, patrząc w stronę łazienki. Przez otwarte drzwi widziała zapalone światło. Słyszała metaliczny dźwięk. Przebiegła palcami po włosach. Spojrzała przez ramię na telefon. Dlaczego nie dzwoni? Dlaczego nie dzwonią?

Nagle stukanie ustało. Agatha wstrzymała oddech. Przycisnęła dłoń do piersi i spojrzała na korytarz.

– Pani Conrad? – zawołał hydraulik.

Agatha nie odpowiedziała.

– Przepraszam! – Zawołał głośniejszym głosem: – Pani Conrad?

– Ach... tak. – Agacie zadrżał głos. – Tak, o co chodzi?

– Czy mogłaby tu pani podejść na sekundkę?

Agatha nie ruszyła się z miejsca. Pokręciła głową: nie. Stała z warg kilka kropel potu.

– Nie... Nikt do mnie nie dzwonił – powiedziała słabym głosem. – Zwykle dzwonią, zanim ktokolwiek...

Głos jej zamarł. Nastąpiła chwila ciszy. A potem hydraulik powiedział:

– Pani Conrad, naprawdę powinna pani tutaj podejść.

Tonu jego głosu nie można było z niczym pomylić. To była komenda. Zimny, nieznoszący sprzeciwu rozkaz. Kiedy Aggie stała świadoma każdego oddechu, przez jej umysł przemknął dziany strzęp wspomnienia. Jej nauczycielka wiedzy o społeczeństwie, panna Lindsay, z siódmej klasy w szkole Great Neck North Junior High: stara panna z żabią twarzą i włosami farbowanymi na rudo. Stała przed wiszącą na ścianie powiększoną kopią Konstytucji Stanów Zjednoczonych i wskazywała na nią. Łypała żabimi oczami na klasę. I ogłaszała zgryźliwie: „Wolność jest trudniejsza niż niewola. Brak decyzji jest najłatwiejszą decyzją”.

Agatha niemalże roześmiała się na to wspomnienie. Wypuściła z siebie niepewny oddech. Przytknęła dłoń do ust, by stłumić zbolące westchnienie. Brak decyzji jest najłatwiejszą decyzją, pomyślała znowu. Ruszyła korytarzem w stronę łazienki.

Stała w przejściu i zauważyła go. Klęczał obok wanny, plecami do niej. W jego dłoni dostrzegła klucz francuski. Stukał nim w wewnętrzną krawędź odpływu.

Stała, patrzyła na niego i nic nie mówiła. Po chwili przeniosła wzrok na skrzynkę z narzędziami.

Leżała na wykafelkowanej na biało podłodze, tuż obok stóp mężczyzny. Była otwarta. I pusta. Nie było w niej żadnych narzędzi. Nawet śrubokręta, nawet „węża”, którym hydraulicy przetykają odpływy. Pusta.

– Och... – Agatha znowu przykryła dłonią usta. Spojrzała na mężczyznę. Nadal stukał: stuk, stuk, stuk.

Po chwili odwrócił się do niej przez ramię. Zauważył, że jej oczy wpatrzone są w otwartą skrzynkę. Uśmiechnął się. Jego uśmiech był czarujący. Zdawał się iskrzyć.

– Ma pani rację – powiedział. – Nie mam pojęcia, co u diabła tutaj robię. – Odwrócił się z powrotem. – Rzecz w tym – dodał – że tak naprawdę nie jestem hydraulikiem. – Bez większego sensu stuknął kluczem francuskim w odpływ. – Nazywam się Doug D’Annunzio – mówił dalej. – Detektyw D’Annunzio z Midtown South. Pokazałbym pani odznakę, ale pani sąsiad, Billy Price, powiedział, że obserwują panią jakieś ciemne typki. Czy to prawda?

Agatha nie odpowiedziała. Pokręciła lekko głową. Spojrzała w stronę korytarza. Telefon nie dzwonił. Popatrzyła na klęczącego na podłodze mężczyznę. Ma inny głos, pomyślała; ma inny głos niż porywacz. Zresztą dlaczego miałby udawać oficera policji? Porywacze mogli przyjść do mieszkania, kiedy tylko chcieli. Mogli zrobić wszystko, na co mieli ochotę. Mieli jej córkę. Dlaczego miałiby udawać?

– Jest pan z policji? – zapytała w końcu. – Jest pan...? – Powstrzymała się. Nagle wszystko zaczęło się wyraźnie układać w

całość. Pasowało to do mężczyzny. Głos robotnika, inteligentne, dowcipne, czujne oczy. Twarz, która z pewnością nie była twarzą hydraulika. Była twarzą gliniarza.

Mężczyzna nie przestawał uderzać w odpływ.

– Chce pani, żebym pokazał odznakę czy nie?

– Nie – powiedziała cicho. – Nie, nie. Nie może pan.

D’Annunzio jęknął i zmienił nieco pozycję.

– Chryste. Co oni zrobili? Naszpikowali mieszkanie kamerami?

Agatha skinęła głową w stronę jego pleców.

– Tak. Kamerami. Powiedzieli, że w mieszkaniu są kamery. – Podniosła wzrok na sufit łazienki. Nie widziała żadnych kamer. – Widzą nas – powiedziała. Spojrzała znowu na niego. Potarła palcami czoło. – Nie powinien był pan tego robić. Nie powinien pan w ten sposób tutaj przychodzić.

– Jasne, no cóż... Coś musieliśmy zrobić, proszę pani – powiedział D’Annunzio. – To znaczy, ci faceci wyglądają na groźnych typów. Kamery i to całe gówno – wybacz pani język. Chodzi o to, że widywałem już w życiu coś takiego. Skoro zadali sobie tyle trudu, żeby zamontować kamery, to mamy do czynienia z niebezpiecznymi ludźmi.

Agatha wyjrzała na korytarz. Załamała ręce.

– Nie powinien pan. Ja... ja...

– Już dobrze, już dobrze, bez paniki – powiedział D’Annunzio. Jęknął jeszcze raz i wstał. Zaczął obmacywać dłońmi ścianę obok prysznicza, udając, że czegoś na niej szuka. – Musi to wyglądać jak należy. Niech się pani uśmiechnie. Przecież właśnie ucięła pani sobie przyjacielską pogawędkę z hydraulikiem.

Agatha się nie uśmiechnęła. Spojrzała na mężczyznę. Wbiła wzrok w jego plecy. Tak, pomyślała. To może być gliniarz. Może być.

– Nie powinienem zostawać zbyt długo – powiedział D’Annunzio. – Proszę mi powiedzieć tyle, ile pani może, i tak szybko, jak pani może.

Agatha stała nadal bezradnie. Jej dłonie były zimne i

wilgotne. Jeszcze raz spojrzała na korytarz. Wzięła głęboki wdech. Niech będzie, pomyślała. Niech będzie. Brak decyzji jest najłatwiejszą decyzją.

Skinęła głową. Uśmiechnęła się promiennie, tak jak przedtem uśmiechała się do Billy'ego Price'a. Z trudem przełknęła.

– Porwali moją córkę – powiedziała z uśmiechem na ustach.

– Zeszłej nocy. Po prostu weszli do środka... Obserwują nas. Kontaktują się z nami przez telefon. Powiedzieli, że nas słyszą, że mają tu mikrofony, chociaż moim zdaniem to nieprawda. Ale z całą pewnością nas widzą. Zamknęli mnie tutaj jak w pułapce.

– Proszę kontynuować – zachęcił D'Annunzio. – Jak wygląda Jessica? Ile ma lat?

Nadal obmacywał ściany.

Agatha znowu zmusiła się do uśmiechu.

– Ma pięć lat. Długie rudozłote włosy, niebieskie oczy, okrągłe policzki. Jest śliczna. Miała na sobie koszulkę do spania w serduszka...

Nie była w stanie mówić dalej. Mogłaby się rozplakać.

– A co z porwaczami? – zapytał D'Annunzio. – Rozmawiała pani z nimi?

– Tak. Z jednym z nich. Jest bardzo... okrutny. Wściekły.

– Czy usłyszała pani coś, dzięki czemu dałoby się go zidentyfikować? Jakies odgłosy w tle? Przejęzyczenia?

Aggie zastanawiała się przez chwilę. Spojrzała przez korytarz w stronę milczącego telefonu.

– Nie. Proszę posłuchać, nie powinien pan zostawać tutaj dłużej. Powinien pan już pójść. Naprawdę.

D'Annunzio odwrócił się twarzą do niej. Spojrzał na nią swoimi życzliwymi, melancholijnymi oczami gliniarza. Skinął głową.

– Dobrze – powiedział.

Ukląkł i włożył klucz francuski z powrotem do skrzynki z narzędziami. Zamknął ją i zatrzasnął klamry.

– A gdzie jest pani mąż? – zapytał.

– Nie wiem. Musiał wyjść. Powiedział, że musi coś zrobić, a

potem oni zwrócą nam córkę. Nie pozwolili mu... Powiedzieli, żeby nie mówił mi, gdzie... Ale powiedział, że się z nimi spotka – musiała odchrząknąć – o dziewiątej.

D'Annunzio skinął głową. Uśmiechnął się i mrugnął porozumiewawczo. Mogło się wydawać, że mówi: „Nie ma żadnego przecieku, proszę pani. Wszystko jest tip-top. W porządeczku”.

Tak naprawdę powiedział jednak:

– Dobrze. Wyśledzimy go.

Agatha skinęła głową i uśmiechnęła się do niego.

– Bądźcie ostrożni. Na litość boską, proszę.

D'Annunzio pierwszy wyszedł z łazienki. Agatha podążyła za nim korytarzem. Mężczyzna otworzył drzwi wyjściowe i podniósł rękę. Uśmiechnął się.

– Przeprowadzimy ją, pani Conrad. Ma pani moje słowo. Proszę nie robić niczego podejrzanego. I niech pani spróbuje się uspokoić.

Do oczu Agathy napłynęły łzy. Nie powiedziała nic. Ciągle miała przyklejony do twarzy idiotyczny uśmiech. Kiedy D'Annunzio wyszedł na korytarz, podeszła do drzwi.

Spojrzała za nim, kiedy odchodził. Jeden krok, pomyślała. Jeden krok przez próg i byłaby wolna.

Uśmiechnęła się jeszcze raz, patrząc za odchodzącym D'Annunziem. A potem zatrzasnęła drzwi, zamknęła się w mieszkaniu.

Odwróciła się znowu do telefonu. Nie dzwonił.

## POMOCNIK HYDRAULIKA

Jajo zaczął zdejmować kombinezon hydraulika już w momencie, kiedy znalazł się za progiem mieszkania Conradów. Podbiegł korytarzem do ostatniego mieszkania na piętrze, 5H. Spojrzał przez ramię, upewniając się, że nikogo za nim nie ma. I że Aggie Conrad zniknęła bezpiecznie z widoku.

Och, pomyślał, niech będzie, cwana z niej pizda. Zdarł z ramion zielone rękawy. Bez dwóch zdań. Cwana mamuśka. Udaje słodką kurę domową, co to muchy by nie skrzywdziła. A przez cały czas główka pracuje. Przez cały czas kombinuje, jak by tu cię dorwać, jak cię dostać, jak ci się dostać do jajec. Jajo znał ten typ i nienawidził go. Właściwie nie czuł niechęci do doktora. W pewnym sensie nawet go lubił. Ale ta... Była sprytna i cwana. Wykorzystywała błędy, jakie człowiek popełnił. Nie, w ogóle nie miał na coś takiego czasu.

No dobra, pomyślał. To była jego wina. To on popełnił cholerny błąd, dając jej pole manewru. Wiedział o tym już w momencie, kiedy za pierwszym razem rzucił pieprzoną słuchawką. A kiedy się trochę uspokoił, zorientował się, że się ujawnił. Obserwował ją przez lornetkę, czekając, czy się połapie. I połapała się, jasne, że się połapała. Cwana, przebiegła, mała pizda. Jajo widział to na twarzy tego gówniarza, tego całego Billy'ego Price'a. Opowiedziała mu o wszystkim, kazała wezwać gliny. Zorientowała się, że w mieszkaniu nie ma mikrofonów.

Dotarł do drzwi lokalu 5H i zapukał cicho. Czekając na odpowiedź, kończył zdejmować kombinezon. Poruszał nieznacznie ustami w rytm pędzących myśli.

Przez cały czas tego właśnie starał się uniknąć. Cały numer polegał na tym, żeby unikać jakichkolwiek kontaktów osobistych, a nawet gdyby został złapany, nikt by go nie mógł zidentyfikować. Musiał się jednak dowiedzieć, co ta kurewka wie – no i go zobaczyła.



– Kurwa mać – głośno szepnął.

Teraz muszą znowu coś zrobić. Taka cwana pizda, kiedy już się połapała, że w mieszkaniu nie ma mikrofonów, może zacząć się zastanawiać, czemu nie widzi też żadnych kamer. Może dojść do wniosku, że obserwują ją z punktu po drugiej stronie dziedzińca. A wtedy – gdyby udało jej się powiadomić gliny – wtedy mieliby do rozwiązania poważny problem..

Nie, zaczekają jeszcze trochę, dadzą Jajowi czas, żeby wszystko załatwił – a potem Maxwell weźmie małą do starego mieszkania.

Zapukał znowu w drzwi, tym razem głośniej. Zdążył już zdjąć kombinezon. Z powrotem miał na sobie marynarkę i krawat. Kostium D’Annunzia. Granatowy sportowy płaszcz, niebieską koszulę, krawat w prążki. Klasyczny amerykański glina. Użył go wcześniej, żeby dostać się do mieszkania Price’a. Owinął kombinezon wokół skrzynki na narzędzia. Wepchnął tobołek pod ramię. Pokręcił głową.

Coś takiego nigdy nie powinno się było wydarzyć, pomyślał. Zresztą w ogóle nie powinien był tego zaczynać. Przecież chciał się tylko wyrwać z zakładu karnego, rzucić parszywą robotę strażnika, spróbować sił w karierze piosenkarza, zacząć nowe życie. Tylko tyle. Po wypadku, po ugodzie z miastem, wystarczyłoby mu pieniędzy i na to, i na wiele więcej. Ale on musiał być mądrzejszy. Musiał zacząć słuchać Eddiego Klawisza. Chryste Panie! Co go opętało? Ten ramol, ten stary dziwak: Eddie. Przesiadywał przez trzy miesiące w Harbor Bar, w knajpie, gdzie spotykali się strażnicy z Rikers – przesiadywał tam, od kiedy wyszedł z pudła. I opowiadał bez końca tę samą historię każdemu, kto tylko chciał słuchać, każdemu strażnikowi z Rikers, który był na tyle młody, uprzejmy lub pijany, żeby go słuchać: „Ech, jak ja pracowałem jako strażnik, nie byłem głupi, nie ja. Rozkręciłem handelek prochami w zakładzie, zbiłem na tym niezłą kasę, naprawdę. A jak zgarnęli mnie federalni, dostali z tego chociaż centa? Nie, proszę pana. Nie, proszę pana, bo ja ich wszystkich wykiwałem”. Każdego wieczoru, wieczór w wieczór, gadał tylko o

tym. Nikt tak naprawdę mu nie wierzył, nikt nie zwracał na niego uwagi. Aż wreszcie Jajo urządził sobie burzę mózgu i pomyślał – stary, a może on mówi poważnie! A potem było już tylko to szukanie wiatru w polu, cały ten pieprzony przekręt, wyprawa po skarb...

Usłyszał, że odsuwa się osłonka judasza. Wziął głęboki oddech, uspokoił twarz. Drzwi mieszkania Billy’ego Price’a otworzyły się na kilka centymetrów. Jajo wszedł do środka.

Maxwell zamknął za nim drzwi. Stał z przygarbionymi wielkimi plecami, z wielkimi ramionami i wysuniętą do przodu małą dziecinną twarzą. Przypominał chłopca, który coś przeszkrobał i trochę mu wstyd – Maxwell zawsze potem przybierał ten wyraz twarzy. Jajo był zdenerwowany, ale nie umiał się tak naprawdę gniewać na tego gościa.

– Zadzwoił jeszcze raz na policję? – zapytał.

– Tak – powiedział Maxwell. Mówiąc to, uśmiechnął się nieznacznie. Błyszczały mu oczy. – Tak. D’Annunzio ciągle tam był. Powiedział D’Annunziowi, żeby nie przychodził. Powiedział, że znaleźli dziewczynkę.

– Bardzo dobrze – stwierdził Jajo.

Maxwell znowu się roześmiał. To co wydobyło się z jego ust, nawet przypominało chichot.

– Zdjąłem mu gacie. Ścisnąłem za jaja.

Jajo parsknął.

– Rozumiem, że to go przekonało.

– Powiedziałem, że jak wszystko pójdzie dobrze, to go zostawię w spokoju.

W jego ustach jak seria z karabinu maszynowego wybuchnął dziecięcy śmiech.

Jajo uśmiechnął się półgębkiem. Spojrzał na potwora i pokręcił głową. Co za pojeb, pomyślał.

Niemal z niechęcią minął przedpokój i ruszył w głąb mieszkania. Pomyślał, że w sumie może zobaczyć, co im się tutaj udało uzyskać. Mieszkanie nie było jeszcze w pełni umeblowane. Na ścianach nie zawisły żadne obrazy. Na parkiecie nie było

dywanów. Niektóre kartony leżały ciągle nierozpakowane, ciśnięte gdzieś w kąt. Za to były już ustawione szklane i metalowe regały. Stały na nich fotografie, książki i jakieś bibeloty. Po drugiej stronie pomieszczenia, przy oknie, urządzono kącik do siedzenia: stolik do kawy, wiklinowa sofa, krzesła z metalowych rurek.

Na jednym z krzesel siedział Billy Price. Miał na sobie czarną bluzę. Od pasa w dół był nagi. Miał zaklejone taśmą usta. Jego ręce były związane taśmą za plecami. Głowa opadała na bok, jak u szmacianej lalki. Oczy były otwarte.

Gardło Billy'ego zostało zmiażdżone – dosłownie zmiażdżone. Jajo aż zagwizdał, kiedy je zobaczył. Wyglądało, jakby przejechał po nim pociąg. Jajo opuścił oczy na jądra Price'a. Jezu Chryste, pomyślał, kręcąc głową. Co za wariat z tego Maxwella.

Maxwell wisiał za nim ze zgarbionymi plecami i wysuniętą do przodu brodą. Obserwował Jaja pilnie, wyczekująco. Jajo odwrócił się do niego, uśmiechnął szeroko i mrugnął. Wyciągnął dłoń i poklepał olbrzyma po grubej ręce.

– Czas się zwijać, byczku. Wygląda nieźle – stwierdził.

Maxwell skinął głową i uśmiechnął się. Jajo jeszcze raz rzucił okiem na pokój.

– Dobra. Idziemy.

Z twarzy Maxwella zniknął uśmiech.

– A co z kobietą Conrada? Nie powinniśmy z nią też porozmawiać?

Jajo pokręcił głową.

– Ona nic nie wie. Nie wie nawet, gdzie jesteśmy. Ciągle myśli, że mamy tam kamery.

Maxwell westchnął i wyprostował się. Skinął posępnie głową.

Jajo roześmiał się ze współczuciem.

– O to właśnie chodziło, rozumiesz? Teraz myśli, że były u niej gliny. Teraz będzie siedzieć cicho. Nie zrobi nic, dopóki nie skończymy.

– Jakby była martwa, też by nic nie zrobiła – powiedział

Maxwell.

Jajo znowu się roześmiał. Dziękuję, profesorze Półgłówku, pomyślał.

– Nie, nie – stwierdził. – Widzisz, teraz musimy się zająć doktorem. Facet jest bystry i widzi, co się dzieje, rozumiesz? Zmusił mnie, żebym mu pozwolił pogadać z małą. Znowu może coś takiego wymyślić. Rozumiesz? Jeżeli się zorientuje, że skrzywdziliśmy żonę albo dziewczynkę, stracimy go, a wtedy będziemy udupieni. Rozumiesz, co mówię?

Maxwell zawisł nad nim, patrzył na niego z góry. „Czy on rozumie, co do niego mówię?” – pomyślał Jajo. Co za głupie pytanie. Facet bez instrukcji obsługi nie potrafiłby wyrwać skrzydełek muszce.

Jajo żartobliwie klepnął Maxwella w mięsiste ramię.

– Hej – powiedział. – Hej. Chcesz być bogaty, tak? Chcesz stąd uciec?

Maxwell kiwnął głową.

– Chcesz mieć tyle dziewczynek i chłopców, ile tylko zapragniesz, i nigdy nie znaleźć się już w więzieniu, tak?

– Tak – ponuro stwierdził olbrzym.

– No to musimy zbierać dupę w troki, kolego. Muszę mieć czas, żeby się dostać do wieży zegarowej. A ty musisz się spakować. Wracasz do starego mieszkania.

– Eee... – wystękał Maxwell.

– Na litość boską, tylko na parę godzin. Tak na wszelki wypadek, gdyby babsko się połapało. Jest cwana i zorientowała się, że nie ma mikrofonów.

– Nie byłaby taka cwana, gdyby była martwa – mruknął Maxwell.

Jajo roześmiał się i znowu pokręcił głową. Kręcił nią nadal, kiedy szedł w stronę drzwi. Maxwell ruszył za nim, szurając nogami.

## DZIEWCZYKA

Położyli Jessicę na łóżku. Ręce skrępowali jej za plecami taśmą. Owinęli nią też dziewczynce nogi w kostkach i zakleili usta. Zostawili za to włączony telewizor.

– Niech ma się czym zająć – powiedział Jajo. Pokój był ciemny, tylko z telewizora błyskało światło.

Dziewczynka leżała na boku. Próbowwała nie zamykać oczu, lecz powieki opadały jej same. Niebieskie oczy Jessiki wydawały się zaciągnięte mgłą, tak jakby uciekło z nich całe światło. Jej okrągłe policzki wyglądały, jakby były poplamione: w kilku miejscach zaczerwienione, w innych – kredowobiałe. Mama zaplotła jej włosy w warkocz, żeby nie poplątały się w nocy, ale warkocz zaczął się rozwiązywać.

Jessica czuła, że jest jej niedobrze. Chloroform sprawił, że bolał ją brzuch. Bała się, że zacznie wymiotować. Myślała o tym, że z powodu taśmy na ustach będzie musiała przełknąć wymioty. Zsikała się na materac i czuła się z tym bardzo źle. Nie mogła się powstrzymać. Trzymała i trzymała, ale wreszcie samo się popuściło. Musiała teraz leżeć w mokrym łóżku. A na koszulce w serduszka – jej ulubionej – wszędzie były plamy. Po chwili zaczęła znowu płakać. Czuła, że się dusi. Kręciło jej się w głowie. Była śpiąca. Zamknęła oczy.

Zasnęła, ale nawet przez sen czuła, że jest jej gorąco. Kiedy się obudziła, jej czoło było pokryte potem. Czuła się tak samo jak wtedy, gdy chorowała na ospę wietrzną, jak wtedy, gdy miała gorączkę. Znowu zachciało jej się spać, ale było jej niedobrze, więc nie mogła zasnąć.

Patrzyła na telewizor. Na ekranie rozmawiali ze sobą jacyś mężczyźni. Miała nadzieję, że jej tatuś zaraz przyjdzie. Powiedział jej przez telefon: „Wkrótce będziesz w domu”. Pomyślała, że pewnie teraz po nią idzie. Pomyślała, że bardzo głośno zapuka w drzwi – tak głośno, że źli panowie się wystraszą i będą musieli go

wpuścić. A potem źli panowie zobaczą go i dopiero się wystraszą, bo zobaczą, że bardzo, bardzo się gniewa. Będzie taki zachmurzony i groźny jak wtedy, kiedy stanęła na wielkiej skale w Central Parku, chociaż jej tego zabronił. A potem tatuś ich zbije. (Tatuś uważał, że nie wolno nikogo bić – dlatego nigdy jej nie uderzył – ale tym razem robi wyjątek). Uderzy złych panów prosto w nos. Tego dużego będzie musiał uderzyć jakimś kijem albo zastrzelić z pistoletu. A potem Jessica wstanie i też ich uderzy.

Och, ale teraz było jej niedobrze. Tak bardzo niedobrze. Czowała, że naprawdę zaraz zwymiotuje. Wydawało się jej, że taśma na ustach ją udusi. Do oczu napłynęły jej łzy. „Mamo!”

– pomyślała. Nagle, pod wpływem rozpacz, spróbowała wyszarpać dłonie z taśmy. Zaczęła się turlać tam i z powrotem po łóżku. Płakała. Chciała wziąć oddech, ale nie mogła. Zatoczyła dziko oczami. A potem opadła na łóżko. Poczowała, że jest jej gorąco i że gdzieś się oddala.

Chwilę później znowu się obudziła. Poczowała, że jest jej jeszcze bardziej niedobrze, jeszcze bardziej gorąco. Zaczęła płakać, lecz nie mogła oddychać. Och, mamo, pomyślała. Jeszcze raz, z całych sił szarpnęła dłońmi i pociągnęła je do góry.

I nagle jej ręce były wolne.

Przez sekundę Jessica nawet o tym nie myślała. Po prostu sięgnęła dłonią i szarpnęła za taśmę na ustach. Zabolęło, ale nie dbała o to. Musiała ją zerwać. Musiała oddychać.

Odkleiła taśmę. Podniosła się trochę. Czowała, że zwymiotuje. Zakrztusiła się. Wysunęła język z ust. Ale nie zwymiotowała. Położyła się z powrotem na materacu, odsuwając się od jego zmoczonej części. Leżała spokojnie i oddychała głęboko.

A potem dotarło to do niej: jej dłonie były wolne.

Podniosła ręce i wyciągnęła je przed siebie. Były sztywne, obolałe. Potarła nadgarstki. Ciągłe było jej niedobrze, lecz nie czuła już gorąca ani zawrotów głowy.

Kiedy tak patrzyła na swoje ręce, zaczęła się martwić. Spojrzała na drzwi. Pomyślała, że może powinna z powrotem

nałożyć taśmę. Źli panowie mogą się zdenerwować, kiedy zobaczą, że ją zdjęła. Ale przecież naprawdę nie chciała. Samo się stało. Bo nie mogła oddychać. Ale oni mogą tego nie zrozumieć. Mogą pomyśleć, że jest niedobra.

A może zaczeka chwilkę? Przecież usłyszysz, jak źli panowie będą wchodzić, i będzie miała jeszcze na to czas. Może zaczeka, aż wróci, a wtedy szybko zawiąże sobie znowu taśmę, zanim ją zobaczą. Przecież ciągle miała ją owiniętą wokół jednej dłoni. Wystarczy, że wsunie drugą w pętelkę. No i zaklei sobie z powrotem usta.

Na łóżku obok niej leżał Żółw Tot – Moe. Jajo go jej zostawił.

– Dotrzyma ci towarzystwa – powiedział po tym, gdy ją związał. Jessica sięgnęła po Moego. Przyciągnęła go i przytuliła do niego policzek. Zaczęła ssać kciuk. Wiedziała, że robią tak tylko małe dzieci, lecz nie mogła się powstrzymać. Popatrzyła w telewizor. Leciały jakieś reklamy. Jacyś chłopcy i dziewczynki biegali po podwórku. Jeden z chłopców upadł i pobrudził sobie koszulkę. Jego mama musiała wyprać ją w pralce.

Jessica bardzo chciała, żeby jej mama była przy niej.

Jessica zasnęła na chwilę – nie wiedziała na jak długo. W telewizji znowu były reklamy, kiedy się obudziła. Przez sekundkę cieszyła się, że nie czuje już takich mdłości jak wcześniej.

Potem jednak pomyślała: „A, jeżeli źli panowie wrócili, kiedy spałam?”. Spojrzała na drzwi. Zaczęła nasłuchiwać. Ale nie słyszała niczego oprócz telewizora.

Najpierw pomyślała, że na wszelki wypadek powinna znowu związać się taśmą. Ale nie chciała zaklejać sobie ust. Może, jeżeli będzie cichutko, uda jej się zerknąć i upewnić się, że złych panów ciągle nie ma?

Postanowiła tak zrobić.

Usiadła i zerknęła na drzwi, żeby stwierdzić, czy na pewno nikt nie wchodzi. Powoli odkleiła taśmę od kostek. Nie bolało tak jak wcześniej przy ustach. Odklejoną taśmę położyła na łóżku, żeby móc jej użyć, kiedy źli panowie wróci. Potem zsunęła się z

łóżka. Trzymając pod pachą Moego i ssąc kciuk, zaczęła się zbliżać do drzwi.

Poruszała się bardzo cicho, na paluszkach. Na podłodze tańczyło niebieskie światło z telewizora. Czuła przy nodze mokrą plamę na koszulce w serduszka. Było to bardzo nieprzyjemne. Przecież tak bardzo próbowała nie popuścić. Mama na pewno zrozumie, kiedy jej powie, ale i tak czuła się z tym bardzo źle.

Dotarła do drzwi, wyciągnęła palec z ust i złapała za gałkę. Przekręciła ją powoli, powoli – tak cicho, jak tylko mogła.

Drzwi szcęknęły i otworzyły się. Jessica przyłożyła twarz do szpary. Sąsiedni pokój był ciemny. Wydawało się, że nikogo w nim nie ma. Pociągnęła trochę mocniej drzwi i wcisnęła głowę. Spojrzała na prawo, a potem omiotła wzrokiem pokój. Był ciemny i cichy. Tu i tam zauważyła niewyraźne kontury krzeseł. Zobaczyła szklane drzwi balkonowe. Zasłony były zasunięte.

Popatrzyła w lewo. Tam też nic nie było. Już miała cofnąć głowę z powrotem do pokoju, kiedy spostrzegła wyjściowe drzwi.

Wiedziała, że to wyjściowe drzwi, ponieważ wyglądały dokładnie jak wyjściowe drzwi w jej domu. Były duże i solidne, no i miały dwa zamki i łańcuch. Wcale nie było do nich daleko. Mogłaby podbiec. Mogła do nich podbiec, pomyślała. Mogła otworzyć je i wyjść. A potem pojechać windą na dół i poprosić portiera o pomoc. Portier zadzwoniłby do jej tatusia i powiedział, gdzie jest jego córeczka. Pewnie dlatego tatuś jeszcze nie przyszedł, pomyślała. Pewnie jeszcze nie wie, gdzie ona jest. Portier by mu powiedział.

„Już mam!” – pomyślała. (W kreskówkach, które oglądała w telewizji, występowały zawsze małe dziewczynki, a ich przygody kończyły się kłopotami. Kiedy wszystko wyglądało już bardzo źle, zawsze wpadały na jakiś pomysł. Pstrykały wtedy palcami i mówiły: „Już mam!”. Ale Jessica nie potrafiła jeszcze pstrykać palcami).

Pomyślała: „Już mam!”. I wyślizgnęła się z sypialni.

W pokoju było jednak bardzo ciemno. Jessica zatrzymała się tuż za drzwiami sypialni. Pokój był bardzo duży i ciemny.



Spojrzała na malujące się w półmroku kształty mebli. A jeżeli tam są źli panowie? A jeżeli chowają się w ciemnościach? A jeżeli zostawili wielkiego psa, który ma ją obserwować i który nagle wyskoczy na nią zza pleców, ujadając i łypiąc czerwonymi oczami?

Tuląc z całych sił Moego, Jessica cofnęła się o krok do sypialni. Nadal patrzyła na wyjściowe drzwi. Były tak blisko, tylko kilka kroków od niej. A tatuś naprawdę mógł nie wiedzieć, gdzie ona jest. Przecież gdyby wiedział, dawno by już po nią przyszedł.

Przestała się cofać. Rozejrzała się wokół, popatrzyła na cienie. Nie było jej już niedobrze, ale ciągle bolał ją brzuch. Zadrzała i mocniej ścisnęła różowego zółwia. A potem zacisnęła zęby i skuliła ramiona, żeby stać się bardzo malutką. Zaczęła kroczyć na palcach w stronę drzwi.

Szła bardzo powoli. Drewno wydawało się zimne pod jej bosymi stopami. Również w brzuchu czuła chłód – i pustkę. Spojrzała przez ramię. Pomyślała, że ktoś może skradać się za nią w ciemnościach. Popatrzyła znowu na drzwi wyjściowe. Dziwne, ale nie zdawało się już, że są tak blisko. Nagle okazało się, że będzie do nich szła bardzo długo. A kiedy spojrzała znowu na sypialnię, również ona wydała się bardzo daleko. Za daleko, żeby uciec do niej w ciemnościach.

Przyspieszyła kroku. Pokonała ostatni odcinek i dotarła do drzwi. Gałka wystawała z nich na wysokości jej oczu. Trzymając pod pachą Moego, sięgnęła drugą ręką i złapała za gałkę. Przekręciła ją. Ustąpiła trochę, ale zaraz potem się zacięła. Jessica przekręciła ją mocniej, potrząsnęła nią. Bezskutecznie. Gałka nie ustąpiła.

– O, nie – jęknęła dziewczynka. Drzwi były zamknięte.

Podniosła oczy. Spojrzała na wznoszące się nad nią drzwi.

Łańcuch zwisał swobodnie obok. Powyżej były widoczne dwa inne zamki. Jeden przypominał kluczyk do nakręcania samochodzików. Na drugi składała się duża mosiężna płytką z umiejscowioną poniżej gałką. Wyglądały na trudne do otworzenia, lecz Jessica wiedziała, jak sobie z nimi poradzić. Robiła to już

kilka razy w domu. Ale zwykle pomagała jej w tym mama.

Wyciągnęła rękę do niższego – do kluczyka. Spróbowała go przekręcić. Był zbyt ciężki. Była na niego za słaba. Pochyliła się i położyła Moego na podłodze. Spróbowała przekręcić klucz obiema rękami. Tym razem ustąpił. Usłyszała szcęknięcie.

– Tak – szepnęła.

Wiedziała już, że potrafi. Sięgnęła do drugiego zamka. Dotknęła palcami dolnej części miedzianej płytki. Gałka jednak – nie mogła dosięgnąć gałki – była za wysoko. Jessica stanęła na palcach. Dotknęła palcami krawędzi. Spróbowała nacisnąć gałkę, przekręcić ją jakoś, ale nie była w stanie wystarczająco jej złapać...

Nagle za drzwiami, z korytarza, dobiegł ją szum otwieranych drzwi windy. Usłyszała męskie głosy.

– ... upewnij się tylko, że wzięłeś ze sobą telefon, dobra? Będiesz pamiętał? – zapytał jeden z nich.

Jessica zorientowała się, że to źli panowie.

Sięgnęła do niższego zamka; chciała zamknąć go z powrotem, żeby niczego się nie domyślili. Ale mogliby to usłyszeć. Musiała go zostawić.

– Tak, będę pamiętał – powiedział jeden ze złych panów. Był już tuż przy drzwiach.

Jessica odwróciła się i pobiegła do sypialni. Musiała jeszcze związać się z powrotem taśmą, żeby się nie zorientowali, że zrobiła coś złego. Przecież nie chciała. Nie mogła tylko oddychać...

Kiedy wślizgiwała się znowu przez szparę w drzwiach sypialni, usłyszała odgłos wsuwanego w dziurkę kluczyka. Spojrzała przez ramię i zobaczyła, jak przekręca się górny zamek.

A potem popatrzyła w dół i zauważyła Moego. Różowy żółwik ciągle leżał na podłodze. Widziała jego kształt.

Jessie wykrzywiła twarz. Nie wiedziała, co robić. Oba zamki były już otwarte, za chwilę też mogły otworzyć się drzwi. Ale jeżeli oni zobaczą leżącego na podłodze Moego...

Pędem wybiegła z sypialni. Podbiegła do Moego. Usłyszała, że klucz przekręca się w drugim zamku. Pochyliła się i złapała

różowego żółwia. Ponad nią obrócił się zamek. Usłyszała, jak jeden ze złych panów popycha drzwi.

A potem usłyszała jego głos:

– Kurwa. Zapomniałeś zamknąć na dole?

Mężczyzna zamknął z powrotem zamek. Nie wiedział przecież, że Jessica go otworzyła.

Dziewczynka pobiegła w stronę sypialni. Usłyszała, że znowu przekręca się zamek, tym razem rzeczywiście się otwierając. W biegu spojrzała przez ramię.

W tym samym momencie zahaczyła o krawędź drzwi i upadła.

Drzwi uderzyły ją w kostkę. Rozległ się głuchy łoskot i Jessie poleciała twarzą w kierunku podłogi.

– Au! – krzyknęła.

Moe poszybował kilkadziesiąt centymetrów przed nią. Uderzyła mocno o podłogę, osłabiając upadek wyciągniętymi dłońmi i ramionami.

Otworzyły się wejściowe drzwi. Zapaliło się światło. Jessica odwróciła się i płacząc, przycisnęła policzek do podłogi. Zobaczyła, że Jajo spogląda na nią. Maxwell stanął za nim, wpatrując się w nią ponad ramieniem kumpla.

Teraz wejdzie mój tatuś, pomyślała Jessica. Teraz wejdzie i ich zbije.

Jajo wykrzywił twarz. Jego oczy stały się czarne.

– Kurwa mać! – krzyknął. Wypluł z siebie brzydkie słowo.

– Pierdolona pizda. Pierdolona, w dupę pierdolona pizda.

Podszedł do niej. Maxwell zamknął drzwi.

Jessica zaczęła rozpaczliwie płakać.

– Ja nie chciałam – powiedziała.

Jajo schylił się i złapał dziewczynkę za ramię. Pociągnął ją.

– Au! – zawołała Jessica.

Podniósł ją szarpnięciem z podłogi i uderzył mocno w twarz. Cios sprawił, że upadła z powrotem na podłogę. Jessica krzyknęła i zaczęła szlochać.

„Teraz, tatusiu, tatusiu, przychodź, tatusiu, tatusiu” –

myślała.

– Ty i twoja pierdolona mać, obie warte siebie kurewki – powiedział Jajo. – Zabiłem ją, do kurwy nędzy, co ty na to? Twoja mama nie żyje, ty mała pizdo!

– Wcale nie! – zaszlochała Jessica.

– Nie żyje. Za cwana była, na swoje własne, kurwa, nieszczęście.

– Mój tatuś po was przyjdzie! – krzyknęła Jessie, dławiąc się łzami. – Przyjdzie i was zbije! Przyjdzie i wyrzuci was przez okno!

Jajo spojrzał przez ramię. Maxwell stał w miejscu. Patrzył na Jessicę.

– Przynieś chloroform – powiedział Jajo.

– Nie! – krzyknęła Jessica. – Nie... – zaczęła jęczeć. – Mamusiu...

Po chwili, kiedy Jajo znowu do niej podchodził, potrafiła już tylko szlochać, broniąc rękami twarzy.

## MORDERCZE KRZESŁO

– Co tam słychać u moich fanów nowoczesnej psychiatrii? – przywitał ich doktor Jerry Sachs. Wszedł do izolatki Elizabeth i zamknął za sobą drzwi. – W porządku?

Conrad mógł tylko patrzeć na niego szeroko otwartymi oczami.

„On jest jednym z nich”.

Był w stanie tylko patrzeć na niego szeroko otwartymi oczami i myśleć: „Muszę... Muszę... coś zrobić”.

Co miał jednak zrobić? Nadal nie zdobył numeru. A Elizabeth wciąż była wzburzona, być może bliska kolejnego napadu agresji... Poza tym była już ósma dwadzieścia sześć, a teraz jeszcze Sachs...

Sachs spojrział przez grube ciemne okulary na Elizabeth. Jego oczy przenosiły się szybko to na Conrada, to na nią. Pozostał przy wesołym tonie, ale pobrzmiwała w nim też nuta niepewności. Jego uśmiech – jego wilgotny czerwony uśmiech – wydawał się nieszczerzy; zdawało się, że za chwilę zniknie z jego twarzy.

– Czyżbyśmy tu mieli jakiś problem? Coś poszło nie tak? Nie chcemy, żeby coś się popsło między takimi starymi kumplami jak wy, co? – Spojrział niecierpliwie na Conrada. Jego oczy, zniekształcone przez grube soczewki, wyglądały, jakby tonęły w wydalanej przez siebie cieczy. – Nie chcemy, co, Nate? – zapytał rozpaczliwym tonem.

Conrad wbił w niego wzrok – w niego i w jego wielką różową, połyskującą, ociekającą potem głowę.

„Ósma dwadzieścia sześć. Muszę.

Słowa wydobyły się z jego ust jak czarne błyskawice, po czym zamarły.

– Ty skurwysynu – szepnął bez zastanowienia.

Sachs postanowił nadal tylko go naciskać. Spojrzął na zegarek i powiedział:

– To znaczy, robi się trochę późno, co? To znaczy – ojej! Jest już prawie ósma trzydzieści. Robi się naprawdę, naprawdę późno. – I znowu jego tonące oczy zdały się błagać o coś Conrada. – Na twoim miejscu pospieszyłbym się, Nate. Zdecydowanie bym się pospieszył.

Po czym odwrócił się szybko z powrotem do drzwi.

Ręka Conrada sama wyrwała się do przodu. Złapał Sachsa za łokieć.

– Ty skurwysynu – szepnął. Nie mógł oderwać od niego oczu. – Jesteś jednym z nich, ty... Wiesz, co oni zrobili? Wiesz?

Górujący nad Conradem mężczyzna rozdziawił wilgotne usta. Jego szerokie oczy poruszyły się w przerażeniu to w jedną, to w drugą stronę.

– Hej, przestań. Hej. To znaczy, nikt nic nie mówił o... To znaczy, kto ci to powiedział? Mieli ci nie mówić. Nikomu mieli nie mówić.

– Na litość boską, Jerry, jak mogłeś?

Sachs zamknął usta. Na jego twarzy pojawił się wyraz zamyślenia. Wściekłym ruchem ręki strząsnął dłoń Conrada.

– Posłuchaj, nie wyjeżdżaj mi tu z tym gównem, dobra? Nie każdy jest burmistrzem Central Park West. Rozumiesz? Nie każdy jest taką szyszką, żeby go było stać na odrzucenie dobrej oferty, dobrej kasy. – Stracił oddech. Przełknął. Jego wzrok znowu spoczął na Elizabeth, po czym wrócił do Conrada. Zaczął mówić półszepem, jakby w tajemnicy. – Posłuchaj. Nie wiedziałem, że to zrobią, w porządku? To znaczy, powiedziałem im, że nie wzięłybyś pieniędzy, ale... Nie wiedziałem, że to zrobią.

– Spojrzał ponownie na zegarek. Pokręcił głową. – Stary, posłuchaj ... Naprawdę musisz się pospieszyć. Ci goście naprawdę nie żartują, rozumiesz? Musimy się trzymać planu.

Dotknął gałki drzwi.

– Ty!

Słowo to – głęboki, gardłowy dźwięk – powstrzymało Sachsa. Jego ręka spoczęła luźno na gałce, a usta się rozchyliły. Odwrócił się. Po chwili odwrócił się Conrad. Obaj spojrzeli na

Elizabeth.

Aż do tej chwili dziewczyna stała w miejscu jak osłupiała. Z otwartymi ustami ścisnęła głowę, a w jej oczach czaiła się wściekłość. Stała i spoglądała to na jednego lekarza, to na drugiego. Jej głowa poruszała się w przód i w tył, a ona sama powtarzała: – Nie, nie, nie.

W tym momencie jednak – w tym samym momencie opuściła jedną rękę i wycelowała palec w twarz Sachsa. Drugą ciągle trzymała przy głowie, ścisnąc kurczowo palcami jasnorude kosmyki włosów.

– Ty – warknęła znowu. – Ty jesteś prawdziwy.

Oboje zamarli na sekundę: Elizabeth z wyciągniętym palcem, a Sachs spoglądając na nią z policzkami ociekającymi strumieniami potu. Conrad poczuł na karku lodowate tchnienie.

„Muszę... coś zrobić... Muszę.

Wreszcie Sachs szybko skinął głową.

– No cóż, Elizabeth, hm... Widzę, że... robisz duże postępy – powiedział. – I teraz, no wiesz, myślę, że powinnaś się tego trzymać. Na razie.

Podeszła do niego, ciągle celując palcem w jego twarz.

– Jesteś zły. Jesteś jednym z nich.

Oczy Sachsa zaczęły się robić coraz większe. Spojrzał ukradkiem na Conrada.

– Powiedziałeś je j? O Boże...

Conrad podniósł do góry dłoń.

– Elizabeth... Nie.

Ale nawet na niego nie spojrzała.

– Doktor Conrad jest dobry – powiedziała. Podeszła jeszcze o krok do Sachsa. Sachs stał w miejscu, sparaliżowany jak ofiara wpatrzona w oczy węża. – Wiedziałam. Miałam rację. Doktor Conrad jest dobry, a ty... ty porwałeś jego córkę. Porwałeś jego córkę, żeby go do czegoś zmusić.

Sachs otworzył usta.

– O... O Boże...

– Porwałeś doktorowi Conradowi córkę. I to wszystko dzieje

się naprawdę. I... To nie ja. To nie tylko ja...

– Elizabeth, wystarczy. – Conrad wstał między nich. Złapał Elizabeth za ramię. Pogłaskał je. – Wystarczy, proszę – przemówił łagodnie.

– Ale pan jest dobry – stwierdziła miękko głosem. – Powiedział pan: oni są źli, oni są prawdziwi.

– Proszę – powiedział Conrad. – Proszę. Cichutko.

Odprowadził ją do łóżka. Elizabeth jeszcze raz pokręciła głową. Podniosła dłoń do ust. W jej oczach pojawiły się łzy.

– Ja nie... – zaczęła. – Nie mogę...

Conrad posadził ją na łóżku.

– Już dobrze – uspokoił dziewczynę. – Wszystko będzie dobrze.

Wtedy Sachs powtórzył:

– Mój Boże, Nathan... Powiedziałaś jej. Wszystko jej powiedziałaś.

Conrad odwrócił się na pięcie i spojrzał na niego. Wielki mężczyzna stał przed drzwiami. Ciągle miał otwarte usta. Ciągle gapił się na Conrada.

– To znaczy, kurwa, Nathan, kurwa mać – powiedział. – Miałaś nikomu nie mówić. Nikt nie miał nikomu niczego mówić. Takie było założenie.

Conrad poczuł, że tym razem na jego czoło występuje pot – pot i dreszcz, który jak mu się wydawało, za chwilę go powali. Wyprostował się.

– Jerry... – powiedział.

Sachs podszedł do niego, odsuwając się tym samym od drzwi.

– Na litość boską, Nathan. Miałaś, do kurwy nędzy, nikomu nie mówić.

– Jerry, posłuchaj, wydostaniemy się z tego, jeżeli będziemy się trzymać razem.

– To znaczy, czy nie tak ci właśnie powiedzieli? Masz nic nikomu nie mówić?

– Możemy się z tego wydostać, jeżeli...



– Ja nie mogę! – W jego ukrytych za okularami oczach rosło wzburzenie. – Ja nie mogę. Ona im powie. Ty im powiesz. A im...

– Chryste, Jerry – zdziwił się Conrad.

– To znaczy, pieprzyć pieprzoną policję. Pieprzyć moją pracę. Ale co z nimi? To znaczy... będą wściekli. – Sachs podniósł ogromną dłoń do spoconej głowy. – To znaczy, kurwa mać, Nathan. Naprawdę kurwa mać, rozumiesz, co ci mówię? Miałeś jej tylko zadać jedno pierdolone pytanie. Dlaczego nie mogłeś jej zapytać o ten pierdolony numer i zaraz stąd wypierdalać?

– Jerry – powiedział ostrożnie Conrad. – Oni mają moją córkę. Musimy się trzymać razem. Nie możemy im o tym powiedzieć.

– Nie powiedzieć im? – Głos Sachsa stał się cienki i wysoki. – Nie powiedzieć im? Oni tu zadzwonią. Zadzwonią, żeby się upewnić, że wyszedłeś. Muszę im powiedzieć. Muszą coś z tym zrobić, bo jak nie to... policja, moja praca, ja...

– Jeżeli im powiesz... Jeżeli im powiesz – stwierdził Conrad – zabiją moją córkę.

– Jasne, jasne.

– Zabiją ją, Jerry.

– Jasne, jasne. Jasne. To znaczy, że chcesz, żeby zabili mnie? Chcesz, żeby myśleli, że ja coś przed nimi ukryłem, że ja ich zdradziłem? Stary, kurwa... Na mnie nie licz. W dniu kiedy się to stanie, chciałbym się znaleźć w czyimś innym ciele, rozumiesz, co do ciebie mówię?

– Niech to szlag – stwierdził Conrad. Spojrzał na Sachsa. „Muszę”, pomyślał. „Muszę...” – Niech to szlag – powtórzył łagodniej. – Człowieku, oni ją zabiją. Ma dopiero pięć lat. To tylko mała dziewczynka. Chodzi do przedszkola. Ma pięć lat.

– Pieprzyć ją! – Sachs nachylił twarz nad niższym kolegą. Conrad poczuł jego kwaśny oddech. – Trzeba było o tym myśleć, jak zaczynałeś gadać, jak postanowiłeś wszystko wygadać.

– Odwrócił się z ręką przytkniętą do głowy. Rozejrzał się po pokoju, tak jakby szukał drogi ucieczki. – Może ją czymś naszprycujemy – mruknął. – To jest pomysł. Powiemy im...

Naszprycujemy ją i będzie nieprzytomna, dopóki to wszystko się nie skończy. Może na to pójda. Mogą na to pójść. Potem mogą ją sobie wziąć. Niech... robią z nią, na co mają ochotę.

Conrad cofnął się o krok, o krok od Sachsa. „Muszę... Muszę...” Dłonią otarł usta. Zimny pot zdawał się wydobywać z każdego poru jego ciała. „Muszę go powstrzymać” – pomyślał. Cofnął się jeszcze o krok. Tyłem nogi zawadził o krzesło – drewniane krzesło, na którym siedział, kiedy rozmawiał z Elizabeth.

– Posłuchaj, Nathan, to może zadziałać – bełkotał ciągle Sachs. – Rozumiesz? Może nawet wypuszczą małą, kto wie? Trudno powiedzieć. Ale najważniejsze, żeby się nie wściekli. Musimy z nimi grać uczciwie i mieć nadzieję, że na to pójda. Rozumiesz? Jak zadzwonią, powiemy im: „No dobra, niech będzie, powiedział jej, ale naszprycowaliśmy ją, więc możecie później przyjść i...” I tyle. Rozumiesz? Po prostu im powiemy.

Conrad spojrział w dół. „Muszę...” Jego dłoń spoczęła na oparciu krzesła. „Muszę go uderzyć” – pomyślał ze wściekłością. „Muszę go walnąć krzesłem”.

Spojrział zdumiony na Elizabeth, która ciągle siedziała na łóżku. Podchwyciła jego wzrok. Jej oczy były ogromne: wydawało się, że jest również zdumiona.

„Krzesłem?” – pomyślał. „Jak ja...? Jak mam...?”

Sachs spojrział na zegarek.

– O Boże. Prawie za dwadzieścia pięć. Za pięć minut zadzwonią. Dobra. Dobra. Muszę iść. Masz ten numer? Ty też musisz iść. Idź na dół, a ja zadzwonię. Dobra? Tak zrobimy.

Conrad oburącz złapał za oparcie krzesła. Spojrział na nie. „Krzesło” – pomyślał. „Muszę... och...” Poniósł mebel z podłogi.

– Szybciej! – powiedział Sachs. – Co ty robisz? Masz ten numer? Idziemy!

Podniósł krzesło wysoko nad głowę. Podszedł dwa kroki naprzód. W tym momencie przekrzywiło się jego chore kolano. Jęknął. Ból przeszył mu nogę. O mało nie złamała się w stawie. Rzucił się niezgrabnie do przodu i oparł na drugiej nodze. Równie

niezgrabnie podniósł krzesło i wymierzył w głowę Sachsa.

Elizabeth krzyknęła.

– Hej! – powiedział Sachs.

Cofnął się. Wyrzucił do góry ręce, osłaniając nimi twarz. Krzesło ześlizgnęło mu się po ramieniu.

– Au! – krzyknął. Zachwiał się i oparł plecami o ścianę.

– Nathan, co ty, do ciężkiej cholery, robisz?

Siła uderzenia wyrwała krzesło z rąk Conrada. Upadło, trzasnęło o podłogę, po czym spoczęło na niej wierzchem do góry.

Conrad stał, dysząc. Zaczęło go rwać w kolanie. Skrzywił się. Ramiona zwisały mu po bokach. Pochylił głowę i oparł podbródek o klatkę piersiową.

„Co ja robię?” – pomyślał. „Co ja, do ciężkiej cholery, robię?”

– O Boże, Nathan! – Sachs wyprostował się przy ścianie. Potarł ramię. – Stary! Mogłeś mnie zabić!

Conrad przebiegł ręką po rzadkich włosach. Pokręcił głową. Spojrzał w oszołomieniu na podłogę.

– Prze... Przepraszam. Nie wiem, co mnie... Jestem zdenerwowany... Jestem... – Sięgnął odruchowo w dół i podniósł krzesło. Postawił je przed sobą. – Boże, jestem na skraju załamania. Nie...

– Dobra – powiedział Sachs, pocierając ramię. – Ale stary! Boże, to naprawdę bolało. Człowieku, czy dwaj lekarze powinni się zachowywać w ten sposób?

– Nie, nie... Musiało mi naprawdę odbić.

Conrad spojrzał na krzesło. Nie mógł uwierzyć w to, co zrobił.

Sachs, rozciągając i masując rękę, spojrzał znowu na zegarek.

– W porządku. Pieprzyć to. W porządku, stary, ale musimy już iść. Jeżeli mamy to rozegrać tak, jak oni tego chcą, naprawdę musimy już iść.

Conrad ze znużeniem skinął głową. Po czym podniósł krzesło i jeszcze raz walnął nim Sachsa.

Tym razem podniósł je wprost z podłogi. Złapał za oparcie i siedzenie. Okręcił je nad głową jednym szybkim, zakrzywionym łukiem. Z całej siły walnął mocnymi nogami w bok wielkiej, różowej czaszki Sachsa. Głowa odskoczyła gwałtownie na jedną stronę. W bladofioletową lunę światła wytrysnęła fontanna potu. Okulary Sachsa poszybowały w górę, uderzyły o ścianę i spadły na podłogę.

Conradowi znowu krzesło wyrwało się z rąk. Upadło, okręciło się i przewróciło na bok. Conrad zatoczył się, złapał równowagę i stanął pewnie na nogach.

Spojrzał w górę. Sachs ciągle jeszcze stał. Wielkie gołe oczy dyrektora były puste i nieruchome. Jego usta otwierały się i zamykały jak paszcza ryby. Na obtartej skórze skroni widać było otwarte rozcięcie.

Conrad widział, jak rana przybiera kolor purpury. Zalała ją krew. Czerwona posoka spłynęła Sachsovi po oku i policzku.

– Naprawdę, Nathan, naprawdę... – powiedział Sachs.

Potem upadł na kolana. Rzucił się do przodu, uderzył o podłogę z głuchym łoskotem i zmarł.

## JUŻ W DRODZE

Elizabeth zerwała się na nogi. Spojrzała na Sachsa. Jedną ręką złapała się za policzek. Drugą wymierzyła w dyrektora.

– Uderzył go pan krzesłem – powiedziała.

Conrad, sapiąc, również wpatrywał się w leżącego. Stał z otwartymi ustami i rozszerzonymi oczami.

– Ja...

– Uderzył go pan krzesłem w głowę – powtórzyła Elizabeth.

– Musiałem go powstrzymać. Chciał im wszystko powiedzieć, a wtedy... zabiliby ją.

– Ale pan go uderzył krzesłem. Uderzył go pan w...

– Elizabeth, na litość boską, przecież wiem...

Dziewczyna odskoczyła, usłyszawszy jego warknięcie. Opadły jej ręce. Zaczęła się tulić do siebie. Wpatrywała się w milczeniu w Conrada.

Lekarz, ciągle ciężko dysząc, otarł pot z twarzy.

– Podejdź tutaj – powiedział łagodniejszym głosem. – Pomóż mi go związać.

Podszedł do łóżka. Zrzucił płaszcz na podłogę. Zdjął koc, wyciągnął spodnie i wierzchnie prześcieradło. Wyjął poduszkę z poszewki. Zabrał prześcieradła i poszewki i położył je obok Sachsa.

Sachs leżał wykręcony na podłodze, z głową ułożoną na boku. Część jego twarzy pokrywała krew, która spływała również na podłogę, tworząc na niej kleistą kałużę. Słysząc było, jak kapie.

Conrad ukląkł obok Sachsa, krzywiąc się z bólu, który przewiercał kolano. Przesunął prawą rękę dyrektora na plecy. Była ciężka. Była śliska i spocona. Conrad okręcił wokół nadgarstka prześcieradło. Potem podniósł lewą rękę leżącego. Śliska dłoń wyślizgnęła mu się z uścisku. Ręka upadła z powrotem na podłogę. Conrad wypuścił powietrze i złapał znowu dłoń. Związał ją. Nie potrafił robić żadnych specjalnych węzłów. Po prostu związał

kilka razy prześcieradło.

Spojrzał na drzwi, na wydrążone w nich wąskie okienko. Nikt przez nie nie zaglądał. Popatrzył na Elizabeth. Stała nad nim, kuląc się w sobie, obserwowała go. „To chyba nie jest najlepsza metoda terapeutyczna” – pomyślał. Uśmiechnął się lekko. Obszedł ciało Sachsa i stanął przy jego stopach. Złapał dyrektora za kostki i wyprostował mu nogi.

Drugim prześcieradłem związał Sachsovi kostki. Potem wziął głęboki, niepewny oddech. Musiał zatkać usta Sachsa poszewką – zrobić knebel. Odwrócił głowę leżącego, by wetknąć pod nią poszewkę. Na jego dłoniach rozmasowała się krew. Poplamiała mu również mankiety. Była ciepła i lepka. Kiedy odwracał Sachsovi głowę, również z ucha wylała mu się nagromadzona tam krew. Zabębniła nagle o podłogę. Conrad z trudem przełknął. Nawet w czasie studiów medycznych nie lubił krwi. Obwiązał poszewkę wokół twarzy Sachsa. Nie chciała mu wejść w usta. Conrad wcisnął materiał między zęby dyrektora. Poczul je na swoich palcach. Pociągnął za poszewkę i zawiązał ją w supeł.

– Nie udusi się? – szepnęła Elizabeth.

– He? – zapytał Conrad. – Co?

Elizabeth nie powtórzyła pytania.

Conrad wstał.

– Doktorze!

Upadając, wyciągnął rękę ku Elizabeth. Kolano nie wytrzymało. W tym samym momencie przez czoło Conrada przemknęła gorąca błyskawica bólu. W prawym oku poczuł kilka kolejnych eksplozji. Zobaczył znajome kształty chmur na Seminary Hill.

Poczul, że Elizabeth chwyta go obiema dłońmi za rękę. Złapał się jej ramienia, wspierając się na nim.

– Nic mi nie jest – powiedział szybko.

– Na pewno?

– Co? Tak, w porządku. Nic mi nie jest.

Czerwone eksplozje zaczęły ustępować. Również kolano

mniej rwało. Conrad wyprostował się i puścił Elizabeth. Ona również zwolniła jego rękę.

Powoli odwrócił się w stronę stóp Sachsa. Zgiął się w pasie i dźwignął je. Wygiął ciężkie ciało w łuk, tak że stopy dotknęły łóżka. Potem, jęcząc, dociągnął do niego resztę. Głowa Sachsa przesunęła się po gęstej kałuży krwi. Kiedy Conrad ciągnął ciało dyrektora, zostawiała za sobą rozmazany ślad.

Sachs leżał już obok łóżka. Conrad ukląkł obok niego i znowu jęknął z bólu. Poplamiona krwią twarz zwracała się wprost ku niemu. Oczy Sachsa były na wpół otwarte. Zęby wbijały się w knebel.

„Czy dwaj lekarze powinni się zachowywać w ten sposób?”

Conrad napał na ramię Sachsa. Galaretowata masa nawet się nie poruszyła. Pchnął mocniej. Odwrócił się do Elizabeth. Stała za nim, załamując ręce.

– Pomóż mi – powiedział.

Przez sekundę stała tylko, ciągle załamując ręce. Potem uklękła obok Conrada i pchnęła razem z nim.

Naparli oboje na ramię i tors Sachsa, potem popchnęli jego nogi, a potem znowu ramię i tors. Kawalek po kawałku ciało Sachsa wślizgnęło się pod łóżko; kiedy znalazło się już w całości pod nim, Conrad musiał mu zgiąć nogi, żeby spod materaca nie wystawały stopy.

Elizabeth wstała. Pomogła podnieść się Conradowi. Uczepił się jej ramienia i podciągnął się w górę, powoli rozprostowując nogę.

– Dzięki – powiedział. – Sprawdź, czy uda ci się zmyć krew.

Elizabeth skinęła głową i podeszła do miski. Zamoczyła ręcznik. Uklękła na podłodze i zaczęła szorować rozmazane na niej ślady krwi. Jasnorude włosy, spięte czarną kokardą, opadły jej na twarz. Odgarnęła je szybko na ramię.

Tymczasem Conrad położył z powrotem koc na łóżku. Starał się wygładzić go tak, by wydawało się, że łóżko jest zaścielone, ale koniec koca opuścił z boku, zasłaniając nim Sachsa.

– Nie potrafię tego zrobić – powiedziała Elizabeth.

Spojrzał i zobaczył, że klęczy tam, wpatrując się w niego.

Bez problemu zmyła ślad. Nie dotknęła jednak miejsca, gdzie krew rozlała się, tworząc kałużę.

– Tylko się rozmaże – powiedziała. – Potrzebny byłby mop.

– Och... W porządku. Połóż na tym ręcznik i zmywajmy się stąd – stwierdził Conrad.

Spojrzał na zegarek. Była ósma czterdzieści.

– Dobrze – odparła Elizabeth.

Nagle Conrad usłyszał odgłos wsuwanego do zamka w drzwiach klucza.

– O Boże – powiedział.

Popatrzył w górę. Elizabeth zamarła. Otworzyły się drzwi i do pokoju wetknęła głowę terapeutka. Uśmiechała się.

– Wszystko u was w porządku? – zapytała.

Conrad, który stał obok łóżka, spojrzał na nią. Również Elizabeth podniosła na nią wzrok.

– W porządku – zaskrzeczał Conrad. – W porządku.

– Czy doktor Sachs już wyszedł?

– Tak. – Conrad szybko schował za plecami poplamione krwią ręce.

– No to w porządku. Tylko sprawdzam – powiedziała wesoło terapeutka.

Zaczęła zamykać drzwi, lecz nagle się zatrzymała. Wetknęła z powrotem głowę do pokoju. Wbiła uważny wzrok w podłogę. Ściągnęła brwi.

– Czy to pańskie okulary? – zapytała.

– Och – powiedział Conrad. Załamał mu się głos. Spojrzał w dół na przeciwległą ścianę, przy której leżały okulary Sachsa. – O, tutaj są!

– Niech pan lepiej na nie uważa – powiedziała terapeutka. Wycofała się i zamknęła drzwi.

Conrad nachylił się i złapał za płaszcz. Włożył go. Elizabeth wstała. Nie spuszczała lekarza z oczu.

– Idziemy – powiedział.

Elizabeth spojrzała zdziwiona.



– My?  
– Nie mogę cię tutaj zostawić. Musisz iść ze mną. Pospiesz się.

Złapał ją za rękę i odprowadził do drzwi. Spojrzał jeszcze raz przez ramię.

„Okulary”.

Podszedł do nich, podniósł je i wsunął do kieszeni. Wstał. Zobaczył na stole dyktafon.

– No pięknie – powiedział.

Złapał go, wcisnął do kieszeni.

Chwycił Elizabeth za rękę i wyprowadził z izolatki.

Ruszyli szybko korytarzem. Conrad ujął Elizabeth za łokieć. Dziewczyna żeby dotrzymać mu kroku, co chwilę musiała się zmuszać do biegu. Conrad kulał trochę, starając się nie obciążać kolana. W ciemnym korytarzu pielęgniarki raz po raz obrzucały ich wzrokiem. Kiedy przechodzili obok oddziałowej, kobieta spojrzała na nich przez ramię.

Minęli drzwi. Strażniczka siedziała przy swoim biurku. Zerknęła na nich sponad gazety. Popatrzyła na Conrada i z kamienną twarzą skinęła głową. Następnie wróciła do gazety.

Conrad doprowadził Elizabeth do windy. Nacisnął przycisk. Czekali, wsłuchując się w szelest odwracanych przez strażniczkę stron gazety.

Wreszcie przyjechała winda. W środku nie było nikogo. Conrad stanął obok Elizabeth, ciągle trzymając ją za rękę. Zwrócił się twarzą do drzwi. Poczuł, że dziewczyna odwraca się do niego. Poczuł, że przygląda się swoimi zielonymi oczami jego profilowi. Pomyślał o tym, jak wyglądała wetknięta pod łóżko twarz Sachsa. Otworzyły się drzwi i szybko wydostali się z windy.

Na parterze było cicho. Conrad złapał dłoń Elizabeth i pociągnął ją za sobą. Musiał podskakiwać na prawej nodze. Pobiegli do gabinetu Sachsa.

Kiedy przechodzili przez drzwi, była już ósma czterdzieści dwie. Gabinet był otwarty. Panowała w nim cisza. Telefon Sachsa

stał z przodu na biurku, tuż obok długiej tabliczki z napisem: „DR JERALD SACHS, DYREKTOR”. Wszędzie wokół walały się jakieś papiery.

Conrad przez chwilę wpatrywał się w milczący telefon.

– W porządku – powiedział. – Nie możemy czekać.

Telefon zadzwonił.

Conrad tak szybko, jak mógł, pokuśtykał do niego. Złapał słuchawkę, zanim telefon zadzwonił ponownie. Odezwał się bardzo cicho, właściwie mruknął tylko wysokim głosem kącikiem ust:

– Sachs.

– Gdzie ty, kurwa, łazisz? – Conrad się wyprostował. Rozpoznał głos. Należał do Jaja, bez wątpienia. – Musiałem dzwonić dwa razy, głupi chujku.

Conradowi serce zabiło mocniej. Ale odezwał się jeszcze łagodniejszym tonem.

– Wszystko w porządku. Jest już w drodze.

– Głupi chujek – stwierdził Jajo i rozłączył się.

Conrad trzęsącą się dłonią odłożył słuchawkę. Stał przez chwilę, gapiąc się w telefon. Mógł podnieść słuchawkę, mógł zadzwonić na policję.

„Nie ma czasu. Zbyt dużo rzeczy może pójść nie tak. Nie mam nawet czasu na wyjaśnienia”.

Odwrócił się. Zobaczył Elizabeth, która ciągle stała w drzwiach.

Patrzyła na niego. Jedną rękę trzymała przy głowie. Pocierała nią czoło.

– Czy to ty? – zapytała.

Conrad pokręcił głową.

– Co?

– Czy ty jesteś nim? Sekretnym Przyjacielem. Czy jesteś Sekretnym Przyjacielem?

Conrad roześmiał się. Podszedł szybko do niej. Kiedy chwycił ją za rękę, ciągle się śmiał – chichotał trochę szaleńczo.

– Idziemy – powiedział.

Miał osiemnaście minut, żeby dotrzeć do wieży zegarowej.

## CZAS DO ZABICIA

„Dziewiąta. Musi pan wrócić do dziewiątej. Ani minutę później. Ani sekundę”.

Była sobota wieczór. Ruch był gęsty, ale samochody szybko poruszały się wzdłuż FDR Drive. Corsica przebijała się przez nie i pędziła do przodu jak ryba przeciskająca się przez oczka sieci. Conrad ścisnął mocno kierownicę. Pękała mu głowa. Rwało go w kolanie. Oślepiające światła reflektorów nadjeżdżających samochodów wywoływały w jego oku ból. Prowadził szybko, przez cały czas przyciskając mocno pedał gazu. Jego oczy bez przerwy się poruszały – od przedniej szyby do lusterka, od lusterka do bocznej Szyby, od bocznej szyby do zegarka na desce.

Jezdnia była wyboista i nierówna. Opadała i wznosiła się. Corsica zatapiała się w niej z klekotem. Nagle samochody z przodu się zatrzymały. Zapaliły się ich czerwone światła hamulcowe, strumień zbił się i zwolnił. Conrad nie zahamował. Corsica zrobiła unik i pomknęła do przodu. Conrad wbił rozpalone oczy w szybę, po czym zerknął do lusterka, przez boczną szybę i na zegarek: za dziesięć dziewiąta. A mijał dopiero Czterdziestą Drugą.

„Jaki to numer?” – zastanawiał się. „Jaki to numer?”

Z siedzenia obok niego dobiegł ściszony dźwięk. To Elizabeth śpiewała do siebie półgłosem.

– Czterdzieści dziewięć butelek piw, czterdzieści dziewięć butelek piw. Lecz jedno z piw nagle upadło – czterdzieści osiem zostało mi.

Miała miły czysty głos.

Conrad spojrział na nią. Siedziała w swojej zwyczajnej pozycji. Wyprostowana, opanowana, z oczami wpatrzonymi przed siebie i rękami złożonymi na kolanach.

Jaki to numer?

Rozchylił usta. Znowu zaczął o niej myśleć. Gdyby teraz

zareagowała, gdyby dostała ataku szału i zaatakowała go przy tej prędkości, w tym ruchu...

– ... lecz jedno z piw nagle upadło – czterdzieści siedem zostało mi...

Odwrócił głowę do przodu. Jechał właśnie otwartym odcinkiem drogi. Widział w szybie, jak światła Brooklynu połyskują w wodach East River. Lekka zimna mgiełka wywoływała daleko na nabrzeżu nimb światła. W blasku miejskich latarni chmury wydawały się białe i fioletowe.

– ... lecz jedno z piw nagle upadło...

Dźwięk głosu dziewczyny wywołał u Conrada dreszcz.

„Czy jesteś Sekretnym Przyjacielem?”

Wzrok Conrada zahaczył o lusterko wsteczne, o odbite w nim przednie światła nadjeżdżających samochodów. Czy ciągle go śledzą? Czy widzieli, że opuszcza szpital razem z Elizabeth? Doszedł do wniosku, że raczej nie. Stwierdził, że na pewien czas zostawili go samego. Gdyby ktoś go śledził, po co Jajo miałby dzwonić do szpitala? Nie, musiał sprawdzić u Sachsa, jak mają się sprawy. Conrad pomyślał, że skoro jest teraz sam, pojawiła się przed nim pewna szansa. Ciągle jednak...

Ciągle jednak – nawet jeżeli go nie śledzili – ciągle byli w wieży zegarowej, ciągle tam na niego czekali. Mogli tam zauważyć Elizabeth. Mogli ją porwać. Torturować, żeby wydobyć z niej, co zechcą. Mogli ją zabić. A potem jego. A potem Jessicę.

– ... czterdzieści pięć butelek piw. Lecz jedno z piw nagle upadło...

– Elizabeth – powiedział.

Przestała śpiewać. Nie potrafił spojrzeć jej w oczy. Kręcił kierownicą, sunąc po uciekającej spod kół jezdni.

– Elizabeth – powtórzył. – Czy możesz mi pomóc? Czy możesz mi teraz pomóc?

Nie usłyszał odpowiedzi. Nadal nie mógł jej spojrzeć w oczy.

– Musisz mi powiedzieć, czego od ciebie chcą. Musisz mi pomóc odzyskać córkę. Ten cały ich numer – czy to numer telefonu? Adres? A może kombinacja do sejfu? Czy ci ludzie cię

znają? Czy wiedzą, kim jesteś, albo...?

– Czy pana córka ma ładny pokój? – zapytała nagle Elizabeth.

– Co? – Conrad spojrział w przednią szybę, błędząc wzrokiem za pędzącym cadillakiem, który właśnie ich minął i pomknął w dal.

– Czy na ścianach ma obrazki? Założę się, że ma na ścianach obrazki. Założę się, że ma obrazki Myszki Mickey. Albo Wielkiego Ptaka. Dzieci teraz lubią Wielkiego Ptaka, prawda?

Conrad powoli skinął głową.

– Tak. Wielkiego Ptaka. Ma... kołdrę, poszewkę w Wielkie Ptaki. Nie wiem...

– Mama jest teraz miła – powiedziała Elizabeth. – Przychodzi teraz do pokoju i mówi dobranoc. Teraz mama jest miła.

Conrad postanowił zaczekać. Nie odzywał się. Po chwili usłyszał znowu głos dziewczyny:

– Czterdzieści cztery butelki piw, czterdzieści cztery butelki piw...

W końcu na nią spojrział. Zobaczył, jak siedzi wyprostowana z pustką w oczach. Jak wpatruje się w lawirujące w mroku samochody i we własne odbicie w przedniej szybie. Dziwne, pomyślał. Dzień wcześniej, poprzedniego wieczoru, niecałe dwadzieścia cztery godziny wcześniej snuł o niej fantazje, kochając się z własną żoną. Zasnął, myśląc o niej. Nie mógł się doczekać kolejnych sesji: odgłosu jej śmiechu, przebłysków rozsądku w jej oczach.

„Ciągle tutaj jestem”.

A teraz wszystko to minęło, opadło. Pamiętał, że to czuł, ale nie mógł sobie przypomnieć samego uczucia. Nie mógł sobie przypomnieć, jak to było czuć cokolwiek poza uściskiem straszliwego imadła strachu. Przez chwilę myślał o Timothy, o swoim pacjencie chorym na AIDS: był samotny, przerażony i tak bardzo ludzki – i poza nim samym nie było dla niego nikogo innego. Conrad pomyślał, że czuje w tym momencie coś bardzo podobnego: wstręt do czasu, do istnienia czegoś takiego jak czas,

do uciekającego czasu.

„Nie będę czekał nawet sekundy, doktorze. Minie dziewiąta, a będzie po panu, będzie po pańskiej córce. Niech pan o tym pamięta”.

Conrad potarł dłonią kolano. Musiał przyciskać stopą pedał gazu. Sprawiało to, że kolano bolało go mocniej. Szarpnął kierownicą, skręcił. Wjechał na lewy pas, bo na prawym zaczęły się gromadzić samochody kierujące się w stronę zjazdu na Czternastą Ulicę. Kiedy lewy pas zaczął zwalniać, zmienił go na środkowy. Lawirował między pędzącymi samochodami. Zerkał w lusterko, na zegarek. Sześć i pół minuty do dziewiątej...

– Czterdzieści trzy butelki piw, czterdzieści trzy butelki piw...

Elizabeth siedziała prosto, wpatrując się w przednią szybę. Jej śpiew był pozbawiony emocji. Głos miała czysty i gładki jak elektronicznie wygenerowany ton.

Kiedy wjechali w Canal Street, zostały im już tylko cztery minuty. A ruch na drodze zdawał się zastygać. Sobotni wieczór w Chinatown. Ulica to kaszłała gęstymi rzędami samochodów na zielonych światłach, to blokowała się na czerwonych. Ludzie przechadzali się chodnikiem pod pagodami i obok chińskich frontonów banków i restauracji. Młoda para Chińczyków, stara Chinka, starsi mężczyźni; grupki białych nastolatków z przedmieść, młode rodziny czarnych – wszyscy przechadzali się bez troski w atmosferze sobotniego wieczoru. Czas do stracenia, czas do zabicia.

Trzy minuty do dziewiątej.

– Trzydzieści dwie butelki piw, trzydzieści dwie butelki piw...

– Niech to szlag! – wrzasnął Conrad.

Byli już jednak na Lafayette. Płynął nią znacznie rzadszy strumień samochodów. Conrad skręcił w stronę śródmieścia. Włączył światła awaryjne. Zaczął trąbić klaksonem. Mknął przez skrzyżowania, nie zważając na sygnalizację. Miał medyczne

tablice, wiedział więc, że żaden gliniarz go nie zatrzyma. Modlił się tylko, żeby wszyscy mu zjeżdżali z drogi.

Samochód pędził szybko. Mijał grupy młodych ludzi sunących tanecznym krokiem szeroką aleją. Mijał matowe rokokowe biurowce, małe sklepy elektryczne, mury pokryte graffiti. Mijał grupki gapiów zgromadzonych wokół ulicznych graczy w trzy karty; mijał czarnych sprzedających swetry, zegarki i radia, krzyczących bez końca: – Okazja! – Potem, na lewo, Conrad zauważył więzienie Tombs. Jego wapienny zikkurat spoglądał na niego sponad czterech betonowych wież. Zostały dwie minuty.

Skręcił w prawo, pod prąd, we Franklin Street – ciemną wąską uliczkę biegnącą wzdłuż czarnego granitowego muru siedziby sądu rodzinnego. Conrad nie widział żadnych samochodów. Minał tylko jedną parę, najwyraźniej używającą skrótów do Chinatown. Poza tym ulica była pusta. Miał nadzieję, że uda mu się ukryć na niej Elizabeth. Corsica z piskiem opon zatrzymała się przy krawężniku pod zakazem postoju.

Ręce Conrada poruszały się jak błyskawice. Wyciągnął kluczyk, wyłączył światła, odpiął pas...

Elizabeth odwróciła się do niego i zamrugała.

– Jesteśmy na miejscu?

– Zaczekaj tu na mnie – powiedział. – Nie ruszaj się. Z nikim nie rozmawiaj. Gdyby pojawiła się policja, powiedz, że czekasz na lekarza z karetki. Rozumiesz?

– Idzie pan?

– Muszę. Oni zrobią krzywdę mojej córce. Muszę się z nimi spotkać.

Spojrzała na niego w milczeniu.

Conrad otworzył drzwi. U góry włączyło się światelko. Zobaczył jej twarz. Wyraz jej oczu.

Zatrzymał się z jedną stopą już na chodniku, a drugą ciągle w środku.

– Elizabeth – powiedział. Czekala. Patrzyła na niego. Pokręcił głową. – Przepraszam.

Nie poruszyła się.



– Pięć, pięćdziesiąt pięć, trzysta trzynaście – powiedziała łagodnie.

– Co?

– Pięć, pięćdziesiąt pięć, trzysta trzynaście.

Conrad zacisnął usta. Sięgnął ręką i dotknął jej ramienia. Elizabeth spojrzała na jego dłoń.

– Wróć – powiedział ochryplym głosem.

Po czym wyszedł z samochodu i zatrzasnął drzwi.

Zostało mu zaledwie jakieś sześćdziesiąt sekund.

Elizabeth patrzyła, jak odchodzi. Niewielka szczupła postać kuśtykająca szybko w stronę pograżonych w mgłę ciemności. Wyglądał trochę głupio, pomyślała, kiedy tak biegł. Miała jednak nadzieję, że znajdzie swoją córkę.

Uśmiechnęła się, a nawet roześmiała cicho. Uderzył doktora Sachsa krzesłem. Była prawie pewna, że to się wydarzyło naprawdę. Uderzył go prosto w głowę. Był dokładnie taki jak Sekretny Przyjaciel. Był Sekretnym Przyjacielem. Tyle że był prawdziwy. Była tego nieomal pewna.

Patrzyła, jak kuśtyka w oddali. Pomyślała o jego twarzy. Pomyślała, że ma smutną twarz. Trochę obwisłą, jak zbity piesek. Jego oczy były oczami starego człowieka – smutne i zmęczone. Czoło miał pomarszczone, a rudozłote włosy prawie wszystkie mu już wypadły. Elizabeth siedziała w samochodzie z dłońmi złożonymi na kolanach. Patrzyła za nim, jak odchodzi, i myślała o jego twarzy. Uśmiechnęła się. Było jej z tym dobrze.

Pomyślała, że jej pomoże. Przecież tak powiedział. Świat nie będzie już taki mętny. Poczucie się lepiej, tak jak się czuła, kiedy pracowała w centrum opieki dziennej. Podobało jej się tam. Zrobił to dla niej doktor Holbein. Doktor Holbein też był dobry.

I doktor Conrad był dobry. Była tego pewna. Uspokoilo ją to, poczuła się szczęśliwa. Przypominało to rozgrzewające ją od środka ciepłe światło.

W tym momencie zobaczyła, że jego utykająca postać znika za rogiem, i światło zgasło. Przestała się uśmiechać. Nagle

poczuła, że jest sama. Sama w ciemnym samochodzie na ciemnej ulicy...

„Z nikim nie rozmawiaj. Nie ruszaj się. Po prostu zaczekaj na mnie”.

Elizabeth zadrżała. Poczuła na rękach gęsią skórę. Zaczęła ją rozcierać dłońmi, aż wreszcie zrobiło się jej trochę ciepłej. Spojrzała w przednią szybę, przed którą chwilę wcześniej siedział doktor Conrad. Zaśpiewała cichutko do samej siebie:

– Trzydzieści sześć butelek piw, trzydzieści sześć butelek piw.

Nagle na siedzeniu za nią podniósł się jakiś mężczyzna.

Elizabeth wyczuła go. Zaczęła się odwracać. Kątem oka zauważyła koszmarną ściągniętą twarz: ścięgnię przypominające sznury, drżące usta, oczy jasne i wylupiaste. Chciała krzyknąć, ale ręka mężczyzny wystrzeliła w jej stronę i zacisnęła się na jej ustach. Pociągnął ją mocno do tyłu, wciskając w siedzenie. Elizabeth zaczęła gwałtownie i bezradnie poruszać rękami. Usłyszała za sobą wysoki, piskliwy chichot: Hi! Hi! Hi!

A potem poczuła ucisk czegoś zimnego na gardle.

Po chwili dotarło do niej, że to nóż.

## CZAS UCIEKA

Pawilon sądu był wysokim masywnym budynkiem. Jego ciągnąca się wzdłuż całego kwartału biała marmurowa fasada zagarniała niemal w całości przestrzeń fioletowego nieba. Miała postać długiego muru ozdobionego wysokimi, łukowato sklepionymi oknami oraz filigranowymi rzeźbami. Na jego szycie wzdłuż balkonu przysiadły kamienne orły spoglądające na północ, w stronę Empire State Building, albo na południe, na wieże World Trade Center i na Wall Street. Ponad nimi, niemalże szpetna na ich tle, górowała kwadratowa wieża koloru złamanej bieli z umieszczoną po obu stronach tarczą zegara. To właśnie była wieża zegarowa.

Conrad, utykając, podbiegł do niej niemalże w podskokach. W wilgotnym powietrzu łopotały poły jego rozpiętego płaszcza. Czuł, jak zużywają mu się sekundy, był teraz prawie jak ktoś, komu w zamkniętym pomieszczeniu kończy się powietrze. Skręcił i znalazł się na Leonard Street.

Wąska uliczka była całkowicie opustoszała. Stare chodnikowe płyty wznosiły się i przechylały, pobłyskując i niknąc w blasku ulicznej latarni. Budowla wisiała nad Conradem. W całej biegnącej wzdłuż krawędzi nieba ścianie łukowato sklepionych okien nie paliło się ani jedno światło. Pawilon wyglądał na pusty i wymarły. Zamknięty.

Conrad podbiegł do drzwi i pociągnął za ich ramię. Otworzyły się bez problemu. Wszedł do foyer.

Obszerny hol był pełen cieni. Okazałe łuki dwóch ciągów marmurowych schodów. Kształtne pręgi rysujących się w ciemnościach balasków. Kiczowaty kulisty żyrandol wiszący pod wysokim sufitem. Wszystko nieruchome i zimne. Conrad niemal poczuł falę wiejącego od murów chłodu.

Podbiegł po schodach do windy. Znał drogę. Aggie i on, jeszcze przed narodzinami Jessiki, często przychodzili do muzeum

w wieży zegarowej. Wspinali się na sam szczyt, a potem całowali się i pieścili... Nie mógł teraz o tym myśleć. Biegł.

Nacisnął przycisk windy. Otworzyły się drzwi. Z kabiny na podłogę wylało się ostre światło. Conrad wszedł do środka i nacisnął przycisk na samej górze: numer dwanaście.

Kiedy winda jechała do góry, jemu ciągle kurczył się czas. Conrad spoglądał na zegarek i widział, że dłuższa wskazówka przesuwa się w stronę dwunastki. Patrząc, czuł, że coś ściska go za gardło. Muszą poczekać.

„Ani minutę po dziewiątej”.

Tak, zaczekają.

„Ani sekundy”.

Winda wznosiła się szybko. Przy każdym piętrze odzywał się dzwonek. Siedem... osiem... dziewięć... Conrad podniósł głowę, spojrzał w sufit i złapał się rękami za głowę.

„Minie dziewiąta, a będzie po panu, będzie po pańskiej córce. Niech pan o tym pamięta”.

Proszę, pomyślał. Proszę.

Otworzyły się drzwi windy. Conrad wybiegł na korytarz.

Miał do pokonania kręte schody oraz wijący się w górę balkon. Uczepił się poręczy, ciągnąc za sobą nogę, wspinając się szybko i zagłębiając w wyrastających ponad nim ciemnościach. Po chwili znalazł się na podeście. Pokuśtykał wzdłuż wyznaczonego przez ciąg pozamykanych szarych drzwi korytarza. Czuł wyraźnie, jak dłuższa wskazówka zegara coraz bardziej zbliża się do wyznaczonej godziny, tak jakby w nim umieszczono jakiś mechanizm. Dysząc, krztusząc się, biegł w stronę drzwi na końcu korytarza, które wyłoniły się przed nim z ciemności. Pokrywała je warstwa łuszczącej się zielonej farby. Na górze wisiał napis: „ZAKAZ WSTĘPU”. Conrad pchnął drzwi.

Zagracona klatka schodowa. Kolejne schody, tym razem z krótkich drewnianych stopni. Conrad zaczął się wspinać w stronę zamykających je u szczytu czerwonych drewnianych drzwi. Bardziej niż chłód betonowych ścian odczuwał teraz zimno, które

z zewnątrz przenikało do jego wnętrza. Dyszał i kaszłał.

– O Boże.

Pchnął czerwone drzwi. Znalazł się na dachu.

Poczuł uderzenie powietrza i miejskiego zgiełku. Szum wiatru, pomruk samochodów docierający z ulic gdzieś daleko poniżej. Słaby, urywany odgłos klaksonów.

Pobiegł szybko niewielką metalową rampą w kierunku balkonu. Wszędzie wokół niego czały się kamienne orły. W mgiełce poniżej ciągnęły się białe, czerwone, zielone światła miasta. Przed Conradem, rozdrapując bezgwiezdne niebo, wznosiła się złota korona wieży ratuszowej.

Dysząc, spojrział na zegarek. Poczuł ucisk w żołądku. Trzy minuty po dziewiątej.

Wszedł na balkon. Usłyszał gong.

Zabrzmiał uroczyście i donośnie. Stłumił odgłosy ruchu ulicznego, które jednak po chwili, w miarę zamierania gongu, z powrotem zaczęły narastać. Conrad podniósł wzrok i zobaczył wieżę zegarową.

Stała dokładnie przed nim, dokładnie nad nim. Rzeźbiona marmurowa bryła, z której wyglądała podświetlona tarcza zegara. Na tarczy na tle rzymskich cyfr widać było wielkie czarne wskazówki. Ale zaraz: krótsza wskazówka znajdowała się na dziewiątce, a dłuższa – dopiero co dobiegła do dwunastki.

Zegar się spóźniał!

Rozległ się drugi gong.

„Ciągłe jest jeszcze czas! Ciągłe jest jeszcze czas!”

W tym momencie na oczach Conrada za podświetlonym zegarem przesunęła się czarna sylwetka – czarna sylwetka mężczyzny. Gong zabił po raz trzeci.

Conrad pokuśtykał w stronę drzwi do wieży.

Gong zabrzmiał ponownie. Conrad pociągnął drzwi i zaatakował pogrążone w mroku wnętrze wieży. Ponad nim ginęły w dali wąskie kręte schody. Gong zabrzmiał po raz piąty. Powietrze wokół zadrżało. Conrad złapał się poręczy i zaczął się wspinać.

Wciągał się na górę, zaciskając z bólu zęby. Zabrział gong. Conrad holował za sobą prawą nogę. Była jak betonowa bryła z zamurowanym w środku beltem błyskawicy. Gong zabrział znowu, już po raz siódmy. Im Conrad był bliżej szczytu wieży, tym gong brzmiał głośniej. Zaczęła go boleć od tego głowa.

„Ani minuty. Ani sekundy”.

„Ciągle mam czas!” – wrzasnął w myślach. „Ciągle mam czas!”

Niemalże jednym susem pokonał ostatni łuk. U góry zauważył otwór prowadzący do wnętrza zegara. Gong zabrział po raz ósmy. Conrad był już na górze, przeciskał się przez dziurę. Wspiał się jeszcze o krok, potem jeszcze jeden. Nagle schody skończyły się i znalazł się na podłodze.

W ciasnej komorze mieszczącej mechanizm zegara ostatni gong zabrział w powietrzu jak szczęk prętów klatki. Conrad poczuł wokół wibracje. Obraz przed oczami zakryły mu czerwone jak o zachodzie słońca chmury – drżące i unoszące się w powietrzu. Zamknął prawe oko, starając się je przegonić. Odgłos powoli zamarł. Conrad stał pochylony, dysząc cicho. Przed nim, w samym środku maleńkiego pomieszczenia, obracały się przekładnie, tryby i zębate koła, napędzając poplątaną maszynię. Buczały i szeptały. Nagle obrócił się wał biegnący w stronę wskazówek zegara. Dłuższa wskazówka szczęknęła z brzękiem i minęła godzinę dwunastą.

Zza mechanizmu wysunął się cień mężczyzny i stanął na tle białej tarczy zegara.

## W WIEŻY ZEGAROWEJ

– Stąpa pan po krawędzi, doktorze – powiedział. – Według mojego zegarka jest już prawie pięć po dziewiątej.

– Twój zegarek się spieszy, Jajo. – Conrad ciągle łapał oddech. Ale starał się mówić równym głosem. Spokojnym. Władczym. Znowu był lekarzem.

Jajo roześmiał się spontanicznie.

– Mój zegarek się spieszy – powiedział. – Podoba mi się. Mój zegarek się spieszy.

Przez oczyma Conrada nagle przebiegła czerwona błyskawica. W prawym oku poczuł przeszywający ból. Odwrócił głowę w bok?. Światło zamieniło się w żółtawą poświatę. Człowiek zwany Jajem zapalił zapałkę. Przytrzymał płomień przed papierosem.

W błysku potartej zapałki Conrad mógł się wyraźnie przyjrzeć porywaczowi. Mój Boże, pomyślał, jest taki młody. Dwadzieścia kilka, co najwyżej trzydzieści lat. Szczupły i wysportowany, nosił dzinsy i tweedową kurtkę z łąt. Był również przystojny: miał okrągłą chłopięcą twarz, a na oczy opadała mu brązowa grzywa. No i te oczy; czał się w nich stłumiony, ale ostry błysk inteligencji. Były to oczy artysty, studenta albo...

Jajo ruchem dłoni zgasił zapałkę. Jego twarz zniknęła w cieniu.

– Co się stało, doktorze? – zapytał. – Wygląda pan na trochę wykończonego. A przecież moim zdaniem nie bardzo się pan spieszył. – Roześmiał się. Conrad nie odpowiedział. Jajo zamachał przed nim papierosem. – Żartowałem. Tylko żartowałem, doktorze. Niech się pan tak nie wścieka. Mówiłem już panu: według mnie jest pan w porządku. Naprawdę.

Conrad nadal milczał. Zmusił się, by oddychać wolniej. Wyprostował ramiona. Znowu był lekarzem.

Jajo ponownie się roześmiał – trochę nerwowo, jak zauważył

Conrad.

– Rozumiem, rozumiem – nie rozmawia pan ze mną. Dumny pan doktor. Dobra, wygrał pan. Skoro nie chce się pan odzywać, nie będę z panem gadał. W takim razie pozwoli pan, że zadam tylko jedno pytanie: ma pan ten pofyrtany numer? No wie pan, jeżeli nie chce pan rozmawiać, to przejdźmy do rzeczy, nie?

Tym razem Conrad się odezwał.

– Gdzie ona jest? – mówił powoli, równym głosem. – Gdzie jest moja córka, Jajo?

Zobaczył w ciemności, jak mężczyzna kręci głową. Znowu usłyszał jego chichot.

– Psychiatry – powiedział Jajo. – Zawsze odpowiadają pytaniem na pytanie. – Conrad zobaczył wycelowany w siebie ogień papierosa. – Najpierw pogadajmy o numerze, a potem o dziewczynce. Nadaża pan? Najpierw numer, potem dziewczynka. To naprawdę proste, trzeba tylko raz załapać.

– Nie. – Teraz znowu pot. Conrad poczuł, że gromadzi mu się we włosach, że spływa mu po plecach, pod pachami, po bokach. – Nie. Powiedziałaś, że tutaj będzie. Ja ci podam numer, ty mi oddasz dziewczynkę. Taka była umowa.

– Ech – powiedział Jajo. – Ech, panie doktorze. Ech, mój drogi, mój szanowny, mój wielki panie doktorze. Czyja wyglądam na pajaca? A może na idiotę? Nie, nie, nie, drogi przyjacielu. – Włożył rękę do kieszeni. Dłonią z papierosem wykonał finezyjnie niedbały gest. – Sprawdzenie, czy to rzeczywiście ten numer, o który mi chodziło, zajmie mi kilka godzin. Dopiero kiedy się upewnię, oddam panu dziewczynkę. Moim zdaniem uwinę się z tym do północy – najpóźniej.

– Nie – powtórzył Conrad. Jego oddech był regularny, lecz w skroniach czuł, jak przyspiesza mu puls. – Nie mam żadnej gwarancji, że...

– Doktorze. – Nagle głos Jaja stał się ostry. Porywacz zaczął mówić przez zaciśnięte zęby. Zrobił krok w stronę Conrada. – Pozwoli pan, że coś panu wyjaśnię. Dobrze? Rzecz w tym, że jestem porządnym człowiekiem. Nie chcę nikogo zabijać. Nikogo,



rozumiemy się? Ale potrzebuję tego numeru.

O tak. Potrzebuję tego numeru tak bardzo, że z radością pociąłbym pańską córeczkę na kawałki, żeby go dostać. Rozumie pan? Mógłbym zabić ją, pańską żonę, całą pańską rodzinę: teściów, tego wkurzającego pańskiego wujka w krawacie w palmy – wszystkich. W porządku? A pan myśli sobie: co tam, już raz go nabrałem. Może i tym razem zadziała? No i dobra, szanuję pana za to. Naprawdę. Już panu mówiłem. Ale teraz znaleźliśmy się przy zupełnie innym punkcie protokołu. Rozumie pan? Jesteśmy w samiutkim środeczku akcji i mam ograniczone pole manewru. Komisja zadaje więc proste pytanie: jaki to, do kurwy nędzy, numer? Ma pan trzydzieści sekund na odpowiedź. Nie negocjujemy. Żadnych spóźnionych zegarów, żadnych zwrotów. Mija trzydzieści sekund, po czym wychodzę stąd, a pańska córka nadaje się na karmę dla psów.

Conrad oblizał wargi. Niepewnie zbliżył się do mężczyzny o krok.

– Nie zgadzam się. Mogłeś już ją zabić.

Usiłował zapanować nad głosem.

– Dwadzieścia pięć – powiedział Jajo.

– Albo możesz ją zabić potem. Nie zgadzam się, Jajo.

– Dwadzieścia.

– Do cholery, możesz zabić mnie, tutaj – powiedział Conrad.

– Ma pan rację. Mogę. Piętnaście.

Conrad zacisnął powieki. Pulsowało mu w skroniach. Muszę go przelicytować. Muszę odwrócić się i odejść.

– Muszę przynajmniej z nią porozmawiać. Bezwarunkowo – powiedział.

– Dziesięć sekund, doktorze – odliczał dalej Jajo. Zaśmiał się szyderczo, odsłaniając w ciemnościach szarość za zębami.

Nagle Conrad zacisnął przed sobą pięści. Zaczął krzyczeć, w powietrze pofrunęły mu z ust kropelki śliny.

– Ty gnoju! Ty popierdolony, niedorozwinięty śmieciu! Ty szumowino! Śmieciu! Ty szumowino!

– Pięć – cztery – trzy...

– Niech będzie – powiedział Conrad.

– Jeden.

Ręce Conrada opadły. Spojrzał na mężczyznę.

– Pięć, pięćdziesiąt pięć, trzysta trzynaście – wydusił z siebie. – Taki podała mi numer. Pięć, pięćdziesiąt pięć, trzysta trzynaście.

Mechanizm zegara zabuczał. Dłuższa wskazówka brzęknęła, przesuając się niezauważalnie. Przez długą, bardzo długą chwilę w ciasnym pomieszczeniu słychać było tylko dyszenie obu mężczyzn.

– W porządku – powiedział ochryplym głosem Jajo. Rzucił papierosa na ziemię i zgasił go butem. Podeszedł do Conrada i stanął tuż obok niego. Conrad odwrócił się twarzą do porywacza. Stali kilkanaście centymetrów od siebie. Byli mniej więcej tego samego wzrostu, więc mogli patrzeć sobie prosto w oczy. Conrad zobaczył w jego źrenicach błysk. Widział, jak wykrzywia usta.

Jajo parsknął lekko.

– I kto tu jest gnojem? – zapytał. – I kto tu jest śmieciem? No kto? Twardy gość. Twardy kutas. Akurat. A ja myślałem, że naprawdę jesteś twardy. Wielki pan doktor, wielki pan psychiatra. I co, kim jesteś bez całego tego swojego gówna, bez pieniędzy, bez tytułów, jeden na jednego – kim jesteś? Nadażasz? Kim jesteś?

Jajo splunął mu w twarz. Conrad cofnął się, ale plwocina i tak trafiła w policzek tuż pod okiem. Starł ją trzęsącą się dłonią.

– I kto tu jest śmieciem? – zapytał cicho Jajo.

I odszedł. Ruszył w kierunku schodów. Zatrzymał się przy nich z rękami w kieszeniach. Spojrzał jeszcze raz na Conrada.

– Czeka tu pan pięć minut – powiedział. – Czeka pan, aż na zegarze będzie piętnaście po. Niech pan pamięta: cały czas pana obserwujemy. Jak będzie piętnaście po, schodzi pan na dół, wraca do samochodu i jedzie do biura. Wchodzi do środka i nie wychodzi stamtąd. Jeżeli pan wyjdzie, zobaczymy pana. A jeżeli pana zobaczymy... – Przejechał ręką po gardle. – Pędrak będzie gryźć ziemię. – Roześmiał się. Musiał się zmusić, by powstrzymać chichot. – A tak na poważnie: jeżeli będzie pan grzecznym

chłopcem, może pan wyjść o dwunastej. Mała będzie stała na chodniku przed budynkiem.

Szybkim, pewnym krokiem ruszył w dół po schodach. Po chwili w otworze widać już było tylko jego głowę.

Nagle zatrzymał się i uśmiechnął.

– Niech pan pamięta – powiedział. – Czeka pan pięć minut. Aż do piętnaście po. Z zegarkiem w ręku.

Kiedy Conrad został sam, przez chwilę się nie ruszał. Wbił wzrok w miejsce, w którym zniknął Jajo.

„Boję się, tatusiu”.

Słuchał szumu zegara, odgłosu własnego oddechu.

„Nie chcę tutaj zostać, tatusiu. Boję się”.

Mijały minuty, a on ciągle się nie ruszał – stał tylko, stał przerażony.

„Tatusiu?”

Wstrząsnął nim spazm. Zamrugął, spojrzał w górę, rozejrzał się. Przez chwilę myślał, że po jego policzku spływają łzy. Podniósł dłoń, żeby je obetrzeć. Dotknął tego miejsca, w które splunął Jajo. Conrad ciągle czuł jego ślinę, choć od dawna jej tam nie było.

Obserwował wskazówki ogromnego zegara. Kiedy patrzyło się na tarczę z tego punktu, gdzie stał, była odwrócona. Dłuższa wskazówka – ruchem przeciwnym do wskazówek zegara – zbliżała do rzymskiej trójki. Zdawała się poruszać bardzo powoli.

„Tatusiu, boję się”.

– Jessie – szepnął Conrad. – Tak mi przykro.

Wskazówka dotknęła trójki. Conrad odwrócił się. Ruszył w stronę schodów. Zaczął schodzić.

Postanowił zadzwonić na policję.

Jeżeli naprawdę go śledzili, to dlaczego Jajo musiał się upewniać u Sachsa, że odjechał? Jeżeli naprawdę go śledzili, to dlaczego Jajo nie wiedział o Elizabeth – że jest poza szpitalem, że przyjechała z nim?

Conrad skulił się w pogrążonym w cieniach korytarzu. Stał przy windzie, oparł się o ścianę i czekał, aż przyjedzie.

A jeżeli tak naprawdę go nie śledzili, to musi zadzwonić na policję. Musi. Był to teraz jedyny sposób, aby ją uratować. Sam sobie nie poradzi.

Jadąc windą, wpatrywał się w podświetlone na czerwono numerki. Zamazywały mu się. Musiał przetrzeć oczy. Otworzyły się drzwi i Conrad znalazł się w holu. Przeszedł pod marmurowymi schodami. Pchnął drzwi i wkroczył na pochłoniętą przez ciemności Leonard Street.

Nie wiedzieli o Elizabeth, powtarzał sobie. A skoro tego nie wiedzieli, to go nie obserwują. A skoro go nie obserwują, musi zadzwonić na policję.

„Boję się, tatusiu”.

Musiał. Musiał jej jakoś pomóc.

Kulejąc, doszedł do skrzyżowania i skręcił. Oddychał ciężko. Rozglądał się, starając się dociec, czy ktoś go nie śledzi. Nikogo nie zauważył. Ruszył Lafayette, którą sunęły już samochody, oślepiając go światłami reflektorów. Nie zwalniał kroku. Czuł wiszącą w powietrzu wilgoć, na policzkach chłód. Zacisnął zęby. Skręcił we Franklin. Dotarł do cichego zakątka pod murami sądu.

Corsica stała na swoim miejscu. Pogrążony w mroku i milczący samochód na pogrążonej w mroku i milczącej ulicy. Przyspieszył kroku. Musiał zadzwonić. Musiał zaryzykować. A oni musieli ją uratować. Ktoś musiał. Jeżeli nie oni, jeżeli nikt inny, jeżeli ona umrze... O Boże, jeżeli ona umrze... Aggie, on, wszystko... Wszystko będzie...

Zatrzymał się na środku jezdni. Z jego ust wydobył się słaby, żałosny jęk.

Zorientował się, że samochód jest pusty.

Wpatrując się w niego – gapiąc się na niego, sztywnym krokiem ruszył do przodu. Podeszedł do drzwi, wsunął kluczyk w zamek.

– Och... – szepnął.

Drzwi się otworzyły. Conrad spojrzał do środka. Zobaczył

krw – długą smugę krwi biegnącą wzdłuż oparcia siedzenia pasażera. Odwrócił się. Zauważył, że coś leży na desce rozdzielczej. Przemknął po tym wzrokiem. Minęło kilka sekund, zanim zrozumiał, co to takiego.

Była to kartka papieru; pognieciona kartka wyrwana z notatnika. Conrad wpatrywał się w nią i wpatrywał, aż wreszcie zrozumiał.

Napisano na niej kilka słów. Napisano je czerwonym atramentem.

„Ciągle cię obserwujemy. Jedź do biura. Czeka”.

## CZEŚĆ TRZECIA

## DZIESIĄTA

Wróble i sikorki ćwierkały w bluszczu. Agatha była w kuchni, przy piekarniku. Miała na sobie pomarańczowo-biały fartuch, który należał do jej matki. Drewnianą łyżką mieszała w misce ciasto. Nuciała coś, uśmiechając się do siebie. Ptaki zdawały się śpiewać razem z nią.

Za oknem zauważyła zagubiony wśród polnych kwiatów biały goździk. Myśl o nim nie dawała jej spokoju. Wreszcie odstawiła miskę i podeszła do drzwi wiejskiego domku. Wyszła na łąkę.

Szybko znalazła się na samym środku pola. Domek został daleko za nią. Wszędzie wokół niej rosły polne kwiaty. Czuła, jak ich delikatne płatki łaskoczą podbicia jej stóp, pod paluszkami czuła dotyk ich łodyg. Pożałowała, że wyszła z domu, że dom jest tak daleko.

Wreszcie zauważyła biały goździk. Tuż przy jej stopach, tuż poniżej. Wystraszyła się, bo omal na niego nie nadepnęła. Sięgnęła, by go zerwać...

Kiedy się jednak schylała, biały goździk zaczął zmieniać kolor na różowy. Kolor zdawał się wypływać z jego wnętrza. Róż zrobił się ciemny i zamienił w czerwień, a potem w szkarłat. I nagle szkarłat zaczął się zagęszczać; na oczach przerażonej Aggie zaczął broczyć z płatków goździka, spływając na ziemię, wsiąkając w ziemię, która zdawała się krztusić czerwienią, wypluwać ją z powrotem na powierzchnię na kształt kleistych sadzawek...

– Jessie! – Aggie usiadła na sofie. Szeroko otwartymi oczami rozejrzała się wokół siebie. Obok niej leżał pluszowy miś córki.

– O Jezu! – szepnęła. Zasnęła. Jak mogła zasnąć...?

Zerknęła na zegarek. Dziewiąta pięćdziesiąt. Tylko minutkę... Zdrzemnęła się tylko na minutkę. Odwróciła głowę i rozejrzała się po długim pokoju. Jej stolik do pracy był przy drzwiach, jadalny przy ścianie, puste miejsce do zabawy dla

małej... Nic się nie stało, nic się nie zmieniło. Nikt nie wszedł, telefon nie dzwonił.

„Ale dlaczego nie dzwonił? Dlaczego telefon nie zadzwonił?”

Aggie przetarła oczy. Potrząsnęła głową, próbując oczyścić umysł. Musiała wstać, zrobić coś. Wcześniej siedziała na kanapie, przez długą chwilę siedziała nieruchomo na kanapie. Odkąd wyszedł D'Annunzio – a przynajmniej ktoś, kto według jej przekonania był detektywem D'Annunziem – odkąd wyszedł jakieś półtorej godziny wcześniej, starała się ograniczyć ruchy do minimum. Bała się, że zrobi coś, co wzbudzi podejrzenia porywaczy. Bała się, że wykona jakiś gest wyrażający nadzieję, pragnienie czy oczekiwanie. Zrobi coś, co sprawi, że zaczną podejrzewać, iż hydraulik – D'Annunzio – tak naprawdę jest gliną; że udało jej się, i to na ich oczach, zawiadomić policję; że policja już gdzieś tam jest, już po nich jedzie.

Był to słodki – pocieszający – obraz: policjanci w trakcie pracy. Armia profesjonalistów. Tam. Wiedzą, co robić, powtarzała sobie Aggie.

„Ale dlaczego nie...?”

Stłumiła irytujący głos. Wstała. Przebiegła palcami po włosach. Ciągle była jeszcze trochę zaspana.

Weszła do kuchni. Była to miejska kuchnia – wąska, biała. Ale i tak wywołała u Aggie wspomnienie snu. Stała w kuchni ubrana w fartuch swojej matki... Reszty nie pamiętała.

Napełniła szklankę wodą z kranu. Stała opierając się o zlewozmywak i zaczęła pić.

„Dlaczego telefon nie zadzwonił? Wtedy kiedy był tutaj D'Annunzio? Dlaczego nie zadzwonił, tak jak zadzwonił w czasie wizyty Billy'ego Price'a?”

Zakrztusiła się wodą. Jej oczy się zwęziły.

Przezań, przykazała sobie. Teraz wszystko będzie dobrze. Policja już tu jest. Detektyw D'Annunzio. Jest już tutaj. Ze swoimi kolegami, twardymi detektywami. „Chłopaki” – słyszała ich głębokie głosy – „idziemy znaleźć tę dziewczynkę”. Tak właśnie



mówią. Mogła sobie wyobrazić szuranie ich odsuwanych krzeseł. Widziała, jak zdecydowanymi ruchami upychają pistolety do zawieszonych na ramionach kabur.

Położyła szklankę na blacie. Ta zadrżała w jej roztrzęsionej dłoni i stuknęła o blat.

„Ale dlaczego nie...?”

„Nie ruszać się!” Słyszała ich ostre, męskie głosy. „Bum! Bum!” Porywacze zataczają się, opadają im szczęki, w oczach pojawia się pustka. „Ratunek!” – brzmi nagłówek jutrzejszego wydania „Daily News”. A na pierwszej stronie widać zdjęcie Aggie na kolanach, Jessiki w jej ramionach, Jessiki kurczowo trzymanej przez nią w ramionach, żywej, ciepłej Jessiki przyciśniętej do jej piersi, osłanianej przez jej ręce i...

Agatha zaszlochła. Podniosła do ust trzęsącą się dłoń i wytarła je powoli.

„Super, świetnie, ale jedna uwaga. Jedna uwaga, pani C. Rzecz w tym, że – dlaczego telefon nie zadzwonił?”

– Zamknij się – mruknęła.

Wyszła z kuchni, która nagle wydała jej się zbyt mała, zbyt ciasna. Szybkim krokiem udała się do salonu. Minęła regał. Odwróciła się, by pomaszerować w odwrotnym kierunku – i zatrzymała się.

„Zachowaj spokój... Nie pozwól, żeby zobaczyli... Nie...”

Stała w miejscu. Tyle że to coś, co chciało w niej chodzić, nadal się w niej poruszało, skakało, pchało ją do przodu. Wzięła głęboki oddech, starając się to uspokoić.

Tylko dlatego, że akurat nie patrzyli, tylko dlatego, myślała. Dlatego nie zadzwonił ten cholerny telefon. Nie było ich w domu, kiedy przyszedł D'Annunzio. Wyszli gdzieś, gapili się w telewizor, zresztą nie mam pojęcia. Może kamery się zepsuły. Albo hydraulik nie wzbudził ich podejrzeń. Dlatego. Można było znaleźć całe mnóstwo powodów, dobrych powodów tłumaczących fakt, że telefon nie zadzwonił, tłumaczących fakt, że nie zaczęli jej grozić tak jak podczas wizyty Billy'ego Price'a.

„Na przykład takich, że D'Annunzio wcale nie jest gliną? Na

przykład takich, że D'Annunzio tak naprawdę jest jednym z nich? Ze Price – może również Price jest jednym z nich?”

Podniosła rękę i potarła nią skroń. Bolała ją głowa. Gdzie jest Nathan? Miał się spotkać z porywaczami o dziewiątej. Dlaczego ciągle nie ma go w domu? Dlaczego nie przyprowadził do domu Jessiki?

„Dobre pytania. No i jeszcze, skoro już jesteśmy przy temacie: dlaczego ten cholerny telefon nie zadzwonił?”

– Och... – powiedziała.

To coś, co chciało, by chodziła, podskakiwało, bełkotało i odbijało się w niej rykoszetem jak meksykańska mysz w kartonie, którą kiedyś chciała mieć Jessie. Aggie miała ochotę uderzyć się w brzuch, żeby to coś powstrzymać. Miała ochotę rwać włosy z głowy. Miała ochotę wyrwać z siebie te wszystkie pytania. D'Annunzio jest tutaj, powtarzała. Jest tutaj z innymi detektywami. Uratują moje dziecko. „Nie ruszać się” – krzykną. „Bum”.

Stała niepewnie przy regale. Usiłowała się nie rozplakać. Nie chciała, by widzieli, jak płacze. Zaczynam wpadać w histerię, pomyślała. Musiała się skupić. Musiała myśleć o D'Annunziu. O jego młodzieńczej inteligentnej twarzy. O czujnych, budzących zaufanie oczach. O jego oczach gliniarza, o jego pytaniach gliniarza.

„Jak wygląda Jessica? Ile ma lat? A co z porywaczami? Czy usłyszała pani coś, dzięki czemu dałoby się go zidentyfikować? Jakies odgłosy w telefonie? Przejęzy.”

– ... czenia – szepnęła na głos Agatha.

Skąd wiedział, że ma na imię Jessica?

Poczuła skurcz w żołądku. Ugięły się pod nią kolana. Wyciągnęła rękę i złapała się regału.

Czy wymieniła w jego obecności imię Jessiki? Nie potrafiła sobie przypomnieć. Nie. Nie. Może zdradziła je Billy'emu Price'owi? Tak, oczywiście, o to chodzi. Wymieniła je Billy'emu Price'owi, tyle że... tyle że go nie wymieniła, nie wtedy, nie wtedy, gdy wypchnęła go za drzwi. Za bardzo była spanikowana, żeby o

tym myśleć.

„Moja córka została porwana. Moje mieszkanie jest pod obserwacją. Zadzwoń na policję”.

Nie, ale... Agatha myślała gorączkowo.

„Już wiem” – pomyślała. „Oczywiście”. Price spotkał Jessicę przy windzie. Przedstawiła ich sobie. To moja córka, Jessica, powiedziała Aggie. Jasne. Właśnie. I kiedy Price zadzwonił do D’Annunzia, ten zapytał: „A jak ma na imię dziewczynka?”. A Price odpowiedział: „Niech się zastanowię. Pani Conrad mówiła mi kiedyś... Już wiem – Jessica. Właśnie. Ma na imię Jessica”.

Dlaczego jednak D’Annunzio nie zapytał o to jej? Dlaczego nie poprosił, żeby to potwierdziła? Czy nie powinien był zapytać: „I ma na imię Jessica, prawda?”. Nie powinien?

„No i w tym momencie należy zadać jeszcze jedno pytanie: dlaczego kiedy gość tutaj był, nie zadzwonił ten pierdolony telefon?”

To coś, co chciało w niej chodzić, dostało szału. Agatha nie była w stanie dłużej stać spokojnie. Zaczęła chodzić, tak powoli, jak tylko potrafiła. Ruszyła w stronę sypialni. Kiedy do niej weszła, jej oczy zaczęły wędrować z miejsca na miejsce: stół, lampa, drzwi, telefon.

„Nathan...” – powiedziała łagodnie, ciągle chodząc.

Gdzie on jest? Dlaczego jeszcze nie wrócił? Miał się z nimi spotkać o dziewiątej. O dziewiątej miał im przekazać to, czego chcieli, a oni mieli...

„Nie ruszać się! Bum”.

... a oni mieli oddać mu jej dziecko. O tej porze powinni już mieć wszystko za sobą. Powinni już wrócić. Przecież jest już... Spojrzała na zegarek. Jest już...

Agatha zatrzymała się.

Stała przy wejściu do korytarza. Przed sobą widziała dwoje drzwi: na prawo do sypialni, a na lewo...

Dziesiąta, pomyślała. Jest już prawie dziesiąta. Prawie dziesiąta. Jest dziesiąta, dłuższa wskazówka dochodzi właśnie do dwunastki.

Agatha ruszyła korytarzem. Starła się iść równym krokiem. Jeden krok, dwa kroki, nie biegnij... W każdej chwili...

Skreśliła w lewo. Do łazienki. Pstryknęła włącznik światła i stanęła przed umywalką. Stanęła przed umywalką i... Musiała coś zrobić. Coś, co nie wyglądałoby podejrzanie. Podniosła z wieszaka na ścianie myjkę. Odkręciła na nią wodę, nawilżyła jej róg. W każdej chwili... Popatrzyła na siebie w lustrze.

O Jezus, pomyślała.

Jej twarz była wyciągnięta, prawie szara. Kasztanowe włosy zwisały w wilgotnych od potu kołtunach. Okrągłe policzki Agathy były poplamione i zapadnięte. Usta prawie białe.

Jakby miała gorączkę, pomyślała. Jakby od kilku tygodni trawiła ją gorączka.

Drżącą dłonią zaczęła myć twarz. Skupiła się na kąciku w oku, tak jakby coś ją tam irytowało. Uważnie pocierała wybrane miejsce. Musiała jakoś zabić czas, zabić czas do momentu, kiedy...

No dalej, pomyślała. No dalej. Już prawie. Już prawie minuta.

Przemyła skórę wokół oka. Nachyliła się do lustra i wpatrzyła się w jeden punkt. No dalej, pomyślała. No dalej. Uważnie wycierała myjką skórę.

A potem wreszcie to usłyszała. Co do sekundy – o dziesiątej zero jeden.

Zaczął się jak niski, wilgotny grzmot. Za nim podążyła seria gęstych, soczystych charków. I wreszcie splunął – usłyszała go przez kratkę przewodu systemu ogrzewania. Splunął i gęsty glut wylądował w sedesie.

Zamknęła oczy z ulgą.

– Chark o dziesiątej – szepnęła. Musiała zdusić w sobie gwałtowny wybuch śmiechu.

Pan Plotkin znowu zaczął. Przez kanał systemu ogrzewania dobiegło stęknienie, za którym podążyły kolejne niskie, wilgotne grzmoty.

Agatha nadal przemywała oko, nadal przemywała miejsce w jego kąciku.

– Panie Plotkin – powiedziała głośno.

Znowu zaczął charczeć: „Khhy, khhy, khhy”. Za trzecim razem dotarł do sedna. Splunął. Aggie usłyszała szum splukiwanej wody.

Powstrzymała chichot.

– Panie Plotkin – powiedziała. Myjka w kąciku jej oka zadrżała.

Staruszek znowu zaczął grzmieć.

– Khhy-khhy-khyy... He? He? – zapytał. – Co?

Aggie wzięła głęboki oddech. Jej dłoń trzęsa się tak mocno, że musiała ją położyć na umywalce.

– Panie Plotkin...

Przełknęła. Również jej głos się trząsał.

– Halo? Halo? Czego? – dobiegł do niej zza kraty głos.

– Panie Plotkin, słyszy mnie pan? – zapytała Aggie. Nastąpiła długa chwila ciszy. Zmusiła się, by ponownie podnieść myjkę. Przytknęła ją do ust. – Słyszy mnie pan? – powtórzyła głośnie.

– Czy ja panią słyszę? A co to ma być, test awaryjnego systemu komunikacji? – Zgrzytliwy głos staruszka zdążył już stracić żydowski akcent, ale ciągle pobrzmiewała w nim charakterystyczna intonacja. – Słyszę panią. Pani słyszy mnie. Słyszemy się nawzajem w łazience. I co z tego?

Agatha wypuściła powietrze. Zorientowała się, że przez kilka chwil wstrzymywała oddech. Spojrzała na siebie w lustrze, w swoje szklane, pełne przerażenia oczy.

– Halo? – zawołał pan Plotkin. – Halo?

– Z tej strony Aggie Conrad – powiedziała.

I znowu nastąpiła cisza. A potem Aggie usłyszała krótkie:

– Och. – Dźwięk był niski, ostry. Przywołał przed oczy Agathy okrągłą, bezwłosą twarz staruszka. To, jak stoi w milczeniu, kiedy spotykają się przy windzie. Nikły uśmiech, jakim obdarzał Jessicę, kiedy go pozdrawiała. – No co? Będzie pani nękać starego człowieka, bo pluje? Proszę mi wierzyć, pani jak jej tam, dla mnie to też nie jest zabawne.

– Panie Plotkin – powtórzyła Aggie. – Potrzebuję pomocy. –

Do jej oczu napłynęły łzy. Osuszyła je myjką. – Potrzebuję pomocy. Proszę.

Ton głosu staruszka natychmiast się zmienił.

– Co się stało? Jest pani chora? O co chodzi? Nie może pani podejść do telefonu, żeby zadzwonić po lekarza? Co się dzieje?

– Muszę zawiadomić policję – powiedziała Aggie. Łzy zaczęły cieknąć szybciej. Zakryła oczy myjką. – Proszę zadzwonić do detektywa D’Annunzia z Midtown South. Proszę. Jeżeli nie ma tam nikogo takiego, niech pan poprosi kogoś innego. Moja córka została porwana. Porywacze obserwują moje mieszkanie. Niech pan powie detektywowi D’Annunzio, że muszę z nim porozmawiać... Może już wie, nie jestem... Po prostu... Niech mu pan powie, żeby przyszedł tutaj, żeby przyszedł do pańskiego mieszkania, żeby porozmawiał ze mną przez kratkę, tak jak teraz... I panie Plotkin... – Musiała zamilknąć na chwilę, bo rozpląkała się w myjkę. – Panie Plotkin, niech pan będzie ostrożny, dobrze, bo ja już nie wiem, co się dzieje, nie wiem, komu mogę ufać, a oni są niebezpiecznymi... ludźmi, oni są...

Nie mogła mówić dalej. Rozpląkała się znowu w myjkę. Z góry, z kratki, nie dobiegła żadna odpowiedź. Wydawało jej się, że płakała w ciszy przez wiele minut.

Potem podniosła głowę. Podniosła oczy na widoczny w górze róg wykafelkowanej na biało ściany. Łzy płynęły jej po policzkach. Spojrzała przez nie na kratkę. Wpatrzyła się w ciemność za szarą metalową szachownicą. Wbiła wzrok w ciemność, tak jakby próbowała dojrzeć stojącego po drugiej stronie starego mężczyznę.

W końcu usłyszała jego głos. Mruczał do niej łagodnie, delikatnie.

– Wytrzymaj, Ag-elo – powiedział. – Pomoc już w drodze.

## KSIĄŻĘ MIASTA

Detektyw Doug D'Annunzio odsunął się od maszyny do pisania. Obrotowe krzesło zaskrzypiało pod jego ciężarem. D'Annunzio przechylił ciało na jedną stronę i puścił bąka. Cholerne piątki, pomyślał.

Od półtorej godziny wypełniał formularz DD-5 w związku z napadem na centrum odzieżowe. Było mu już od tego niedobrze. Miał ochotę wyjść i coś zrobić. Zerknął na zapięty na grubym nadgarstku zegarek: dziesiąta sześć. Zdążyłby jeszcze pobiec do Deuce i przelecieć Wężooką Jones, musiałby się tylko pospieszyć.

– Jezus Maria, D'Annunzio! – Sierżant Moran stał obok szafek na akta. Pomachał ręką przed twarzą. – Powinni ci podłączyć do dupy rurociąg. Miliony ludzi miałyby darmowe ogrzewanie.

– Pierdol się – mruknął D'Annunzio. Odsunął krzesło i wstał.

Podreptał przez obskurną dyżurkę w stronę ekspresu do kawy. Przelał fusy z dzbanka do czystego styropianowego kubeczka. Upił łyk ziarnistej, czarnej półpłynnej masy, w zamyśleniu omiatając wzrokiem długie pomieszczenie: rozrzucone niebieskoszare biurka, sfatygowane krzesła obrotowe, ściany z niemalowanego drewna obklejone różnymi notatkami, brudne okna. Minęła już chwila, odkąd ostatnim razem molestował Wężooką, pomyślał. Suczka powinna być już warta parę stówek, przynajmniej. Miał praktycznie monopol na zapleczu największego sklepu porno Deuce. Rozprowadzał tam towar klientom peepshowu. Jasny gwint, minęło tyle czasu, że może zgarnąć nawet parę patyków.

Wysączył łyk kawy, puszczając kolejnego bąka. Całe to siedzenie z DD-piátkami – to przez nie gromadziły mu się gazy.

Nie wspominając już o kanapce z cielęciną, którą wmlócił na podwieczorek. Ale tak naprawdę winne było siedzenie.

– Och, och, Jezu Chryste, D'Annunzio, miejże choć odrobinę

serca – zawołał Moran. W pokoju był jeszcze tylko on i Levine. Levine siedział przy biurku z tyłu i rozmawiał przez telefon.

D'Annunzio zignorował Morana. Postawił kubek i ruszył z powrotem do biurka, żeby zabrać kurtkę. Mógł przecież zająć się Wężooką, a potem wrócić przed końcem zmiany, żeby dokończyć piątki. Powoli przeszedł przez pomieszczenie. Oddychał głośno i ciężko.

Kiedy szedł, brzuch otaczał go jak przyboczna świta; w wieku trzydziestu ośmiu lat policjant był już rozdęty i sękaty. W okolicach pasa jego niebieskich spodni o rozmiarach namiotu miejscami pękała w szwach, miejscami powiewała jaskrawa koszula w kratę. Szyja detektywa wyglądała jak kolumna: guziki kołnierzyka nie były w stanie się dopiąć, a węzeł złotego krawata zdążył się już solidnie obluzować. Twarz D'Annunzia była okrągła, policzki przypominały balony, a skóra była poplamiona i szorstka jak papier ścierny. Krótkie brązowe włosy opadały na wierzchołek guzowatego czoła. Z ziarnistych fałdów ciała wyzierały szkliste oczka.

Sięgnął w stronę biurka. Szarpnięciem zdjął kurtkę z oparcia krzesła.

Nagle zadzwonił telefon.

Moran spojrzał zza swoich teczek.

– Hej – powiedział. – Ty, podmiejska butlo z propanem. Zrób sobie przerwę w pierdzeniu i odbierz, ok?

D'Annunzio westchnął ciężko, ale nic nie powiedział. Lepiej było nie wkurwiać Morana. Nie tego Irlandca; mistrza szpanerskich aresztowań; bicza bożego okręgu; pupilka szefa.

Kurwa mać, pomyślał. To by było na tyle, jeśli chodzi o Wężooką. Wcisnął przypominające wielkie kielbasy ramiona w sztruksową kurtkę. Telefon nie przestawał dzwonić. Detektyw jeszcze raz westchnął, tym razem głośniej. Wreszcie złapał za słuchawkę.

– Detektyw D'Annunzio – powiedział.

– Dobry wieczór, detektywie. Leo Plotkin z tej strony. Mam



dla pana robotę.

D'Annunzio uniósł wzrok w stronę sufitu. Posadził swój wielki tyłek na krawędzi biurka.

– W czym mogę panu pomóc? – zapytał.

– Wie pan... szczerze mówiąc, jak pan nie masz lekarstwa na anginę, to nie za bardzo jest sens rozmawiać akurat o tym. Chodzi raczej o moją sąsiadkę Aggie Conrad: to jej przydałaby się pomoc.

– Aggie Conrad – powiedział D'Annunzio. Po sekundzie już kojarzył. – Tej, której córka podobno została porwana?

– Słyszeliście już o tym?

– Słyszeliśmy, słyszeliśmy, jakieś dwie godziny temu miałem telefon w tej sprawie. Myśleli, że dziewczynka zniknęła, ale potem się okazało, że schowała się w klatce schodowej. Zgadza się?

– Szczerze by mnie to zdziwiło – powiedział zgrzytliwy głos po drugiej stronie linii. – Podobnie jak matkę dziewczynki, która niecałe dwie minuty temu mówiła mi przez kratkę od ogrzewania: pomocy, pomocy, niech pan zadzwoni na policję, moja córka została porwana.

D'Annunzio ze znużeniem pokręcił głową. Pieprzony dziad. Nie cierpiał tego rodzaju starych pierników.

– Twierdzi pan, że według matki dziecka nadal nie ma?

– Twierdzę, że ona właśnie płacze w mojej łazience; czy to pana zdaniem oznacza, że jest szczęśliwą kobietą? Twierdzi, że jej mieszkanie jest pod obserwacją, że nie powinieneś pan tam przychodzić, że powinieneś pan przyjść do mojego mieszkania na górze i że wtedy będziesz pan mógł porozmawiać z nią przez kratkę. To pasjonujące przeżycie, nie będziesz pan żałował.

– Chwileczkę. – D'Annunzio podrapał się po miękkim nosie.

– Czegoś tu nie rozumiem.

Mężczyzna ze zniecierpliwieniem wypuścił powietrze.

– Że też to z nim właśnie chciała rozmawiać – mruknął.

– On nie rozumie. No to ja coś panu zasugeruję, panie Dick Tracy. Przychodź pan tutaj zaraz i zrób pan śledztwo. Będziesz pan miał „sprawę”, może nawet pana znajomi uwierzą, że naprawdę jesteś pan policjant. Wtedy może i pan zrozumiesz. Co pan na to?

Staruszek rozłączył się. D'Annunzio siedział na biurku i wpatrywał się w pokrytą linoleum podłogę. Przypomnił sobie, że pierwszy rozmówca – Billy Price – stwierdził, iż ojciec dziewczynki jest psychiatrą. Może więc chodziło o jakiegoś psychologa – jeden z cierpiących na zaburzenia emocjonalne pacjentów psychiatry gra sobie w jakieś gierki albo coś w tym rodzaju. Jeżeli jednak nie... Jeżeli mała rzeczywiście przez cały czas była zaginiona, a on dał się zmylić temu fałszywemu telefonowi...

– Stary, niedobrze – jęknął, wstając. Chryste Panie, ani chwili spokoju. – Wychodzę – zaburczał.

– Dzięki Bogu – stwierdził sierżant Moran. – Pozdrów ode mnie Wężooką Jones.

D'Annunzio pojechał na East Side własnym samochodem. Zaparkował pięcioletniego pontiaca na Trzydziestej Szóstej, tuż przy Madison. Dzielące go od apartamentowca Conradów pół kwartału pokonał pieszo.

Po drodze zerknął, dysząc ciężko, na Bibliotekę Morgana, na jej majacząca za jesiennymi platanami grecką fasadę. Fryz przedstawiał Sprawiedliwość prowadzącą za rękę Sztuki. Na marmurze delikatnie grało światło reflektorów.

No tak, pomyślał. To tutaj zarżnięto tę starą prukwę. Panią Jak-jej-tam. Sinclair. Gówniana sprawa. Brak motywu, brak śladów. No i była to sprawa Morana. Nawet jemu nic się nie udało wymyślić.

D'Annunzio uśmiechnął się do siebie. Skręcił w stronę przedsionka budynku i pchnął szklane drzwi.

Nawet się nie kłopotął, by błysnąć portierowi odznaką. Równie dobrze będzie mógł to zrobić, kiedy już się zorientuje co i jak. Powiedział tylko, że nazywa się Doug D'Annunzio i chce odwiedzić Lea Plotkina. Portier zadzwonił do staruszka i po chwili wysłał D'Annunzia na szóste piętro.

Detektyw wyszedł z windy i powlókł się w stronę drzwi mieszkania Plotkina. Zapukał. Czekał, starając się tymczasem

wepchnąć koszulę do spodni. Chwilę później Plotkin otworzył.

Typowy stary Żyd, pomyślał D'Annunzio. Jak odcisnięty z foremki. Mały, chudy, garbaty. Koło siedemdziesiątki. Okrągła głowa, zupełnie bezwłosa, z wyjątkiem ledwie widocznego śladu szarego zarostu na pomarszczonym policzku. Łypiące na rozmówcę kaprawe oczy. Wilgotne czerwone usta, wykrzywione w lekko zagadkowym uśmiechu. Miał na sobie białą koszulę, rozpiętą przy szyi i odsłaniającą siwe włosy na klatce piersiowej. Musiał się skurczyć z wiekiem, bo jego szare spodnie były teraz na niego o wiele za duże.

Tym razem D'Annunzio wyciągnął odznakę i legitymację.

– Witam pana, detektyw D'Annunzio – przedstawił się.

Staruszek nie odpowiedział. Nachylił się. Wbił wzrok w odznakę. Przyglądał się jej dobrą chwilę. Tak jakby bez końca wczytywał się w wyryte na niej informacje. Wreszcie odwrócił się i ruszył w głąb mieszkania.

– Proszę za mną – stwierdził.

D'Annunzio wzruszył ramionami i podążył za gospodarzem.

Mieszkanie było przesiąknięte zapachem starego mężczyzny: ciężkim i stęchłym. Berzerki pokrywała błyszcząca tapicerka. Żółty chodnik na podłodze był praktycznie przetarty na wylot. Na kominku z gzymsem, szafkach i stolikach zalegało kilka warstw kurzu. Wszędzie wisiały stare, pożółkłe fotografie: kobieta w chuście, las, stare widoki.

„Co oni robią z pieniędzmi?” – zastanawiał się D'Annunzio, podążając za zgarbionymi plecami Plotkina. Pomyślał, że stary Żyd pewnie ma setki tysięcy dolarów powtykane w słoiki po ciasteczkach, materace i tym podobne miejsca.

Plotkin zaprowadził go do łazienki. Zapach był tam jeszcze gorszy. Kwaśne lekarstwa, mdła choroba; gnicie. D'Annunzio szybko przebiegł wzrokiem po poplamionej wannie i matowej umywalce. Następnie, podążając za gestem Plotkina, spojrzął na kratkę systemu ogrzewania.

– Proszę – powiedział gospodarz. – Nie krępuj się pan.

D'Annunzio spojrzął na Plotkina. Ten wzruszył ramionami.

Detektyw popatrzył znowu na kratkę, potem znowu na Plotkina, a potem znowu na kratkę. W końcu również wzruszył ramionami. Odchrząknął.

– Pani Conrad?

Czekał. Brak odpowiedzi. Spojrzał na Plotkina. Poczł się jak idiota: gadał do pieprzonej kratki.

Wziął oddech i spróbował jeszcze raz:

– Pani Conrad?

– Tak?

Głos, który dobiegł detektywa w odpowiedzi, był drżący i cichy, ale wyraźny.

Tym razem kiedy spojrzł na Plotkina, staruszek wykonał gest mający oznaczać: „A nie mówiłem?”. D’Annunzio skinął głową. Wsunął ręce do kieszeni.

– Pani Conrad – powiedział w stronę kratki – mówi detektyw D’Annunzio, Departament Policji, Nowy Jork. Czy to pani próbowała się ze mną skontaktować?

Nastąpiła chwila ciszy. A potem cichy głos powiedział:

– Czy jest tam pan Plotkin?

– Jestem – odezwał się Plotkin. – On jest tutaj. Ja jestem tutaj. Cała dzielnica siedzi w mojej łazience.

– Panie Plotkin, czy może mi pan powiedzieć, jak wygląda ten policjant? – zapytał kobiecy głos. – Ten detektyw. Czy może mi go pan... opisać?

Plotkin spojrzł na D’Annunzia, wysunął głowę do przodu, cofnął ją, po czym wzruszył ramionami.

– A co tu jest do opisywania? To tylko grubas z twarzą jak golonka.

– O Jezu – powiedziała kobieta. Jej głos wydawał się smętny. D’Annunzio założyłby się, że zaczęła płakać. – O Boże, u mnie był inny mężczyzna... Inny mężczyzna, który powiedział, że jest panem. Musiał być... O Boże... Przepraszam. Bardzo się boję. Moja maleńka...

D’Annunzio tym razem wyraźnie usłyszał w jej głosie stłumiony szloch. Stary, pomyślał, niezły odbiór, bez dwóch zdań.

– Pani Conrad – powiedział. Podniósł rękę w stronę kratki.  
– Bardzo by mi pani pomogła, gdyby choćby w zarysach wyjaśniła pani, o co tutaj chodzi. Potrafi to pani zrobić?  
– Nie wiem. – Kiedy mówiła, musiała walczyć z cisnącymi się do oczu łzami. – Ja... Przyszli tutaj. W nocy. Tak po prostu... Porwali moją dziewczynkę. Wysłali gdzieś mojego męża. Nie mógł mi powiedzieć gdzie. Powiedział tylko, że spotka się z nimi o dziewiątej. Ale jest już tak późno, a ja...

Poddała się.

– W porządku, w porządku. – D’Annunzio starał się, by jego głos brzmiał uspokajająco. – Przejdźmy do tego kawałka o obserwacji dobrze? Mówi pani, że obserwują pani mieszkanie?

Usłyszał, jak kobieta łapie oddech przez łyży.

– Twierdzą... Twierdzą, że umieścili tutaj mikrofony. I kamery. Twierdzą, że obserwują nas, podsłuchują... Myślę, że kłamią, jeśli chodzi o mikrofony, ale nie... Niczego już nie jestem pewna.

D’Annunzio parsknął. Głupia gęś, pomyślał.

– Twierdzą, że umieścili u państwa kamery? Proszę pani, czy widzi pani jakieś kamery? Jakies przewody? Cokolwiek?

– No wie pan... Nie.

D’Annunzio nie potrafił powstrzymać śmiechu, który wymknął mu się spomiędzy warg.

– Ech, proszę pani... Myślę, że okłamali panią również co do kamer.

– Nie, ale...

– Trudno jest nawet ukryć mikrofony – powiedział D’Annunzio. – Kamery są jak... Chodzi o to, że potrzebowaliby praktycznie całego ukrytego pomieszczenia. A już na pewno nie umieściliby kamer, jeżeli nie udało im się zainstalować mikrofonów. To po prostu nie ma sensu.

– Ale oni nas widzą – powiedziała szybko kobieta. – Wiem, że nas widzą. Powiedzieli mi, że widzą... co robimy, w co się ubraliśmy...

– Hm... Czy jest tam jakieś okno? Czy nie mogą zaglądać

przez jakieś okno?

– Nie... Nie... Nie wiem. Wydaje mi się, że gdyby...

D'Annunzio pokręcił głową, uśmiechając się kątem ust.

Głupia, głupia gęś, pomyślał. Mówisz takiej, że jest w „ukrytej kamerze”, a ona kupuje bajeczkę. I nigdy nie pomyśli o cholernych oknach. Nawet jeżeli dwumetrowy czarnuch zagląda jej do domu przez parapet.

– O mój Boże! – krzyknęła nagle kobieta.

Ups, pomyślał detektyw. Pewnie go zauważyła.

– O mój Boże – powtórzyła. – Pani Sinclair.

Półuśmiech zamarł na twarzy D'Annunzia.

– Co? Pani Sinclair? Chodzi pani o tę sta...

– Staruszkę, którą zamordowano – dokończyła przez kratkę Aggie Conrad. – Słyszał pan o niej?

– Jasne, jasne, że słyszałem. A co to ma niby mieć wspólnego z...?

– Wie pan, ja tylko... To znaczy, zapytał pan o okna – okna, które wychodziłyby na nasze mieszkanie i... Jej okno wychodzi dokładnie na nasze i... Jakiś czas temu mój mąż zobaczył kogoś... w jej mieszkaniu... W mieszkaniu pani Sinclair. Pomyślał, że ktoś tam chyba jest. Ja pomyślałam wtedy... Ale chodzi o okno. Okno wychodzi dokładnie na nasze mieszkanie, znajduje się dokładnie naprzeciw, i jest puste, odkąd... O mój Boże!...

Głos jej zamarł. Gruby detektyw ciągle słyszał ciche, przesycone wilgocią odgłosy płaczu kobiety. Spojrzał z wykrzywionymi ustami na kratkę. Oblizał wargi. Pani Sinclair, pomyślał.

Serce zaczęło mu bić mocniej. „Hm... Chwileczkę... Bez pośpiechu” – pomyślał. Kobieta najwyraźniej jest w hysterii. Nie wie, o czym mówi. Mimo to... Jeżeli mieszkanie Sinclair rzeczywiście jest puste i jeżeli rzeczywiście znajduje się dokładnie po przeciwnej stronie, jak twierdzi kobieta... Cóż, to rzeczywiście możliwe. A nawet prawdopodobne.

Ech, pomyślał detektyw Doug D'Annunzio. Ech, gdyby tak rozgryźć sprawę Sinclair po tym, jak spieprzył ją Moran...

– A co z tym Billym Price’em? – zapytał przez kratkę. – To znaczy, facet do mnie dzwoni, mówi, że było porwanie, a potem dzwoni znowu i mówi, że sprawa nieaktualna. O co tu chodzi?

– Nie... – Słyszał, że kobieta walczy z histerycznym szlochem. – Nie wiem. Nie wiem, może... Może jest jednym z nich. Powiedziałam mu, żeby do was zadzwonił, a potem przyszedł ten mężczyzna, ten drugi mężczyzna, i powiedział, że jest panem. Nie... Nie wiem...

Fiu, fiu, pomyślał D’Annunzio. Nie brzmi to jak porcja dobrych nowin. Brzmi to jak dokładne przeciwieństwo porcji dobrych nowin.

Detektyw ze świstem wypuścił powietrze z płuc. Detektyw spojrzał na kratkę, z której dobiegały odgłosy płaczu.

– Pani Conrad – powiedział. – Niech pani poczeka kilka minut. Za chwilę wrócę, dobrze?

– Proszę, znajdźcie moją maleńką – zaszlochała. – Proszę. Nie pozwólcie jej skrzywdzić. Ma dopiero pięć lat, jest...

D’Annunzio spróbował wymyślić coś pocieszającego; coś, czym mógłby ją podnieść na duchu. Przyszło mu jednak do głowy tylko krótkie: – Niech pani zaczeka.

Odwrócił się i skinął głową Plotkinowi.

– Pan też niech zaczeka – powiedział.

Staruszek w odpowiedzi również skinął mu głową. A potem wykrzywił bezwłosą twarz.

– Ech – powiedział miękko. – Co za pech.

Kiedy D’Annunzio zadzwonił na dole do mieszkania Price’a, nikt nie odpowiedział. Detektyw przez dłuższą chwilę stał przed drzwiami. Potem ruszył w głąb korytarza i stanął przed wejściem do mieszkania Aggie Conrad. Po chwili wrócił jednak do drzwi Price’a i zadzwoniwszy jeszcze raz, czekał na odpowiedź. No jasne, przecież jest sobota wieczór, pomyślał. Facet jest na mieście.

Postanowił jednak, że zejdzie na dół po klucz.

Portier nie robił żadnych problemów. Był dużym, wysokim, przystojnym Latynosem z gęstą czarną czupryną i z równie gęstym

wąsem. Powiedział, że jego kuzyn też jest gliną, na Brooklynie. D'Annunzio poinformował go, że niepokoi się o lokatora z 5H. Portier natychmiast dał mu klucz.

D'Annunzio powlókł się z powrotem do windy. Wjechał na piąte. Powoli ruszył korytarzem. Wsunął klucz do dziurki, przekręcił. Pchnął drzwi, schował klucz do kieszeni i wszedł do mieszkania.

Billy Price nie siedział już na krześle z metalowych rurek. Spadł z niego. Leżał na boku na drewnianej podłodze. Jego twarz była sina. Oczy nadal wpatrywały się w pustkę. Biały pasek taśmy ciągle zaklejał mu usta. Głowa leżącego była widoczna już z przedpokoju.

D'Annunzio zatrzymał się, gdy go zobaczył. Wyciągnął z kabury pistolet. Ruszył powoli i ostrożnie do przodu. Ale mieszkanie było puste. Czuł to.

Znowu się zatrzymał, trzymając pistolet gotowy do strzału. Przebiegł wzrokiem po półnagim ciele Price'a. Odwrócił się, kiedy zobaczył miazgę, w jaką zostały zamienione jądra mężczyzny. Zagwizdał cicho, starając się zwalczyć skurcz w gardle.

Po chwili spojrzał jeszcze raz. Zobaczył twarz Price'a. Zauważył jego dziwnie wykręconą szyję w miejscu, gdzie została zmiażdżona.

Nie podniecaj się, pomyślał. Nie masz dowodów. Nadal nie masz na nic dowodów.

Kiedy tak patrzył na martwego mężczyznę, na jego grobowej twarzy powoli zaczął wykwitać cierpki uśmiech. Coś, jakiś szósty zmysł, mówiło mu, że właśnie rozgryzł sprawę Sinclair – sprawę prowadzoną przez Morana.

Roześmiał się głośno w pustym mieszkaniu.

– Sukinsyn – powiedział.



## OPOWIEŚĆ Z TAŚMY

Srebrnoniebieska corsica Conrada sunęła powoli przez Lafayette. Po obu jej stronach śmigwały lśniące samochody i żółte taksówki. Światła reflektorów bez końca pojawiały się w lusterku i jak gdyby gnane podmuchem wiatru zamieniały się po chwili w czerwone punkty oddalające się szybko w głąb szerokiej alei. Corsica sunęła powoli. Minęła z lewej strony długi ciąg niszczących kolumn Colonnade Row. Z prawej przesunęły się obok niej przestronne łuki Public Theater i kłębiący się we mgle niewielki tłumek jego wychodzących na przerwę widzów. Corsica parła do przodu w powolnym, przypominającym jąkanie tempie.

Samochód znalazł się na Astor Place. Chodniki były zatłoczone. Wzdłuż ulicy stali podejrzani handlarze. Używane ubrania, książki i czasopisma leżały na ziemi na przetartych kocach. Ostrzyżeni na jeża młodzi mężczyźni tanecznym krokiem zmierzali na wschód w stronę St. Mark Place, przechylając się w biodrach do tyłu i rytmicznie wyciągając nogi. Młode, ubrane na czarno kobiety – farbowane blondynki – podążały w swoją stronę.

Corsica zatrzymała się na czerwonym świetle. Na chodniku dwóch policjantów napastowało handlarza – młodego białego mężczyznę, który siedział oparty o niską ścianę budynku. Był naćpany albo pijany. Z otwartymi ustami spoglądał na gliniarzy oczami idioty. A oni coś do niego mówili, cichym i nieznośnym sprzeciwu tonem.

Conrad wbił znad kierownicy wzrok w policjantów. Ścisnął kurczowo kółko i nachylił się. Jego twarz była ziemista i szara, lepka od potu. Usta rozchylone. Oczy tęsknie wpatrywały się w stojących po drugiej stronie placu oficerów.

Na fotelu, na którym siedziała Elizabeth, nadal było widać krew. Notatka, pognieciona notatka, ciągle leżała na desce rozdzielczej.

„Ciągle cię obserwujemy. Jedź do biura. Czekaj”.

Światło zmieniło się z czerwonego na zielone. Conrad zauważył je kątem oka. Powoli oderwał wzrok od policjantów. Popatrzył w przód. Zdjął stopę z hamulca, położył ją na pedale gazu i nacisnął.

Corsica powoli ruszyła przez skrzyżowanie.

Dojazd do Upper West Side zajął Conradowi mnóstwo czasu. Kiedy zaparkował na Osiemdziesiątej Drugiej, zbliżała się już dziesiąta. Minął skrzyżowanie i znalazł się na Central Park West.

Szurał ze znużeniem stopami, wpatrując się w chodnik. Miał przygarbione plecy. Prawą nogę musiał wlec za sobą. Dotarł do budynku, w którym mieściło się jego biuro, i wszedł do środka przez obrotowe drzwi.

Portier spojrział na przechodzącego Conrada.

– ... bry wieczór, doktorze – powiedział.

Conrad obdarzył go niewyraźnym uśmiechem. Minął recepcję i cały czas kulejąc, ruszył korytarzem w stronę biura.

W chwili kiedy pchnął drzwi, zatrzymał się nagle i zamarł na progu. Otworzył usta, a na jego twarzy pojawił się zmęczony, żalony wyraz. Pokręcił słabo głową w jedną i drugą stronę...

W gabinecie paliło się światło. Conrad widział, jak sączy się przez szparę pod zamkniętymi drzwiami. Ciągłe kręcąc pochyloną głową, powłókł się do środka. Drzwi zamknęły się za nim. Poczekalnia pogrążyła się w głębokim cieniu.

Conrad pokuśtykał powoli w stronę gabinetu.

Otworzył drzwi i znajdzie za nimi Elizabeth. Będzie tam leżeć martwa. Widział już jej beładnie rozrzucone na podłodze ciało, jej jasnorude włosy otaczające głowę jak aureola. Pokuśtykał w stronę drzwi. Nie Elizabeth, nie. Znajdzie tam Jessicę. Dziewczynka leży tam na brzuchu w swojej koszulce w serduszka. Twarz ma odwróconą w jego stronę. Wpatrują się w niego jej szklane oczka.

„Dlaczego nie przyszedłeś, tatusiu?”

Conrad sięgnął do drzwi gabinetu. Przełknął i otworzył je.

Wszystkie światła były zapalone: lampa pod sufitem, stojąca, biurowa. Ale pomieszczenie było puste. Conrad stanął na środku podłogi i powoli zaczął przeczesywać wzrokiem pokój. Kozetka,

fotel dla pacjentów, jego skórzany recliner. Sekretarzyk ze stosami papierów. Łazienka. Podeszedł do drzwi łazienki i otworzył je. Również tam nikogo nie było.

Odwrócił się i znowu spojrzął na pokój. Jego wzrok spoczął na blacie sekretarzyka. Conrad zrozumiał, co się stało.

Zniknął telefon. Ktoś go zabrał. Papiery i czasopisma, które wcześniej go przykrywały, leżały teraz wokół pustej przestrzeni. Conrad podeszedł do sekretarzyka, kręcąc głową. Stał i spojrzął w dół. Przeszedł go dreszcz. „Byli tutaj” – pomyślał. Wydawało mu się, że może wyczuć ich zapach. Wydawało się, że kątem oka nadal widzi ich przyczajone ciemne kształty.

Przesunął część papierów na bok. Zobaczył pod nimi automatyczną sekretarkę. Wstrzymał oddech. Światelko urządzenia mrugało.

Kiedy Conrad naciskał przycisk „play”, jego palce się trzęsły. Patrzył na urządzenie, w którym coś kliknęło i zaświstało.

Potem rozległ się głos. Nieznany głos, nie Jaja. Był wysoki, zadyszany i pobrzmiwało w nim szaleństwo.

„Dzieńdoberek, doktorze C.” Rozległ się wysoki chichot: Hi! Hi! Hi! „Jesteśmy w pracy. A my też tu jesteśmy, fajnie, nie? Jesteśmy, kurwa, wszędzie. Czary-mary!” Hi! Hi! Hi! Conrad odwrócił twarz i zamknął oczy. „W każdym razie masz tutaj siedzieć, jasne? Do dwunastej. Do godziny duchów. Huhuhuuuuu! Bo inaczej – sam wiesz co. I nie zbliżaj się do drzwi, szeryfie, bo cię widzimy. Buźka na dobranoc, słodziaczku”. Hi! Hi! Hi! Urządzenie wyłączyło się.

Conrad wypuścił z jękiem powietrze. Zdjął płaszcz. Powiesił go na oparciu reclinera. Podeszedł do kozetki i usiadł. Schował głowę w dłoniach, a potem zaczął płakać.

Płakał bardzo mocno. Szlochał. Kołysał się w przód i w tył. Po dłoniach spływały mu łzy. Pociągnął nosem.

– Moja maleńka – powiedział łagodnie. – Moja maleńka.

Leżał na kozetce przez godzinę. Wpatrywał się tępo w sufit.

„I co, kim jesteś bez całego tego twojego gówna, bez

pieniędzy, bez tytułów, jeden na jednego – kim jesteś? Nadażasz? Kim jesteś?”

Na policzku, tam gdzie splunął Jajo, czuł zaschnięte łzy. Zamknął oczy.

Pod przymkniętymi powiekami zobaczył córkę. Zobaczył, jak leży martwa na podłodze. Zobaczył jej szklisty wzrok. „Dlaczego nie przyszedłeś?”

Wyobraził sobie – zobaczył w myślach – małą dziewczynkę trumnę opuszczaną do otwartego grobu. Usłyszał dobiegający z wnętrza skrzyni głos.

„Tatusiu?”

Z całych sił zacisnął usta.

Po chwili zobaczył córkę żywą. Zobaczył, jak leży na łóżku ze związanymi na plecach rękami. Podchodzi do niej mężczyzna, który kazał nazywać się Jajem. W dłoni ma nóż... Jessica krzyczy...

Złapał gwałtownie powietrze i szybko otworzył oczy. Odkaslnął i przetarł dłońmi policzki. Trzęsąc się, wbił wzrok w sufit.

Spoglądał na świecąca się na tle białego gipsu lampę. Obok ściany widział łuk cienia. Patrzył na niewielką płamę w rogu. Widział skrzynię opuszczaną do grobu. Kiedy zagłębiała się w ziemi, ciało dziecka w środku turlało się to na jedną, to na drugą stronę. Ręce dziewczynki były skrzyżowane na piersiach. W trumnie było ciemno. Pewnie chciałyby mieć nocną lampkę, pomyślał Conrad. Usłyszał odgłos ziemi uderzającej w wieko trumny.

„Tatusiu?”

Ale teraz jego twarz była surowa, a oczy zrobiły się zimne. Kiedy ziemia uderzyła znowu o wieko trumny, nawet się trochę roześmiał. Stał na wypielęgnowanym trawniku. Spoglądał przez krawędź do otwartego grobu. Łopata za łopata, trumna znikła pod ziemią. Agatha powiedziała później, że kiedy tak patrzył, jego oczy wyglądały, jakby były z kamienia. Objęła się ramionami i zadrżała. „Jak z kamienia, Nathan”.

Ale przecież to był pogrzeb jego ojca, nieprawdaż? Conrad przez lata się z nim nie widywał. Pod koniec poszedł zobaczyć się z ojcem w szpitalu tylko dlatego, że Aggie nalegała. Kiedy Nathan wszedł do sali, staruszek leżał na łóżku pod pojedynczym prześcieradłem. Jego twarz, kiedyś krągła i blada, teraz była wychudzona i prawie biała. Ciało pod przykryciem zdawało się w ogóle nie istnieć.

– Nathan – odezwał się słabym głosem. Podniósł dłoń. Nathan podszedł i uścisnął ją. Na białych wargach ojca pojawił się uśmiech. Jego dłoń była zimna. – Dzięki... że wpadłeś.

– W porządku, tato – powiedział Nathan. Spojrzał na staruszkę z pozbawioną wyrazu twarzą.

Ojciec z wyraźnym wysiłkiem wziął oddech.

– ... chciałem jeszcze, żebyś dał mi szansę to powiedzieć...

– stwierdził. – Kocham... Kocham cię.

– Ja też cię kocham, tato – odpowiedział instynktownie Nathan. Wiedział, że czułby się potem bardzo niedobrze, gdyby tego nie powiedział. Jaki zresztą miało sens zasmucanie staruszkę w takim momencie? Spojrzał na niego.

Ojciec zamknął oczy.

– Nie mogłem... – szepnął. Potem wydał z siebie świszczący jęk bólu. – Nie mogłem... jej pomóc, Nathan. Nie mogłem...

Conrad znowu spojrzał na ojca. Kącik warg podniósł mu się w surowym, nieładnym uśmiechu. Myślał o matce. O tym, jak leżała na podłodze w kuchni. Jak walczyła i krzyczała, zaplątana w płonąca koszulę nocną. Jedwabną koszulę nocną w fioletowe chryzantemy. Myślał o tych wszystkich razach, kiedy ojciec mówił jej: „W porządku, weź sobie butelkę do pokoju; ale tylko ten jeden raz”. Albo: „Niech będzie, masz pieniądze, ale daję ci je tylko dlatego, żebyś nie musiała wychodzić i kraść”. I przebój przebojów: „Posłuchaj, nie powinnaś próbować rzucić alkoholu od razu. Powinnaś to robić stopniowo, po trochu”.

– Nie mogłem jej pomóc – wyszeptał znowu ojciec.

Conrad wykrzywił usta. Trzymał zimną dłoń ojca. Spoglądał na niego.

– Twoje oczy były jak z kamienia – powiedziała Agatha po pogrzebie. Objęła się ramionami i zadrżała. – Jak z kamienia.

Conrad usiadł. Dźwignął się z kozetki. Niepewnym krokiem poszedł w stronę łazienki. Nachylił się nad toaletą i poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła. Zakrztusił się; potem jeszcze raz. Wreszcie wyrzucił z siebie strużkę rzadkich wymiotów. Tego dnia prawie nic nie jadł.

Wytarł dłonią usta. Wyprostował się. Podszedł do umywalki i spryskał twarz wodą. Podniósł głowę. Spojrzał w lustro.

„Nie mogłem jej pomóc. Nie mogłem jej pomóc”.

Z ziemistej twarzy spojrzały na niego smutne brązowe oczy. Jego policzki były obwisłe i wyraźnie było na nich widać zmarszczki. Rudawozłote włosy kleiły się od potu do skóry, przez co wydawał się zupełnie łysy. Wyglądał staro, jak stary człowiek.

„Nie mogłem jej pomóc”.

W jego oczach znowu pojawiły się łzy. Jedna z nich przelała się przez brzeg dolnej powieki i spłynęła po policzku. Nie mógł wytrzymać jej widoku. Spuścił głowę.

– Nie mogłem jej pomóc – powiedział łagodnie. Powlókł się z powrotem do gabinetu.

Kuśtykając, podszedł do reclinera. Osunął się na niego. Zamknął prawe oko. Kiedy wymiotował, znowu coś zaczęło w nim błyskać. Przed oczami grały i płynęły mu czerwone chmury. Ten sam stary zachód słońca na Seminary Hill.

Oparł się o siedzenie fotela i zamknął oczy.

„Nie mogłem jej pomóc”.

Myślał o Elizabeth. O tym, jak zachowywała się tego wieczoru. Była tak dumna z ładnych ubrań, niemalże roztrzepana. Dumna z makijażu i czarnej kokardy spinającej jej z tyłu włosy.

„Mogę ci pomóc”. To właśnie jej powiedział. Pamiętał, w jaki sposób jej dłonie wyciągnęły się ku niemu. Jak rozpaczliwie złapała go za rękę.

„Może pan? Może pan? Przecież ja wiem, że stało się coś bardzo złego. Ale może się też wydarzyć dużo dobrego”.

– Och – jęknął na głos Conrad. Zakrył oczy dłońmi. Pograżony w bólu zakolysał fotelem w tył i w przód.

„Może się też wydarzyć dużo dobrego”.

– Ach, krew, krew.

Zacisnął przed sobą pięści. Siedział tak nachylony, ze skulonym ciałem, ściągniętą twarzą.

– Nie mogłem jej pomóc.

Potem się osunął. Oparł się znowu o tył fotela. Przed oczami pływały mu czerwone chmury. Ręce opadły luźno po bokach.

Na oparciu krzesła wisiał płaszcz Conrada. Ręce, kiedy opadały, zawadziły o jedną z kieszeni. Wyczuł tam jakiś kształt.

Conrad poprawił się w fotelu. Sięgnął do kieszeni i wyjął dyktafon. Nacisnął przycisk przewijania. Patrzył na niewielkie urządzenie, kiedy cofała się taśma.

Tuż przed początkiem nagrania nacisnął przycisk. Do jego uszu dotarł brzęczący i odległy głos Elizabeth.

„Za każdym razem wyglądał inaczej. To znaczy – Sekretny Przyjaciel. Chyba już o tym panu mówiłam, ale to bardzo ważne”.

Conrad rozparł się w fotelu. Położył dyktafon na brzuchu. Słuchał delikatnego szeptu Elizabeth.

„Lubiłam przebywać w pobliżu dzieci, chociaż zwykle ich już nie było, kiedy przychodziłam. Po prostu lubiłam być tam gdzie one”.

Pomyślał o jej twarzy. O alabastroworóżowym obrazie jej twarzy obramowanej jasnorudymi włosami.

„... Centrum Wolności, gdzie pracowałam, mieściło się w budynku przy niewielkiej uliczce w Village. Wąskiej wybrukowanej uliczce...”

Pomyślał o jej dłoniach, wyciągających się ku niemu. Rozpaczliwie. Rozpaczliwie sięgających po pomoc, po nadzieję. Jej głos mówił dalej. Kiedy go słuchał, czuł ból. Ból zdawał się w niego wrastać.

„Ale pewnej nocy kiedy wyszłam z centrum, ktoś tam był...”

Pomyślał o niej, o tym, jak siedziała w samochodzie, kiedy jechali w stronę Manhattanu. O jej niskim, czystym, krystalicznym

głosie, kiedy śpiewała o butelkach piwa. Pobrzmiwała w nim śmierć jak wiatr gwizdzący w ruinach. Głos na taśmie kontynuował:

„Zobaczyłam jego twarz. Jego rude włosy, jasną skórę, piegi. Miał na sobie ciemny płaszcz, a ręce trzymał w kieszeniach.

Taśma kręciła się dalej. Conrad trzymał dyktafon nieruchomo na brzuchu. Myślał o Elizabeth, o tym, jak wyglądała w tym ostatnim momencie. W momencie kiedy zatrzymał się przy drzwiach samochodu. Kiedy spojrzała na niego, a on poczuł znowu głębię we wnętrzu jej oczu. Jak widmo zamknięte w ruinach samego siebie. Samotna dusza złapana w pułapkę.

A potem dotknęła go ręką i dała mu to, czego potrzebował. Dała mu numer. Jej głos mówił dalej:

„... Odwróciłam się i uciekłam. Pobiełam uliczką tak szybko, jak tylko mogłam. Wpadłam na MacDougal... Nagle ktoś mnie złapał...”

Leżał w fotelu z zamkniętymi oczami. I myślał o krwi.

O strużce krwi na fotelu, na którym siedziała Elizabeth. To również bolało: myśl o tym i dźwięk jej głosu. Uśmiechnął się ponuro. To boli; tak. Nie otwierał oczu i ciągle myślał o krwi. Bolało coraz mocniej. Ale przecież po to właśnie puścił taśmę.

Głos Elizabeth kontynuował:

„»To on« – myślałam. Złapał mnie. Więc go uderzyłam... Kopnęłam go, zaczęłam się wyrywać...

Opuścił mnie powoli na ziemię... Roześmiał się...

Ponieważ, widzi pan, to nie był wcale on. To był inny mężczyzna. Młody, przystojny. Z taką trochę okrągłą chłopięcą twarzą”.

Conrad pozwalał, by jej głos oddziaływał na niego, by wgryzał się w sam środek. Widział dokładnie to, co opisywała Elizabeth. Ulicę w Village. Ciemną aleję z tyłu. Nagły uścisk ramienia wokół jej talii, a potem: ta twarz. Ta okrągła chłopięca twarz. Pojawiła się przed nim; cokolwiek znajoma...

„... brązowymi włosami opadającymi na oczy” – mówiła Elizabeth. „I miał miły uśmiech – mimo że śmiał się ze mnie, jego



uśmiech wydał mi się miły”.

W umyśle Conrada rysy twarzy mężczyzny nabrały wyrazistości. Widział, jak wyłaniają się jakby z głębokiego cienia.

„Popatrzyłam przez ramię na aleję.

I nagle, ni z tego, ni z owego, twarz tę rozświetliła przypominająca płomień zapalki pomarańczowa poświata: jego brązowe opadające na oczy włosy, miły uśmiech...

„Stałam przed kimś nieznanym, obcym, zdyszonym...”

Conrad wyprostował się szybko w fotelu.

– Co? – zapytał. – Co?

Spojrzał na dyktafon. Nagle jego palce zaczęły gwałtownie szukać przycisków. Wcisnął stop. Głos Elizabeth zamilkł. Wcisnął przewijanie. Playback.

„Pobiegłam uliczką...”

– Kurwa!

Przewinął do przodu. Wcisnął play.

„... to nie był wcale on. To był inny mężczyzna”.

Conrad przysunął dyktafon do ucha.

„Młody, przystojny. Z taką trochę okrągłą chłopięcą twarzą. Brązowymi włosami opadającymi na oczy. I miał miły uśmiech...”

– O mój Boże – powiedział Conrad. Terry: młody aktor. Mężczyzna, w którym się zakochała. Mężczyzna, który zniknął. Jej wymyślony kochanek.

Wyłączył znowu magnetofon. Położył go na kolanach. Spojrzał na niego, przyjrzał się mu, tak jakby urządzenie miało zamiar skoczyć na niego.

„Młody, przystojny. Z taką trochę okrągłą chłopięcą twarzą”.

– To był Jajo – szepnął Conrad.

Jajo był Terryem. Jej Sekretnym Przyjacielem.

## WYSPA WE MGLE

Ponad wodami cieśniny płynęły i kłębiły się opary mgły. Morze było ciemne, czarne i wzburzone. Chłodne październikowe powietrze zamieniało się w wiatr, który raz po raz zlizywał z fal bryzgi piany Jajo słyszał, jak rozbijają się o pale starej przystani.

Budka straży więziennej stała na placyku tuż przed przystanią. Była to właściwie zniszczona niebieska przyczepa, pogrążona w mroku rozpraszonym jedynie przez migające światło telewizora w jednym z okien. Opatulony w wiatrówkę Jajo stanął przy drzwiach i lekko zapukał.

W środku ktoś wyłączył telewizor. Okna zasnuł mrok. Jajo czekał, wsłuchując się w dobiegające z wnętrza odgłosy szurania nogami.

Chwilę później drzwi budki się otworzyły. W ich cieniu stanęła wysoka, szeroka postać: mężczyzna o kwadratowej, płaskiej brutalnej twarzy zwieńczony krótkim językiem. Miał na sobie szaroniebieskie spodnie od munduru, lecz jego koszula była rozpięta, a w okolicach ogromnego brzucha wypływał z niej podkoszulek.

Jajo zadrżał od wiejącego znad zimnej cieśniny wiatru.

– Gotowi? – zapytał.

– Jasne, Jajo – odpowiedział mężczyzna w drzwiach.

Jajo skinął głową.

– No to idziemy.

Przy płynęli motorówką straży: Jajo, strażnik i operator koparki. Ten ostatni siedział w kabinie. Był małym człowieczkiem ze zgarbionymi ramionami. Jego twarz pokrywały zmarszczki i fałdy, przez co przypominała mordę basseta. Siedział w środku i nerwowo odpalał jednego papierosa od drugiego.

Strażnik stanął przy sterze i prowadził motorówkę przez falę, zmuszając ją do pokonania krótkiego dystansu dzielącego

pasażerów od wyspy Hart. Jajo stał na zewnątrz, przy barierce na rufie. Mrużył oczy na wietrze, spoglądając na zmniejszającą się w tyle wyspę City, na jej nabrzeże i białe domki, na postrzępiony czarny zarys niknących w mgiełce drzew. Nerwowo stukał butem o pokład. Co chwilę splatał i rozplatał palce. Zniknął gdzieś kpiarski, niewymuszony wyraz jego oczu i swobodny uśmiech. Wpatrywał się ze skupieniem w oddalający się brzeg. Wiatr targał jego opadającą na czoło czupryną.

– *All or Nothing at all* – podśpiewywał w napięciu.

– La-da-da. Da da-da-daa...

Nagle zamilkł. Wziął głęboki oddech. Przetarł dłonią usta.

Wszystko albo nic, pomyślał. Wszystko albo, kurwa, nic...

Nucił pod nosem starą piosenkę tak długo, aż w końcu stała się tylko pozbawionym melodii pomrukiem, przytłumionym burczeniem silnika łódki i świstem wiatru.

– ... la-da-da-da... *Nothing at all*.

Spierdoliłeś sprawę. Spierdoliłeś sprawę, pomyślał. Pierdolony Świrus, pomyślał. To wszystko wina tego pojeba Świrusa, wszystko. Przecież wcale nie miało do tego dojść, do całego tego gówna z dziewczynką, do pierdolonego morderstwa... To przecież był tylko pomysł, dowcip, nic więcej...

Jajo zanucił kolejny takt piosenki. Potem bezgłośnie wypuścił resztę powietrza w wiatr. Pokręcił głową.

Pierdolony Świrus – pomyślał.

Naprawdę to wszystko przez Świrusa. To jego wina, że wszystko tak się popierdoliło. Niech to szlag, to nawet jego wina, że Maxwell musiał go zabić. Po pierwsze, przykleił się do dupska Dolence. A potem, jak pojawiła się Elizabeth – Świrus dostał świra. Od początku to wszystko jego wina.

Mieli od niej wydobyć numer i tyle. To nawet miało być zabawne. To miało być coś. Plan polegał na tym, że Jajo miał zaaranżować spotkanie z nią, a potem wypróbować na niej swój słynny numer „na przystojniaka”. Wszystkie szare myszki łapały się „na przystojniaka”. Potem mieli iść do starej opuszczonej

kamienicy, o której powiedział im Dolenko. Dolenko twierdził, że on i jego kumple urządzali tam imprezy. Powiedział, że wie, jak uruchomić tam prąd; że wcześniej już to robił. Wyporządkują jeden z pokojów i będą udawać, że to mieszkanie Jaja. Jajo przyprowadzi tam Elizabeth i wyrucha ją tak, że popłaczą się jej zwoje mózgowe. Po wszystkim zaczną sobie gawędzić, a on zapyta ją o jej przeszłość... Wreszcie swobodnym tonem zagadnie ją o matkę i o numer. Na koniec będą mieli to, czego potrzebują, a ona nawet się nie zorientuje. A kiedy będzie go potem próbowała znaleźć, on zniknie bez śladu jak japoński turysta.

Zresztą nawet gdyby nie udało im się wyciągnąć numeru, I tak miała być z tego kupa śmiechu.

I na tym właśnie polegał pomysł. Tak to miało wyglądać.

Ale wtedy Świrus ją zobaczył. Od tego momentu wszystko zaczęło się pierdolić.

Znaleźli ją w książce telefonicznej. Jajo i Świrus poszli do jej kamienicy na Upper West Side. Czekali przez jakąś godzinę po drugiej stronie ulicy. Wszystko co o niej wiedzieli, to jaki jest kolor jej włosów.

Mimo to już w momencie, kiedy pojawiła się w drzwiach, wiedzieli, że to ona.

– To ona? – zapytał Jajo.

– Chryste Panie – powiedział Świrus. – Popatrz na nią. Chryste, widzisz ją?

– To chyba ona.

– O Boże – świrował dalej Świrus. – To znaczy, o Chryste. Chryste, popatrz na nią. Wygląda, kurwa, jak anioł.

I tyle wystarczyło. Jedno spojrzenie. Potem Świrus nie potrafił już przestać o niej gadać. Poszli za nią do Village, do centrum opieki dziennej, w którym pracowała. A Świrus nie przestał świrować nawet wtedy, kiedy wrócili do domu.

– Chryste, jak ona wygląda. To znaczy, jak... wyglądała. Widziałeś?

Jajo zaczął się wkurzać.

– Co ci, kurwa, odbiło, zakochałeś się? – zapytał.

Świrus pokręcił głową. Przebiegł palcami przez swoją gęstą rudą czuprynę.

– Posłuchaj – powiedział. – Nie jestem już pewien, czy to dobry pomysł. Rozumiesz? Nie wiem, czy tego chcę. Posłuchaj: prawdopodobnie to i tak jakieś bzdety. Cały ten szajs, o którym nagadał nam Eddie Klawisz... Zastanów się, Jajo. No dobra: jak pracował w straży, rzeczywiście był dilerem. Niech będzie. Ale ty chcesz mi wmówić, że ten stary zapijaczony ramol ma fortunę – pół, kurwa, miliona! I że ją ukrył, zanim dopadli go fedzie, i że kasa ciągle tam jest! Pomyśl, czemu w takim razie sam jej sobie nie wziął? Na litość boską, to jakaś bajeczka. Zapomnijmy o tym, stary.

– Nie wierzę – powiedział Jajo. – Raz tylko spojrzalesz na tę pizdkę i już ci stanął? Stary, naprawdę z ciebie ciota, wiesz?

Świrus nie odpowiedział. Nie od razu. Po prostu krążył przez cały dzień po domu naburmuszony i wkurzony. A potem, wieczorem, nagle odezwał się i powiedział:

– Posłuchaj, zapomnijmy o wszystkim, dobra? Wypisuję się. Nie chcę w tym brać udziału.

Jajo wydarł się na niego jak na gówniarza. Puszczając kantem kumpli dla jakiejś małej kurewki! Puszczając kantem własnego współpacza dla jakiejś przypadkiem napotkanej rury! Ale Świrus nie zmienił zdania. Kiedy pojechali na Manhattan, żeby przygotować operację w kamienicy, został w domu.

A przynajmniej tak im powiedział. W rzeczywistości kiedy Jajo starał się wymyślić jakiś „przypadkowy” sposób na spotkanie z dziewczyną, Świrus odwiedzał ją w tajemnicy, próbując ostrzec przed całą akcją. Niestety – dla Świrusa – Jajo miał szczęście. Pewnego dnia, kiedy właśnie miał ruszyć aleją w stronę miejsca, gdzie pracowała, dziewczyna przemknęła obok niego i zatrzymała się tuż przed nadjeżdżającą taksówką. Jajo pociągnął ją i odsunął z drogi samochodu: idealne przypadkowe spotkanie. Sam by lepiej tego nie zaplanował. Potem zaczął odgrywanie swojej roli: był

aktorem i w ogóle. Wziął ją nawet do pobliskiego teatru i pokazał zdjęcie na ścianie (zakradł się tam wcześniej i przypiął jedną z promocyjnych fotek, które zrobił sobie, myśląc o przyszłej karierze piosenkarza). Bardzo szybko zaczęła mu ufać.

Kiedy Elizabeth powiedziała mu, że nęka ją jakiś mężczyzna, Jajowi nawet do głowy nie przyszło, że mógłby to być Świrus. Gość miał oczywiście prawo wycofać się z akcji, ale na litość boską – nigdy przecież by ich nie zdradził. Nie Świrus. Nie dla jakiejś przypadkowo napotkanej torby.

Kiedy jednak dziewczyna powiedziała, że mężczyzna znowu się pojawił, Jajo zaczął się zastanawiać, czy ktoś nie próbuje przerwać ich akcji. Potem nastąpiła czuła scena miłosna między Jajem a Elizabeth w kamienicy na Houses Street. Elizabeth wpadła w szał. Zaczęła krzyczeć. Powiedziała Jajowi, że jest w niebezpieczeństwie. A potem wybiegła w mrok.

To już zdołało zaniepokoić Jaja. Zaniepokoić i wkurzyć. Co tu się, do diabła, dzieje? Jakie niebezpieczeństwo? Z czyjej strony?

Jajo zawołał Maxwella, który chował się piętro wyżej. Razem ruszyli w stronę Upper West Side, gdzie znajdowało się mieszkanie Elizabeth.

Niełatwo było przekonać dziewczynę, żeby ich wpuściła. Kiedy to zrobiła, Jajo podszedł do drzwi, przykazując Maxwellowi, by zaczekał na korytarzu. Jajo zapukał. Drzwi się otworzyły... I szczeka Jaja opadła z siłą zabawki ciśniętej przez jakiegoś kapryśnego berbecia na podłogę.

Stał przed nim Świrus. Pierdolony Świrus. Stał sobie w mieszkaniu dziewczyny. W ręce trzymał rzeźniczy nóż, a z oczu patrzyło mu tak, jakby ktoś podpalił mu bebechy.

– Dobra, Jajo. Koniec zabawy – powiedział. – Zamieniam się w jej anioła stróża. Gdziekolwiek będzie, będę tam i ja. Zrozumiano? Więc zostaw ją, kurwa, w spokoju, dobra?

Okazało się, że dziewczynę zabarykadował w łazience, podpierając krzesłem drzwi. Waliła w nie pięściami i krzyczała. A Świrus kroił powietrze rzeźniczym nożem i powtarzał:

– Trzymaj się od niej z daleka, Jajo. Będę jej pilnował.

Trzymaj się z daleka.

Jajo wkurzył się, wyszedł z siebie. Czy to możliwe, żeby Świrus tak do niego gadał? Pierdolony Świrus?

Spróbował złapać Świrusa za rękę. A Świrus naprawdę spróbował go zranić! Zaatakował go rzeźniczym nożem; niemal odciął mu prawą rękę.

Ale w tym momencie na ratunek kumplowi pośpieszył Maxwell.

Olbrzym rzucił się przez drzwi. Złapał Świrusa za nadgarstek i Jajo usłyszał trzask łamanej kości. Po chwili Max miał już w ręku nóż. Jednym potężnym cięciem rozplątał Świrusowi szyję, tak że odskoczyła mu do tyłu. Wyglądało to tak, jakby Świrus zechciał nagle przyjrzeć się sufitowi. W pokoju wytrysnął gejzer krwi.

Ale Maxwell nie zatrzymał się na tym etapie. O, nie. Urządził prawdziwą rzeźnię numer pięć. Jajo stał z otwartymi ustami i patrzył, co robi Max. Przypominało to historię z kociakiem: Max był tak samo podniecony. Nie dało się go już powstrzymać.

Zresztą tak naprawdę Jajo nie był wcale pewien, czy chce go powstrzymywać. W końcu Świrus ich zdradził. I to dla jakiejś głupiej pizdy. Tylko dlatego, że jakaś rura miała słodkie oczy. W oczach Jaja było to niepojętym gównem.

Poza tym i tak po kilku sekundach było już po wszystkim. Świrus leżał na podłodze, miotając się i charcząc. Jego ręka odskoczyła od ciała i uderzyła w krzesło, odsuwając je od drzwi łazienki. W tej samej sekundzie wypadła z nich dziewczyna, upadając na umierającego Świrusa.

Jajo i Maxwell nie mieli zamiaru stać w miejscu i obserwować ich czułego powitania. W tym momencie cały budynek był już rozbudzony. Na korytarzach krzyczeli ludzie. Wybuchła panika. Jajo wiedział, że szybko muszą się zmywać. Musiał wrócić do kamienicy i wyczyścić mieszkanie, zanim zjawią się w nim gliniarze. Musiał zdjąć ze ściany teatru zdjęcia. A potem musiał wrócić do domu we Flushing, tak by kiedy zjawią się gliny, żeby powiedzieć mu, iż jego współlokator – Robert Rostoff *alias*

Świrus – nie żyje, leżeć zaspany w łóżku jak grzeczny, rozbudzony w środku nocy chłopczyk.

Jajo praktycznie wyciągnął Maxwella przez okno na wyjście pożarowe. Olbrzymi idiota był zbyt zajęty patrzeniem, jak umiera Świrus. Pocieraniem stojącego kutasa i obserwowaniem, jak Świrus kopie powietrze, rzuca się w konwulsjach i umiera.

W ten właśnie sposób znaleźli się w sytuacji, w której musieli zdobyć numer. Była to dla nich jedyna droga ucieczki, sposób na opuszczenie kraju. Z numerem – czyli z pieniędzmi – sprawy przybrałyby pomyślny obrót, byłiby w stanie osiągnąć wszystko, czego pragnęli. Jajo obgadał sprawę z Dolenką i Maxwellem i obaj się z nim zgodzili. Jasne, że tak – przecież byli o wiele bardziej wystraszeni niż on. Maxwell praktycznie wariował ze strachu. Za skarby świata nie chciał wrócić do więzienia. A Jajo powiedział mu, że jedynym sposobem na wykręcenie się z tego sianem jest zdobycie numeru. Z numerem będą wolni.

Zresztą nawet wtedy wszystko wydawało się dosyć proste. Dziewczynę zamknięto w wariatkowie, a kiedy Jajo wykonał pierwszy krok i przedstawił propozycję tamtejszemu dyrektorowi, Sachsowi, ten natychmiast na wszystko się zgodził. Trochę kasy i obietnica znacznie większej kasy – to wystarczyło, żeby go nakręcić. Niestety, koniec końców gość okazał się dyplomowanym dupkiem. Kiedy zapytał dziewczynę o numer, ta znowu wpadła w szal. Przestała się do kogokolwiek odzywać, powiedział Sachs. W ogóle nie gadała.

Jajo był wściekły. Wziął ze sobą Maxwella, by zobaczyć się z Sachsem. Lepiej, żeby dziewczyna zaczęła gadać, i to szybko, powiedział. Sachs wpadł w panikę. Stwierdził, że jedynym gościem, którego zna i który byłby w stanie szybko przekonać ją do gadania, jest słynny doktor Nathan Conrad...

– Jo!

Stłumiony okrzyk strażnika zmusił Jaja do powrotu do



rzeczywistości. Spojrzał przez ramię i zobaczył kolegę stojącego przy sterze motorówki. Strażnik pochylił nieznacznie głowę do przodu. Jajo obszedł kabinę łodzi i podążył wzrokiem za linią wyznaczaną przez poręcz.

Kiedy przed jego oczami roztoczył się widok, Jajo wziął głęboki oddech. Wetknął w usta papierosa, ale nie zapalił go. Stał ze zwisającą z ust fajką, trzymając jedną dłoń w kieszeni, a drugą na poręczy. Patrzył, jak mgielka rozdziela się przed dziobem motorówki, jak czarny cień wyspy Hart staje się coraz bliższy.

## SKEETER I MCGEE

– Teraz – powiedział D'Annunzio.

Długowłose ubrany po cywilnemu mężczyzna pchnął drzwi i odskoczył do tyłu. D'Annunzio przylgnął do ściany, odsuwając się z widoku. Za nim kolejny mężczyzna w cywilnym ubraniu, czyli Skeeter, zrobił to samo. Wszyscy wyciągnęli pistolety i ustawili je w pozycji gotowej do strzału.

Czekali, nasłuchując. Z pogrążonego w ciemnościach mieszkania nie dobiegały jednak żadne dźwięki.

– Dobra – powiedział ostrym szeptem D'Annunzio.

Oddychając ciężko, zaczął się skradać w stronę wnętrza mieszkania. Wycelował trzydziestkęsemkę. Skeeter i długowłose mężczyzna – McGee – weszli za nim. Skeeter szedł na lewo od niego, McGee – na prawo. Obaj pistoletami omiatali przestrzeń przed sobą. Trzymali je w obu dłoniach. Wbijali wzrok w ciemność.

Kształty w pokoju przed nimi były nieruchome. Cienie stojące i cienie przykucnięte: zdawały się odpowiadać im własnymi spojrzeniami.

– Zapalcie światło – szepnął D'Annunzio.

McGee zaczął się cofać, aż wreszcie trafił na włącznik. Zapaliło się światło, które oślepiło całą trójkę. Przymrużyli oczy, starając się utrzymać pistolety w odpowiedniej pozycji.

Zobaczyli jednak tylko meble. Stół, dwie sofy, kilka składanych krzeseł. Drewniana podłoga lśniła jaskrawo w świetle sufitowej lampy. W miejscach gdzie wcześniej leżał usunięty już chodnik, widniały bezbarwne plamy.

D'Annunzio przesunął się bardziej w głąb, sapiąc i dysząc. Skeeter i McGee rozbiegli się po obu jego stronach.

W ścianie po prawej mężczyźni zobaczyli drzwi. D'Annunzio przysunął do nich głowę. Skeeter odkleił się od reszty. Był jeszcze młody, a oczy miał duże i jasne. Nosił

sfatygowane ubranie, a na policzkach miał trzydniowy zarost. Pracował jako tajniak i kiedy McGee wpadł po niego do Grand Central Terminal, akurat udawał menela.

Skeeter pchnął palcami drzwi. Potem zaatakował je i zniknął w sąsiednim pokoju. D'Annunzio i McGee czekali.

– Pusty – zawołał po chwili Skeeter.

D'Annunzio od razu wsunął pistolet do kabury. McGee był mniej chętny. Przeszukał jeszcze raz wzrokiem pokój, zanim wsunął swoją broń za pasek pod bluzę. Też był młody, ale wydawał się zahartowany i spokojny. Miał długie czarne włosy i podkręcony do góry wąs. Ubrany był w dżinsy i wiatrówkę koloru khaki. Kiedy usłyszał radiowe wezwanie, by zadzwonić do Morana, prowadził właśnie taksówkę.

McGee wreszcie schował pistolet, podniósł głowę i pociągnął nosem.

– O kurka – powiedział. – Śmierdzi, jakby się ktoś spierdział.

D'Annunzio odchrząknął i rozejrzał się.

Aż do tego momentu rozgrywał wszystko bardzo ostrożnie. Nawet kiedy znalazł ciało Billy'ego Price'a, wolał sam trzymać rękę na pulsie. Wyszedł z mieszkania i wrócił do Plotkina. Skorzystal z jego telefonu, by zadzwonić do Morana.

– Potrzebuję tylko paru gości, żeby się rozejrzeć – powiedział. – Żadnych mundurowych. I nie gadamy przez radio. Nie mam pojęcia, czym dysponują ci kolesie.

Nie wspomniał o mieszkaniu Sinclair. Nie chciał, żeby Moran zaczął się wtrącać.

D'Annunzio odłożył słuchawkę i w sekundę po tym był już za rogiem. Uciał sobie krótką pogawędkę z portierem apartamentowca pani Sinclair. Dopóki D'Annunzio nie wspomniał o jej mieszkaniu, portier był zwyczajnym wysokim, szczupłym czarnym mężczyzną z zepsutymi zębami. Kiedy policjant to zrobił, portier zamienił się w wysokiego, szczupłego zielonego mężczyznę spoconego jak szczur.

– Nie mam, ni kurwy, pojęcia, co tam się dzieje – wyjaśnił. –

Nic, ni kurwy, nie wiem, i nic, ni kurwy, nie chcę wiedzieć. Mam to, kurwa, w dupie, rozumiesz pan? To gówno. Śmierdzące gówno.

– Czy ktoś tam teraz jest? – zapytał D’Annunzio.

– Nie, a nawet jeżeli, mam to w dupie, słyszysz pan? Mam, kurwa, w dupie, czy ktoś tam jest, i mam, kurwa, w dupie, czy kogoś tam nie ma. Wszystko mam, kurwa, w dupie.

– Dawaj pan klucz – powiedział D’Annunzio.

– Kurwa – odparł portier. – Dam panu, kurwa, ten pierdolony klucz. A pan wsadź go sobie, kurwa, gdzie pan chcesz. Mam to w dupie.

D’Annunzio zabrał klucz. W tym samym momencie przybyli taksówką Skeeter i McGee.

Cała trójka ruszyła po schodach, by sprawdzić mieszkanie.

Kiedy D’Annunzio był w mieszkaniu, zdał sobie sprawę, że będzie musiał wezwać kawalerię. Myśl ta sprawiła, że zaczął mu drgać kącik ust. Kiedy Moran zwiertzy trop, znajdzie się na miejscu szybciej niż kula karabinowa. Potem przyjedzie grupa robocza techników, wyższych oficerów i błyszczących garniturków. Wreszcie zjawią się fedzie – najgorsi ze wszystkich. D’Annunzio pracował z federalnymi po zabójstwie Castellana. Pozwolili odbębnić policjantom czarną robotę, tak żeby nie zapaskudzić sobie wypielegnowanych paznokietków szarpaniną z uliczną dziwką. Ale potem, kiedy zaczęła się konferencja prasowa, nagle zaczęli udawać pierdolonego Tommyego Lee Jonesa. D’Annunzio pokręcił głową i wzdrygnął się. Moran, fedzie i cała reszta: byli ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował.

Na lewo od niego McGee otworzył drzwi niewielkiej szafy. Wetknął do środka głowę.

– Tylko stos ubrań – zawołał.

D’Annunzio rzucił okiem. Rzeczywiście zauważył na podłodze stertę brudnych ubrań. Poza tym szafa była pusta.

– Niczego nie dotykaj – powiedział.

Odwrócił głowę. Przed nim, przed szklanymi prowadzącymi na balkon drzwiami, stał leżak. Kiedy D’Annunzio trochę się

zbliżył, zauważył leżącą na nim lornetkę. Podreptał do niej. Stał i nachylił się nad nią, niczego nie dotykając. Niezła sztuka, prawdziwy majstersztyk. Musiała kogoś kosztować co najmniej parę stówek, pomyślał.

Podciągnął spodnie i schylił się, by podnieść lornetkę.

– Hej, D’Annunzio!

Grubas wyprostował się i odwrócił. Z sąsiedniego pokoju wyszedł Skeeter. W rękach ścisnął różową maskotkę. Trzymał ją ostrożnie za ucho kciukiem i palcem wskazującym.

– Znalazłem na łóżku. Żółw Tot. Moja córka też ma takiego.

D’Annunzio skinął głową.

– Jasne, super, ale połóż go tam, gdzie był. Przepocisz go i technikom na nic się nie przyda.

– Jasne – powiedział McGee, spoglądając z szafy. – Jedna kropla tego syfu tutaj, a laboranci powiedzą nam, kto jest ojcem żółwika.

Skeeter roześmiał się. Zaniósł pluszowego zwierzaka z powrotem do sąsiedniego pokoju.

– A teraz zobaczmy, co my tu mamy – powiedział miękko D’Annunzio.

Jęknąwszy cicho, podciągnął spodnie powyżej pasa. Dopiero w tym momencie mógł nachylić się znowu i podnieść lornetkę. Przytrzymał ją ostrożnie w dwóch palcach, lecz obie lunety błyszczały jak kamyki w rzece: detektyw wiedział, że nie ma na nich odcisków. Podniósł lornetkę do oczu i wyjrzał przez szklane balkonowe drzwi.

– Stary, no, ej, stary – powiedział. – Ale potężne gównno teraz produkują.

Okazało się, że zagłąda prosto do mieszkania Conradów. Wiedział, że to ich mieszkanie, bo mógł przeczytać adres na leżącej na parapecie kopercie. Ścisnął delikatnie lornetkę, przesunął ją trochę na prawo.

– W porządku – mruknął do siebie. – W porządku. Pani Conrad, jak mniemam?

Kiedy zajrzał do sypialni, zobaczył, że kobieta stoi na

korytarzu, przy wejściu do łazienki. Prawdopodobnie czeka na niego, aż wróci i pogada z nią znowu przez kratkę, pomyślał.

Stała z podniesionym ramieniem i ręką opartą o framugę. Opuściła głowę; jej rude włosy zwisały w wilgotnych kosmykach, zakrywając twarz.

Patrząc na nią, D'Annunzio ściągnął wargi.

– Niezłe cycki – powiedział.

Skeeter wybiegł z sypialni;

– Co? Co?

McGee wyszedł z szafy i ruszył w stronę D'Annunzia.

– Pokaż – powiedział.

## WIDMO

Aggie nie spodziewała się dzwonka. Stała w drzwiach do łazienki, czekając na D'Annunzia, z którym mogłaby znowu porozmawiać przez kratkę. Ciągle tam stała, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi. Stała ciągle z podniesioną ręką i dłonią wspartą o framugę. Stała z pochyloną głową i włosami opadającymi w strąkach wokół twarzy. Wpatrywała się w próg, nie płacząc już, po prostu się wpatrywała; czuła się wyżęta i sucha. Jej lęk – gęsty, wykrzywiony uścisk ciągłego lęku – wyżał ją, wyżał od środka. Nie potrafiła już płakać. Mogła tylko patrzeć, tylko czekać, a lęk ciągle ją tylko wykręcał. I wtedy odezwał się dzwonek.

Kiedy go usłyszała, zamknęła oczy. Pokręciła głową. Zamrugła ze znużeniem. A potem podniosła oczy i spojrzała w stronę kąta wysoko u sufitu łazienki, w stronę kratki systemu ogrzewania, jakby w niebo. Zadrżały jej usta, ale oczy ciągle były suche.

Dzwonek ucichł. Rozległo się za to ostre walenie pięściami w drzwi.

– Pani Conrad. Tu detektyw D'Annunzio. Już wszystko dobrze. Może już pani otworzyć.

Przełknęła z trudem, ale gula w jej gardle bynajmniej nie miała zamiaru powędrować w dół. Serce zaczęło jej walić tak mocno, że myślała, iż to już koniec. Wyprostowała się, pozwalając, by ręka ześlizgnęła się jej po ościeży. Odgarnęła włosy z czoła. Rozejrzała się, tak jakby nie miała pojęcia, gdzie się znajduje. Odeszła powoli od drzwi. Powłokła się korytarzem.

D'Annunzio nadal pukał.

– Pani Conrad? – wołał. Miał szorstki głos. Aggie poznała go – był to ten sam głos, który dobiegał z kratki. Wołał i wołał.

Mimo wszystko Aggie wahała się długą chwilę. Stała przed drzwiami, wpatrując się w nie jak w przeciwnika. Spoglądała nieufnie spode łba.

D'Annunzio ciągle pukał i wołał.

– Pani Conrad? Może pani otworzyć. Już wszystko w porządku.

Dopiero po chwili bardzo powoli podniosła dłoń. Patrzyła, jak unosi się i sunie do przodu, tak jakby nie należała do niej. Chciała odwołać ten ruch, powiedzieć ręce, żeby się zatrzymała, żeby była ostrożna. Ale ona i tak się unosiła i po chwili ścisnęła już gałkę.

Aggie przekreśliła gałkę i pociągnęła drzwi. Otworzyły się.

Patrzyła na mężczyznę, na stojącego w korytarzu mężczyznę. Był otyły, niechlujny i tłusty, ociekał tłuszczem, jakby w jego ciało tak długo wpychano jedzenie, aż nie dało się w nim zmieścić ani okruszka więcej. Koszula w kratę i niebieskie spodnie wydymały się jak balon, jakby za chwilę miały wybuchnąć. Marynarka mężczyzny zwisała po bokach, jakby ktoś przeciął ją na pół.

Aggie spojrzała na niego. Zamrugła i zmrużyła oczy; otworzyła usta i odwróciła do połowy głowę. Zobaczyła okrągłą szorstką twarz z umieszczonymi w środku szklistymi oczkami. Poczula zapach mężczyzny: jego gazów, jego potu, jego zepsucia.

Mężczyzna stał nieruchomo, dyszał tylko tak, jakby przed chwilą przestał biegać. Podniósł mięsiste ramię, przez co uniosła się również połowa jego marynarki. W pulchnej łapie trzymał odznakę, odznakę i identyfikator.

– Detektyw D'Annunzio, pani Conrad – oznajmił. – Porywacze opuścili mieszkanie pani Sinclair. Już pani nie obserwują. Może już pani wyjść.

Aggie stała bez ruchu. Znowu zamrugła.

– Wyjść? – zapytała niepewnie. Własny głos jej samej wydał się bardzo słaby. Był bardzo słaby i dobiegał z daleka.

Tłusty mężczyzna skinął głową. Aggie niepewnie zbliżyła się do niego na krok. Przekroczyła próg mieszkania. Wyszła na korytarz. Odwróciła głowę i spojrzała w głąb holu. Z prawej strony zobaczyła rząd brązowych drzwi. Z lewej – drzwi do windy. Odwróciła się z powrotem i spojrzała na mężczyznę.

Stała bardzo blisko niego. Zapach jego starego potu i



zjełczałych bąków otoczył ją na kształt chmury. Wyczuła jego oddech. Był gorący i kwaśny. Spojrzała w oczy detektywa. Zobaczyła w nich, że jest złośliwy i podły.

Podeszła jeszcze o krok i przytuliła głowę do piersi policjanta. Ogarnął ją jego zapach. Był ciepły. Zamknęła oczy.

Poczuła, jak pulchna dłoń D'Annunzia głaszcze ją z tyłu po głowie.

Po chwili siedziała już w fotelu. Wszędzie wokół niej byli mężczyźni, wszędzie rozlegały się męskie głosy. W dłoniach trzymała szklankę wody, którą ktoś jej wręczył, a którą ona ścisnęła z całej siły. Przyjemnie było czuć w dłoniach jej dotyk. Aggie od czasu do czasu wypijała łyk wody. Przyjemnie było czuć dotyk lodu na wysuszonych wargach.

Słuchała pomruku męskich głosów. Były głębokie i silne. Podnosiły ją na duchu. Przypominały jej chwile, kiedy sama była dzieckiem, kiedy siedziała przed telewizorem w salonie i słyszała głosy dorosłych przy kuchennym stole. Tata, mama, wuj Barry i ciocia Rose. Patrzyła na Heckle i Jeckle ścigających się na ekranie telewizora, słyszała niski pomruk głosów dorosłych, odczuwała doniosłość wydarzeń i pławiła się w spokoju własnej bezsilności. Cokolwiek by się wydarzyło, oni i tak się tym zajmą...

Wypiła łyk wody. Jej oczy błędziły z roztargnieniem po zgromadzonych w pokoju mężczyznach. Obserwowała, jak rozmawiają. Patrzyła na ich poważne usta, na ostre szczęki, głębokie cienie na brodach. Dwóch mężczyzn było w mundurach. Ciągłe wchodzili i wychodzili. Obaj byli bardzo młodzi, właściwie byli jeszcze chłopcami, ale wyglądali na poważnych, twardych i zajętych. Na biodrach mieli pasy, z których zwisały ciężkie pistolety. Pozostali mężczyźni mieli marynarki i krawaty, przez co wyglądali jak biznesmeni. Emanowała z nich kompetencja. Aggie odwróciła się i obserwowała, jak jeden z nich kładzie dłoń na biodrze i odsuwa marynarkę, odsłaniając pistolet przypięty do paska.

Wreszcie oczy Aggie spoczęły na D'Annunziu. Policjant stał

obok drzwi dzieciennego pokoju. Poła jego marynarki prawie całkowicie odsłaniała teraz spodnie. Aggie dostrzegła płat białej skóry w okolicach pępka. Złoty krawat detektywa był poluzowany i widać było pod nim grubą owłosioną szyję. Aggie przypomniała sobie jego zapach, gorącą wilgoć koszuli przyciśniętej do jej policzka. Jaki jest? Człowiek o takim zapachu, człowiek, który pozwala sobie na to, by tak śmierdzieć. Obserwowała go i myślała: jest mu wszystko jedno. Żyje sam, nikogo nie lubi i jest mu wszystko jedno. Wyobrażała sobie, że jest zdolny do paskudnych rzeczy i że nie ma żadnych skrupułów: może się przespać z dziwką albo kraść. Może nawet kogoś zabić. Pomyślała, że mógłby kogoś zabić, a potem splunąć na ziemię.

Miała nadzieję, że jej nie zostawi. Pragnęła móc na niego patrzeć, bo kiedy był w pobliżu, czuła się nieco spokojniejsza.

D'Annunzio rozmawiał z innym mężczyzną, wysokim mężczyzną w czarnym garniturze. Aggie przypomniała sobie, że to agent specjalny, agent specjalny Calvin. Przypomniała sobie, że przedstawił się jej i zadał kilka pytań. Był bardzo inteligentny i ponury, ale jednocześnie trochę za ładny. Miał faliste jasne włosy i wysuniętą, przedzieloną dołeczkiem brodę, która wyglądała jak wyrzeźbiona w kamieniu. D'Annunzio mówił do niego, a ona wyobrażała sobie, że opowiada mu, jak mają się sprawy.

Ktoś zrobił w pokoju dzieciennym zdjęcie. Na oczach Aggie błysnęła lampa. Zobaczyła wyraźnie oświetlony łuk tęczy, którą sama wymalowała na ścianie. Na chwilę znowu ogarnął ją lęk. Spłynął po niej. Zadławił ją. Być może porywacze ciągle obserwują, pomyślała; być może wiedzą, co zrobiła, że wezwała policję i może...

Pochyliła się trochę, zadrzała i zaczęła łapać oddech.

„Och, Jessie. Och, Nathan, och, moje biedne maleństwo”.

Wypuściła powoli powietrze. Wyprostowała się. Podniosła szklankę z wodą do ust. Zadrzała jej ręka i krawędź szklanki zadzwoniła o zęby. Wypiła łyk wody. Wsłuchiwała się w męskie głosy. Pozwoliła, by ogarnął ją niski, mocny pomruk – nieprzerwane brzęczenie, które czasem rozbijało się na

poszczególne słowa:

- ... gołymi rękami?
- ... *co* mówił doktor.
- ... to jakiś potwór...
- ... wyglądało tak samo jak w sprawie Sinclair. Pamiętam, jak mówili, że...
- Popatrz, co znaleźliśmy.

Ostatnie zdanie zostało wypowiedziane trochę głośniejsze niż poprzednie. Aggie spojrzała w stronę, z której dobiegł głos. W przejściu stał młody mężczyzna. Trzymał w ręku niewielki plastikowy woreczek z jakimś przedmiotem w środku.

– To przekaźnik. Podłączyli go do centrali na dole – powiedział. – Czy telefon był zepsuty? Wypróbujcie go.

Jeden z mężczyzn podniósł telefon. Słuchał przez chwilę.

– Tak, teraz już działa.

– Nie da się tego wysledzić – powiedział mężczyzna w przejściu. Zachichotał ze zdumieniem i pokręcił głową. Potem ruszył w głąb korytarza i zniknął z widoku.

– Pani Conrad?

Rozpoznała po zapachu, że to D'Annunzio. Odwróciła się do niego, uśmiechając się słabo.

Tłusty mężczyzna z wyraźnym trudem usiłował klęknąć przy krześle. Dyszał z wysiłku. W końcu udało mu się umieścić głowę na tym samym poziomie co Aggie. Spojrzała na guzy i fałdy na jego twarzy. D'Annunzio w jednej z dłoni trzymał otwarty notatnik. Zerknął do niego. Aggie zauważyła, że po drodze jego wzrok zahaczył na sekundę o jej piersi. Poczowała, że coś narasta jej w gardle.

– Uhm... Proszę... Uhm... posłuchać... – powiedział. – Czy zna pani lekarza, który nazywa się, uhm, zobaczmy: Jerald Sachs? Jest... dyrektorem Centrum Psychiatrycznego Impellitteri.

Aggie skinęła głową.

– Tak. Nathan go znał. Zna. Dlaczego pan pyta?

– Czy to przyjaciel pani męża?

– Nie. Nie, Nathan nie... nie lubi go. Według niego jest za

bardzo... polityczny.

– A może zna pani kobietę o imieniu... Już mam: Elizabeth Burrows? Słyszała pani o niej.

Pokręciła głową.

– Jest pacjentką Impellitteri.

– Nie – powiedziała. – To znaczy... Nathan nie wymienia przy mnie nazwisk pacjentów. Ale... Nie wiem, nazwisko brzmi trochę znajomo.

– Tak. Może czytała pani o nim w gazetach.

– Właśnie. Właśnie tak. Morderstwo z gazet.

Okrągła głowa D'Annunzia podskoczyła w górę i w dół. Policjant potarł dłonią policzek i popatrzył do notatnika.

– Nie mam pojęcia, o co tutaj chodzi. Powiem pani tylko, co wydarzyło się do tej pory. Pół godziny temu został znaleziony doktor Sachs. Leżał związany pod łóżkiem w Impellitteri. Łóżko zajmowała ta Elizabeth Burrows, która przebywała na Oddziale Zamkniętym, gdzie trzyma się więźniów. Sachs został pobity do nieprzytomności, wygląda na to, że za pomocą krzesła. A pani męża widziano, jak wychodził ze szpitala z panną Burrows...

– D'Annunzio przekręcił rękę i spojrzał na zaciśnięty wokół grubego nadgarstka zegarek. – Mamy teraz po jedenastej, więc wydarzyło się to ponad dwie godziny temu.

Aggie znowu pokręciła głową.

– Nathan nigdy by nikogo nie uderzył krzesłem. W ogóle nikogo by niczym nie uderzył.

– No cóż... wie pani... Cóż... Rozumiem – powiedział D'Annunzio. Zatrzasnął notatnik. Wepchnął go do kieszeni marynarki. Odchrząknął i odgarnął do tyłu włosy. – Problem polega na tym, że ten typak Sachs nie chce gadać, nic nam, kur... czę, nie chce powiedzieć. Ciągłe jest trochę otumaniony, ale... Chodzi o to, że zażądał adwokata, rozumie pani? A w takim razie dziś wieczorem nic z niego nie wyciągniemy. Nie wiem...

Głos mu zamarł. Policjant przez chwilę milczał. Następnie podniósł się z głębokim jękiem.

– Rozumiem, że pańskim zdaniem Nathan pomógł jej w

ucieczce? – zapytała nagle Aggie.

– Wie pani, nie wiemy...

– Myśli pan, że porwali Jessie, żeby zmusić Nathana do pomocy morderczyni w ucieczce?

D'Annunzio wzruszył ogromnymi ramionami.

– Co mam pani powiedzieć? Możliwe. Nie wiemy.

Aggie spojrzała na niego. Zauważyła, że jego wzrok znowu ześlizgnął się po jej piersiach. Podchwyciła go, tak że policjant musiał spojrzeć na nią. Wygląda, pomyślała, jakby coś o niej wiedział.

– Chyba jednak mógłby – powiedziała cicho.

– Słucham?

– Uderzyć człowieka krzesłem – dokończyła. – Gdyby musiał. Zabiłby gdyby został do tego zmuszony. Zrobiłby wszystko.

D'Annunzio skinął głową.

– Tak, proszę pani – powiedział.

– D'Annunzio!

Był to głos agenta specjalnego Calvina, dobiegający od drzwi dzieciennego pokoju. Oczy policjanta były przenikliwe i jasne. Przywołał gestem dłoni D'Annunzia. Grubas podreptał w jego stronę.

Aggie odwróciła się. Zatopiła się w sobie. Siedziała, starając się nie drżeć, starając się nie poddać kolejnej fali lęku. Z całej siły ścisnęła szklankę wody. Wsłuchiwała się w głosy mężczyzn: nieprzerwane, głębokie, hipnotyczne.

– ... dozorca za rogiem...

– Tak, pocił się jak Świnia.

– Posłuchaj. Powiedział: „Myślałem, że to tylko dilerzy narkotyków”.

– ... taki żałosny Irlandczyk, mówię ci...

– ... pomóżcie doktorowi Conradowi...

– ... słyszałeś o tym?...

– ... znaleźli kolejnego truposza w centrum...

– ... właśnie, w centrum?...

– ... tylko przez radio...  
– ... mu pomóc – doktorowi Conradowi...  
– ... uważają, że są ze sobą powiązane. Dziewczyna, pacjentka...  
– Musicie pomóc doktorowi Conradowi.  
– ... facet płacze, możesz w to uwierzyć?...  
– ... porządnie pocięty...  
– ... doktorowi Conradowi. Pomóżcie mu.  
– ... martwy?...  
– ... pod kontenerem...  
– ... który twierdzi, że są powiązane...  
– Ktoś musi pomóc doktorowi Conradowi! Musicie mu pomóc! Proszę!

Nagle głosy mężczyzn zupełnie zamilkły. W powietrzu zawisł ostry krzyk. Kobiety krzyk. Aggie aż podniosła głowę i rozejrzała się zaskoczona po męskich postaciach.

– Proszę – zawołała znowu kobieta. – Proszę. Posłuchajcie mnie. Ktoś musi mu pomóc. Doktorowi Conradowi. Porwali jego córkę. A teraz chcą wykopać moją matkę. Proszę.

W tym momencie Aggie ją zobaczyła. Sunęła pomiędzy nimi jak widmo. Szła z trudem, potykając się, upiornie – krok za krokiem. Mężczyźni stanęli jak wryci, milczący, nieruchomi. Patrzyli, jak kroczy między nimi jak przez nawę. Ręce trzymała z tyłu, tak jakby były związane. Jej oczy były tak ogromne i białe, że zdawały się pochłaniać większość twarzy. Dziewczyna była cała we krwi, Aggie dopiero teraz to zauważyła. Krew była wszędzie na jej ciele. Krwią przesiąknięta i poplamiona była jej wymięta różowa sukienka, krew spływała jej po policzkach i po zmierzwionych kępkach jasnorudych włosów.

– Musicie. Musicie mu pomóc. Proszę. Ktoś... ktoś musi pomóc doktorowi Conradowi. To Terry. On jest prawdziwy. Chce wykopać moją matkę. Proszę.

– Hej, panienko... Cholera jasna! Zaczekaj tu chwilę.

Wydawało się, że rozkaz – głęboki męski głos – obudził cały pokój. Znowu dał się słyszeć pomruk.

- Po co ją tutaj przyprowadziliście?
- Zaczekaj tu.
- Przytrzymaj ją. Niech ktoś ją zabierze.
- Hej, nie można tu tak sobie wchodzić.

Nawa, która – jak się wydawało – otworzyła się przed nieznajomą, nagle z powrotem się zamknęła. Po obu stronach dziewczyny pojawili się mężczyźni i złapali ją za nagie, poplamione krwią ramiona. Dziewczyna, ciągle z rękami na plecach, próbowała walczyć z uściskiem. Aggie zauważyła, że dłonie ma skute kajdankami.

– Nie! – krzyknęła dziewczyna. – Musicie posłuchać! Musicie mu pomóc.

– W porządku, w porządku, spokojnie, panienko. Tylko spokojnie.

– Trzymaj ją.

– Proszę! – Krzyk zdawał się wydobywać z głębi gardła. Mężczyźni po obu stronach mocno trzymali dziewczynie ręce, zdołała więc tylko odrzucić do tyłu głowę i zawyc w stronę sufitu: – Proszę!

– Zaczekajcie! – Aggie spróbowała postawić szklankę na stoliku, lecz ta przewróciła się, potoczyła po blacie i roztrzaskała na podłodze. – Przestańcie, na miłość boską! – powiedziała. Zerwała się na nogi. Wyciągnęła rękę. – Przestańcie!

Dźwięk jej głosu i brzdęk rozbijanej szklanki wszystkich zatrzymał. W pokoju nastąpiła cisza. Twarze mężczyzn się odwróciły. Aggie poczuła na sobie twarde spojrzenia. Zerknęła na D'Annunzia. On również patrzył na nią i czekał.

Spojrzała na pozostałych, na wszystkich.

– Pozwólcie jej mówić – powiedziała łagodnie. – Puśćcie ją. Niech mówi.

Mężczyźni odwrócili się od Aggie w stronę drugiej kobiety. Powoli obce ręce na jej ramionach zwolniły uścisk. Mężczyźni puścili dziewczynę i cofnęli się trochę. Ona stała, kołysząc się na palcach, z głową odrzuconą do tyłu i oczami utkwionymi w suficie.

Po chwili wysunęła podbródek. Opuściła nieco głowę. Spojrzała na mężczyznę. A potem na Agathę.

Agatha odgarnęła włosy z twarzy i spojrzała przez cały pokój na kobietę. Ta, kręcąc głową, patrzyła na nią z ogromną dezorientacją i otwartymi ustami.

– Kim jesteś? – zapytała.

Agatha odpowiedziała łagodnie:

– Jestem jego żoną. A ty?

Kobieta jeszcze przez chwilę kręciła głową. Wreszcie wiedziała:

– Jestem jego Elizabeth.

A potem upadła na podłogę.



## EDDIE KLAWISZ

Motorówka straży więziennej uderzyła lekko o przystań na wyspie Hart. Jajo przekroczył burtę z liną w ręku i przywiązał łądz. Operator koparki wyszedł na pokład. Niepewnie przelazł przez barierkę. Kiedy stał już obok Jaja na przystani, ten rzucił linę z powrotem na motorówkę. Strażnik pomachał mu zza steru.

– Najpóźniej o jedenastej dziesięć, Jajo – zawołał ostrym szeptem. – Muszę wrócić na zmianę Warty.

Jajo pomachał mu w odpowiedzi.

– Półtorej godziny. Będę tutaj. Nie ma sprawy. Motorówka odbiła od przystani. Zakręciła już na wodzie i terkocząc, popłynęła z powrotem w stronę wyspy City. Minutę później zamknęła się za nią mgła. Odgłos silnika zamarł.

Na wyspie panowała cisza z wyjątkiem plusku fal rozbijających się o plażę.

Jajo wyciągnął latarkę z kieszeni wiatrówki. Omiótł szybko jej strumieniem teren. W dali, za kępką drzew, dostrzegał zarys modułów: starych szarych baraków wyrastających za ogrodzeniem z drutu kolczastego. Dawniej, kiedy jeszcze Jajo tam bywał, więźniowie, którzy zgłosili się na ochotnika do pracy na wyspie, mieszkali w tych modułach przez cały dzień. Teraz miasto oszczędzało i przywoziło ich każdego dnia z Rikers.

Dzięki temu w nocy wyspa Hart była całkowicie opustoszała.

Od strony przystani wiła się w głąb lądu wąska asfaltowa dróżka. Jajo i operator koparki ruszyli wzdłuż niej. Po obu jej stronach szybko wyrósł gęszcz jesiennych drzew szeleszczących liśćmi przy podmuchach wiatru. Między nimi, między ich gałęziami, garbiły się masywne, niszczone stare budynki. Światło latarki Jaja tańczyło na wyszczerzonych zębach rozbitego szkła w ich pustych oknach.

– Kurewsko upiornie – powiedział Jajo.

Operator koparki nie podjął tematu.  
Ramie w ramie wędrowali pod drzewami.

Jajo znał drogę na cmentarz. Miejsce to było wpisane w jego pamięć – jak jego rodzinna miejscowość, jak ulice Jackson Heights. Tropikalny upał pod drzewami latem, przenikliwy wiatr od wody zimą – czasem wręcz je odczuwał, jak wspomnienia wyryte w jego ciele. Widział ciężkie niebo – zamglone i bezbarwne za dnia, bezgwiazdne w nocy; widział, jak opada z góry na długie rowy, na białe nagrobki. Widział mętów, więźniów w zielonych drelichach, powłóczących nogami od strony szarych baraków, by zmierzyć się na nabrzeżu z najnowszą dostawą trumien. Słyszał, jak żartują między sobą, zadowoleni, że znaleźli się na powietrzu. Zadowoleni, że uwolnili się od Rikers – od nudy, stęchłego zapachu potu i od widoku kamieni. Niech ich szlag – ci grabarze należeli do nielicznej grupy uprzywilejowanych: by dostać się w to miejsce, trzeba było przebywać za kratkami mniej niż rok i nie mieć na koncie poważnego wyroku. Tak, ci faceci byli uprzywilejowani, bo mogli ściągać sosnowe skrzynie z ciężarówek i wkładać je do rowów; mogli układać w stosy ciała splukanych dziwek i bezdomnych pijaków, noworodków, które umierały w napadach padaczki, ponieważ ich mamusie zbyt mocno pompowały sobie macice narkotykami... Spotkał ich zaszczyt i przywilej, byli szczęśliwi i dumni, że znaleźli się na wyspie.

Ale Jajo nie. Jajo w żadnym razie nie czuł się uprzywilejowany.

To miejsce było dla niego dnem. To miejsce i Rikers. Stoczył się tutaj na samiutkie skaliste dno. Bez wykształcenia – z wyjątkiem lat naśladowania Franka Sinatry, którego kasety puszczał sobie bez końca na walkmanie – była to jedyna uczciwa praca, jaką mógł dostać. W dodatku dostał ją tylko dlatego, że jego matka miała przyjaciela (penisa na dwóch nogach, przez poprzednie pięć lat dającego jej pieniądze na wódę), który pracował dla miejskiej straży więziennej.

W ten oto sposób Jajo – następca Sinatry, następca Julia – w

wieku dwudziestu sześciu lat został klawiszem na wyspie Rikers. Strażnikiem więziennym, jak oni wszyscy woleli być nazywani. Ponieważ zaś był dobrym chłopcem, wkrótce mógł uzyskać przeniesienie do służby porządkowej na wyspie Hart, na Potter s Field. Miał pracować przy grzebaniu tych, których urzędowe przepisy określały jako „ubogich i nierozpoznanych”.

O, tak – pamiętał to miejsce; zawsze będzie je pamiętał. Pamiętał, że myślał, iż grzebano tutaj nie tylko martwych. Na wyspie Hart miał wizję, że rozpościera się przed nim całe życie; życie, które dało się całkowicie wywieść z jednego z piskliwych prorocत्व jego matki. Tutaj, między grobami, Jajo usłyszał, jak wieczność wchłania w siebie tryumfalny rechot jego matki.

A potem, nagle i niespodziewanie, uratował go wypadek.

To był moment. Jajo nadzorował pracę w rowie. Jeden z więźniów stał w środku, zaczepiając hak i łańcuch o ciężką przegrodę, której używano do przytrzymywania przez noc trumien z poprzedniego dnia. Cywilny operator ustawiał koparkę tak, by mogła podnieść linę i wyciągnąć przegrodę. Tymczasem dwóch innych więźniów za pomocą grabi i łopaty spychało wody gruntowe, które spływały bez przerwy na dno rowu. Reszta więźniów stała za Jajem, przenosząc trumny do rowu.

Tego dnia mieli dużo martwych niemowląt. Ich trumny były niewiele większe od skrzynek po butach. Więźniowie dowcipkowali sobie, wyładowując je z ciężarówki.

– Chyba przysłali wreszcie moje adidasy.

– Hej, Homes, masz ten karton papierosów, które zamawiałeś.

– Nowy rodzaj fast-foodu: MacBaby w trumienkach.

W pewnym momencie jeden z mężczyzn odwrócił się, by krzyknąć coś do drugiego, i upuścił trumnę. Przeturlała się przez krawędź rowu, plusnęła w bajoro na dnie i otwarła się.

Leżała na boku. Odkoczyła od niej niewielka deseczka, która przykrywała ją od góry. Z trumny wy dostał się biały plastikowy worek i wpadł do błotnistej wody.

Więźniowie zamilkli. Nagle nie było słycać żadnego dźwięku poza łoskotem silnika koparki. Mężczyźni stojący na krawędzi rowu wpatrzyli się w biały plastikowy worek. Leżał u stóp chłopaka z grabiami.

– Dalej – powiedział ktoś znad krawędzi rowu. – Włóż to z powrotem, Homes, to nic takiego. Już nie żyje.

Więzień stojący w rowie zaczął kręcić głową. Spojrzał na biały worek. Ciągłe kręcił głową.

– Dalej, czarnuchu – krzyknął jakiś inny więzień.

– Lunch przywieźli, stary, podnieś go – powiedział ktoś inny.

Wszyscy więźniowie zaczęli się śmiać i wrzeszczeć na gówniarza w rowie. Ten zaś stał tylko, patrzył i kręcił głową.

– Dalej, stary, zrób to. Zrób to. Podnieś.

– By was jasny chuj – mruknął w końcu Jajo.

Wskoczył do rowu. Więźniowie zaczęli mu kibicować:

– Jajo przybywa na ratunek. Dawaj, Jajo!

Jajo przykucnął, stojąc po kostki w wodzie. Podniósł plastikowy worek. Był zaskakująco lekki; przesunął się w jego dłoniach, jakby był wypełniony gałązkami. Jajo włożył worek do skrzyni. Potem dopasował z powrotem wieko i docisnął gwoździe dłonią.

W tym samym momencie koparka podniosła hak i łańcuch, wyciągając przegrodę z rowu. Mokre dno popuściło i zawaliły się stopy wczorajszych trumien.

Uderzyły w przykucniętego Jaja i rozpląszczyły go na ziemi. Upadł i skrzynie przetoczyły się po nim, wbijając go w błoto. Przez chwilę nie czuł nic poza błotem i wodą wpychającymi mu się do ust; zaczął się dusić, ogarnęła go panika...

A potem gdzieś w środku jego ciała eksplodował ból, a on sam, usiłując krzyczeć, zaczął się dusić.

Pękł mu wyrostek. Lekarze z Bronx Municipal powiedzieli później, że z operacją zdążyli w ostatniej chwili.

Jajo natychmiast wynajął prawnika, który obwieścił wszem wobec, że niedopatrzenie władz miasta sprawiło, iż wypadek

wykracza daleko poza ramy wyznaczone przez zwyczajne odszkodowanie dla robotnika. W odpowiedzi władze zaproponowały Jajowi ugodę w wysokości trzydziestu tysięcy dolarów powyżej poniesionych wydatków. Jajo przyjął propozycję i z miejsca podziękował za posadę.

Zdecydował, że wejdzie przebojem w show-biznes. Tym razem naprawdę przebojem, bez taryfy ulgowej. Nawet obsceniczne telefony jego matki w środku nocy nie były w stanie odwieść go od zamiaru. Zamówił sobie nową sesję fotograficzną. Przygotował się do wynajęcia studia nagrań.

I wtedy właśnie przeżył swoją burzę mózgu. Wpadł na swój wielki pomysł z Eddiem Klawiszem.

Na trzy miesiące przed wypadkiem pijany były strażnik i więzień w barze Harbor, w którym Jajo lubił spotykać się z kumplami ze straży, opowiedział mu swoją historię. A historia była co wieczór ta sama: o tym, jak to Eddie stworzył w miejskim więzieniu siatkę handlarzy narkotyków; jak ukrył ponad pół miliona dolarów w gotówce; jak przyszli do niego federalni i jak ich przechytrzył, zamieniając gotówkę na diamenty i ukrywając je przed nimi.

– Było to dziewięć lat temu – opowiadał starszek. – No wiesz, gliny zaczęły mi deptać po piętach. Ale ja ciągle miałem diamenty. Warte pół miliona dolarów – wtedy – bo ostatnio jakoś nie szacowałem ich wartości. – Przechylił okrągłą głowę, przez co w jego pokrytej plamami wątrobowymi łysej czaszce odbiło się żółte knajpiane światło. Wykrzywił zdeformowaną twarz; wydawało się, że jego ogromne prawe oko wyskoczy zaraz na blat stołu. – Widzisz, pracowałem wtedy w oddziale na Potters Field na wyspie Hart – kontynuował. – I pomyślałem sobie: gdyby tylko udało mi się zostać na dwie minuty sam na sam z jedną z tych trumien, wsunąłbym do niej pudełko z diamentami. Leżałyby sobie zakopane głęboko i bezpiecznie, czekając, aż cała gorączka trochę zelżeje. I potem, któregoś dnia, zdarzyła się okazja: zbyt piękna, zbyt doskonała, żeby ją przepuścić. W ciężarówce z mięchem schowała się niejaka Elizabeth Burrows – mała dziewczynka.

Naprawdę! Biedactwo chciało zobaczyć pogrzeb swojej matki, więc udaliśmy, że jedna z N. N. to ona i urządziliśmy małą ceremonię. Naprawdę wzruszające. Tak właśnie było. Ale najważniejsze – najważniejsze, że kiedy wszyscy zajęli się dziewczynką, ja wspiałem się na ciężarówkę, otworzyłem wieko naszej N. N. i wsunąłem do środka pakunek. Pochowano go na oczach wszystkich i nikt się nie zorientował.

Eddie wskazał palcem na swoje łyse ciemię, mrugnął ogromnym okiem i dodał:

– Jak tylko zbiorę ekipę, żeby to zorganizować, wykopię te diamenty. Widzisz, nikt inny nie może tego zrobić, bo nikt oprócz mnie nie zna numeru trumny.

W tym momencie zachichotał i rzucił jeszcze:

– W sumie nikt oprócz mnie i Elizabeth Burrows. Nikt oprócz mnie i tej małej.

W którym momencie Jajowi przyszło do głowy, by uwierzyć w te bzdury? Teraz nie potrafił już sobie przypomnieć. Po prostu nagle wydało się mu, że ma idealne warunki, by wykopać te diamenty, zrobić prawdziwą fortunę i porządnie zaangażować się w rozwój nowej kariery. Miał pieniądze, miał kontakty w straży więziennej i znał doskonale system pochówków na Potters Field.

Wkrótce po wyjściu ze szpitala wybrał się do baru Harbor. Nie zastał tam już jednak Eddiego Klawisza. Barman powiedział mu, że nie żyje. Kiedy Jajo był w szpitalu, staruszkowi wysiadło serce i umarł w łóżku w starym hotelu za rogiem.

Jajo początkowo chciał odwołać całą akcję. Chryste, żałował teraz, że tego nie zrobił. Ale nie, nie. Znalazł Elizabeth Burrows w książce telefonicznej – a potem przekonał znajomego, żeby zrobił mu kopię rejestru pochówków na wyspie Hart z roku, w którym został aresztowany Eddie...

Teraz wyciągnął ten rejestr z kieszeni wiatrówki. Właśnie dotarli z operatorem koparki do grobów.

Zatrzymali się tuż obok drogi, na niewielkim poletku czarnej ziemi. Co jakies dwadzieścia pięć metrów wyrastały z niej białe

nagrobki, które połyskiwały nawet w ścielącej się tego wieczoru bezksiężycowej mgiełce. Na skraju pola, tuż przed Jajem, widać było nowy, otwarty rów. Przy jego krawędzi leżały nieużywane trumny. Jajo wiedział, że jedna z nich powinna być wypełniona narzędziami do kopania. Przy krawędzi rowu stała również koparka. W ciemności wyglądała jak zwierzę, które przyszło do wodopoju.

Jajo przez chwilę nie ruszał się z miejsca. Zgarbił ramiona i zadrzał. W plecy dął mu zimny wiatr znad wody. Fale rozbijały się o brzeg, pobrzękując wyścielającym go dywanem muszelek. Wiatr zadał mocniej i przegonił nieco spoczywającą na polu nagrobków mgiełkę. Zadał jeszcze raz; gęste martwe drzewa po drugiej stronie pola zakołysały się i zaskrzypiały.

– No dobra – szepnął Jajo.

Zostawił operatora koparki przy drodze i wszedł na pole.

Jajo nadzorował już kiedyś ekshumacje. Co roku odbywało się ich na wyspie Hart około setki. Pomyślał, że jeśli przebiegły stary Eddie zadbał o to, by pochować swoją N. N. na samej górze, wszystko powinno pójść dosyć łatwo. Musiał tylko znaleźć odpowiednią lokalizację.

Jajo powoli poruszał się w mgiełce, tu i tam nachylając się nad nagrobkami i oświetlając je strumieniem z latarki. Każda z płyt oznaczała rów, a w każdym rowie znajdowało się sto pięćdziesiąt ciał nędzarzy. Chowano ich w trzech sektorach czterdzieści osiem i pięćdziesiąt cztery skrzynie: układano je w dwie sterty po trzy, więc w każdym sektorze musiała się mieścić wielokrotność sześciu trumien. Jajo szedł dalej, coraz bardziej oddalając się od drogi i zbliżając do lasu.

Zatrzymał się, kiedy już dotarł do samego końca pola. Gęsty las zaczynał się tuż przed nim. Usłyszał szelest poruszających się w ciemnościach martwych liści. Rozjaśnił latarką kamień u swoich stóp. Przeczytał numer. Znalazł to, czego szukał.

Zapał się stopami o kamień i ruszył, odliczając odległość. Numer, który podał mu Conrad, odpowiadał innemu numerowi w jego rejestrze: dwa szesnaście. Trumna powinna leżeć jako

szesnasta w drugim sektorze. Szedł i odliczał kroki.

Kiedy znalazł odpowiednie miejsce, sięgnął w dół i palcem narysował na nim krzyżyk. Potem wrócił do drogi, do operatora koparki o smutnej twarzy.

– Oznaczyłem miejsce krzyżykiem – powiedział. \

Operator skinął głową. Bez słowa podszedł do stojącej przy rowie koparki. Wspiął się do kabiny.

Chwilę później uruchomił silnik. Zapaliły się reflektory maszyny. Koparka oddaliła się od otwartego rowu.

Jajo podszedł do leżących przy jego krawędzi nieużywanych trumien. Usiadł na jednej z nich i zaczął obserwować poruszającą się wzdłuż pola koparkę.

Operator dojechał maszyną do oznaczonego przez Jaja miejsca. Jajo usłyszał, jak łyżka koparki wgryza się w ziemię.



## SZERYF

Conrad chodził tam i z powrotem po pokoju, ignorując ból w kolanie, wpatrując się w rozpościerającą się przed nim pustą przestrzeń i ściskając w prawej dłoni dyktafon. Mogę się mylić, powtarzał sobie. Opis może pasować do miliona osób. Mogę się całkowicie mylić...

Patrzył jednak w rozpościerającą się przed nim pustą przestrzeń i widział w niej twarz Jaja. Młodą przystojną twarz ozdobioną oczami artysty. Tę samą twarz, która nachylała się ze złośliwym uśmiechem w jego stronę, która go zwyzywała i która go opluła. Chodził więc tam i z powrotem po pokoju, ściskając mocno w dłoni dyktafon. I był głęboko przekonany, że w żadnym razie się nie mylił.

To musiał być Jajo. To przez cały czas musiał być Jajo. Jajo musiał być Terrym, walczącym o uznanie aktorem. Mężczyzną, który pocałował Elizabeth. Mężczyzną, który w jej mieszkaniu zamordował rudzielca, Roberta Rostoffa. To właśnie się tam wydarzyło. Dziewczyna założyła, że miała halucynację, ale tak naprawdę jej Sekretny Przyjaciel był prawdziwy. Był prawdziwy i próbował ją uwieść. Jednak jakimś cudem, z jakiegoś powodu rudzielec stanął mu na drodze. Rudzielec wiedział, że Jajo idzie do jej mieszkania. Ukrył się tam, złapał Elizabeth i zamknął ją w łazience. Chciał, by trzymała się z daleka od Jaja. Może nawet próbował ją chronić. Potem, podczas gdy zdeorientowana, rozhisteryzowana, może nawet rzeczywiście schwytana w objęcia halucynacji Elizabeth była zamknięta w łazience, Jajo musiał wdrzeć się do mieszkania i pokonać rudzielca. Pewnie zamordował człowieka, któremu udało się zakłócić jego randkę z Elizabeth i który wystraszył dziewczynę po tym, jak Jajowi udało się ją zwabić do domu, przyprowadzić do...

Conrad zatrzymał się. Jego oczy się rozszerzyły. Spojrzał na trzymany w dłoni dyktafon.

... do swojego mieszkania.

Jajo przyprowadził Elizabeth do swojego mieszkania. Tak ona twierdziła. Powiedziała nawet Conradowi, gdzie to było. Pamiętał...

Podszedł szybko do fotela. Usiadł. Przytrzymał dyktafon między kolanami. Wcisnął przycisk przewijania. Uderzał konwulsyjnie stopą o podłogę, kiedy taśma pędziła do przodu.

Zatrzymał ją. Włączył dyktafon.

„... naprawdę się zdenerwował. Powiedział, że od tej pory codziennie będzie po mnie przychodził pod centrum..

– Cholera – powiedział Conrad.

Znowu wcisnął przewijanie. Spojrzał na zegarek. Pięć po jedenastej. W żołądku poczuł uścisk czasu. Przez chwilę był nieobecny – uścisk, pośpiech. Przez chwilę tu, w tym małym pokoju, wydawało się, że czas stanął w miejscu – albo po prostu stracił znaczenie. Teraz jednak znowu pędził naprzód, znowu pędził szaleńczo naprzód. Conrad czuł go, czuł, jak rozpala go od środka.

Włączył dyktafon.

„... chyba dosyć późno” – kontynuował głos Elizabeth. „Pewnie około jedenastej. Weszliśmy do dzielnicy, która raczej nie była przyjemna”.

No właśnie. No właśnie. Conrad pozwolił, by taśma obracała się w normalnym tempie.

„... zatrzymaliśmy się przed kamienicą jedno skrzyżowanie od Hudson, na uliczce o nazwie Houses Street...”

– Houses Street – szepnął Conrad.

Zakręcił się w fotelu i podjechał nim do sekretarzyka. Przesunął na bok papiery, znalazł pióro. Wyszarpał ze stosu jakąś starą kopertę. Taśma ciągle się obracała.

„Nie było tam latarni, a dom, przed którym staliśmy – kamienica – był jedynym oświetlonym...”

Conrad niecierpliwym ruchem sięgnął po dyktafon i przewinął taśmę. Pozwolił, by obracała się na przyspieszonych obrotach przez dłuższą chwilę. Dwa razy zatrzymywał, by

sprawdzić, czy to właściwy fragment. Za trzecim razem znalazł to, czego szukał.

„Nawet mnie tam zawieźli. Pokazali mi. Powiedzieli, że rzeczywiście jest tam kamienica. Pokazali mi numer dwieście dwadzieścia dwa”.

Conrad wyłączył dyktafon. Nagryzmolił na odwrocie koperty adres: Houses Street 222.

Odepchnął fotel od sekretarzyka. Wstał.

Mogę się mylić, pomyślał.

Położył dyktafon na blacie. Nachylił się nad nim i zaczął grzebać w papierach. Gdzieś tam trzymał mapę. W jednej z przegródek. Rzeczywiście jest. Kieszonkowy atlas miasta. Wyciągnął go i otworzył. Odszukał indeks i przebiegł palcem przez nazwy ulic.

– Ach! – Musiał pokręcić głową i zamknąć oczy, by przegonić sprzed nich czerwone chmury.

Spojrzał jeszcze raz. Houses Street. Przekartkował atlas i znalazł mapę Manhattanu. Ulica biegła właśnie tam, w Tribecę. Można by podjechać metrem.

Mógł się jednak mylić, mógł się mylić. Czy policja nie sprawdziła budynku? Czy nie pokazali Elizabeth, że jest opuszczony...?

Wyprostował się. Odwrócił. Spojrzał na pokój. Spojrzał na zamknięte okno.

„I nie zbliżaj się do drzwi, szeryfie, bo cię widzimy”.

Sięgnął ręką w stronę lampki na blacie. Wyłączył ją. Popatrzył na okno.

„Nie zbliżaj się do drzwi...”

Podszedł do fotela dla pacjentów. Wyłączył stojącą obok lampę. Coś zaczęło mu pulsować w głowie – przed oczami przepłynęły mu czerwone chmury. Zbliżył się do drzwi, do wiszącego obok nich wyłącznika światła.

Mogę się mylić, pomyślał. Mogę się mylić i nie uda mi się zawiadomić policji, a jeżeli Jessiki tam nie ma, jeżeli Jajo zauważy ich, ale Jessiki tam nie będzie...

Wyłączył światło. Gabinet pogrążył się w ciemnościach. Ale nawet w tym momencie, nawet w mroku przed oczami Conrada płynęły, rozszerzały się i kurczyły czerwone plamy. Spojrzał przez nie w stronę okna.

Jeżeli się myli, będzie musiał wrócić na czas. Jeżeli się myli, jeżeli to wszystko pomyłka – będzie musiał dotrzeć tam i wrócić tutaj do północy. Musiał wyjść i wrócić niepostrzeżenie, wrócić na czas, bo zawsze istniała choćby niewielka szansa, że porywacze naprawdę zwrócą mu ją tak, jak obiecali. Zresztą nawet jeżeli ma rację... Cóż...

Jeżeli ma rację, jeżeli Jajo trzyma tam Jessicę, to Conrad musi wyruszyć do niej w tej chwili i bardzo się spieszyć. Musi dotrzeć do niej, zanim Jajo zdoła sprawdzić numer, zanim Jajo zdąży dojść do wniosku, że nie potrzebuje już zakładniczki. Tylko jeżeli zdoła to zrobić, jeżeli znajdzie ją na czas, tylko jeżeli zdoła zawiadomić policję i wreszcie sprowadzić jakąś pomoc...

Czas jednak mijał, palił go, zżerał od środka. W każdym razie musiał coś zrobić. Musiał coś zrobić, i to szybko.

Ruszył do przodu. Lekko ściskając obolałą nogę, ruszył powoli do przodu przez ciemność. Czerwone chmury zaczęły rzednąć, stawały się coraz mniej wyraźne, gasły. Conrad krok za kroczkiem z wyciągniętymi przed siebie rękami posuwał się do przodu. Minął kozetkę. Palcami dotknął ściany; przesunął nimi po niej, aż wreszcie poczuł dotyk drewnianych okiennych żaluzji.

Otworzył je, uchylił. Spojrzał na szyb wentylacyjny.

Z tej strony nie będą obserwować, pomyślał. Do diabła, przecież kiedy żaluzje są zaciągnięte, większość ludzi nie wie nawet, że jest tu okno.

„Nie zbliżaj się do drzwi, szeryfie”.

A nawet jeżeli wiedzą, to okno prowadzi przecież tylko do szybu wentylacyjnego: do zamkniętego przejścia między tym budynkiem i następnym przy Osiedzi Trzeciej. Ściana sąsiedniego budynku pięła się wysoko, co najmniej na dwadzieścia pięter. I chociaż również w niej umieszczono niewielkie, wychodzące na szyb wentylacyjny okna, te niższe zawsze były

zamknięte. Ciężka sprawa. Trudno byłoby już wydostać się tędy. A potem jeszcze trzeba się jakoś włamać przez jedno z okien do sąsiedniego budynku... niepostrzeżenie, niezauważenie... Porywacze z pewnością nie pomyśleli, żeby zabezpieczyć się od tej strony, doszedł do wniosku Conrad.

Oblizął wysuszone wargi. Żołądek dźwignął mu się do gardła. Pomyślał o krwi na siedzeniu pasażera jego corsiki. Krwi Elizabeth. A przecież również wtedy doszedł do wniosku, że porywacze nie będą go obserwować.

Stał więc przy oknie. Bez ruchu. Oddychał przez usta i wpatrywał się w szyb wentylacyjny.

Mogę się mylić, pomyślał znowu.

Stał w ciemnościach i wpatrywał się w szyb wentylacyjny. Nagle zobaczył Jessicę. Zobaczył, jak leży na podłodze w koszulce w serduszka. Zobaczył jej włosy – tego samego koloru co jego – poplątane i zmierzwione wokół twarzyczki. Zobaczył jej szkliste oczka wpatrujące się w niego przez kosmyki włosów.

„Dlaczego nie przyszedłeś, tatusiu?” Pomyślał o krwi Elizabeth. „Tatusiu?”

Conrad skinął głową.

– Już idę – szepnął w odpowiedzi.

## AGGIE I ELIZABETH

Policjanci rzucili się w stronę Elizabeth. Otoczyli ją. Stłoczyli się wokół niej, aż Aggie straciła ją z oczu. Podeszła powoli w stronę zwartego kręgu ciemnych garniturów.

– Zostawcie jej trochę powietrza – powiedział jeden z mężczyzn.

– Już się budzi – zauważył inny.

Aggie stanęła przy wejściu do kręgu. Drogę do Elizabeth blokowały jej plecy któregoś z mężczyzn. Po drugiej stronie zauważyła męskie twarze, surowe i ozdobione zaciśniętymi ustami. Krzyczeli na siebie szorstko.

– Trzymajcie ją.

– Uważajcie, żeby sobie czegoś nie zrobiła.

Po chwili z wnętrza kręgu, ponad okrzykami mężczyzn, dobiegł Aggie głos kobiety. Początkowo był delikatny, słaby.

– Co? Co? Proszę, proszę, ja...

– Proszę – powiedziała Aggie. Wyciągnęła rękę i dotknęła ramienia jednego z mężczyzn. Odwrócił się do niej – okazało się, że to detektyw o oliwkowej skórze i starannie ułożonych w fale włosach. – Proszę – powtórzyła Aggie. Detektyw cofnął się i pozwolił jej przejść. Aggie wepchała się w ściśnięty krąg. Słyszała coraz głośniejszy głos kobiety.

– Nie mogę... Nie mogę już dłużej. Nie mogę już dłużej, proszę; nie mogę już dłużej, proszę...

Słowa padały coraz szybciej. Bez końca powtarzała jedno zdanie:

– Nie mogę już dłużej.

Aggie zauważyła, że pojawiła się w nim przenikliwa nuta paniki.

– Proszę – powiedziała. – Przestraszyliście ją. Pozwólcie mi...

Spróbowała utorować sobie ramionami drogę między dwoma

mężczyznami i dostać się do środka skupiska.

Kobięcy głos był coraz bardziej przenikliwy.

– O Boże, proszę, boję się, boję się już, proszę... proszę...

Agatha dotknęła stojącego przed nią mężczyzny. Odsunął się na bok, a jej wreszcie udało się przepchnąć do środka. Wreszcie mogła dojrzeć kobietę – Elizabeth, jego Elizabeth; dostrzegła czubek jej głowy, jej złote włosy, a potem część jej twarzy, pokrytego smugami krwi czoła. Rzuciła się, skakała do przodu i do tyłu. Miała rozszerzone oczy, którymi ciskała wszędzie wokół. Mężczyźni coraz bardziej na nią napierali.

– Proszę – powiedziała głośno Aggie. – Proszę. Zróbcie jej trochę miejsca. Boi się was. Nie możecie zdjąć tych kajdanek?

Kiedy wreszcie Agatha precyzyjnie się do samego środka, udało jej się ujrzeć kobietę w pełni. Elizabeth klęczała na podłodze, a wokół niej widać było rozrzucone w nieładzie fałdy jej sukienki. Mężczyźni trzymali ją za ramiona, wciskając jej mocno palce w ciało. Głowa dziewczyny śmigła w panice od ramienia do ramienia. Włosy smagały policzki i oczy.

– Boję się, boję się, nie mogę już dłużej, nie mogę, proszę... – powtarzała.

– Och, na litość boską – rzuciła Agatha.

Uklęka przed dziewczyną. Jeden z mężczyzn ruszył ku niej, by ją powstrzymać. Inny dotknął jej ramienia, ale po chwili pozwolił, by jego dłoń swobodnie się z niego ześlizgnęła.

– Proszę – powiedziała Agatha. A potem powtórzyła ostrzejszym tonem: – Proszę! Niech ktoś jej zdejmie kajdanki.

Policjanci spoglądali po sobie ponad głową rzucającej się kobiety. Spojrzeli ponad głową Agathy na D'Annunzia. Ten wzruszył ramionami.

Jeden z mundurowych uklęknął za kobietą. Agatha usłyszała, jak szczękają kajdanki. Inni policjanci mocno przytrzymywali ramiona kobiety. Nadal zmuszali ją, by trzymała dłonie z tyłu.

Agatha sięgnęła do lewego ramienia dziewczyny. Krzepki, ubrany po cywilnemu mężczyzna ścisnął je z całej siły obiema dłońmi. Aggie dotknęła jego rąk, delikatnie odciągając mu palce.

Mężczyzna spojrział na nią. Jego uścisk na ramieniu kobiety zelżał. Powoli uwolnił jej ramię. Opadło wzdłuż niej.

Elizabeth rzucała się coraz słabiej. Jęczała z przerażeniem, opuściła oczy.

Agatha odwróciła się i spojrzała na mężczyznę, który trzymał prawe ramię dziewczyny. Był to jeden z mundurowych. Podchwycił jej wzrok.

– Proszę – powiedziała Agatha.

Mundurowy rozejrzał się, szukając wzrokiem pomocy u innych mężczyzn. Żaden z nich się jednak nie odezwał. Policjant puścił ramię. Kobieta odwróciła je i położyła przed sobą. Złapała się lewą dłonią za prawy nadgarstek.

Nagle zupełnie przestała się rzucać. Oddychała ciężko. Jej klatka piersiowa unosiła się i opadała. Wysunęła do przodu podbródek. Jej twarz pokrywały włosy. Zgarbiła ramiona, pocierała nadgarstek i siedziała bez słowa.

Po chwili podniosła twarz na Agathę.

– Musimy mu pomóc – szepnęła.

Zmarszczyła twarz. Zaczęła płakać.

Płakała jak dziecko, z wykrzywioną twarzą i szeroko otwartymi ustami. Ryczała głośno, trzymając się przez cały czas za nadgarstek. „Chryste” – pomyślała Agatha. Objęła ją. Dziewczyna zaszlochała i oparła się o nią. Położyła głowę na piersiach Agathy. Aggie spojrzała w stronę sufitu. O Jezu, pomyślała, skąd ty ją wystraszałeś, doktoru? Przecież to jeszcze dziecko, nastolatka.

Dziewczyna płakała, a Aggie ciągle ją tuliła. Mężczyźni wisieli wokół nich i przyglądali się.

– Już dobrze – powiedziała po chwili Agatha. – Już dobrze. Już wszystko dobrze. Posłuchaj mnie. Posłuchaj... – Dziewczyna pociągnęła nosem, wtulając się w nią. Płacząc, trzęsła się w ramionach Aggie. Agatha pokręciła głową i dotknęła włosów dziewczyny. Poczowała na nich szorstką zaschniętą krew. – Już dobrze – powiedziała łagodnie. – Posłuchaj mnie. Opowiedz mi o doktorze Conradzie. Jak możemy mu pomóc? Powiedz mi.

Dziewczyna zaszlochała. Spróbowała usiąść. Wyrwała się z



objąć Agathy. Jej twarz była pokryta plamami, pomazana krwią i błyszcząca od łez. Dziewczyna natarczywie pomachała przed sobą rękami.

– Musicie znaleźć Terry’ego – zawołała. – Terry jest prawdziwy. Doktor Conrad tak powiedział. Widziałam go.

– Kim jest Terry? – zapytała Agatha.

– Nie wiem. Był moim Sekretnym Przyjacielem, ale potem już nie był. Sekretny Przyjaciel był ze mną, ale Terry był prawdziwy. To on chciał numeru, tak jak powiedział mi ten rudy. Ale nie był wyczarowany. Tylko Sekretny Przyjaciel był wyczarowany.

„O Jezu” – pomyślała Aggie. Spojrzała w górę. Wisiały nad nią twarze mężczyzn. Odwracali głowy i patrzyli jeden na drugiego. Po chwili znowu wszyscy spojrzeli na nią. O Jezu.

– No dobrze – powiedziała Agatha. – Chodź tutaj. Chodź tutaj i wstań, kochanie. Masz na imię Elizabeth? Chodź do mnie, Elizabeth.

Wzięła dziewczynę za łokieć. Pomogła jej wstać. Kiedy się podnosiły, mężczyźni rozstąpili się trochę.

– Przepraszam – powiedziała Agatha.

Ruszyła z dziewczyną w stronę sofy. Mężczyźni stali z boku, pozwalając im przejść. Po chwili podążyli za nimi półkolem.

– Popatrz na siebie – powiedziała łagodnie Aggie, prowadząc dziewczynę przez pokój. – Jesteś cała we krwi. Krwawisz? Jesteś ranna?

– Nie. Chyba nie.

– A głodna?

– Nie, ale chce mi się pić.

– Jesteś podrapana. Wszędzie masz zadrapania. Popatrz na siebie. Co ci się stało? – Spojrzała w górę i dostrzegła D’Annunzia. Obserwował ją z rękami w kieszeniach. Stał obok agenta specjalnego Calvina. – Proszę mi podać wilgotną ściereczkę – powiedziała. – I szklankę wody.

– Nie może jej pani umyć – wyjaśnił Calvin. Miał ostry, agresywny głos, zabawnie bezpośredni. – Musimy pobrać próbki z

jej twarzy i ubrań jako materiał dowodowy. Będziemy musieli poprosić jedną z naszych ekip technicznych...

– No dobrze – powiedziała Agatha. – W takim razie proszę o wodę.

Calvin zamilkł. D’Annunzio podreptał gdzieś.

Aggie posadziła dziewczynę na sofie i usiadła obok niej. Ta spojrzała na nią swoimi wielkimi zielonymi oczami. Aggie nie była pewna, czy zdaje sobie sprawę, gdzie się znajduje.

Wzięła Elizabeth za rękę.

– No dobrze – powiedziała. – Elizabeth. Opowiedz mi wszystko. Byłaś w szpitalu, tak?

Dziewczyna skinęła głową.

– Tak. Byłam.

– I wyszłaś ze szpitala z doktorem Conradem?

– Tak. Tak. Uderzył doktora Sachsa krzesłem.

Aggie o mało nie wybuchnęła śmiechem. Opanowało ją dziwne uczucie.

– No dobrze – powiedziała. – A wiesz może, gdzie jest teraz doktor Conrad?

Elizabeth pokręciła głową.

– Nie. Nie. On... Zniknął za rogiem. Nie wrócił. Przyszedł Terry.

– Terry.

– Tak. Jest prawdziwy. I nie jest Sekretnym Przyjacielem. Porwał córkę doktora Conrada, twoją córkę, i doktor Conrad musiał zapytać mnie o numer. Wiedzieli, że podam mu numer, bo... bo go znam. Doktora Conrada. My... Znam go.

Oczy Aggie zwęziły się.

– Znasz go?

D’Annunzio wrócił ze szklanką wody. Wręczył ją Agacie. Agatha podała ją Elizabeth.

– Pij powoli – napomniała.

Elizabeth przycisnęła szklankę do ust. Uniosła ją szybko i wypila długi łyk. Agatha musiała w końcu oderwać jej dłoń od twarzy.

– Elizabeth – powiedziała. – Czy wiesz, gdzie jest teraz Terry?

Skinęła szybko głową.

– Tak, tak. Poszedł wykopać moją mamę. Teraz ma numer.

Agatha zabrała jej szklankę i odłożyła na stolik do kawy.

Cholera, pomyślała, odwracając się. To nie ma sensu.

Dziewczyna jest szalona.

„Niech cię cholera, doktorcu. Coś ty zrobił? W coś ty nas wpakował?”

Wzięła głęboki wdech, usiłując uspokoić uścisk w żołądku. Kiedy znowu spojrzała na Elizabeth, mogła już mówić spokojnie.

– Gdzie jest twoja mama, Elizabeth? – zapytała.

– Nie żyje.

– Nie żyje?

– Tak. I wychodzą z niej robaki.

– A Terry chce ją wykopać.

– Tak. Tak.

Agatha spojrzała w poważne oczy dziewczyny.

– Masz na myśli to, że chce ją wykopać z grobu – powiedziała.

– Tak. Tak.

– Dlaczego miałby to, do cholery, robić? – zapytał D’Annunzio. Ciągle stał obok nich.

– Co? – Elizabeth spojrzała na niego, a potem znowu na Agathę. – Co? Dlaczego? To znaczy, ja nie... Co?

– Wszystko jedno – stwierdziła Agatha. – Nie myślmymy teraz o tym, dobrze?

– Dobrze – powiedziała Elizabeth. Jej oczy rozpaczliwie prześlizgnęły się po twarzy Aggie. – Dobrze. Dobrze?

– Ćśś – uspokoiła ją Aggie. Poklepała dziewczynę po dłoni.

– Wszystko w porządku. Powiedz mi tylko jeszcze: czy wiesz, gdzie znajduje się grób twojej mamy?

– Tak. Na wyspie. Tam gdzie zabierają biednych ludzi.

– Na wyspie Hart? – zapytał D’Annunzio.

– Tak.

– Duży teren – powiedział. – Setki akrów. Mnóstwo ludzi tam pochowano. Skąd będzie wiedział, gdzie leży twoja matka?

Elizabeth wyrwała ręce z dłoni Aggie. Potrząsnęła nimi w górę i w dół.

– Numer! – wykrzyknęła. – Musiałam podać doktorowi Conradowi numer!

– Numer grobu twojej matki – powiedziała Aggie.

– Tak! Tak!

Pozostali mężczyźni przysunęli się do nich. Zbici w jedną grupę cisnęli się do oparcia sofy. Wpatrywali się w obie kobiety.

– Więc jedzie teraz na wyspę Hart, żeby wykopać twoją matkę z grobu?

– Tak – powiedziała Elizabeth.

– Widziałaś, jak tam pojechał?

– No... tak. To znaczy, widziałam, jak wychodzi. Wyszedł z tego dużego budynku z zegarem na górze. Schowałam się. Szukałam doktora Conrada. Wie pani, najpierw doktor Conrad zniknął za rogiem; a potem z tyłu samochodu był mężczyzna – przyłożył mi nóż do szyi, nóż... A potem, jak było po wszystkim, jak już... go nie było... wtedy... – Przełknęła z trudem. Mówiła coraz szybciej, gestykulując zaciekle. – Jak już mężczyzny nie było, wystraszyłam się i podeszłam do skrzyżowania, tam gdzie zniknął doktor Conrad. Był tam budynek. Duży budynek z zegarem. I zobaczyłam, że wychodzi z niego Terry. Schowałam się za innym budynkiem, takim dużym, czarnym. I patrzyłam na niego. Na Terry'ego. Widziałam, jak wchodzi do samochodu i odjeżdża. Ale doktor Conrad nie wyszedł. Nie przyszedł.

Aggie poczuła, że w środku coś w niej opada na samo dno. Musiała się uspokoić, zanim znowu mogła się odezwać.

– Jak wy...? – zaczął D'Annunzio.

Ale Aggie już o to pytała.

– Jak wyglądał ten samochód, Elizabeth?

– Och. – Uniosła oczy w stronę sufitu. – Był biały. Biały, taki duży biały samochód z czworgiem drzwi. I z boku miał dużą długą rysę, a jedno światło z tyłu rozbite, stłuczone.

– Podajcie to przez radio – powiedział D’Annunzio.

Agatha poczuła niewielki ruch – to oparcie sofy zaczęło się odchyłać. Przypatrywała się Elizabeth. Dziewczyna z przejęciem wbijała w nią wzrok.

– Powiedziałaś, że mężczyzna przyłożył ci nóż do gardła – powiedziała Aggie.

– Tak – potwierdziła. Skinęła głową.

– Czy wiesz, gdzie teraz jest ten mężczyzna?

– Jest... Był tam taki duży... Takie coś na śmieci...

– Kontener – powiedział D’Annunzio. – Jezu Chryste.

Elizabeth spojrzała na niego.

– Przyłożył mi nóż do gardła i powiedział, że mnie zabije. Ale potem mnie nie zabił, tylko... Wszedł na siedzenie, siedzenie obok mnie, siedzenie doktora Conrada. Miał kawałek papieru, list dla doktora Conrada, tak powiedział. Położył go... położył go z przodu, na desce samochodu... A potem powiedział, powiedział: „A teraz rozłożymy sobie siedzenie i się zabawimy”.

– Skinęła głową. – A potem... Powiedział to, a potem... Położył na mnie rękę, na mojej piersi czy jak tam. – Elizabeth spojrzała na mężczyzn stojących za sofą. Spojrzała na D’Annunzia. W końcu opuściła oczy i spojrzała na Aggie. Pokręciła głową – niemalże ze smutkiem, jak pomyślała Aggie. – A potem – powiedziała łagodnie – Sekretny Przyjaciel się zdenerwował.

## KOPANIE

Po wszystkim na twarzy Jaja nie było widać ani śladu emocji. Kiedy motorówka wracała na wyspę City, oczy mężczyzny pozostawały bez wyrazu. Jajo stanął znowu na burcie, przy barierce. Spoglądał na wzburzone wody zatoki. Jego oczy były spowite mgłą, a usta rozluźnione. Nieruchome ręce spoczywały na barierce.

Kiedy operator koparki skończył robotę, Jajo z kilofem i łopatą podszedł do oznaczonego miejsca. Na krawędzi świeżego dołu położył latarkę. Wszedł do dziury i zaczął kopać.

Kopał szybko, lecz ostrożnie, używając łopaty do zeszkrobывania wierzchniej warstwy ziemi. Przerzucając glinę, uważnie się jej przypatrywał. Nie widział pochylających się nad nim drzew. Nie słyszał wiatru w ich gałęziach ani fal chlupoczących na plaży. Słyszał tylko pchnięcia oraz zgrzyt ziemi i kamyków, rozlegający się raz za razem w świeżo wykopanym dole. Słyszał je oraz głos we własnej głowie, który powtarzał głosem Sinatry: *All or Nothing*. Wszystko albo nic. Wszystko albo nic a nic.

Przewracał bez końca ziemię. Pchnięcie i zgrzyt. Z sosnowej skrzyni nic już pewnie nie zostało po dziewięciu latach. Zostały tylko kości. Kopał i kopał.

„Czyś ty do końca zwariował?” – myślał. „Jesteś wariatem, pieprzony pojebie. Jak mogłeś w ogóle w coś takiego uwierzyć? Jak mogłeś w coś takiego uwierzyć, ty bezmózga ropucho? Pierdolony, nic niewart morderco. Jesteś nikiem”.

Wszystko albo nic. Wszystko na nic.

Motorówka wróciła na wyspę City, a Jajo poszedł prosto do budki straży więziennej. W niewielkiej łazience umył się i zmienił ubranie. Zmył z dłoni ziemię i spryskał się dezodorantem.

Wepchnął stare ciuchy do worka na śmieci. Włożył dżinsową kurtkę, biało-niebieską koszulę w paski i świeże dżinsowe spodnie. Następnie starannie przyczesał włosy. Tylko drobne ślady ziemi, wbite głęboko w skórę na koniuszkach palców, wskazywały, że w ogóle kopał.

Kiedy wyszedł z budki, stwierdził, że strażnik i operator czekają na niego na skraju przystani. Wręczył każdemu z nich kopertę z tysiącem dolarów. Każdy z nich uroczyście potrząsnął jego dłonią.

– Do zobaczenia, Jajuś – powiedział strażnik. – Mam nadzieję, że znalazłeś to, czego szukałeś.

Operator nie powiedział nic.

Jajo zostawił ich i ruszył w stronę służbowego parkingu na Fordham Street. Tuż przy ogrodzeniu stał jego biały chevrolet. Załadował do samochodu rzeczy i usiadł za kierownicą. Dojechał do skrzyżowania i skręcił w City Island Avenue.

Chevrolet sunął powoli pustą arterią. Jajo spoglądał przez przednią szybę na stocznie jachtowe, restauracje z owocami morza, domy marynarzy – wszystkie wyrastające z ciemności z jednej strony alei. Czerwień i zieleń wyłaniających się przed nim ulicznych świateł wydawała się bardzo jasna. Jajo patrzył na nie obojętnie z rozchyłonymi ustami.

– Jezu Chryste – wyszeptał po chwili. – Jezu Chryste.

Na głębokości jakiegoś metra zaczął uderzać o kości. Łopata wydała nagle piskliwy odgłos i ziemia poniżej stała się twarda. Wkrótce Jajo przewracał już połamane kawałki brudnych kości; trudne do rozpoznania fragmenty; od czasu do czasu część ramienia lub nogi. Ziemia nagle zagęściła się od robaków i pareczników, które wiły się we wszystkie strony w czarnej glinie.

„Wyschłe kości, wyschłe kości” – podśpiewywał Jajo dziecięcą piosenkę. Zaczął się obficie pocić. Pot rozprowadzał brud z obu stron jego twarzy. Łopata nadal wbijała się w ziemię, podnosząc ją po chwili w górę. Jajo myślał wciąż: wszystko albo nic, wszystko albo nic a nic...

Nagle łopata uderzyła w coś, co nie ustąpiło pod naporem.

Jajo zatrzymał się, spojrział w dół. Jego oczy zapłonęły w świetle latarki. Zaczął wbijać łopatę wokół twardego przedmiotu, wycinając go z ziemi. Potem znów przeszedł do kopania – tym razem kopał jak szalony, pojękując z wysiłku.

„Widzicie?” – pomyślał nagle. „Widzicie, widzicie, widzicie? Widzicie to?”

Łopata podważyła przedmiot i nagle z ziemi wyskoczyła wyszczerzona martwa głowa. Ludzka czaszka wypełniona ziemią i pełzającymi parecznikami.

– Ach! – krzyknął Jajo.

Głowa stoczyła się z łopaty. Upadła na ziemię. Zakołysała się łagodnie. A potem znieruchomiała i tylko robaki zaczęły wypęłzać spod niej jak szalone.

Jajo wypatrzył z przodu stację Sunoco. Na skraju parkingu, niedaleko ulicy, stała tam budka telefoniczna.

Podjechał chevroletem do stacji i zaparkował tuż obok telefonu. Wyłączył silnik i przez chwilę siedział w milczeniu. Wyglądał przez przednią szybę. Jego twarz była pozbawiona wyrazu.

Po chwili nachylił się. Sięgnął pod siedzenie i wyciągnął stamtąd jakąś skrzyneczkę. Podniósł ją i położył sobie na kolanach.

– Jezu Chryste – powtórzył cicho. – Kurwa mać.

Skrzyneczkę znalazł tuż pod czaszką. Była kolejną rzeczą, w którą uderzyła jego łopata, kiedy sfrustrowany i wściekły dźgnął nią znowu w ziemię. Metaliczny dźwięk, który odpowiedział mu z dołu, sprawił, że uchwyt łopaty wypadł mu z rąk, tak jakby nagle przepłynął prąd. Narzędzie poszybowało w górę i spoczęło na boku na krawędzi dołu. Jajo ukląkł w napięciu i obiema rękami wyszarpał skrzynkę.

„Warte pół miliona dolarów – wtedy – bo ostatnio jakoś nie szacowałem ich wartości”.

Skrzyneczka była bardzo tania. Eddie Klawisz kupił ją



pewnie w pierwszym lepszym sklepie z materiałami biurowymi. Drżącymi rękoma Jajo za pomocą ostrza łopaty rozbił zamek. Otworzył skrzynkę i zajrzał do środka.

Pomimo panujących ciemności, rozświetlanych tylko bladą poświatą latarki, diamenty zaiskrzyły. Potoczyły się w jedną i w drugą stronę po metalowym dnie skrzynki i zaiskrzyły, zawstydzając swoim blaskiem bezgwiezdną mgiełkę. Było ich tak dużo. Tak dużo...

Jajo szybko zamknął wieko. Wstał i ruszył w stronę operatora koparki, który siedział przy drodze na nieużywanej trumnie i palił papierosa.

– Możesz zakopać – zawołał.

Operator wstał ze znużeniem i bez słowa powlókł się w kierunku koparki.

Jajo siedział w zaparkowanym przy stacji Sunoco chevrolecie i głąskał metalowe wieczko skrzynki.

– Jezu Chryste – szeptał do niej. Jego twarz ciągle była pozbawiona wyrazu. – Kurwa mać.

Wysiadł z samochodu i zaniósł skrzynkę na jego tył. Otworzył bagażnik i włożył ją do schowka na zapasowe koło. Potem ruszył w stronę budki telefonicznej.

Wybrał numer komórki. Komputer kobiecym głosem poprosił go o nakarmienie automatu czterdziestoma centami za pierwsze pięć minut. Jajo wrzucił wymaganą sumę, moneta po monecie. Kiedy telefon po drugiej stronie linii dzwonił, stał z wargi pot.

– Taa?

To był Maxwell.

– Maxie – powiedział Jajo. Musiał odchrząknąć i zacząć na nowo. – Max?

– Taa, Jajo. Taa.

– Mam je, stary.

Chwila ciszy. Potem pojedynczy głupawy rechot.

– He. Masz je?

– Tak. Tak. – Jajo znowu startł pot z wargi. – No dobra – powiedział. – Załatw małą i zmiataj stamtąd. Już. Spotkamy się z Dolenką na Port Authority, tak jak ustaliliśmy. I Maxie...

– Taa, Jajo, taa?

– Załatw ją szybko i zmiataj stamtąd, dobra? Zabij ją i spadaj. Nie ma czasu na zabawę. Rozumiesz?

Początkowo nie usłyszał odpowiedzi.

– Słyszysz mnie, maleńki? – zapytał Jajo. Jego głos był niebezpiecznie bliski załamania.

Po długiej chwili Max w końcu odpowiedział.

– Taa, Jajo. Słyszę. Taa.

– Dobry chłopiec – powiedział Jajo. – To do roboty.

Odwiesił słuchawkę. Odwrócił się.

Na stację benzynową za jego plecami wjechał radiowóz.

## **GŁUPI CHLOROFORM**

Maxwell odłożył telefon. Jego mała kwadratowa twarz była napięta. Pod niskim czołem oczy nerwowo poruszały się to w jedną, to w drugą stronę. Co ma teraz zrobić, zastanawiał się.

„Załatw małą”. Tak powiedział Jajo. „Załatw małą i zmiataj stamtąd”.

Maxwell podszedł do przysuniętego do ściany materaca. Dziewczynka leżała na nim i spała. Maxwell spojrzął na nią. Przeciągnął wielką dłonią po ustach.

Sęk w tym, że się nie obudziła. Stanowiło to pewien problem. Od prawie godziny usiłował sprawić, by odzyskała przytomność. Ale ona ciągle leżała. Leżała na boku. Spod ciepłej flaneli jej koszulki wystawały nagie nogi. Ręce miała związane taśmą na plecach. Usta zaklejone. Jej oczy były prawie zamknięte. Maxwell widział fragment gałki ocznej wystającej spod powieki jak zamglona szklana kulka. Oddychała bardzo płytko.

Maxwell nachylił się i dźgnął grubym paluchem jej ramię.

Dziewczynka zakołysała się trochę. Ale wcale nie wstała, wcale się nie obudziła.

Przygryzając wargę, Maxwell odsunął się od małej. Przebiegł dłońmi po włosach. Podeszedł do stojącego w rogu leżaka. Usiadł. Grube ramiona zwisały mu ciężko między nogami. Siedział i patrzył na dziewczynkę.

„Za dużo głupiego chloroformu” – pomyślał. „Głupku” – pomyślał. „Dałeś jej za dużo chloroformu”.

Cóż, to był właściwie wypadek. Nic nie mógł na to poradzić. Musiał przenieść jakoś dziewczynkę z mieszkania Sinclair tutaj i po prostu się bał, nic więcej. Musiał ją przetaszczyć przez całą drogę w worku na plecach: przejść obok portiera, a potem przewieźć taksówką. Bał się, że się po drodze obudzi. No i... Nalał na szmatkę bardzo dużo cieczy, zanim przytknął ją małej do ust. To był wypadek, nic więcej.

Maxwell potarł czoło. Nie cierpiał tego uczucia, nie cierpiał, kiedy tak się zatykał i czuł zamęt w środku.

Chodzi o to, problem polega na tym, myślał... Jak już nalał chloroform, jak już poszedł do sypialni, gdzie leżała dziewczynka... No cóż, wyglądała tak... Leżała na łóżku na boku zwinięta w kłębek. Ssała kciuk i oglądała telewizję. Wyglądała tak spokojnie, niemal sennie. Zupełnie jakby oglądała telewizję u siebie w domu, jak wszystkie inne dziewczynki. No i na obu policzkach miała takie czarne siniaki po tym, jak Jajo trzepnął ją, kiedy próbowała uciec. Były bardzo ładne. One również podobały się Maxwellowi.

Kiedy Max podeszedł do niej z nasączoną chloroformem szmatką, zaczęła płakać. Nie próbowała uciekać. Po prostu leżała na łóżku ze ściągniętą twarzą. Płakała i trzęsła się. Maxwell, gdy usiadł obok niej na łóżku, zaczął ciężko oddychać. Potem złapał ją za włosy...

Poruszył się w leżaku. Kiedy to sobie przypominał – kiedy przypominał sobie, jak ją złapał – penis w spodniach zaczynał mu się rozwijać.

Przypominał sobie. Złapał ją. Złapał ją, a dziewczynka

krzyknęła i powiedziała łagodnie: „Nie”. Słabym ruchem spróbowała odwrócić twarz od szmatki. Ale Maxwell i tak przycisnął ją do jej ust. To było bardzo przyjemne. Obserwował jej ciało, ciepłe i wykręcające się jak małe zwierzątko...

Spojrzał na leżące na materacu związane dziecko. Penis w stanie erekcji naciskał mocno na jego spodnie koloru khaki. Położył na nim rękę. Potarł go dłonią, wpatrując się w dziewczynkę. Przypominał sobie.

Przytrzymał ściereczkę na jej twarzy. Trzymał ją i trzymał. Za długo. Na tym polegał problem. Nawet kiedy przestała się kręcić i walczyć, on ciągle przyciskał szmatkę. Trzymał małą za włosy, czuł w rękach ciężar jej ciała i nie wypuszczał. Dlatego właśnie nie mogła się teraz obudzić.

Popatrz tylko na nią. Leży tam. Twarz ma praktycznie szarą.  
„Załatw ją. Nie ma czasu na zabawę”.

Maxwell siedział na leżaku, pocierał dłonią kutasa i patrzył na dziewczynkę. Wiedział, że powinien zrobić to, co powiedział Jajo. I musiał to zrobić szybko. Wiedział.

Ale dobrze by było, gdyby się wcześniej obudziła.  
Siedział na leżaku i obserwował ją.

Śmierdzące stare mieszkanie – pomyślał po chwili Maxwell. Żałował, że musiał tu wrócić. Śmierdziało i było brudne. I ciemne. W środku była tylko jedna stara lampa, którą udało się zmontować Dolence. Stała w rogu. Rzuciła słabą żółtą poświatę. Maxwell był w stanie wyróżnić tylko popękane ściany, starą, szarą, przegniłą drewnianą podłogę i dwa brudne okna w ścianie po drugiej stronie materaca. Widział prusaki przy suficie i w kątach na podłodze. A pod oknem zauważył karalucha prawie tak wielkiego jak jego dłoń.

Po tym jak zabili Świrusa, Jajo i Maxwell schowali meble na górze. Kiedy jednak Maxwell przyprowadził tutaj dziewczynkę, ściągnął z powrotem na dół materac, leżak i lampę. Siedział teraz na krześle i spoglądał niespokojnie na dziewczynkę na materacu. Jej twarz miała naprawdę niedobry kolor. Taki trochę szary, a jednocześnie biały jak kreda. A wcześniej, zaraz po tym, jak ją

przyprowadził, widział, że dziewczynka bardzo dziwnie oddycha. Przez chwilę, długą chwilę w ogóle nawet nie oddychała. Ale potem jej ciało zeszywniało i mała wzięła nagle bardzo głęboki oddech. Musiała go wziąć przez nos, bo przecież miała zaklejone usta.

„Załatw ją. Załatw małą i spadaj”.

Ale Maxwell ciągle siedział. Patrzył na nią. Tupał stopą o podłogę. Musi zrobić to, co kazał mu Jajo, pomyślał. Chce zrobić to, co kazał mu Jajo. Dostanie od Jaja bardzo dużo pieniędzy i będzie mógł robić to, na co przyjdzie mu ochota. Będzie miał dużo chłopców i dziewczynek, powiedział Jajo, i nigdy już nie będzie musiał się bać, że trafi znowu do więzienia. Nie lubił więzienia. W ogóle. Ani trochę. Jedyłą fajną rzeczą, jaka mu się tam przydarzyła, było to, że spotkał Jaja.

Tupał szybko stopą o podłogę i bębnił palcami o kolano. Może niedługo się obudzi, pomyślał. Może wystarczy tylko chwilę poczekać, a ona się obudzi. Oddychała już lepiej niż poprzednio. Brała teraz takie płytkie oddechy, ale przynajmniej nie przestawała oddychać. Oddychała bez przerwy.

Może powinien zerwać jej taśmę z ust, pomyślał Maxwell. Powinno jej to pomóc.

Ale nie. Nie chciał tego robić. Mimo że budynek był pusty, nie chciał, żeby nagle zaczęła krzyczeć. Nie zanim nadejdzie odpowiednia chwila.

Maxwell zatupał stopą i zabębnił palcami po kolanie – i nagle zaczął w tym samym rytmie kiwać głową.

Już wie, co robi, pomyślał. Zaczeka jeszcze chwilę. Zobaczy, czy mała się obudzi. Zobaczy, czy odzyska przytomność.

Po prostu zaczeka troszkę dłużej.

# CZEŚĆ CZWARTA

## UCIECZKA

Okno biura Conrada od strony szybu wentylacyjnego wisiało jakieś trzy metry nad ziemią. Z miejsca, w którym stał, ledwo mógł zobaczyć nawierzchnię. Na przejście padały tylko pojedyncze plamy światła z mieszkań w jego i sąsiednim budynku. Reszta była pogrążona w głębokim mroku. Od czasu do czasu w ciemnych ścianach mieszkań na parterze pobłyskiwały szyby okien – oczywiście wszystkie też były ciemne.

– No dobra szepnął Conrad.

Zamknął oczy i przegonił sprzed nich obraz martwej, leżącej na podłodze córki. Przegonił wspomnienie krwi Elizabeth na siedzeniu samochodu. Otworzył oczy. Odryglował niewielkie okno i otworzył je.

Poczuł, jak jego twarz owiewa fala wilgotnego powietrza.

„A, jeżeli patrzą? Jeżeli tam są?”

Przegonił również tę myśl, strząsnął ją z powierzchni umysłu. Musiał działać. Była jedenasta dziesiąta. Jeżeli się myli, do północy musi zdążyć dostać się tam i wrócić. Musiał działać szybko. Już.

Zaczął wychodzić przez okno.

Było ciasne. Musiał się przeciskać: najpierw ręka, potem głowa, potem druga ręka. Nie było miejsca, żeby przeciągnąć zaraz potem nogę. Przekręcił się i ustawił twarzą do góry. Oparł się o parapet. Kiedy się przeciskał, metalowa rama rozdrapywała mu po bokach ciało. Nagle utknęły mu biodra. Pociągnął mocniej, wykrzywając twarz i jęcząc. Wreszcie udało mu się usiąść na występie okna, trzymając się parapetu. Przeciągnął powoli prawą nogę i w końcu udało mu się usiąść na parapecie okrakiem. Spróbował wysunąć lewą nogę i...

– O Jezu!

Ześlizgnął się. Samymi koniuszkami palców złapał się parapetu. Nogi zadyndały mu w powietrzu. A potem spadł.

Nawierzchnia szybu pochylała się, by uformować rynnę. Stopa Conrada uderzyła w jej kant. Poczuł, że jego prawe kolano przecina błyskawica. Ugięło się i Conrad upadł, opierając się dłonią o ścianę.

W rynnie pływała woda, stara deszczówka. Kiedy ukląkł, poczuł, jak przesiąka przez nogawkę spodni. Dysząc ciężko i charcząc, spróbował wstać. Odepchnął się dłonią od ściany.

Spojrzał w górę. Spojrzał w górę i rozejrzał się. Z jego ust wydobył się nierówny śmiech.

„Nieźle, pojebie. Przez ciebie przegraliśmy mecz”.

Okno jego gabinetu wisiało wysoko nad nim. Wszystkie pozostałe były ciemne i pozamykane. Czy będzie w stanie ich dosięgnąć, czy będzie w stanie dosięgnąć któregoś z nich?

„Nieźle, pojebie”.

Parsknął znowu, lecz śmiech zamarł mu w gardle. Ogarnęło go dobrze znane uczucie mdłości, dobrze znana panika. Tak jakby znowu miał dziewięć lat i kulił się na lewym polu, modląc się, by mecz skończył się szybko i bezproblemowo. Tak jakby znowu zobaczył piłkę, która długim lotem szybuje w jego kierunku, usłyszał krzyki: „Do tyłu! Do tyłu!” i tak jakby znowu spłynęła po nim klaustrofobiczna fala mdlącej świadomości uwięzienia w zgarbionym, ciągle potykającym się ciele, które było w stanie sięgnąć ku piłce jedynie po to, by poczuć, jak uderza w jego rękawicę i opada z lekkim pluśnięciem na trawę.

„Nieźle, pojebie. Przez ciebie przegraliśmy mecz”.

Dobry Boże, spędzi w tym miejscu resztę życia. Uwięziony w pieprzonym szybie wentylacyjnym. Drepcząc tam i z powrotem jak szczur w klatce, podczas gdy jego córka...

„Nieźle, tatusiu”.

– O Boże...

Z jego ust wydobył się cichy jęk. Podniósł dłoń i odpędził go sprzed nich. Zmusił się do oderwania od ściany. Spojrzał w górę na okna sąsiedniego budynku.

Wszystkie ciemne, wszystkie pozamykane. Wszystkie przynajmniej trzy metry powyżej gruntu, ledwo w zasięgu jego



palców. Krzywiąc się z bólu, Conrad pokuśtykał przez dróżkę, aż wreszcie stanął pod jednym z okien. Sięgnął w górę i złapał za krawędź występu okna. Stał na palcach. Przebiegł palcami rąk po ramie, pchnął ją do góry. Okno tylko zabębniło o rygiel. Podeszedł kawałek dalej i spróbował szczęścia przy innym. Również było zamknięte. Hm... I co teraz? Przecież to były gabinety; gabinety lekarzy, dentystów, innych psychiatrów. Conrad oparł się o ścianę, przyciskając policzek do zimnego kamienia. Usta zaczęły mu drżeć. Niewyraźne światło rozjaśniające dróżkę rozmazało się przed jego oczami.

„Nieźle, pojebie”.

Pomyślał: „Coś”. Musiał coś zrobić. Cokolwiek. Spojrzał na okno ponad swoją głową. Zaklął.

Schylił się, podniósł nogę i zdjął but. Skrzywił się, kiedy jego chroniona tylko skarpetką stopa dotknęła wypełniającej rynnę zimnej wody.

Włożył dłoń do buta. Sięgnął ręką tak wysoko, jak tylko mógł.

Wyrzucił ramię w górę i uderzył butem w szybę.

Aż do tej chwili myślał wyłącznie o tym, by dostać się do okna. Nikt, pomyślał, nie usłyszy dźwięku rozbijanego szkła. Zresztą to był Nowy Jork: nikt, kto by usłyszał dźwięk rozbijanego szkła, w żaden sposób by nie zareagował.

Aż do chwili kiedy rzeczywiście uderzył butem w szybę, nie przemknęła mu przez głowę myśl o alarmie.

Przecież w jego biurze nie było alarmu. Nie potrzebował go: nie było tam niczego cennego, może z wyjątkiem formularzy recept. Ale inni lekarze oczywiście trzymali w gabinetach lekarstwa i drogi sprzęt. Tyle że Conrad pomyślał o tym dopiero wtedy, gdy rozbiła się szyba.

Myśl ta zabrzmiała w jego głowie z siłą eksplozji. Świat zamienił się w wypełniający jego umysł wybuch. Usłyszał szkło, szkło rozbijające się w takt jakiejś ostrej muzyki; zobaczył kawałki szkła błyszczące niebezpiecznie w półświecie, kiedy opadały wokół niego jak deszcz drobnych sztyletów; i w tym samym

momencie w jego umyśle rozległa się inna eksplozja: „Mój Boże, alarm! Jeżeli tam jest, mój Boże... Przecież tam musi być alarm, alarm!”.

I w tym momencie rozdzwonił się alarm.

Jego dzwonek załomotał jak dźwięk wiertarki udarowej. Nocne powietrze zadrżało. Umysł Conrada, jego myśli zatrzęsły się i rozpadły na kawałki. A on sam stał na dróżce, gapił się w górę i myślał: „Dzwonek! Alarm! Alarm!”.

Powietrze nadal zdawało się pękać z powodu hałasu.

Conrad szybko wsunął z powrotem but na stopę. Następnie przykucnął i spojrzął na okno powyżej. Z parapetu, z ościeży, wystawały postrzępione kawałki szkła. Conrad skoczył ku nim.

Rzucił się i złapał za ramę okna. Szkło wbiło się w jego palce. W uszach nieprzerwanie piszczął mu dzwonek.

Podciągnął się do góry. Z bólu, który rozpałił się w jego dłoniach jak ogień, zacisnął zęby i oczy. Przerzucił rękę przez parapet, czując, jak szkło kaleczy mu skórę. Podciągnął się i wepchnął tułów w otwór, z trudem przeciskając się w kierunku rozpościerających się po drugiej stronie ciemności. Szkło drapało go, rwało mu koszulę i skórę. Na ramionach i brzuchu poczuł krew. Dzwonek nie przestawał pisać.

Wreszcie udało mu się precyzyjnie. Poszybował głową w stronę ciemności. Pędząc na ślepo w stronę podłogi, wyciągnął przed siebie ręce; stopy podążyły za resztą ciała. Wszystko go bolało; był cały we krwi. W kolano coraz głębiej wwierał się ból. Conrad położył się na podłodze; przed oczami wybuchały mu czerwone błyskawice, a dźwięk łomotania jego serca zagłuszał wszystko.

Wtedy ponownie odezwał się dzwonek. Urósł ponad wszechobecny dźwięk, ponad dźwięk jego serca. Musiał biec. Dzwonek wrzeszczał na niego. Musiał wstać, wyjść, biec, zanim przyjdą oni.

Sięgnął ręką w stronę ciemności. Poczuł coś – jakiś blat. Chwycił za niego. Jęcząc, podniósł się i stanął na nogach. Złapał się za bok, poczuł na koszuli wilgotną krew. Krzywiąc się z bólu,

ruszył do przodu; jedną rękę przycisnął do brzucha, drugą wyciągnął przed siebie, starając się wyczuć drogę.

Powlókł się przez pokój. Dotknął ściany, odsunął się od niej. Uderzył w tacę ze sprzętem, który potoczył się z brzękiem po podłodze. Dłonią utorował sobie drogę do drzwi, do przedpokoju. Mrużąc oczy i starając się przebić przez mieniący się przed nimi obraz, dostrzegł drzwi – światło z korytarza wykrawające w ciemnościach jaśniejszy prostokąt. Pokuśtykał w jego kierunku, wyciągając przed siebie rękę.

Nadal bombardował go dźwięk dzwonka. Conrad zbliżył się do drzwi. I nagle oprócz alarmu usłyszał inne dźwięki. Wołanie, basowy głos. Szczęk kluczy. Trzaśnięcie gałki w drzwiach.

Zatrzymał się i wbił wzrok w ciemność. Ktoś się zbliżał. Prawdopodobnie portier. Albo konserwator alarmu. Nie policja, jeszcze nie. Ale ktoś...

Drzwi się otwarły. Do przedpokoju przedostał się snop światła.

Conrad rzucił się do tyłu i przykleił do ściany. Snop światła stawał się coraz szerszy i szerszy. Rozprzestrzeniał się jak żółta plama: po ścianie przed nim, nad podłogą, a potem wzdłuż niej, niebezpiecznie zbliżając się do jego stóp.

Drzwi otworzyły się szerzej i Conrad zobaczył cień mężczyzny.

Mężczyzna był duży. Wysoki; miał wyprostowane ramiona. Czarny mężczyzna w fioletowym mundurze portiera.

Obolały, zakrwawiony Conrad przycisnął się z całej siły do ściany. Portier ostrożnie wyglądał na korytarz. Pchnął drzwi i otworzył je trochę szerzej. Plama światła dotarła niemal do stóp Conrada, zatrzymując się o parę centymetrów od czubka jego buta. Ciemności rozsadzał dzwonek alarmu. Portier wszedł do przedpokoju.

Conrad widział, jak jego niewyraźna sylwetka powoli posuwa się naprzód. Widział, jak przebiega dłońmi po ścianie z drugiej strony, szukając włącznika światła. Jeszcze jeden krok i portier wyłoni się bezpośrednio przed nim. Gdyby Conrad

wypuścił powietrze, mężczyzna poczułby je na policzku.

Nagle portier zagłębił się jeszcze o krok i przeszedł obok niego. Conrad usłyszał, jak wykrzykuje przy akompaniamencie dzwonka:

– Tutaj jest!

Conrad rzucił się do ucieczki. Pobiegł w stronę drzwi. Portier włączył światło i w gabinecie zrobiło się jasno. W tym momencie Conrad był już za drzwiami i zniknął za zakrętem, na wpół biegnąc, na wpół kuśtykając korytarzem. Za jego plecami ciągle dzwonił alarm. Portier nawet się nie odwrócił. Nawet go nie zauważył.

Wyglądał jak wariat; jego włosy były zmierzwiłone, w oczach czaiło się szaleństwo. Rękawy pomarańczowej koszuli były poplamione krwią. Ręce miał całe we krwi. Krew ściekała mu z palców. Zniknął za rogiem i podrygującym, zacinającym się krokiem wpadł do holu budynku.

Hol był szeroki. Jego ściany zdobiły lustra. Z wysokiego sufitu zwisały żyrandole. Conrad zauważył na lewo obrotowe wejściowe drzwi. Pokuśtykał w ich kierunku.

– Hej!

Rozejrzał się. Po prawej stronie zauważył dwie windy ze złoconymi drzwiami. Jedne z nich właśnie się zamykały. Z kabiny wyskoczył jakiś mężczyzna i pędził w stronę Conrada. Był to niski masywny Latynos w spodniach koloru khaki i w zapinanej na guziki koszuli, spod której wystawał okrągły brzuch. Konserwator alarmu.

– Hej! – krzyknął ponownie, wskazując palcem na Conrada.

Conrad stanął w miejscu.

– Szybko – powiedział. Wskazał palcem w stronę korytarza, z którego przed chwilą się wyłonił. – W biurze na prawo. Szybko. Pospiesz się. Portier...

Oczy mężczyzny zwęziły się. Pojawiła się w nich determinacja. Skręcił w pół drogi i dzielnie popędził w stronę korytarza, oddalając się od Conrada.

Conrad pokuśtykał do obrotowych drzwi. Pchnął je

ramieniem. Wskoczył na chodnik i stanął na moment niepewnie. Wpatrywał się, mrużąc oczy, w wieczorną mgiełkę.

Był na Osiemdziesiątej Trzeciej Ulicy. Na prawo od niego biegła Central Park West. Tam właśnie stoją, pomyślał. Porywacze. Obserwują za rogiem wejście do budynku. Nie obserwują tej ulicy, tych drzwi. Na pewno nie, zapewniał sam siebie.

Dyszał ciężko. Każdy oddech wywoływał w jego brzuchu ukłucie. Przyłożył dłoń do krwawiącego miejsca. Jęknął z bólu, który nagle poczuł w kolanie.

Niech nie widzą, pomyślał. Proszę. Proszę. Niech nie obserwują.

Odwrócił się w stronę Columbus Avenue. Krzycząc z bólu, puścił się biegiem.

## W DZIECINNYM POKOJU

Aggie i Elizabeth siedziały w dzieciennym pokoju, czekając, aż policja przyprowdzi więźnia.

– Gwiazdy – powiedziała Elizabeth. – To ty je namalowałaś?

Kobiety siedziały we dwójkę w pokoju Jessiki. Policjanci zajęli salon. Elizabeth z rozchyłonymi ustami wpatrywała się w sufit.

– Czy to ty namalowałaś gwiazdy? – zapytała ponownie.

Aggie tylko skinęła głową. Trudno jej było mówić o gwiazdach Jessie.

– Tak – udało jej się wreszcie z siebie wydusić.

– Są piękne – powiedziała Elizabeth.

– Dzięk...

Aggie nie była w stanie dokończyć.

Elizabeth spojrzała na Agathę. Zawahała się, po czym podniosła dłoń i dotknęła jej ramienia. Potem szybko odsunęła rękę.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziała, patrząc w dół.

– Wróci. Wiem to na pewno.

Aggie skinęła głową, starając się uśmiechnąć.

Elizabeth odwróciła się. Jednym szerokim spojrzeniem objęła cały pokój. Gwiazdy na suficie, tęczę na błękitnej ścianie, kryształowy pałac wymalowany między płynącymi chmurami.

– Na pewno wróci – dodała uprzejmie. – Ma taki śliczny pokój.

Elizabeth miała na sobie jedną ze starych sukienek Aggie. Policyjni technicy zabrali jej przesiąknięte krwią ubranie i schowali do plastikowego worka. Zeskrobali również z policzków Elizabeth kawałki zakrzepłej krwi, a spod paznokci pobrali inne próbki. Zrobili to w sypialni, kiedy D'Annunzio i agent specjalny Calvin przepytawali dziewczynę.

Była przy tym również Aggie. Elizabeth poprosiła ją, żeby

została. Aggie usiadła na łóżku obok dziewczyny i trzymała ją za rękę. Słuchała, jak Elizabeth opowiada o mężczyźnie z nożem, który zakradł się do samochodu. Słuchała i myślała: „Mój Boże, ona go zabiła. Czy o tym właśnie mówi? Tak, zabiła go. Własnymi rękami...”

W tym momencie przestała gładzić dłoń dziewczyny. Spojrzała tylko w dół. Popatrzyła na dłoń Elizabeth i przed jej oczami pojawił się obraz twarzy córeczki: Jessie z drżącymi ustami oraz przerażonymi i oszołomionymi niebieskimi oczami.

Aggie przełknęła z trudem. Wpatrując się w dłoń Elizabeth, walczyła z mdłościami.

Zanim Elizabeth zdjęła sukienkę, Aggie kazała policjantom opuścić pokój. Podała jednemu z nich przez drzwi ubranie. Wyjęła z szafy starą kremową sukienkę w kwiaty. Elizabeth musiała ciasno zaciągnąć pasek, a brzeg sukienki kończył jej się powyżej kolan, ale poza tym całkiem jej pasowała.

Potem Aggie wzięła dziewczynę do łazienki. Posadziła ją na klozecie i zaczęła obmywać ściereczką twarz. Czyściła jej policzki i oczy, delikatnie zmywając z nich krew. Elizabeth przez cały czas na nią patrzyła. Aggie przypomniawszy sobie, jak myła twarz Jessice. Jessica nigdy nie przestawała mówić i zadawać pytań: „Co będę dzisiaj robić? Czy tatuś wróci do domu, zanim pójdę do łóżka? Mogę po szkole pooglądać telewizję?”. Czasem Aggie traciła cierpliwość: „Jess-i-co! Jak mam ci wymyć twarz, skoro ciągle się wierzysz?”. Jessica zaczynała chichotać, co tylko pogarszało sprawę.

Elizabeth Burrows, kiedy Aggie myła jej twarz, ani nic nie mówiła, ani się nie poruszała. Siedziała bardzo spokojnie z wyprostowanymi plecami i dłońmi złożonymi na kolanach.

I przypatrywała się Aggie. Przez cały czas patrzyła na nią swoimi wielkimi zielonymi oczami i z rozchylonymi ustami. Aggie miała ochotę powiedzieć jej: „Przestań”. Ale nie powiedziała tego. I Elizabeth nie przestawała patrzeć.

Aggie skończyła i odłożyła ściereczkę do umywalki.

Elizabeth ciągle patrzyła na nią z lekko przechyloną głową.

Aggie mogła się w tym momencie przekonać, jaka jest piękna. Jak z obrazka. Jak Wenus Botticellego. Boże, myślała Aggie, kim by mogła zostać, gdyby tylko... Stała przy umywalce i spoglądała na Elizabeth. A Elizabeth z przekrzywioną głową spoglądała na nią.

Musiała rozerwać tego mężczyznę gołymi rękami, pomyślała Aggie.

– Możemy wrócić do sypialni – powiedziała łagodnie.

– Nie... – Elizabeth zamrugła, tak jakby głos Aggie obudził ją ze snu. – To znaczy... To znaczy... Czy mogłabym zobaczyć jej pokój?

– Jej...?

– Twojej córki.

Stała więc teraz obok piętrowego łóżka Jessiki, spoglądając z takim samym idiotycznym zdumieniem na wymalowane gwiazdy, kryształowy pałac, tęczę i chmury. Odeszła sennym krokiem od Aggie. Zbliżyła się do półki z zabawkami Jessiki w przeciwnym kącie pokoju. Dotknęła niewielkiej pozytywki, małej karuzeli. Dotknęła koników na karuzeli, ich szmacianych chorągiewek powiewających na złotych słupkach.

Aggie obserwowała ją. Widziała, jak uśmiecha się na widok pomalowanych koników. Przez ściany słyszała cichy szmer rozmów mężczyzn.

– Myślałam o tym pokoju – powiedziała nagle Elizabeth. – O pokoju twojej córki. Chciałam go zobaczyć.

– Naprawdę? – spytała Aggie. Przeszedł ją lekki dreszcz. Myśl o tej kobiecie, szalonej kobiecie, która siedzi w szpitalu wariatów i myśli o pokoju jej córki...

„Jezu, Nathan! Powiedziałeś jej o nas wszystko?”

– Tak – stwierdziła Elizabeth. – Po tym jak ten mężczyzna... ten mężczyzna z nożem, a potem... potem policjanci. Znaleźli mnie z nim, kiedy był... Był już martwy, no wiesz, bo Sekretny Przyjaciel i... I policjanci wsadzili mnie do swojego samochodu, a



ja im powiedziałam, tak powiedziałam: „Musicie pomóc doktorowi Conradowi. Musicie mu pomóc”. Ciągłe to powtarzałam, a oni powiedzieli to przez radio, a potem że przyprowadzą mnie tutaj i... I bałam się. Bałam się, ale myślałam... Myślałam: „Teraz zobaczę jej pokój”. Powtarzałam to sobie, żeby trochę mniej się bać. „Teraz zobaczę, jak wygląda jej pokój”. Ciągłe to sobie powtarzałam.

Aggie udało się zyczliwie uśmiechnąć, choć w duchu przeszedł ją znowu dreszcz.

– Rozumiem – powiedziała.

– A potem... – zaczęła Elizabeth. Nagle się zatrzymała. – Och – z jej ust wydobyło się długie westchnienie. – Popatrz! – Jej oczy były rozjaśnione, usta rozchylone i lekko roześmiane. Patrzyła na szafę Jessiki. – Popatrz! Ma tyle... No wiesz... – Pomachała rękami. – Zwierzątek. Zabawek i zwierzątek.

– Nazywa je swoimi przyjaciółmi – powiedziała Aggie. Jej głos znowu stał się ochryply.

– Przyjaciółmi – powtórzyła Elizabeth. – To takie słodkie.

Weszła do szafy.

Aggie się zawahała. Nie była pewna, czy powinna znowu wchodzić do szafy. Kiedy zbliżyła się do niej o krok, poczuła w całym ciele coś jak ołów; ołów pojawił się w jej gardle, klatce piersiowej, w brzuchu. Gęsty i ciężki.

Podeszła do szafy i zajrzała do środka.

Elizabeth weszła tam i wpatrzyła się w zwierzątka. Uklękła otoczona przez maskotki. Krokodyle i Marsjanie; Goofy, Miss Piggy i Kermit Żaba.

Do rąk wzięła jednak oczywiście Białego Śnieżka, starego pluszaka. Przycisnęła go do piersi, otaczając ramionami.

Chryste, pomyślała Aggie, walcząc ze łzami. Wybrała właśnie jego.

Tuląc w ramionach pluszaka, Elizabeth spojrzała na Aggie.

– Chcę zniknąć – powiedziała łagodnie. Jej głos był dziwnie pogodny, dziwnie silny. – Czy doktor Conrad mówił ci o tym?

– Nie – zdołała wykrztusić z siebie Aggie. – Nie. Oczywiście, że nie.

– Ale to prawda – powiedziała ze smutkiem Elizabeth. – Wiem, że tak będzie. – Zakołysała w ramionach Białym Śnieżkiem. – To będzie tak, jakbym została tutaj, została tutaj na zawsze. Z tymi wszystkimi przyjaciółmi. I... Przyjaciele będą tutaj rozmawiać, a ja... ja ich będę musiała słuchać. Będę musiała ich słuchać, a potem powoli, powoli... zniknę. – Podniosła wzrok na Aggie. Aggie zauważyła, jak jej oczy są głębokie, jak czyste. – Wiesz, widziałam już takich. Tych, którzy zniknęli. W szpitalach. Siedzieli. Patrzyli w powietrze. Patrzyli na ścianę. – Przeszedł ją dreszcz. – Prawie można zobaczyć, prawie można spojrzeć im w oczy i zobaczyć to. Wygląda to jak pogrzeb: pokój jest pełen przyjaciół człowieka, ale jego już tam nie ma. Są tylko przyjaciele, którzy mówią i tam żyją. Ale człowiek już... zniknął. – Uśmiechnęła się lekko, przytulając się do pluszowego misia. – To gorsze niż pogrzeb – powiedziała. – Myślę, że to pewnie gorsze od umierania.

– Nie mów tak.

Aggie podeszła do niej.

Elizabeth z całych sił przytuliła się do misia, potarła policzek o jego futerko. Jej oczy były wilgotne, a usta nabrzmiały. Wreszcie wyznała:

– Taki śliczny pokój! Chciałabym mieć taki!

– Ach, kochanie – powiedziała Aggie. Również w jej oczach pojawiły się łzy. Podeszła do Elizabeth i sięgnęła ku niej ręką – sięgnęła, by dotknąć jej policzka.

I wtedy właśnie przyprawiono więźnia.

Obie kobiety usłyszały go w momencie, kiedy pojawił się w drzwiach wejściowych do mieszkania. Krzyczał.

– Odpierdolcie się! Odpierdolcie się! To jest, kurwa, nielegalne. To jest, kurwa, maksymalnie nielegalne. Dupki! Myślicie, że to nie jest nielegalne? Myślicie, że się z tego wywiniecie? No to jesteście, kurwa, w jebanym w dupę błędzie. Wy skurwysyny! Dupki jebane! Nie przeczytaliście mi praw! – wrzasnął.

– Wasze nędzne, grube niebieskie dupska skończą w głębokiej dupie. Hej. Hej! Zabierać śmierdzące łapska! Brutalność policji! Brutalność jebanej policji! Odpierdolcie się!

– O Jezu – szepnęła Aggie.

Wybiegła z dziecinnego pokoju. Po sekundzie była już na korytarzu. Wpadła do salonu. Znalazła się w tłumie mężczyzn w krawatach i mundurach. Odsunęli się, zostawiając dla niej wiodący do drzwi tunel. Aggie spojrzała tam i zobaczyła więźnia.

Był nim mężczyzna, który udawał detektywa D’Annunzia. Stał obezwładniony przez dwóch mundurowych. Trzymali go za łokcie. Miał skrępowane za plecami ręce – zakute w kajdanki, co Aggie dostrzegła, kiedy wykręcał się to w jedną, to w drugą stronę. Jego brązowe włosy opadały i podskakiwały, kiedy walczył z uściskiem policjantów. Oczy miał jasne i uśmiechał się, pozwalając, by w jego białych zębach odbijało się światło lampy. Śmiał się jak szalony. Kiedy jednak mówił, jego głos się załamywał.

– Aaaale jesteście udupieni. Jesteście tak udupieni, że nawet jeszcze nie wiecie, co oznacza słowo udupiony. Umieszczą wasze zdjęcia obok definicji słowa udupiony w jebanych słownikach, pieprzone kutasy. Dupki! Nikt mi nawet nie przeczytał praw, nikt do mnie, kurwa, nic nie mówi, oni tylko...

I wtedy, zanim Aggie zdążyła się zorientować, co się dzieje, była już na nim. Ścisnęła jego kurtkę, ciągnęła ją, czepiała się jego szyi, włosów. Łzy spływały jej po policzkach; były gorące, zdawały się wypalać w jej skórze głębokie rowki. Jej głos zamienił się w ochryple wycie. Ledwie była w stanie go rozpoznać. Ledwie zdawała sobie sprawę, że krzyczy w zaskoczoną twarz mężczyzny:

– Gdzie ona jest? Proszę, proszę, powiedz mi, gdzie jest moje maleństwo! Och, proszę, Jezu, musisz mi powiedzieć, gdzie ona jest, proszę, proszę, przysięgam, zrobię wszystko...

Jak przez mgłę poczuła, że chwytają ją czyjeś dłonie, że odciągają jej ręce od szyi więźnia. Jak przez mgłę usłyszała czyjeś niskie głosy, które krzyczały: „Pani Conrad!”. Poczowała, że jakaś siła ciągnie ją za ramiona, za talię.

Ona jednak ciągle trzymała się więźnia. Ścisnęła go i płakała, krzycząc:

– Proszę. Och, proszę, w imię Boga, w imię Chrystusa, proszę, powiedz mi, powiedz, że ona żyje, powiedz tylko, że ona żyje...

W tym momencie ją złapali – policjanci złapali ją, pociągnęli za ramiona i odciągnęli od niego, a on nic nie powiedział, on nic jej nie powiedział. Agatha walczyła z uściskiem ich rąk, walczyła, by móc go znowu złapać.

– Proszę – wołała, wyła. – Każcie mu powiedzieć, o Jezusie, zmuscie go, żeby mi powiedział, zmuscie go...

Oni jednak odciągali już więźnia.

– Zabierzcie go do sypialni – warknął ktoś.

Aggie słyszała swoje ochryple szlochanie. Brzmiało jak coś bardzo odległego i okropnego, jak gdyby należało do kogoś innego. Przytrzymywana przez silne ręce mężczyzn, spojrzała w górę i zobaczyła, że ktoś ciągnie więźnia w stronę korytarza. Znowu się śmiał, a włosy opadły mu na oczy. Patrzył na nią i śmiał się.

– Sorki, cycata – zawołał do niej. – Sorki, laleczko, ale twoi kumple dali dupy. Zwinęli nie tego faceta. Nie mam nic wspólnego z porywaniem dzieci. Chcę tylko adwokata, słyszysz, co do ciebie mówię, debilu? Powiedz swoim kumplom: chłopaki, lepiej załatwcie panu McIlvaine'owi adwokata.

Aggie, podtrzymywana przez policjantów, zawisła bezwładnie.

– Proszę – powiedziała. Zaszłochała bezsilnie.

Poczuła, że ucisk na jej ciele słabnie. Policjanci opuścili ją powoli i delikatnie na podłogę, a potem zniknęli w sypialni. Opadła na kolana; pochyliła głowę, wokół której rozsypywały się bezładnie włosy.

– Proszę, zmuscie go. – Słyszała własny płacz. – Zmuscie go, żeby powiedział, gdzie jest moje maleństwo. Proszę.

Nagle poczuła czyjeś ciepłe, obejmujące ją ramiona. Poczuła na włosach, że głaszczą je czyjeś delikatne dłonie. W uchu

usłyszała łagodny, przytłumiony pomruk.

– Już dobrze. Już dobrze, naprawdę. Wszystko będzie dobrze.

Płacząc, Aggie oparła głowę o piersi Elizabeth.

– Wszystko będzie dobrze – powtórzyła Elizabeth. –  
Wszyscy go już widzą. Rozumiesz? Wszyscy go widzą. Więc teraz  
wszystko będzie dobrze.

## HOUSES STREET 222

Wagon metra był jasno oświetlony. Stukał głośno. Zmierzał do centrum, kołysząc się to w jedną, to w drugą stronę. W środku siedziały cztery osoby. Z przodu szeptała do siebie bez przerwy jakaś para: młody czarny mężczyzna w skórzanej kurtce i młoda biała kobieta z tlenionymi włosami. Mniej więcej w połowie jakiś pracownik koncernu energetycznego Con Ed siedział i czytał „News”: krępy czarny mężczyzna w roboczym kombinezonie, ze sztywną czapką położoną na udzie.

Wreszcie na samym końcu przycupnął jeszcze jeden mężczyzna. Siedział z głową pochyloną do przodu. Jego łysina pobłyskiwała we fluorescencyjnym świetle. Ręce skrzyżował na kolanach, dłonie zacisnął wokół przedramion, tak jakby sam siebie próbował przytrzymać. Miał na sobie podartą koszulę poplamioną tu i ówdzie krwią. Plamy krwi widać było również na linoleum między jego stopami.

Metro zwolniło, zbliżając się do stacji Canal Street. Pracownik Con Ed złożył gazetę i wstał. Wsunął czapkę pod ramię i podszedł do tylnych drzwi. Ściskając wolną dłońią metalowy słupek, spojrzął na przykucniętą zakrwawioną postać.

– Czy potrzebuje pan pomocy? – zapytał cicho.

Mężczyzna nawet na niego nie spojrzął. Potrząsnął tylko głową. Pociąg wjechał na stację, a jego ciemne szyby rozjaśniły się. Żółte kafelki rozmazały się w niewyraźną plamę, po czym kiedy pociąg się zatrzymywał, zaczęły nabierać wyraźniejszych kształtów.

– Powinien pan pójść do szpitala – mruknął robotnik.

Krwawiący mężczyzna spojrzął na niego.

– Nic mi nie jest – powiedział.

Pracownik Con Ed wzruszył ramionami i westchnął.

– Jak pan uważa.

Drzwi pociągu otworzyły się. Człowiek z Con Ed wyszedł na

peron. Drzwi się zamknęły. Pociąg ruszył ponownie, stukając i kołysząc się to w jedną, to w drugą stronę.

Conrad podniósł głowę i wyjrzał przez okno, starając się wyśledzić wzrokiem faceta w roboczym kombinezonie. Czy poszedł do wyjścia? Czy zatrzymał się przy telefonie, żeby zadzwonić do porywaczy? Conrad nie mógł go dostrzec.

Po chwili jednak zauważył, że pracownik Con Ed stoi na peronie, rozglądając się na boki. Chwilę później pociąg wstrzelił się w tunel. Okna zrobiły się ciemne. Mężczyzna zniknął z widoku.

Conrad skulony podniósł się i wziął bolesny oddech. Zerknął na siedzącą po drugiej stronie parę. Przysłaniały mu ją błyski czerwieni. Zmrużył oczy, aż obraz przed nimi nieco się oczyścił. Zobaczył, że dziewczyna szepcze coś do ucha młodemu mężczyźnie, głaszcząc palcem jego policzek. Mężczyzna patrzył na wprost, uśmiechając się do siebie.

Conrad pochylił się z powrotem.

– Nie widzą mnie – szepnął. Słowa rozmyły się w huku metra. – Uciekłem. Oby udało mi się uciec. Proszę. – Złapał dłońmi przedramiona i potarł rękawy, by zetrzeć z nich krew. Zdał sobie sprawę, że ciągle czuje wbijające się w jego ciało kawałki szkła.

Metro wjechało na stację Franklin Street. Conrad zaczął wstawać.

Jedenasta czterdzieści. Bez szans, pomyślał. Nie uda mu się wrócić do północy do gabinetu. Miał już tylko jedną jedyną szansę, by pomóc córce: wszystko zależało od tego, czy tam będzie, czy trzymają ją przy Houses Street 222.

Pokuśtykał wąską uliczką; wąską, opuszczoną, pogrążoną w mroku uliczką Tribeki. Ponad nim na tle zamglonego szarego nieba wisiały długie budynki dawnych magazynów. W dali migotał ogień z kubła na śmieci. Conrad zauważył cienie zgarbionych mężczyzn tłoczących się wokół niego, wyciągających

ręce do ciepła. Poczul chłód, wilgotny nocny chłód, który rozpełzał się po jego skórze.

Kuśtykał dalej, nieprzerwanie zmuszając nogę do przebijania się przez barierę bólu. Pomyślał, że w tej chwili może go zatrzymać najmniejszy drobiazg. Miłosierny samarytanin; glina; bandyta, który rozłożyłby go w ciągu minut, zostawił na ulicy na pewną śmierć. Zakasłał, nie przerywając kuśtykania.

Powinien był na nich zaczekać, pomyślał. Powinien był zrobić, co mówili, czekać do północy, tak jak mu powiedzieli. Powinien był zadzwonić na policję zaraz po ucieczce. Powinien był zaufać pracownikowi Con Ed, poprosić go o pomoc... Powinien był coś zrobić...

„Nieźle, pojebie”.

... coś, byle nie to. Ostatni, potworny błąd.

Houses Street. Greenwich i Houses Street. Spojrzał i zauważył ją. Ledwo pamiętał, jak udało mu się trafić. Stanął na rogu pod latarnią. Zmrużył oczy, starając się odczytać napis na niewielkiej tabliczce. Odwrócił głowę, spojrzał na ulicę. Dwa krótkie ciemne kwartały. Nieregularna linia budynków we mgle, wszystkie okna zaciemnione. W dali droga szybkiego ruchu i Hudson. Widział, jak w dole mkną samochody. Widział ciemne wody rzeki skrzące się w świetle stojących na brzegu latarni. Mógł je wyraźnie dostrzec.

Ruszył ulicą, zostawiając za sobą łunę światła.

Szedł nieco szybciej. Jęczał przy każdym kroku. Jego prawe kolano było zablokowane. Noga była sztywna jak deska. Kiedy zgasło za nim światło latarni, ciemność nocy zamknęła się nad nim jak dłonie chłopca zakrywające ćmę. Jedyna szansa, pomyślał. Że tam jest. Musi tam być. Jessie. Mgiełka towarzyszyła mu z boku, ciemność rozpościerała się przed nim. Kuśtykał dalej.

Wszedł na pusty, zarośnięty chwastami parking, który wyłonił się przed nim z mgiełki, kiedy kuśtykał w jego kierunku. Chwasty zasłaniały srebrne puszkę po napojach, gruz oraz papierki przeganiane po podłożu przez zimną bryzę od rzeki. Conrad



jęcząc, minął parking; podszedł do następnego budynku, którego sylwetka wyłoniła się z ciemności: przysadzista sterta kamieni, która wydawała się wysunięta do przodu, tak jakby w każdej chwili miała upaść i roztrzaskać się na ulicy w drobny mak.

Dotarł do budynku. Stanął przed nim, dysząc. Mrużąc w mroku oczy, starając się przegonić sprzed nich błyskawice i płynące chmury, przeczytał numer na wyszczerbionym nadprożu: dwieście dwadzieścia dwa. Podniósł oczy trochę wyżej.

– Och – powiedział łagodnie.

W oknie na drugim piętrze paliło się słabe światło.

O tym właśnie mówiła, prawda?

„Mieszkanie było na drugim piętrze”.

Czy tak powiedziała Elizabeth? Tak. Tak, był tego pewien. Mieszkanie było na drugim piętrze. A twarz rudowłosego mężczyzny pojawiła się za oknem. Wisiał upiornie za oknem jak zjawą, jak jej Sekretny Przyjaciel.

Ale to nie był jej Sekretny Przyjaciel. To był prawdziwy człowiek. To był Robert Rostoff, człowiek, którego zabił Jajo. A skoro Robert Rostoff zaglądał przez okno na drugim piętrze, to musiało tam być...

– Wyjście pożarowe – zachrypiał.

Zaczął kuśtykać w stronę pustego parkingu.

Kiedy stanął na krawędzi parkingu, rzeczywiście zauważył wyjście pożarowe. Biegło zygzakiem przy ścianie budynku. Powyżej było oświetlone okno na drugim piętrze.

„Jedyna szansa”, pomyślał.

Wszedł pomiędzy chwasty. Wyrastały na wysokość jego kolan. Spojrzał w dół na niewidoczne w ich gąszczu stopy. Podszedł jeszcze o krok – i nagle chwasty wokół niego się ożywiły.

Zatrzymał się. Chwasty zagrzechotały i zakołysały się. Szczury – zobaczył je; pod jego stopami zatrzęsło się i w trawę pomknęły dziesiątki szcurów.

Conrad szedł niezgrabnie dalej. Poruszał się bardzo powoli. Patrzył pod stopy.

Pieprzone szczury, pomyślał.

Przeszedł go dreszcz. Na chwilę podniósł wzrok na kamienicę. Nadepnął na coś...

„O Jezu, kurwa, wąż”.

... na coś, co leżało w chwastach. Złapał powietrze, odskoczył. Spojrzał w dół – i zobaczył leżący na ziemi długi wąski kształt.

„... wąż...”

Kształt jednak był nieruchomy. Conrad nachylił się. To nie był wąż. Był to złamany w połowie kij od miotły. Jeden jego koniec był okrągły i gładki. Drugi – ostry i wyszczerbiony.

Conrad sięgnął ręką i podniósł kij. Zważył go w dłoni. Zacisnął wokół niego palce. Zasyczał, kiedy szorstkie drewno zadrapało wnętrze jego poranionej dłoni.

Zaczął kuśtykać w stronę kamienicy. W rękę ścisnął kij od miotły.

„Jedyna szansa” – pomyślał.

„Jedyna szansa. Jessica”.

Drabina ewakuacyjna była już opuszczona. Conrad położył rękę na wiszącym przed nim szczeblu. Zardzewiałe żelazo jakby wgryzło mu się w skórę. Trzymając ciągle w jednej ręce kij od miotły, drugą przełożył przez szczebel, na którym się przewinał nadgarstek. Bolało nieco mniej. Podniósł lewą stopę na najniższy szczebel. Zesztywniałą prawą nogę pociągnął w górę i po chwili obie jego stopy spoczywały na tej samej wysokości. W ten właśnie sposób zaczął się wspinać: po jednym stopniu, najpierw lewa stopa, potem prawa. Jedyna szansa. Jedyna szansa.

Dotarł do pierwszego podestu i dysząc, wczołgał się na niego; powietrze ze świstem wydobywało mu się z płuc. Bolało go rozcięcie na boku, czuł jednak, że rana przestała krwawić. Nie miał uszkodzonego żadnego ważniejszego organu, pomyślał, nie wykrwawi się też na śmierć. Trzymając się wąskiej poręczy, ruszył schodami w stronę drugiego podestu. Podniósł oczy na oświetlone okno. Nawet tak przytłumione światło raniło jego oczy, kiedy się do niego zbliżał. Czerwone chmury pękały, rozchodziły się, po

czym znikwały mu przed oczami. W końcu dotarł do podestu przy oknie.

Wetknął głowę w otwór. Wczołgał się na niewielką okratowaną platformę. Jakoś udało mu się zmieścić w ciasnej przestrzeni, choć musiał przykucnąć na czworakach, krztusząc się i dysząc. Potrząsnął głową i popatrzył w górę, zajrzał przez okno, przez jego zabrudzoną szybę.

I wtedy ją zobaczył.

– Jessica.

Była tam. Jakieś pięć metrów od niego. Leżała na podłodze na materacu – na boku, z koszulką w serduszka owiniętą wokół kolan. Najpierw pomyślał, że jest martwa. Była taka sztywna, taka spokojna. Poczuł, że całe ciało zapada mu się do środka. Spojrzał na nią przez okno, wstrzymując oddech.

Jej dłonie były jakoś skrępowane na plecach. Usta brutalnie zaklejał pasek białej taśmy. Do kredowobiałej twarzy Jessiki kleiły się włosy – jej piękne, kręcone rudozłote włosy, tego samego koloru co włosy jej ojca, teraz splątane i zmierzwione. Pomiedzy włosami widać było rozszerzone oczy wpatrzone w punkt, którego Conrad nie mógł zobaczyć. Były takie białe, takie białe... o Boże, pomyślał. Nie żyje? Umarła? Wpatrzone w ten sposób w pustkę? Zakneblowana? Przerażona?

Czekając na swojego tatusia.

Żeby lepiej widzieć, Conrad podniósł się na kolana. Spojrzał na córkę obojętny na ból, na wszystko.

– Maleńka? – szepnął, ledwo szepnął. – Kochanie?

Kiedy patrzył, jego oczy wypełniły się łzami. Dłoń zadrżała mu, gdy podniósł ją i przytknął do okna. Spróbował trochę przeczyścić szybę, ale krew z jego palców zostawiła na niej tylko jeszcze jedną smugę.

– Jessie?... i wtedy Jessica się poruszyła.

Nie spodziewał się tego. Ciało dziewczynki wykonało niespodziewany szybki ruch i powróciło nagle do życia. Jessie zaczęła się wić na materacu, rzuciła się do tyłu; cofała się tak długo, aż oparła się plecami o ścianę. Nie przestała się jednak wić,

nadal próbowała cofnąć się trochę dalej. Przyciśnięta do muru, skulona przy murze, nadal kopała materac, pragnąc uciec jeszcze dalej. Jej oczy rozszerzyły się jeszcze bardziej, nabiegły do nich łzy. Zaczęła kręcić głową: nie, nie, nie. Conrad widział, jak jej usta poruszają się pod taśmą... Czuł, jak krzyczy.

Żyła. Musiał jej pomóc... Ciągle żyła. Musiał zejść na dół, zadzwonić na policję. Żyła. Jessica. Ciągle...

I wtedy w kącie oka zamajaczył mu jakiś cień i Conrad zobaczył...

– O cholera, o cholera, niech to szlag, o Boże. O mój Boże.  
Zobaczył zbliżającego się ku Jessice Maxwella.

## LEWIS McILVOINE I JEGO KONSTYTUCYJNE PRAWA

– A teraz, panie McIlvaine... Lewis... Sytuacja może dla ciebie przybrać względnie korzystny obrót albo też może stać się bardzo, bardzo nieprzyjemna – powiedział agent specjalny Calvin.  
– Rozumiemy się?

Więzień, Lewis McIlvaine, siedział na łóżku. Ręce miał skute za plecami kajdankami. Patrzył na agenta specjalnego Calvina i kiwał głową.

– Bardzo dobrze – powiedział agent specjalny Calvin. Stał przed McIlvainem, pochylając się nad nim i celując w niego ostro wyrzeźbionym podbródkiem.

– Chciałbym, żebyś mi teraz coś powiedział – kontynuował.

– Co dokładnie zrobiliście z córeczką Conradów?

Lewis McIlvaine nadal kiwał głową. Uśmiechnął się.

– Agencie specjalny Calvin – powiedział cicho. – Agencie specjalny, innymi słowy: dupku żołądny. Po raz setny chciałbym zażądać widzenia z adwokatem. Nie powiem nic i nikomu, dopóki nie zobaczę się z adwokatem. A kiedy już się z nim zobaczę, powiem mu: „Ech, panie adwokacie, przynieś mi pan, proszę, na tacy jądra agenta specjalnego Calvina, bo od dawna już nie jadłem pożywnego posiłku”. Kapujesz?

Detektyw D'Annunzio westchnął ciężko. Opierał się o ścianę sypialni: raz po raz odbijał przestronne dupsko od kłykci złożonych za plecami dłoni. Nagle wyrwał spod siebie jedną z dłoni – lewą. Spojrzał na zegarek. Była jedenasta czterdzieści pięć. D'Annunzio podniósł z powrotem wzrok i popatrzył na wiszącego nad podejrzanym Calvina. Był bardzo smukły i zasadniczy w swoim szytym na miarę garniturze.

D'Annunzio patrzył na niego i myślał o pani Conrad. Myślał o jej delikatnych, inteligentnych przepelnionych łzami niebieskich oczach. Myślał o kształcie jej piersi zarysowującym się pod bluzką. Kiedy przytuliła się do niego – wtedy gdy pojawił się po

raz pierwszy, a ona padła mu w ramiona – czuł, jak te ogromne piersi przyciskają się do jego brzucha. „Ten cały doktor Conrad” – myślał z wewnętrznym jękiem – „jest bardzo szczęśliwym człowiekiem”. Jak to jest mieć taką kobietę pod sobą? Wrażliwą, inteligentną kobietę, krzyczącą i rzucającą się z nagimi piersiami pod człowiekiem?

– Lewis – zaczął wyjaśniać Calvin. – Lewis, na pewno, zdajesz sobie sprawę, że czas ma tutaj kluczowe znaczenie. Jeżeli cokolwiek stanie się tej dziewczynce, żaden prawnik ci nie pomoże, rozumiesz mnie? Nie sądzisz, że poczułbyś się znacznie lepiej, gdybyś zrzucił ten ciężar z piersi?

McIlvaine pociągnął nosem.

– Czy ktoś się tutaj spierdział? – Odwrócił się do D’Annunzia. – Hej, ty, grubasie. To ty się tak spisałeś? Co to, jakaś nowa technika śledcza?

Agent specjalny Calvin przewrócił oczami. Kręcąc głową, powoli podszedł do D’Annunzia, który ciągle opierał się o ścianę. Odezwał się bardzo cicho, kątem ust, tak, żeby McIlvaine nie mógł go usłyszeć.

– Myślę, że powinniśmy tutaj przyprowadzić panią Conrad – powiedział.

– Co? – D’Annunzio zamrugnął wyrwany z marzeń. – Uch... Znaczy się, po co?

– No cóż, żeby do niego przemówiła – szepnął Całym. – Przenieśmy to na grunt osobisty.

D’Annunzio wbił wzrok w agenta FBI. Nie wiedział, co powiedzieć.

Agent specjalny Calvin skinął głową porozumiewawczo.

– No idź – powiedział. – Idź i przyprowadź ją tutaj.

D’Annunzio znalazł panią Conrad w salonie. Nadal klęczała na podłodze i wyglądała żałośnie. Obok niej uklękła Elizabeth i dotykała jej ramienia. Kiedy D’Annunzio wszedł swoim kaczym chodem do pokoju, pani Conrad spojrzała na niego pełnym nadziei i zaufania wzrokiem. Skóra pod kołnierzem D’Annunzia zdrząła.

– Powiedział? – zapytała. W jej głosie ciągle słychać było łzy. Był roztrzęsiony. – Powiedział coś?

D’Annunzio wziął głęboki oddech.

– Nie, proszę pani – odrzekł. – Ale agent specjalny Calvin uważa, że mogłoby pomóc, gdyby pani tam poszła i jeszcze raz z nim porozmawiała. Przemówiła do niego.

Również w jego ustach zabrzmiało to głupio.

Kobieta skinęła niepewnie głową. Zrobiła to z ufnością. Oczy D’Annunzia odruchowo przebiegły po jej bluzce. Jak to jest, pomyślał; kobieta taka jak ona.

Sięgnął ręką w dół i zaoferował ją klęczącej. Pomógł kobiecie się podnieść. Poczul pod palcami jej pulchne ciało.

D’Annunzio wprowadził panią Conrad do pokoju. Więzień spojrzał na nią z łóżka. Roześmiał się złośliwie.

– Siemanko, cycata – powiedział. – Co słychać? Wiesz co, na twoim miejscu bym tutaj nie wchodził. Grubas napierdział tu jak stara ciężarówka.

D’Annunzio poczuł, że zaczyna go palić twarz. Szybko przekazał łokieć pani Conrad agentowi specjalnemu Calvinowi. Podszedł do ściany i znowu się o nią oparł. Obserwował ze swojego miejsca McIlvaine’a: jego wesołe oczy; jego blade uśmiech.

Patrzył, jak agent specjalny Calvin prowadzi panią Conrad do więzienia.

– A teraz, Lewis – powiedział łagodnie agent specjalny Calvin – chciałbym, żebyś spojrzał na matkę dziewczynki, o której rozmawialiśmy. Chciałbym, żebyś posłuchał, co ma do powiedzenia, w porządku?

Lewis McIlvaine roześmiał się głupkowato.

Pani Conrad przez chwilę patrzyła na niego bez słowa. Najwyraźniej starała się nie rozpłakać. McIlvaine szczyrzył zęby, podskakując na łóżku jak małpka na sprężynie.

D’Annunzio wbił wzrok we własne stopy. Jezus Maria, pomyślał.

– Panie McIlvaine, proszę – powiedziała wreszcie kobieta.

Głos drżał jej mocno. – Proszę. Jeżeli powie nam pan, gdzie jest moja córka, to przysięgam, że... Zrobię wszystko... Jestem pewna, że mogę porozmawiać z sędzią albo... zeznawać w czasie procesu... Jeżeli tylko pan...

McIlvaine wypuścił z siebie piskliwy rechot. Wesoło potoczył się na łóżku do tyłu.

– Słodziuchna – cycuchna – nie będzie żadnego procesu – powiedział. – Nie słuchasz czy co, słoneczko? Spierdolili sprawę. Nie przeczytali mi praw. Nawet nie pozwolili mi się zobaczyć z adwokatem. Słodkie maleństwo... Nic mi nie zrobią, wywinę się z tego.

Pani Conrad spuściła oczy. Nie była w stanie mówić dalej. Agent specjalny spojrział na McIlvaine'a, oczywiście bardzo surowym wzrokiem.

Dyszząc ciężko, detektyw D'Annunzio oderwał się od ściany. Pomrukując na głos z niedowierzaniem, podszedł do łóżka. Poczł, że w jego brzuchu tłoczą się gazy, ale przytrzymał je. Nie chciał puścić bąka w obecności pani Conrad.

– Detektywie? – zapytał agent specjalny Calvin.

– Przeczytam tylko więźniowi jego prawa – powiedział detektyw D'Annunzio. Rzucił szybkie spojrzenie na panią Conrad. Patrzyła na niego. Po jej policzku spływała łza.

D'Annunzio odwrócił się do McIlvaine'a. Złapał go za ramię. Szybkim, ostrym szarpnięciem postawił go na nogi.

– Detektywie... – ostrzegł agent specjalny Calvin.

McIlvaine roześmiał się nieprzyjemnie.

– Ostrożnie, tłusciuchu – powiedział. – Nie chcesz chyba mieć więcej kłopotów niż do tej pory, co? Czytaj prawa, zamieniam się w słuch.

D'Annunzio przez długą chwilę kiwał głową.

– Masz prawo zgiąć się wpół i powiedzieć: „Ooo” – zaczął.

McIlvaine roześmiał się.

– Co do ku...?

D'Annunzio odciągnął dłoń, a potem wypuścił ją do przodu, wbijając usztywnione palce w splot słoneczny McIlvaine'a.



McIlvaine zgiął się wpół.

– Ooo – powiedział.

– Detektywie! – zawołał agent specjalny Calvin. – Detektywie...

McIlvaine pochylił się tak mocno, że D'Annunzio zobaczył na jego plecach kajdanki.

– Masz prawo zwalić się na ziemię jak worek kartofli – powiedział.

Podniósł pięść nad głowę i opuścił ją jak młot. Walnęła McIlvaine prosto w kark. McIlvaine zwałił się na ziemię jak worek kartofli. Wydawało się, że jego nogi zamieniły się w spaghetti i opadły w ślad za nim.

– Detektywie! – wrzasnął agent specjalny Calvin. Załamał mu się głos. – Detektywie! Detektywie!

Detektyw D'Annunzio sięgnął za siebie. W stronę kabury tuż przy krzyżu, gdzie spoczywała jego służbowa broń. Wyciągnął ją. Wydawała się maleńka w jego tłustej dłoni.

– Detektywie! O... mój... detektywie! – krzyczał agent specjalny Calvin.

Usłyszawszy krzyk agenta, McIlvaine podniósł wzrok. Leżąc na podłodze, odwrócił głowę i spojrzał oszołomiony na D'Annunzia. Jego twarz zrobiła się szara, a usta śnieżnobiałe. Oczy biegały zabawnie, tak jakby uwolniły się spod kontroli mózgu.

W tym momencie zobaczył broń. Jego oczy się zatrzymały. Zaczęły się otwierać coraz szerzej. Wbiły się w wylot lufy rewolweru.

– Dosyc tego! – powiedział agent specjalny Calvin. Zbliżył się o krok do D'Annunzia.

W tej samej sekundzie pani Conrad znalazła się między nimi. Zagroziła Calvinowi drogę do D'Annunzia. Podniosła dłonie na wysokość ramion agenta. Chwyciła go za klapy czarnego garnituru.

– Nie! – wyrzuciła z siebie.

Młody agent spojrzał na nią. Jego usta się poruszyły, tak

jakby chciał coś powiedzieć. Ale nie powiedział nic.

– Nie – powtórzyła wyraźnie pani Conrad. – Nie.

Odwróciła się i spojrzała przez ramię na D'Annunzia.

D'Annunzio popatrzył jej w oczy. Niebieskie i pełne łez, szerokie i głębokie. Uśmiechnął się nieznacznie.

A potem na oczach agenta specjalnego Calvina ukląkł obok McIlvaine z rewolwerem w wielkiej łapie.

Całe to klękanie wcale nie było łatwe. Musiał podciągnąć spodnie opinające jego krótkie nogi. Musiał bardzo ostrożnie opuścić ciało. Dyszał ciężko z wysiłku. Wreszcie jednak udało mu się uklęknąć przed McIlvainem. A ten ciągle gapił się na niego, gapił się na jego rewolwer.

D'Annunzio przycisnął lufę broni do lewego kolana McIlvaine'a.

– Masz prawo wrzeszczeć w niewyobrażalnych mękach – powiedział. – A potem więc się po podłodze i skomleć.

Odciągnął kurek.

– Houses Street dwieście dwadzieścia dwa – powiedział McIlvaine. Jego głos był głuchy, zdawał się pochodzić, rozbrzmiewać z samego dna ciała. – Houses Street dwieście dwadzieścia dwa.

Zostało pięć minut do północy.

## MAXWELL

Dokładnie w tym momencie wreszcie obudziła się dziewczynka.

Maxwell siedział w leżaku i obserwował ją.

Najpierw podniosły się jej powieki, choć oczy dalej były białe. Zaczęła pociągać nosem. Jej ciało znowu zeszywniało. Maxwell oblizał wargi. Nachylił się w leżaku, wyczekując, co się stanie.

Wreszcie powieki dziewczynki opadły, po czym znowu się podniosły. Znowu pojawiły się za nimi wpatrzone w pustkę niebieskie oczy.

Maxwell uśmiechnął się.

Przesunął się w leżaku, zaparł się, by wstać. Po chwili jednak dziewczynka znowu opadła. Przewróciła oczami i znów widać w nich było tylko białka. Powieki malej zamknęły się na nich.

Maxwell osunął się z powrotem na leżak i czekał. Ręce nadal trzymał oparte o poręcz. Musiał się zmusić, by przełknąć. Z napięcia poczuł ucisk w gardle.

Dziewczynka otworzyła oczy. Wpatrzyła się w pustkę. Tym razem Maxwell zaczekał. Minutę. Może dwie. Długo, jak mu się wydało. Dziewczynka poruszyła oczami. Spojrzała na Maxwella. Spojrzała na niego, ale nie wykonała żadnego ruchu ani nie zareagowała. Wydawało się, pomyślał Maxwell, że jej wzrok przebija go na wylot.

Maxwell czekał. Żeby się upewnić. Żeby mogła się do końca rozbudzić. W niewyraźnie oświetlonym pokoju mężczyzna i dziewczynka wpatrywali się w siebie. Powietrze wokół nich było gęste i pachniało kurzem.

Dziewczynka wzięła przez nos głęboki wdech. Potem jeszcze jeden. Nie zamknęła oczu. Leżała na materacu i wpatrywała się ze smutkiem w mężczyznę. Zdecydowanie była już przytomna. Maxwell wstał.

Uch, och, to się jej nie spodoba, pomyślał.

W chwili kiedy wstał, mała po prostu zwariowała. Zaczęła się rzucać po materacu. Kopała go maleńkimi nóżkami. Cofała się, aż wreszcie dotarła do ściany; spod taśmy na jej ustach zaczęły się wydobywać stłumione odgłosy: uch, uch, uch.

Maxwell początkowo był zaskoczony – po prostu – gwałtownością jej wybuchu. Ale potem mu się to spodobało. Jego penis znowu się poruszył i stwardniał. Mężczyzna zaczął ciężko stąpać w stronę dziewczynki.

Ta krzyknęła zza knebla. Zaczęła kopać nagimi nóżkami. Jej koszulka podwinęła się powyżej ud. Maxwell zobaczył jej dziurkę, jej szparkę. Sprawilo to, że z jego gardła zaczął się wydobywać ochryply oddech. Dotknął przez spodnie penisa.

Pochylił się nad materacem. Usiadł obok dziewczynki. Po jej policzkach spływały łzy. Po jej okrągłych dziecięcych policzkach.

Maxwell złapał za jedną z kopiających powietrze nówek małej. Zacisnął dłoń wokół jej miękkiej łydki. Poczul jej ciepło. Przyciągnął dziewczynkę do siebie.

– Mmm, mmm – dało się słyszeć zza taśmy. Klatka piersiowa małej falowała. Łzy spływały jej strumieniami po policzkach.

Jedną ręką trzymając nogę dziewczynki, drugą złapał za taśmę na jej ustach.

– Już dobrze – zagruchał do niej tępym głosem. – Już dobrze.

Jednym szybkim ruchem zdarł taśmę. Dziewczynka chciwie wciągnęła w płuca powietrze. Zakasłała. Wykręciła się na łóżku, starając się uciec od Maxwella, a z jej ust zaczęły się wydobywać ostre odgłosy wymiotów.

Maxwell obserwował ją, masując palcami jej łydkę. Jego oczy pojaśniały.

Po chwili odruchy wymiotne dziewczynki osłabły. Odwróciła się i spojrzała na Maxwella. Zaczęła głośno płakać. Pod czarnymi siniakami na jej policzkach wykwitły chorobliwe rumieńce. Kręciła bez przerwy głową – nie! Jasnorude włosy smagały jej twarz. Całe ciało dziewczynki trzęsło się od płaczu. Maxwell

obserwował je z błyskiem w oczach.

– Proszę... – udało się szepnąć dziewczynce.

Maxwell wydał z siebie ściszony jęk. Puścił jej nogę. Dotknął ręką penisa. Sięgnął drugą dłonią i zacisnął ją na gardle dziewczynki. Poczł jej puls. Wydawało się, że bije prosto w jego dłoń, prosto w jego rękę, prosto w jego serce. Wessał w płuca powietrze.

W tym momencie za jego plecami rozbiło się okno.

Maxwell odwrócił się gwałtownie. W jego głowie wybuchł przypominający syrenę głos.

„Policja. Policja. Zabiorą do więzienia, po co to robiłem, nie chcę policji i do więzienia.

Okno rozbiło się w drobny mak, zasypując olbrzymia roziskrzonym gradem szkła. Do pokoju wpadło ciało mężczyzny. Szkło, mężczyzna – na oczach przerażonego Maxwella zdawały się eksplodować i wisieć przez sekundę w pokoju.

Potem szkło spłynęło deszczem na podłogę. A mężczyzna upadł.

Upadł z głuchym łomotem. Leżał na podłodze. Nie ruszał się. Jego koszula była pokryta krwią. Iskrzyło się na niej szkło. Mieniło się w jego rzadkich rudawozłotyach włosach.

„Policja, po... przecież nie miałem iść do więzienia”.

Głos w głowie Maxwella stawał się coraz cichszy. Zaczął zanikać.

Mężczyzna na podłodze poruszył się powoli i boleśnie. Maxwell zauważył, że jest tylko małym człowieczkiem. Spojrzał w okno. Nie było tam nikogo więcej. Był tylko on, tylko ten mały człowieczek.

Mały człowieczek podniósł głowę z podłogi i spojrzał na Maxwella.

„Czekaj, to jest, to chyba, może to, ten facet, ten facet...”

Usłyszał za sobą jakiś odgłos. Odwrócił się i spojrzał na dziewczynkę.

Mała przewróciła się na bok i patrzyła na leżącego na

podłodze mężczyznę. Wpatrywała się w niego sennie. Rozchyliła usta. Łzy nadal płynęły jej po policzkach, ale przestała szlochać. Oblizła wargi. Pokręciła głową, tak jakby nie mogła uwierzyć w to, co widzi.

A potem na oczach Maxwella uśmiechnęła się słabo.

– Tatus? – szepnęła.

Maxwell znowu się odwrócił. Spojrzał na leżącego na podłodze małego człowieczka. Mały człowieczek również wlepił w niego wzrok. Jego nogi i dłonie zataczały koła w rozbitym szkłe. Wyglądał jak dziecko usiłujące pływać kraulem.

Maxwell roześmiał się ciężko; jego ramiona podskoczyły kilka razy w górę i w dół.

A potem zaczął wstawać.

## PÓLNOC

O Boże, pomyślał Conrad, to coś wstaje.

Rozpaczliwie rozgarnął dłońmi otaczające go szkło.

„Kij od miotły...”

W czasie upadku stracił swoją broń, swój kij od miotły. Poruszył rękami w jedną i w drugą stronę, szukając go. Spróbował przebić wzrokiem ścianę cekinów i plam, które wybuchały i tańczyły mu przed oczami. To coś, ten potwór, jak słup dymu unosiło się z materaca: w górę i w górę. Cień bestii zaczął się wspinać po ścianie.

„O kurwa” – szepnął Conrad.

„Zapomnij o kiju od miotły”.

Musiał wstać.

„Wstawaj!”

Kiedy spróbował wesprzeć się na dłoniach i kolanach, kiedy podciągnął nogę, ta eksplodowała bólem.

„O Boże” – przemknęła mu przez głowę szalona myśl. „Jak to się już skończy, nigdy więcej okien”.

Z jękiem ukląkł. Wysunął przed siebie dłonie.

– Tatusiu!

Na dźwięk głosu córki podniósł ponownie oczy. To coś górowało już nad nim, czarny słup przesłaniał mdłe światło pokoju. Ruszyło w stronę Conrada.

Conrad postawił lewą stopę na podłodze i wyprostował kolano. Chwiejąc się, spróbował wstać.

W tym momencie potwór złapał go za gardło.

Conrad nie widział, co stało się z ciałem Billy’ego Price’a. Nie widział, że szyja Price’a została zmiażdżona jak w prasie hydraulicznej. W innym wypadku może nie wstrząsnąłby nim aż tak bardzo nieludzki mechaniczny nacisk, przez który zaczął się dusić. Czarny duszny kaptur opadł na niego z taką gwałtownością, że z jego kończyn odpłynęła cała sztywność, a jelita puściły,

jeszcze zanim do końca zrozumiał, co się wydarzyło.

– Tatusiu, tatuuuusiu, tatuuuusiuuu...

Histeryczny krzyk Jessiki przeszył jego mózg jak sztylet – ale słyszał go tylko przez sekundę. Potem okazało się, że rozpląnął się we wszechogarniającej ciszy, która opadła na niego z wszystkich zakątków pokoju. Wszystko zdawało się w tej ciszy zacierać, rozpląwać w ciemności, która zakradła się w ślad za nią. Wszystko – z wyjątkiem mającej przed nim dziwnie małej, topornej twarzy zwierzęcia. Kiedy Maxwell oderwał swoją ofiarę od podłogi, kiedy jej nogi zadyndały i zaczęły kopać puste powietrze, owa twarz wypełniła cały obraz przed oczami Conrada. Nie opadało na niego nic oprócz ciszy i ciemności – i tej twarzy jaśniejącej w samym środku zawężającego się otworu: tej twarzy z tępym rozmarzonym uśmiechem, niskim czołem, głębokimi jasnymi oczami...

„... jasnymi oczami.

Conrad podniósł jedno z ramion przypominających nagle konsystencją gumę. Wystrzeliło w powietrze jak ręka marionetki. Uderzył nią w jedno z oczu. Dwa z jego palców odnalazły cel.

– Au! – krzyknął Maxwell.

Rozwarł dłonie. Conrad wypadł z nich na podłogę.

Spróbował stanąć na nogach. Nie był jednak w stanie odnaleźć własnych stóp. Jego stopy, podłoga, świat – nie mógł znaleźć niczego. Zachwiał się, po czym zamknęły się nad nim cisza i ciemność. Nagle jednak uderzył go pojedynczy dźwięk.

– Tatotatotatotatotoatonieeeee...

„Jessie?... Maleńka?... Maleńka?...”

Zobaczył ją. Leżała związana na materacu. Zobaczył ją w świetle stojącej w rogu gołej żarówki. Zobaczył ją poprzez pływające mu przed oczami i eksplodujące raz po raz chmury. A potem znikła.

Coś ją przysłoniło. Cały obraz przed oczami Conrada został przysłonięty przez olbrzyma, potwora, który nagle znowu zaczął ku niemu kroczyć.

Maxwell przyciskał do oka dłoń. Jego grube usta wykrzywiły



się w bezlitosnym grymasie.

– To boli – powiedział. I powalił Conrada.

Powalił go jednym wściekłym ciosem. Dłoń Maxwella, wielkością przypominająca kowadło, z całej siły trzasnęła Conrada w twarz. Psychiatrze odskoczyła głowa. Jego ciało pofrunęło do tyłu, ramiona zaczęły ciąć powietrze jak wiatrak.

– Tatotatotato... Onieniezostawtatusiaaaa...

Conrad usłyszał, jak krzyk jego córki zamienia się w oszalałe nieartykułowane wycie. A potem wylądował na ścianie. Uderzenie wypchnęło z niego całe powietrze. W jego głowie zaczęło coś pęcznieć: poczuł, że coś eksploduje mu w oczach.

– Tatusiupomocytatusiutatusiuproszęp roszę...

Usłyszał ryk. Zwierzęcy ryk. Kiedy otępiały od ciosu otworzył oczy, zobaczył, jak Maxwell ciężko stąpa przez pokój w jego kierunku. Ciężka bestia poruszała się z niesamowitą szybkością. Zanim Conrad zdołał się podnieść, zanim zdołał oczyścić umysł, była już na nim.

– Skurwiel! – wrzasnął Maxwell.

Zaczął okładać Conrada pięściami. Walił nimi z obu stron jak młotem. Pierwszy cios przewrócił lekarza. Zanim jednak zdołał upaść na podłogę, jego twarzy dosięgnął drugi. Poczuł, jak pęka mu szczęka. Jak eksploduje nos. Jego usta wypełnił smak gęstej krwi. Kiedy opadał na podłogę, z góry sypały się na niego kolejne ciosy.

– Aaaaaaaa!

Leżąca na materacu pięcioletnia dziewczynka nie przestawała krzyczeć. Ale jej krzyk zaczął się oddalać od świadomości Conrada. Zresztą i jego świadomość powoli zaczynała odpływać w dal. Niewyraźnie, jak przez mgłę, jak przez mglisty sen zobaczył, że masywne cielsko bestii, ciężko stąpając, oddala się od niego.

Jessica ciągle piszczła.

„Maleńka” – pomyślał słabo Conrad.

– Zamknij się, kurwa – ryknął Maxwell.

I ruszył ciężko przez pokój w stronę dziewczynki.

## SCHODY

D'Annunzio złapał McIlvaine'a za klapy kurtki. Podniósł go z podłogi i postawił. Pod więźniem ugięły się nogi. D'Annunzio przytrzymał go w wyprostowanej pozycji. Przybliżył do niego szorstką twarz.

– Na wyspie Rikers są miejsca, których żaden adwokat nawet nie widział – warknął McIlvainowi w oczy. – Ja je widziałem. Jeżeli kłamiesz, zobaczę tam ciebie.

– Houses dwieście dwadzieścia dwa – powtórzył szybko McIlvaine. – Przysięgam. Drugie piętro. On ją zabije. Jest rąbnięty. Zabije ją.

– O Boże – krzyknęła Aggie.

D'Annunzio spojrzał na agenta specjalnego Calvina.

– Jedziemy – powiedział.

Gruby detektyw z krzykiem wpadł do salonu.

– Dwie jednostki na Houses Street dwieście dwadzieścia dwa w Tribeca. Mają być ostrożni, prawdopodobnie na drugim piętrze jest zakładniczka oraz uzbrojony i niebezpieczny koleś. – Przechodząc, spojrzał na jednego z policjantów. Wskazał palcem na sypialnię. – Bierzemy ze sobą skurwiela. Jeżeli kłamie, ukręcę mu jaja.

– Dobra – powiedział policjant.

„Tak!” – pomyślał D'Annunzio. „Tak!” Było mu dobrze. Czuł się jak pociąg. Jak walec. Pędzi, by dorwać skurwiela. Tak jest! Za sobą czuł Aggie Conrad. Czuł, że podąża w ślad za nim jak zagubiony szczeniak.

Spojrzał do tyłu i rzeczywiście, była tam. Pędziła za nim, a cycki podskakiwały jej pod bluzką. Wspaniałe!

– Może pani iść ze mną – powiedział.

Skinęła głową i ruszyła za nim.

D'Annunzio z wyprostowaną głową i wypiętym brzuchem szybko minął korytarz. Sapał i dyszał w rytm marszu. Za nim podążał niewielki pochód. Aggie Conrad – tuż za detektywem. Elizabeth Burrows – za Aggie. Wszystkich próbował dogonić agent specjalny Calvin. A za nim, rozpaczliwie starając się trzymać tempo, policjant ciągnął Lewisa McIlvaine'a.

D'Annunzio dumnie maszerował na czele. Sapał tak ciężko, jak gdyby ciągnął pozostałych na linie.

Dotarł do windy. I jedne, i drugie drzwi były zamknięte. Policja zarekwirowała wprawdzie jedną z wind na własne potrzeby, ale któryś z techników właśnie pojechał nią na dół. D'Annunzio zatrzymał się. Zaklął. Zaczął wyciągać rękę, by nacisnąć przycisk.

Poczuł jednak na sobie wzrok pani Conrad. Odchrząknął.

– W porządku – zaszczekał, łapiąc oddech. – Musimy iść schodami.

„Jezu Chryste” – pomyślał.

I poprowadził pochód w stronę schodów.

## KIJ OD MIOTŁY

– Tatotatotatotatotoaaaaaaaaaaaaaaaa...

Długi, nieukładający się w żaden sens skowyt przełamał się przez ciemności, w których pograżył się Conrad.

„... maleńka?...”

Skowyt zdawał się trwać i trwać, w nieskończoność, bez przerwy na oddech. Conrad nie był w stanie stwierdzić, czy pochodzi ze świata zewnętrznego czy też z jakiegoś miejsca w jego głowie. Odepchnął się od podłogi. Spróbował przebić się wzrokiem przez ciemny, tańczący mu przed oczami korytarz.

„... maleńka...”

Zobaczył ciężkiego niedźwiedzia, który klękał na podłodze obok jego córki. Zobaczył córkę...

„Och... och... och... moja maleńka..

Dziewczynka przytuliła się do ściany i zamarła przy niej. Jej twarz była purpurowa. Usta szeroko otwarte i wydobywał się z nich nieprzerwany skowyt...

Conrad mrugał przez dłuższą chwilę, starając się przegonić sprzed oczu czerwone chmury i czarną mgiełkę. W tym momencie zauważył kij od miotły.

Leżał na podłodze. Wąski ciemny kształt. Leżał w roziskrzonej stercie szkła. Całkiem niedaleko. Mógł do niego dotrzeć, dosięgnąć go.

– Zamknij dziób! Zamknij, kurwa, dziób! – usłyszał krzyk Maxwella.

Zaczął pełzać po podłodze.

Podciągnął się obiema dłońmi. Spróbował również odepchnąć się nogami. W jego udo, potem w krocze, wreszcie w jądra wystrzelił jednak z kolana impuls bólu. Ból wstrząsnął psychiatrą i rozbudził go, a kiedy Conrad oprzytomniał, do jego świadomości dotarło również palące rwanie w złamanej szczęce, które zdawało się nabrzmiewać w samym środku jego głowy.

Odniósł wrażenie, że jego głowa zamieniła się w jeden wielki surowy i otwarty nerw. Nagle zdał sobie sprawę, że z otwartych ust po policzku spływa mu krew. Poczuł, że w jego brzuch wbija się szkło. Że rana w boku znowu się otworzyła i krwawi. Podciągnął się. Wyciągnął rękę...

Złapał. Zacisnął dłoń na szorstkim, pokrytym drzazgami drewnie.

„Muszę wstać... Muszę...”

– Chodź tu! – wrzasnął wściekle Maxwell. Chwycił Jessicę za nogę – za kostkę. Pociągnął ją do siebie.

– Prooooooooooszę! – zawyła dziewczynka.

Conrad wstał.

Jednym straszliwym ruchem pchnął do przodu kolano, a za nim resztę ciała. Chwiejąc się, ruszył w stronę Maxwella z zaciśniętym w dłoni kijem od miotły.

Maxwell był odwrócony tylko do połowy. Kątem oka zauważył Conrada. Puścił Jessicę i odwrócił się. Zakołysał się i wstał... Chryste, był jak demon dźwigający się z wnętrza ziemi. Zanim Conrad zdołał go dosięgnąć, cały masywny ciężar potwora pełną parą pędził już na niego. Kij od miotły wyfrunął z dłoni Conrada. Spadł z głośnym stukotem na podłogę po drugiej stronie pokoju. W tej samej chwili potężny cios cisnął również do tyłu Conrada. Psychiatra uderzył w podłogę jak kłoda. I nagle Maxwell siedział już na nim, okładał go, a Conrada ogarnął w dodatku dziki krzyk córki, wypełnił go tak, że nie zostało w nim nic poza tym krzykiem oraz zwierzęcym rykiem Maxwella, poza pięściami Maxwella...

Otrzymał cios w żołądek. Zgiął się wpół, a w jego ustach trysnęła fontanna wymiotów, mieszając się z gorącą krwią. Kolejny cios trafił go w jądra. Conrad skulił się na boku. I znowu cios, tym razem w twarz, potem kolejny. Przetoczył się na plecy. Leżał zwiotczały, z rozrzuconymi nogami i rękami.

Maxwell zaryczał. Wstał, jedną pięścią bijąc wściekle w powietrze, drugą łomocząc o własne piersi. Jego usta wykrzywił gniew, na wargach pojawiła się biała piana. Przewracał oczami jak

wariat. Ryknął raz jeszcze i jeszcze raz, przekrzykując zawodzenie Jessiki.

– Skurwiel! – wrzeszczał. – Jebany skurwysyn!

Kopnął Conrada w bok. Ciało doktora przesunęło się trochę i potoczyło po podłodze. Conrad jednak nie czuł już ciosów. Nie słyszał ryku. Leżał na plecach w ciepłych ciemnościach, w głębokim niczym.

– Zamknij się, kurwo! – wrzasnął Maxwell. Ruszył ponownie w stronę dziewczynki.

– Nie! Proszę! Mamo! Mamo! Mamo! Niiieeeee! – pisała Jessica.

Conrad leżał na plecach z rozpostartymi ramionami i rozrzuconymi nogami.

– Niiieeeee...

„... maleńka...”

## HO SUNG – KUCHNIA AZJATYCKA

Kiedy D'Annunzio dotarł do swojego starego pontiaca, nie był już w stanie złapać tchu. Kaszłał jak gruźlik, a w jego gardle pojawiła się gęsta flegma. Aggie Conrad i Elizabeth Burrows ciągle biegły za nim. Pozostali – Calvin i policjant z McIlvaine'em – zostali w tyle. Wskoczyli do innych samochodów, do własnych samochodów, którymi mieli się dostać na miejsce przestępstwa.

D'Annunzio najpierw otworzył drzwi od strony kierowcy. Wcisnął za kółko swoje ogromne ciało. Włożył kluczyk do stacyjki i zapalił silnik. Dopiero potem się nachylił – stękając głośno – i odblokował drzwi od strony pasażera.

Aggie Conrad usiadła obok niego. Odblokowała tylne drzwi. Elizabeth Burrows zajęła miejsce za nią. Tymczasem D'Annunzio podkreślał głośność w umieszczonym pod deską rozdzielczą pontiaca policyjnym radiu.

Usłyszał trzask zamykanych przez Aggie Conrad drzwi.

– No dobra – powiedział.

Przekręcił kierownicę w prawo. Usłyszał odgłos tylnych drzwi. Wcisnął pedał gazu.

Koła pontiaca zapiszczały i wielki wóz wystrzelił z miejsca. Przed nim w bystry ruch na Trzydziestej Trzeciej włączał się właśnie niebiesko-biały radiowóz. Zawyła syrena, zawirował kogut. Za nim ruszył służbowy czarny samochód Calvina z czerwonym kogutem obracającym się na desce rozdzielczej. Jego syrena dołączyła do ryku radiowozu. D'Annunzio sięgnął pod siedzenie i wyciągnął własnego koguta. Postawił go na desce i wcisnął włącznik syreny.

Sunące szybko taksówki zwolniły i zjechały na bok. Niebiesko-biały wóz przemknął obok nich; za nim podążył czarny samochód Calvina, a potem jeszcze D'Annunzio. Minęli pędem Bibliotekę Morgana, jej okazałe marmury rysujące się na tle ciemności, reflektory połykające czerwone światła kogutów.

Wreszcie pontiac z potwornym piskiem wjechał w Park. Następnie wystrzelił w stronę centrum, zgrabnie przecinając rozciągający się z przodu ruch uliczny.

D'Annunzio zerknął ukradkiem na siedzącą obok Aggie Conrad. Jednym ramieniem obejmowała się w piersiach, drugie położyła na pierwszym, a dłonią przykryła i pocierała usta. Wbijała wzrok w przednią szybę.

Skinęła głową, ale się nie odwróciła. Ciągle pocierała usta.

Nagle w radiu wybuchły jakieś zakłócenia. Usłyszeli fragment raportu.

– Centrala... nie ma zakładników w podanej lokalizacji, odbiór.

D'Annunzio spojrzał na panią Conrad. Odwróciła się i wbiła wzrok tym razem w radio.

Kolejna eksplozja zakłóceń.

– ... potwierdzenie...

– Centrala, potwierdzam... Na drugim piętrze Houston jest restauracja Ho Sung, kuchnia azjatycka. Mają niezłą zupę słodko-kwaśną. Ale zdecydowanie żadnych zakładników, odbiór.

D'Annunzio z gardłowym przekleństwem złapał za mikrofon. Przysunął go do ust, nacisnął przycisk i wrzasnął:

– Centrala, kretyni, tu D'Annunzio, powiedzcie tym idiotom, że zakładnicy są na Houses Street dwieście dwadzieścia dwa. Nie na Houston! Houses Street dwieście dwadzieścia dwa.

Nastąpiła krótka chwila ciszy. D'Annunzio spojrzał przez przednią szybę. Pontiac dojeżdżał właśnie do czerwonego światła. Cywilne samochody nie miały zamiaru zjechać na bok. Kilka z nich próbowało nawet wykorzystać syreny policyjnych wozów, żeby śmignąć przez skrzyżowanie. Wszędzie rozbrzmiewały klaksony. Piszczwały hamulce. D'Annunzio manewrował jedną ręką kierownicą, trzymając się czarnego chevroleta Calvina, który wbijał się w szczelinę na zakorkowanym skrzyżowaniu. Pontiac posuwał się wężowym ruchem, nabierając prędkości.

W radiu znowu wybuchły zakłócenia.

– Do wszystkich jednostek: podano zły adres.



Wybuch zakłóceń.

– Centrala... o kurwa.

– Przyjeliśmy, centrala...

Wybuch zakłóceń.

– Gdzie, do cholery, jest Houses Street?

– Houses Street?

D'Annunzio odwiesił mikrofon. Jeszcze raz spojrzął na Aggie Conrad.

Kobieta podchwyciła jego wzrok. Miała rozchylone usta.

– Niech się pani... nie martwi – powiedział.

Aggie Conrad roześmiała się ponuro. Objęła się ręką jeszcze ciaśniej. Przeszedł ją dreszcz.

## ŚMIERĆ

Conrad nie widział nic, nie wiedział nic. Płynął na plecach w morzu czerni. Podskakiwał na wodzie i płynął.

Znalazł się w miejscu, które w ogóle się nie zmieniało, które było pozbawione horyzontu. Był tam obecny tylko sam żywioł, plusk żywiołu podnoszącego się pod Conradem i opadającego, podnoszącego się z nim i opadającego.

– Ma-mo. Ma-mo. Ma-mo.

Dźwięk głosu uniósł się, opadł, a potem znowu się uniósł. Wydawał się Conradowi niemalże częścią jego samego. Był żywiołem, w którym się unosił, żywiołem krzyku:

– Ma-mo.

Dwie rozciągnięte sylaby wyrzucane ze szlochem z piersi jego córki:

– Ma-mo. Ma-mo. Ma-mo. Ma-mo.

„... maleńka...”

Conrad wyczuwał w tym pisku oderwane od myśli przerażenie. Czuł, jak podnosi się ono w nim razem z krzykiem i opada.

– Ma-mo...

Wyczuwał w nim dezorientację, ostatnią, ostateczną dezorientację. Czuł, jak dziewczynka zastanawia się gwałtownie, co jej się przydarzyło. Dlaczego? Dlaczego nie jest teraz ze swoją mamą, przytulona do swojej mamy?

– Maaaaaaaaaaaamoooooooooo...

„... maleńka...” – pomyślał Conrad.

I wstał.

Początkowo nie był wcale pewien, że słyszy to, co słyszy. Wydawało mu się, że w jakiś dziwny sposób posuwa się gdzieś w ciemnościach. Czuł nieznośny ciężar bólu, czuł się tak, jak gdyby nieznośny ciężar bólu usiłował dźwignąć za pomocą papierowych rąk i ulepionych z piasku nóg.

... maleńka... maleńka... moja...”

Skowyt Jessiki zamienił się w długi, wypełniony przerażeniem pisk.

– Niiieeeeeee...

Nędzny pokój zawirował wokół Conrada. Mężczyźnie udało się wstać. Rzucił się naprzód. W jego oczach pokój rozciągał się i kurczył. A gdzieś tam w dali widoczny był Maxwell, wyrastał gdzieś w dali to wielki jak budynek, to kurczący się do rozmiarów punkcika w ciemnościach.

– Niiieeeeeee... Mamoooooooooo...

Maxwell opierał się na dłoniach i kolanach, pełną w kierunku córki Conrada... Jessica kulila się przy ścianie, a on sunął po materacu w jej kierunku...

Conrad, zataczając się, posunął się o krok. Pokój rzucił się, zanurkował w dół. Conrad zgarbiony, z kołyszącymi się rękami, pokonał kilka ostatnich kroków. I opadł na Maxwella. Zacisnął ręce na jego szyi.

– Kurwa mać! – krzyknął Maxwell.

Wstał. Conrad ciągle na nim wisiał, a jego ręce słabo zaciskały się na szyi potwora. Przetoczył się w powietrzu na plecy Maxwella. Wielka rycząca kreatura złapała go i trzepnęła. Ale Conrad trzymał się jej kurczowo, nawet gdy opadał na podłogę przy akompaniamencie kołyszącego się i wirującego pokoju.

– Skurwiel! Skurwiel! – wrzasnął Maxwell.

Sięgnął ręką i złapał Conrada za szyję. Wymacał jego rękę, lewą rękę. Tego właśnie potrzebował. Z nieartykułowanym krzykiem jednym szarpnięciem ściągnął z siebie drobnego mężczyznę. Cisnął nim o podłogę.

Nawet skowyt dziecka, nawet jego własny zwierzęcy ryk nie był w stanie zagłuszyć w uszach Maxwella odgłosu trzaśnięcia ręki Conrada. Lekarz wydał z siebie pojedynczy wysoki pisk. Jego ciało zeszytniało, a potem nagle zwiotczało.

Maxwell stanął nad Conradem. Zaczął z rykiem ciskać pod jego adresem przekleństwa. Toczył pianę z ust. Szarpał się za włosy.

– I jak było? I jak było, ty skurwysynu, ty jebany skurwysynu! Teraz już jesteś martwy, teraz już będziesz martwy. Będziesz? Będziesz?

Przewracał oczami tak dziko, że przez chwilę pod jego niskim czołem połyskiwały wyłącznie białka.

Wreszcie Maxwell sięgnął w dół, złapał Conrada za gardło i zacisnął palce. Drugą dłoń chwycił za klamrę jego paska i dźwignął mężczyznę. Conrad uniósł się w górę jak lalka. Jego ręce podskoczyły w powietrzu, a złamane ramię odchyliło się w nienaturalnej pozycji. Maxwell podniósł go jeszcze wyżej, uniósł wysoko ponad własne ramiona. Z ust Conrada wytrysnął gęsty strumień krwi.

– Teraz już jesteś martwy! – zaryczał Maxwell. I rzucił ciałem lekarza w przeciwny kąt pokoju.

Conrad poszybował w powietrzu jak szmaciana lalka. Jego córka obserwowała to w dzikim, otępiałym przerażeniu. Nie przestawała krzyczeć. Jej ojciec uderzył w ścianę i upadł twarzą na podłogę. Wokół jego głowy rozlała się promieniście na kształt purpurowej kałuży krew. Leżał z podwiniętymi nogami i lewym ramieniem wygiętym pod dziwnym kątem w bok.

Nie poruszał się. Nic nie widział. Nic nie słyszał. Nie słyszał, że jego córka nie przestaje krzyczeć. Nie słyszał śmiechu Maxwella i nie widział, jak potwór się odwraca. Nie podniósł głowy, kiedy olbrzym ruszał – tym razem spokojniej – w stronę niewielkiego materaca, w stronę małej dziewczynki.

Maxwell usiadł obok niej. Złapał ją za kostkę, nie zważając, że dziewczynka krzyczy bez przerwy i woła matkę. Roześmiał się jeszcze raz. Dyszał ciężko, kiedy obejmował jej gardło palcami. Zaczął je zaciskać. Powoli. Prawie czule.

Jessica krzyknęła po raz ostatni.

## DZIADEK TU DRZWIACH

W drzwiach domu na Houses Street ostatni krzyk Jessiki usłyszał leżący w nich dziadek. Jej ostatni nierówny krzyk: „Ma-mo, ma-mo. Mamo!” wgryzł się dziadkowi w skórę jak jakiś wijący się robak. Sprawił, że poruszył się w drzwiach, w których uciał sobie drzemkę.

Podniósł głowę i rozejrzał się dookoła. Zadrzał i burknął:

– Co jest, do kurwy nędzy?

Dziadek był wysokim, szczupłym białym mężczyzną około czterdziestki. Miał na sobie brudny płaszcz i brudne łachmany. Leżał w drzwiach domu po drugiej stronie Houses Street, naprzeciw kamienicy oznaczonej numerem dwieście dwadzieścia dwa. Plecy oparł o jedną część framugi, stopy o drugą. Do momentu kiedy obudził go krzyk, spał snem sprawiedliwego. Dodać należy, że wokół jego snu roztaczała się intensywna woń bardzo kiepskiego bourbona..

Na owego bourbona pracował długo i ciężko. No dobra, może nie tak znowu długo, ale na pewno ciężko. Większą część pory lunchowej spędził, żebrząc na Broadwayu, przed Broadway Audio. Miał teorię, według której ludzie zawsze czuli się winni, kiedy myśleli o dużych zakupach. Wierzył, że dzięki nim stają się bardziej skłonni do dobroczynnych odruchów.

Tego dnia jego strategia zdecydowanie się opłacała. Między dwunastą trzydzieści a drugą uzbierał dwadzieścia pięć dolców w dwudziestopięciocentówkach i dolarówkach. Zwinął interes i za ciężką pracę nagroził sam siebie pełną ćwiartką whisky Kentucky Best. W godzinach szczytu siedział z kilkoma kumplami na wygodnej ławeczce na stacji Spring Street, spierając się zawzięcie o słowa piosenki *What Kind of Fool Am I* z pewnego starego musicalu. Wkrótce po zapadnięciu zmroku leżał już na krawędzi peronu i wymiotował na tory.

Było dosyć późno – po dziesiątej – kiedy dotarł do drzwi, w

których teraz leżał, i poszedł spać. Miał zamiar przespać resztę nocy. Nie życzył sobie, żeby mu przeszkadzano.

Krzyk Jessiki z całą pewnością go jednak obudził. Dziadek usiadł. Nastawił uszu. Przyśniło mu się? Oczywiście, chociaż...

Wywołany przez krzyk nieprzyjemny dreszcz nie chciał od niego odstąpić. Czaił się pod skórą; wił się, pełzał. Dziadek jeszcze raz wsłuchał się w odgłosy miejskiej ciszy: szum ruchu ulicznego, rzępolenie podziemnych rur i przewodów...

I nagle, początkowo z oddali, potem bliżej, do jego uszu zaczęło docierać innego rodzaju wycie. Bliższe, głośniejsze. Ponad nieprzerwane dudnienie miasta wzniósł się kolejny krzyk, zajmując miejsce tego, który rozbrzmiewał tam jeszcze przed chwilą. Bliżej. Głośniej. Wreszcie mógł go rozróżnić: to nie był krzyk...

„Syreny” – pomyślał. „Gliny. Kurwa mać”.

Złapał się framugi. Wstał, jęcząc i fukając.

„Gliny. Pierdolone gliny”.

Pierwsze czerwono-białe koguty błyskały już zza zakrętu. Syreny stały się głośniejsze, napały na dziadka. Nadjeżdżały kolejne samochody, kolejne syreny – cała armia wirujących świateł.

– Och – mruknął dziadek.

Zarządził odwrót. Z pochylonymi plecami i nogami wygiętymi w łagodny łuk, tak szybko, jak tylko mógł, pokuśtykał wzdłuż rzeki. Machnął ręką na przetaczający się za nim potok radiowozów.

– Och – mruknął jeszcze raz zde gustowany. – Co to, kurwa, ma być? Co jest kurwa? Co to niby, kurwa, ma być?

## JESZCZE RAZ MAXWELL

Samochód D'Annunzia na pełnym gazie pokonał ostatni zakręt. Zanurkował w noc rozświetlaną purpurowo przez flesze kogutów i z powrotem pogrążającą się w swoich ciemnościach.

Aggie siedziała sztywno, przeczuwając katastrofę. Na chwilę zamknęła oczy i wstrzymała oddech. Światła pulsowały pod jej powiekami jak czerwone chmury. W jej skroniach tętniły syreny, powtarzając rytm gwałtownego bicia serca, który zatykał jej gardło.

Pontiac zatrzymał się z piskiem opon. Aggie otworzyła oczy. Na niewielkiej uliczce wszędzie tłoczyły się policyjne samochody: radiowozy i nieoznakowane sedany z kogutami za przednimi szybami. Wylewali się z nich mężczyźni: jedni w mundurach, inni w garniturach i krawatach. Wszyscy byli pochyleni. Wszyscy ściskali pistolety. Wszyscy zwracali oczy w stronę jednego budynku.

Aggie podążyła za ich wzrokiem. W szklistej poświacie policyjnych reflektorów zdawało się, że budynek jest bardzo ciemny. Była to kamienica z brunatnego piaskowca wznosząca się obok pustego parkingu, pochylona i zniszczona; na ulicę wyglądały z niej głupio czarne prostokąty okien. Pełne odprysków spleśniałe kamienie, podrapane drzwi, zapadająca się weranda, wisząca nad nią aura upadku – wszystko to nadawało jej idiotyczny wyraz wrogości, kojarzący się z trupią czaszką.

Aggie z drzeniem wypuściła przez usta powietrze.

– Proszę tutaj zaczekać – powiedział D'Annunzio.

Otworzył drzwi. Jęknął i wytoczył się na zewnątrz.

Czekała tylko przez chwilę. Zerknęła znad ramienia na tylne siedzenie. Elizabeth siedziała tam oszołomiona, jak się wydawało, i zdumiona. Obserwowała czerwone światła, sennie wbijając w nie wzrok. Kiedy Aggie się odwróciła, Elizabeth zamrugnęła i spojrzała na nią. Uśmiechnęła się – ze słodkim, nieobecnym wyrazem

twarzy.

Aggie również spróbowała się uśmiechnąć. A potem pchnęła drzwi. Wyszła prosto w wirujący mrok.

Drżała. Ugiwały się pod nią nogi. Pragnęła gorąco, by to się nie działo. Pragnęła tego z całego serca. Być w domu z rodziną, być w domu z mężem i dzieckiem i żeby to się nie działo... Żeby było wczoraj, nic więcej: wczoraj... Opierała się dłonią o samochód D'Annunzia i przyglądała sytuacji.

Zauważyła, że tuż przed nią w nieregularnych odstępach stoją na chodniku pozostałe samochody. Właśnie dołączył do nich kolejny radiowóz; czerwone światło wirującego koguta na chwilę ją oślepiło. Podniosła do oczu dłoń. Zobaczyła cienie mężczyzn. Byli wszędzie: biegali, przykucali za samochodami, spoglądali sponad pistoletów.

Aggie nie przykucnęła. Stała obok samochodu D'Annunzia. Oderwała wzrok od mężczyzn i przeniosła go na martwą kamienicę.

„Och” – pomyślała. „Och, Jessie.

Przemknęło obok niej wielkie cielsko D'Annunzia. Policjant pochylał się jak pozostali, a przynajmniej się starał. Podszedł do okna stojącego tuż przed Aggie radiowozu.

– To ten? – zapytał.

Aggie zobaczyła, jak do okna radiowozu zbliża się twarz McIlvaine'a. Widziała, jak patrzy z przerażeniem na D'Annunzia. Skinął głową.

– Tak, tak, tak – powiedział szybko. – Ale, człowieku, to wariat, mówię ci. Pewnie już ją wykończył, na pewno. Jak gość zacznie, nic go nie powstrzyma, mówię ci.

Aggie zobaczyła, że obok D'Annunzia staje agent specjalny Calvin. W dłoni trzymał megafon.

– Zawołamy go – powiedział ostro. Tak naprawdę było to jednak pytanie.

D'Annunzio odwrócił się do niego i skinął głową.

– Jasne – stwierdził. – Spróbujcie. – Spojrzał znowu na McIlvaine'a. – Jak się nazywa?



– Maxwell. Max Duvall – powiedział McIlvaine.

D’Annunzio spojrział na Calvina i kiwnął mu: zaczynaj.

Calvin skinął nerwowo głową. Przebiegł wzrokiem po samochodach, po flesztach i popatrzył na kamienicę. Podniósł megafon do ust.

Ale zanim zdążył się odezwać, drzwi kamienicy zaczęły się otwierać.

Nikt się nie poruszył. Policjanci z uniesionymi pistoletami zamarli na swoich stanowiskach. Ich oczy były rozjaśnione, w błyskach kogutów zdawały się nawet nie mrugać. Podobnie jak pistolety wycelowane były w drzwi kamienicy. A te otworzyły się szerzej.

Aggie stała sztywno, wpatrując się w drzwi. Jej usta poruszały się bezgłośnie. „Zdrowaś Mario, łaski pełna; Zdrowaś Mario, łaski pełna; Zdrowaś Mario, łaski pełna; Zdrowaś Mario...” Świat poza ogłuszającym łomotaniem jej serca, poza mglistymi nudnościami ogarniającego ją strachu w dziwny sposób wydawał się przejrzysty.

Ciężkie drewniane drzwi wreszcie się otworzyły. Na oczach Aggie w światło reflektorów wkroczył przez nie potwór.

Był ogromny. Tępy i gigantyczny. Mrugał oczami. Ręce zwisały mu ciężko z obojczyków, a on sam sunął do przodu na nogach przypominających kolumny. Wydawało się, że kiedy wchodził na werandę, jego ramiona musnęły obie strony drzwi.

Drzwi zatrzasnęły się za nim. Stanął w miejscu. Spojrzął w dół, na wszystkich. Jego niewielka toporna twarz skurczyła się, jak gdyby nie do końca pojmował, kim oni są i skąd się wzięli. Stał i gapił się małymi okrutnymi oczkami, głęboko osadzonymi pod wysuniętym czołem. Po chwili ruszył do przodu.

– Nie ruszać się! – krzyknął ktoś.

A potem jeszcze ktoś:

– Nie ruszać się!

– Stać!

Mężczyźni zaczęli wstawać zza samochodów, opierać broń o

ich dachy, wychodzić zza wozów i klękać z pistoletami wycelowanymi prosto w zbliżającego się mężczyznę.

– Stój, nie ruszaj się!

– Ręce za głowę!

– Ręce za głowę, już!

Ze stojącego przed Aggie samochodu nagle dał się słyszeć bełkotliwy głos McIlvaine'a:

– Widzicie, zrobił to! Nie mogłem go powstrzymać. Nikt nie mógł go powstrzymać! To on, to wariat, przysięgam, ja nie...

Aggie spojrzała na mężczyznę na werandzie. Aż do tego momentu prawie nie zdawała sobie sprawy, że gdzieś w środku kołacze w niej ciągle nadzieja – aż do tego momentu kiedy wszystko w niej się załamało i nadzieja zniknęła. Stojąc za szeregiem mężczyzn i pistoletów, spoglądając ponad dachami samochodów na werandę, na potwora, czuła, że jej ciało zaczyna rozrywać krzyk, tak jakby od tej chwili nie miało już go wypełniać nic oprócz bezmyślnego krzyku czarnej rozpacz.

Z jej ust nie wydobył się jednak żaden dźwięk. Położyła dłoń na brzuchu. Nacisnęła go delikatnie. Wbijała wzrok w mężczyznę na werandzie.

Mężczyzna na werandzie spojrzał na światła, na policjantów i na wycelowane w siebie pistolety. Uśmiechnął się do nich sennie. Skinął głową, parsknął lekko i uśmiechnął się.

A potem, nie ruszając się z miejsca, zakołysał się. A potem, nie wykonując żadnego kroku, rzucił się naprzód jak ścięte drzewo. Upadł głową w dół na kamienne stopnie i spoczął na nich – martwy.

Przez długie sekundy nikt się nie poruszał. Przez długie sekundy nikt nie rozumiał, co się na ich oczach stało. Aggie też nie rozumiała. Patrzyła ciągle na werandę. Kręciła głową i patrzyła.

Chwilę wcześniej stał tam mężczyzna – ogromny, potężny, wydawałoby się, w niemal wyzywający sposób górujący nad tymi wszystkimi światłami, mężczyznami, pistoletami. A teraz, chwilę później, leżał na stopniach z głową skierowaną w stronę chodnika i

zwiotczalymi, przyciśniętymi do boków rękami – i jasno oświetlonym przez reflektory tyłem koszuli przesiąkniętym obficie czarną krwią.

Aggie patrzyła na niego. Policjanci patrzyli na niego, ciągle nie ruszając się z miejsca.

I wtedy drzwi kamienicy znowu zaczęły się otwierać.

Tym razem otwierały się długo, stopniowo: trochę, a potem znowu odrobinę. Policjanci na rozświetlonej ulicy zeszywnieli. Podnieśli znowu pistolety i wycelowali je w drzwi. Te otworzyły się trochę szerzej, a potem jeszcze trochę. Aggie podniosła na nie oczy, kręcąc głową i niczego już nie rozumiejąc.

Drzwi drgnęły, otworzyły się jeszcze odrobinę i w mrok nocy chwiejnie wkroczył przez nie niewysoki poturbowany mężczyzna.

Aggie początkowo go nie rozpoznała. Dolna część jego twarzy była całkowicie roztrzaskana. Usta zamieniły się w postrzępioną dziurę, nos był spłaszczony. Przez maskę krwi spoglądały zmatowiałe białe oczy; czoło, aż po policzki, było całe we krwi. Również jego koszula i spodnie były ciemne i rdzawe: na ubraniu mężczyzny nie było widać żadnego koloru poza czerwienią. – Aiiii?...

Dotarł do niej jego głos. Głęboki i głuchy. Wydawało się, że rozbrzmiewa echem z samego dna ciała mężczyzny. – Aiiii?... , Spojrzał ślepo na lunę reflektorów. Podniósł dłoń, tak jakby chciał wymacać nią sobie drogę. Druga ręka zwisała mu przekrzywiona po boku.

– Aiiii... – zawołał znowu.

W tym momencie dłoń Agathy oderwała się od brzucha i z drzeniem wysunęła się do przodu. Kobieta rozchyliła usta. – Aiiii...

– Nathan? – zawołała jak oszalała. – Nathan, tutaj!

– Aiiii...

– Tutaj, Nathan! O Boże!

Chwiejąc się, podeszła do niego o krok.

Nagle wokół Agathy rozległy się inne krzyki: gardłowe warknięcia, którymi porozumiewali się ze sobą policjanci. Ponad tym wszystkim usłyszała zaś chrapliwy bas D'Annunzia:

– Opuścić, opuścić broń, na litość boską, ona jest z nim, opuścić, nie strzelać, wstrzymać ogień, wstrzymać ogień...

Wreszcie D'Annunzio zabrał Calvinowi megafon i jego głos zabębnił ponad zgromadzonymi, tak jakby rozlegał się ze wszystkich stron:

– Wstrzymać ogień, wstrzymać ogień, dziewczynka jest z nim, opuścić broń...

Z rozchyłonymi ustami i z wyciągniętą ręką Aggie spojrzała w dół i zobaczyła obok Nathana niewielką postać. Dziewczynka ścisnęła kurczowo palcami jego zakrwawioną nogawkę; tuliła się do spodni ojca, przyciskała do jego nogi policzek; spoglądała oślepienymi oczami prosto w jaskrawe światła.

– Jessie? – szepnęła Agatha. – Jessie? – Ruszyła pędem do przodu. – Jessie? – zawołała.

Dziewczynka zamrugnęła. Zasznurowała drobne drżące usta i pochyliła się trochę.

– Mama?

Agatha minęła pędem mężczyzn i samochody.

– Jessie! – krzyknęła łamiącym się głosem.

Dziewczynka jedną ręką kurczowo czepiła się nogawki ojca, drugą wyciągnęła w stronę jaskrawych światła.

– Mama!

Aggie podbiegła do córki.

## CO ZAPAMIĘTAŁ CONRAD

Później ciągle pytano Conrada, jak to się wszystko skończyło. D'Annunzio, siedząc obok jego szpitalnego łóżka z notatnikiem w pulchnym łapsku, pytał go kilka razy: jak to się stało, co dokładnie pan zrobił. Podobnie inni detektywi z biura prokuratora okręgowego; podobnie prawnicy; lekarze w szpitalu – najpierw po to, żeby poznać charakter jego obrażeń, a potem, jak wydawało się Conradowi, po prostu żeby zaspokoić własną ciekawość. Nawet Frank Saperstein, stary znajomy i lekarz, którego zadaniem było poskładać go jakoś do kupy, nalegał, by spróbował przypomnieć sobie te ostatnie chwile. I Conrad spróbował. Bardzo się starał. Chwile te jednak zniknęły; pograżyły się w mroku. Zostały wymazane przez ból i szok. Jego umysł zakwalifikował je dla siebie samego jako tajemnice.

– Chciałbym tylko wiedzieć – mówił później Saperstein – w jaki sposób udało ci się uzbierać tyle sił, żeby wepchnąć kołesowi kij od miotły w nerkę.

– A ja jąłbym jeździć – odpowiedział Conrad przez zadrutowaną szczękę – jął jeździłem dzie jest nejka.

Saperstein roześmiał się.

– Przynajmniej lata studiów nie poszły na marne... – powiedział.

Conrad tylko skinął głową, starając się nie uśmiechać zbyt szeroko. Nie miał nic więcej do powiedzenia. Wszystko zapomniał.

A może nie wszystko? Może nie do końca? W jego pamięci pozostała jedna krótka chwila, którą będzie pamiętał do końca życia.

Pod koniec – tam, w pokoju z Maxwellem – był już poza myśleniem. W każdym razie jeśli chodzi o to, co uważał zawsze za myślenie – nie był już do tego zdolny. Leżał po prostu nieprzytomny w miejscu, w które rzucił go Maxwell, i czuł, jak

umiera jego córka. Czuł to gdzieś w środku samego siebie. Było to jak poronienie: coś w jego brzuchu – coś, co kochał – powoli było z niego wypychane w nicość, w stan martwoty. Musiał powstrzymać ten proces, musiał spróbować go powstrzymać. Tak bardzo to bolało – za bardzo. Conrad wstał więc jeszcze jeden raz.

Nie zdawał sobie sprawy z tego, że został ciśnięty w przeciwległy kąt pokoju – tam gdzie leżał również kij od miotły. Dotknął go przypadkiem, kiedy zbierał się z podłogi, i po chwili był już w jego dłoni. Conrad naprężył się i uniósł, walcząc z przeszywającą słabością w jego jedynym sprawnym jeszcze ramieniu i zeszywniałych nogach. Myślał, że upadnie z powrotem na podłogę, ale córka umierająca w nim w środku zdawała się podnosić go w górę. Wydawało mu się, że podnosi się pomimo tego, że zawiodła go siła fizyczna.

Ledwo udało mu się wstać. Ledwo. Ledwo udało mu się zachwiać do przodu, zgiąć w pół i przebrnąć przez niewielki pokój. Gdyby Maxwell wtedy stał, nie udałoby się go skutecznie zaatakować. Olbrzym klęczał jednak na materacu, ściskając w jednej ręce nogę Jessiki, a drugą wyciągając do przodu, żeby udusić dziewczynkę. Conrad po prostu przewrócił się na niego. Podniósł kij w górę jak sztylet. A potem z chirurgiczną precyzją wetknął go we właściwe miejsce.

Maxwell powinien był w tym momencie upaść. Cios powinien był położyć go trupem na miejscu. On jednak podźwignął się z łóżka z rykiem, jak fala. Conrad przetoczył się na materac, ustępując mu z drogi. Poszukał po omacku córki, znalazł ją, złapał...

„... maleńka... maleńka.

... a tymczasem Maxwell stał nad nimi jak wieża i kipiał wściekłością. Jessica przestała krzyczeć. Przytuliła się do piersi ojca, obserwując całe widowisko i łkając.

Maxwell uderzył dłońmi w powietrze, tak jakby chciał przegonić to dziwne coś, czemu udało się go dopaść. Podniósł twarz w stronę sufitu i krzyknął, a z jego ust potoczyła się piana i ślina. Wreszcie sięgnął ręką za plecy. Conrad usłyszał mokry,

ssący odgłos. Maxwell skurczył się z bólu, ale wyciągnął kij od miotły z ciała.

„... umrzeć.. – pomyślał Conrad.

W tym momencie Maxwell musiał już umrzeć. Nie było już dla niego ratunku, nie po tym, jak wyrwał z siebie kij. Conrad otoczył córkę ciasno zdrowym ramieniem, przytulił ją mocno do piersi...

„... maleńka...”

... i wpatrzył się w kipiącego wściekłością mężczyznę, „... umrzeć...”

A mężczyzna ciągle stał. Cisnął kijem od miotły w ścianę. Warknął. Spojrzał na zakrwawioną postać, leżącą u jego stóp na materacu: na zakrwawioną postać i kulącą się pod jej ramieniem małą dziewczynkę.

„... maleńka.. – pomyślał Conrad, trzymając ją mocno i wpatrując się w Maxwella.

Maxwell spojrział na nich i ze smutkiem pokręcił głową. A potem się odwrócił. W milczeniu pokuśtykał w przeciwnym kierunku. Szurając stopami, ruszył w stronę drzwi.

Conrad i Jessica leżeli na materacu i patrzyli, jak odchodzi. Widzieli, że po jego koszuli w kierunku górnej części spodni rozprzestrzenia się plama krwi. Maxwell sięgnął do drzwi i otworzył je. Schylił głowę i wyszedł na korytarz. A potem zniknął.

Conrad nie wiedział, w jaki sposób uwolnił z taśmy nadgarstki i kostki córki. W jaki sposób wydostał się z pokoju, jak minął korytarz, jak dotarł do wyjściowych drzwi. Pamiętał tylko, iż wydawało mu się wtedy, że musi wyjść, wydostać się, wyprowadzić stamtąd Jessicę. Znaleźć Aggie. Że musi znaleźć żonę, to wiedział na pewno.

„... żona...”

Ona mu pomoże. Zajmie się nim.

Pokuśtykał korytarzem z dzieckiem uczepionym nogawki, z zakrwawioną ręką złożoną na jej włosach, przyciskającą jej twarz do biodra. Potem nagle stał już na werandzie, a wszędzie wokół

były światła. Jaskrawe białe światła i błyskające czerwone światła, które zdawały się stapiać z czerwonymi chmurami płynącymi i tańczącymi mu przed oczami.

„... żona.. – myślał Conrad, stojąc na werandzie.

Potem, nie zdając sobie z tego sprawy, zaczął ją wołać. Wiedział tylko, że musi dalej stać. Stać na nogach. Ruszać się, dopóki nie będzie mógł wypuścić Jessiki, dopóki nie znajdzie Aggie.

„... żona...” – myślał.

– Tutaj, Nathan!

„... żona...”

– Mama!

Nathan zamknął oczy i pokręcił głową. Czuł, że świat wiruje wokół niego.

„... muszę...”

Stać. Musiał stać na nogach, stać. Podważył powieki i spojrzał w światło. Popatrzył na stopnie. Zobaczył: leżało tam ciało Maxwella. Ciało Maxwella i...

„... żona...”

Aggie. Aggie biegła do nich z wyciągniętymi rękami. A potem dziewczynka, maleńka, oderwała się od niego, pobiegła po schodach i przebiegła obok wielkiego ciała martwego mężczyzny. Podbiegła do krawędzi chodnika i tam właśnie spotkała się z Aggie – tam właśnie Aggie upadła na kolana, wzięła córkę w ramiona i przytuliła mocno...

Conrad, kołysząc się niepewnie na werandzie, skinął powoli głową.

„... żona...” – pomyślał. „... maleńka... żona.

I to był już koniec. Wiedział, że może się poddać. Wiedział, że może już paść.

Opuścił się w stronę rozpościerających się u jego stóp ciemności. Poddał się, osunął w nie miękko. Nie wywrócił się jednak. Jego ciało nie upadło. Przytrzymali go ludzie. Złapali za ręce. Krzycząc prosto w ucho:

– Już dobrze. Mamy cię, stary. Nic ci nie będzie.



„... mężczyzna...” – pomyślał Conrad, „... gruby śmierzący mężczyzna...”

W jego uchu odbijał się głos grubego śmierzącego mężczyzny.

– Nic ci nie będzie, stary. Będzie dobrze. Wyjdiesz z tego, trzymaj się.

Conrad zapamiętał tę właśnie chwilę – i tylko tę. Zapamiętał, że wreszcie zaczął się zanurzać w otaczające go jezioro ciemności. I w tej właśnie chwili nastąpił u niego moment zrozumienia – czystego, krystalicznego zrozumienia.

Zobaczył wszystko: biegnących ku niemu policjantów, samochody na drodze, światła wszędzie wokół, martwego mężczyznę na schodach poniżej, żonę trzymającą na chodniku w ramionach jego córkę. Zobaczył wszystko, tak jakby każdy szczegół roztaczającego się przed jego oczami obrazu został wyrzeźbiony w ciemnościach.

I pomyślał: „Będę żył”.

Pomyślał z całkowitą jasnością. „Będę żył i zobaczę swoje wnuki”.

## KONIEC

– Czy tatuś wyzdrowieje?

– Mam nadzieję, że tak – powiedziała mama. Płakała. – Na pewno, kochanie.

Karetka zabrała tatusia do szpitala. Jessica też musiała iść do szpitala, ale miała tam pojechać z mamą. Mama trzymała ją za ramię. Przechodziły razem przez ulicę. Po drugiej stronie stał stary granatowy samochód. Mieli pojechać właśnie nim.

Jessica czuła się dziwnie. Kręciło się jej w głowie i była trochę nieobecna. Bolał ją brzuch, a stopy miała zimne i zdrętwiałe. Wolałaby nie jechać do szpitala. Wolałaby pojechać do domu i iść do łóżka.

– Czy w szpitalu będzie doktor Saperstein? – zapytała.

– Tak – odpowiedziała mama. Otarła z oczu łzy.

– On nigdy nie ma lizaków.

Mama roześmiała się, chociaż przecież płakała.

– Kupię ci później lizaka, kochanie. Obiecuję.

Po drodze Jessica zobaczyła policjanta, który również szedł do granatowego samochodu. Otworzył drzwi. Wyszła przez nie jakaś obca pani. Była piękna. Jej buzia była piękna jak twarz księżniczki. Miała jednak brudne włosy. I była ubrana w jedną ze starych sukienek mamy – tę z fioletowymi kwiatkami. Nie pasowała jej za bardzo: piękna pani była na nią za wysoka i za szczupła.

Jakiś policjant złapał piękną panią za ramię. Zaprowadził ją do jednego ze stojących obok samochodów. Pomógł jej usiąść z tyłu i zamknął za nią drzwi. Potem podszedł do przodu i usiadł za kierownicą.

Piękna pani odwróciła się i spojrzała przez okno. Popatrzyła prosto na mamę Jessiki. Podniosła do okna dłoń i przycisnęła ją do szyby.

Agatha zatrzymała się. Uniosła rękę i pomachała jej. A

potem, kiedy samochód miał już odjechać, piękna pani spojrzała również na Jessicę. Popatrzyła prosto na nią bardzo dziwnym wzrokiem: smutnym, ale jednocześnie łagodnym. Jessica czasem patrzyła takim wzrokiem na domek dla lalek Gabrielle albo na kociaka Lauren – na coś, czego bardzo, ale to bardzo chciała, ale czego nie mogła dostać.

Samochód zaczął się cofać, a piękna pani ciągle na nią patrzyła. Po chwili samochód zawrócił i ruszył ulicą w stronę skrzyżowania. Skręcił i piękna pani zniknęła.

– Mamo, kto to był? – zapytała Jessica.

Mama pokręciła głową.

– Zwykła dziewczyna. Jedna z pacjentek tatusia.

Jessica wiedziała o pacjentach taty.

– Czy ona jest smutna?

– Tak. Jest smutna.

– Ale tatuś ją wyleczy?

– Nie wiem. Tak. Spróbuje.

Jessica zaczęła się nad tym zastanawiać. Ruszyły znowu w stronę samochodu.

– Tatuś bił się z tym niedobrym panem – powiedziała wreszcie Jessica.

– Wiem – stwierdziła jej matka. Jej głos brzmiał dziwnie – znowu płakała.

– Ten niedobry pan był olbrzymem – powiedziała Jessie.

– Tak, był. Prawie olbrzymem.

– Mamo, a czy tatuś go zabił?

– Tak, słonko.

– Bo musiał.

– Tak.

Dotarły do samochodu. Mama Jessiki zatrzymała się i rozejrzała wokół siebie.

– Mamo, czy tatuś jest najsilniejszym człowiekiem na świecie? – zapytała Jessica.

Mama roześmiała się.

– Nie wiem. – Poruszyła ręką. A potem pokiwała głową i

roześmiała się. – Prawdopodobnie – powiedziała. Wytarła ręką nos.

Jessie stanęła obok matki i również się rozejrzała. Zaczynały odjeżdżać kolejne samochody – ruszały w stronę skrzyżowania, skręcały i znikwały. Niektóre z nich – niektóre z radiowozów – ciągle miały włączone błyskające na czerwono koguty.

– Czemu nie jedziemy? – zapytała Jessica.

– Musimy poczekać na detektywa – powiedziała mama. Wskazała na niego ręką. – On nas zawiezie.

– Ten gruby pan?

– Ćśś, kochanie. Tak.

Jessica spojrzała na grubego detektywa. Nachylał się właśnie nad stojącym obok radiowozem. Po chwili wstał. Podeszedł do nich. Spojrzał na dziewczynkę.

– Cześć – powiedział.

Jessica przysunęła się bliżej nogi mamy. Gruby detektyw uśmiechnął się. Miał szorstką twarz. Wyglądała dziwnie, kiedy się uśmiechał. Spojrzał na Agathę.

– No cóż... – powiedział.

– Dziękuję – zaczęła Agatha, ale nie udało jej się skończyć. Pochyliła głowę i rozplakała się.

Uśmiech na twarzy mężczyzny jeszcze się rozszerzył.

– No cóż, co tam, nie? – powiedział. – Co tam...

Stojący obok radiowóz zaczął się cofać. Zawracał. Po chwili podjechał do przodu. Zatrzymał się tuż przed Jessicą. Oczy dziewczynki rozszerzyły się.

– Mamo! – zawołała.

Przycisnęła się jeszcze mocniej do nogi matki. Wpatrywała się w okno radiowozu. Było otwarte i wyglądał przez nie niedobry pan, niedobry pan, na którego inni mówili Jajo. Patrzył przez okno prosto na nią.

– Co się stało? – zapytała mama Jessiki.

– Popatrz, mamó – powiedziała dziewczynka. – To ten niedobry pan.

– Och... – Mama uścisnęła ją mocniej. – Już wszystko w

porządku – powiedziała. – On teraz pójdzie do więzienia. Nie skrzywdzi cię już. Chodźmy.

Spróbowała pociągnąć za sobą Jessicę w stronę granatowego samochodu. Ale Jessica ociągała się. Spojrzała na szorstką, tłustą twarz detektywa.

– To on mówił wszystkim, co mają robić – powiedziała.

Gruby detektyw pochylił głowę. Z szerokim uśmiechem odwrócił się do niedobrego pana.

– Hm, to bardzo interesujące – powiedział. – Umówimy się kiedyś na długą rozmowę na ten temat, co?

– Dobrze – odparła niepewnie Jessica.

– Chodźmy, kochanie – powtórzyła jej matka. – Chodźmy do samochodu. Pojedziemy zobaczyć się z tatusiem.

Matka Jessiki otworzyła drzwi, ale dziewczynka jeszcze przez chwilę pozostała na swoim miejscu. Stała bardzo spokojnie i patrzyła na twarz niedobrego pana, na którego inni mówili Jajo.

Mężczyzna zwany Jajem podchwycił jej wzrok. Jego usta wykrzywiły się. Parsknął.

Dziewczynka niemalże ze smutkiem pokręciła głowę.

– Mówiłam ci – powiedziała. – Mówiłam ci, że przyjdzie.